

WZORCE ZWYCIĘŻANIA

Tom 2

KRYTYCZNE STARCIA
WIELKICH MOCARSTW



Piotr Plebaniak

WZORCE ZWYCIĘŻANIA

Tom 2

KRYTYCZNE STARCIA
WIELKICH MOCARSTW

Wydawnictwo Chiron
Kraków 2025

Copyright by Piotr Plebaniak, 2023–2025.

Copyright for the Polish edition by Andrzej Kruczyński, Piotr Plebaniak, 2024.

© All rights reserved.

Informacja redakcyjna:

Z uwagi na m.in. kwestię praw majątkowych do wydań zagranicznych współautorzy uzgodnili, że niniejsza książka ukaże się w dwóch wersjach okładowych, z których jedna będzie dostosowana do serii Wzorce (wskazany tylko jeden ze współautorów – Piotr Plebaniak), a druga (w tym oprawa twarda, wskazany konsultant) – nie.

Pełny tytuł

Wzorce zwyciężania.

Tom 2. Krytyczne starcia wielkich mocarstw

Konsultacja specjalistyczna (inwazja na Tajwan)

Płk Andrzej Kruczyński

Ujednolicenie stylistyczne tekstów

Piotr Plebaniak

Redakcja językowa i pierwsza korekta

Grzegorz Antoszek

Ilustracja na okładce

Łukasz Matuszek

Opracowanie map i rycin oraz (jeśli nie opisano inaczej) zdjęcia

Piotr Plebaniak

Wydawca

Wydawnictwo Chiron

Wydanie I (druk 2025.01)

ISBN 978-83-965180-2-6 (Tom 1, oprawa miękka)

ISBN 978-83-965180-3-3 (Tom 1, e-book)

ISBN 978-83-965180-7-1 (Tom 2, oprawa miękka)

ISBN 978-83-969971-1-1 (Tom 2, e-book)

Informacja o dystrybucji

sztukawojny@protonmail.com; <https://chiny.pl/ksiazki>

Przestrzeń między bitwą przegraną,
a bitwą wygraną jest przeogromna.
A w niej zalegają imperia.

– Napoleon

Spis treści

System odnośników i konwencje użyte w książkach serii „Wzorce”	11
Podziękowania	13
Oświadczenia autorów	14
Z braku podkowy przepadło królestwo Wstęp	17

Temat I **Kampanie i operacje**

Falklandy 1982 Epizody interwencji brytyjskiej	23
Desant na Inczon 1952 Wizjonerstwo MacArthura i desperacja Zachodu	69

Temat II

Przełomy technologiczne

Karaka i galeon	101
Pierwsze jednostki oceaniczne i kluczowa przewaga mocarstw kolonialnych	
Droga technologiczna do karabinu Maxim	109
Druza wojna burska – pierwszy nowoczesny konflikt	

Temat III

Pływające forty, Mahan i pancerniki

Nelson	141
Bitwa przy ujściu Nilu 1798	148
Trafalgar 1805	161
Admirał Yamamoto: od Cuszimy do Midway	177
Cuszima 1905	183
Upadek Port Artur 1904–1905	223
Midway 1942	253

Temat IV

Bitwy założycielskie Ameryki

Bunker Hill 1775	313
Interakcja parametrów zdolności bojowej w sytuacji ich asymetryczności	
Alamo 1836	325
Militarna konfrontacja z inercją przebiegu procesów politycznych	

Temat V

Akty militarnego geniuszu i wręcz przeciwnie

Bitwa o Quebec, 13 września 1759	339
Mistrzowski manewr Wolfe'a	
Raid pułkownika Doolittle 1942	349
Mistrz awiacji i jego natchniona wizja	
Kanał Sueski to nie problem! (1973)	367
Mistrzowski ruch Egipcjan w czasie wojny Jom Kipur	

Aneksy

Wyjaśnienie elementów symbolicznych	393
Spis ramek specjalistycznych	395
Spis map i planów bitew	395
Indeks przywołanych ilustracji historycznych	397
(Wojny, kampanie, bitwy, potyczki)	
Wybrana bibliografia	398

System odnośników i konwencje użyte w książkach serii „Wzorce”

‡36.II.4.C — Odwołanie do innego tomu serii „Wzorce”. „36” to *36 forteli*, „SW” to *Sun Zi i jego Sztuka wojny*, „SP” — *Sił psychohistorii* (wyd. III), „PG” — *Prawidła geopolitycznej gry o przetrwanie*, „WD” — *Wzorce Dowodzenia* (wyd. 2026), „SK” — *Siły i kontrsiły* (wyd. 2026).

Pojęcia i koncepcje kluczowe są wyróżnione podwójnie: kursywą i podkreśleniem (np. *Moc*). Wyjaśnienia wybranych pojęć znajdują się w tomie I cyklu *Wzorce zwyciężania* oraz innych tomach serii „Wzorce”.

W passusach i cytatach: Pogrubienia czcionki oraz komentarze w nawiasach kwadratowych, jeśli nie zostały oznaczone inaczej, pochodzą od współautorów.

Zdjęcia: Jeśli nie są podpisane inaczej, pochodzą ze zbiorów Piotra Plebaniaka. Zdjęcia koloryzowane cyfrowo oznaczone są dopiskiem „kolor”.

Przypisy:

Listę wszystkich treści on-line, do których odwołania (linki) znajdują się w przypisach, można przeglądać na stronie <https://chiny.pl/prz/12>.

Znajdują się tam też kopie archiwalne, zachowane przez autora na wypadek ich ocenzurowania lub cofnięcia publikacji z innych przyczyn.



Podziękowania

Działania zbrojne i sama wojna jako taka to sfera ludzkiej aktywności, w której o przetrwaniu w największym stopniu decyduje zdolność do patrzenia na stan spraw w sposób maksymalnie bezstronny.

W tej, jak w żadnej innej aktywności kurczowe trzymanie się złudzeń, „sprawdzonych” metod i ulubionych teorii, prowadzi bezpośrednio do porażki, często poniżającej. Ale jeszcze częściej nieuniknionej.

Moje podziękowania kieruję ku osobom, których pomoc i krytyczne uwagi pozwoliły uporządkować treść tego tomu tak, aby niósł on w sobie największą możliwą dawkę pożytecznej wiedzy.

Poznanie często zupełnie rozbieżnych opinii i wizji, poddanych krytycznej analizie, jest bezcennym ćwiczeniem intelektualnym, które wyrabia i mi, i czytelnikom moich książek, zdolność krytycznego myślenia i emocjonalnego dystansowania się od spraw, które często są krytyczne dla sprawności indywidualnych żołnierzy i całych armii.

*Piotr Plebaniak
Tajpej, luty 2024*

Oświadczenie autorów tekstów goszczących

Autorzy esejów oraz osoby udzielające wywiadów zamieszczonych w niniejszej pracy oświadczają, że publikacja ich wypowiedzi nie ma żadnego związku z poglądami ani przekonaniami pozostałych osób zaproszonych do współtworzenia tomu oraz autorów tomu. Autorzy ci zgodzili się na złożenie swojego tekstu lub udzielenie wywiadu bez wiedzy o tożsamości innych współautorów oraz finalnej formy książki. Kierowali się wyłącznie motywacją dodania swojego wkładu do wartości merytorycznej dzieła, które Czytelnik ma w ręku.

Oświadczenie współautorów

Autor tomu oświadcza, że wszelkie zbieżności bądź rozbieżności poglądów, w tym forma obecności w przestrzeni publicznej, nie były kryterium zaproszenia osób trzecich do zabrania głosu w niniejszej książce. Jedyne kryterium przy podejmowaniu decyzji stanowiła udokumentowana aktywnością publiczną kompetencja eksperta w jego specjalności oraz jego gotowość do wzbogacenia tomu o swoją wiedzę ekspercką. Wszelkie domniemania co do istnienia klucza decyzyjnego innego niż merytoryczny, scharakteryzowany powyżej, nie mają podstaw – będą więc interpretowane jako naruszenie dóbr osobistych.

Autor tomu oświadcza, że nie utożsamia się ze wszystkimi poglądami i wizjami świata, jakie prezentują w niniejszej książce inne zaproszone osoby ani opisywane postacie historyczne. Autor prosi o kontakt w celu autoryzowania wypowiedzi, opinii lub twierdzeń odnośnie powyższych kwestii. Dane kontaktowe znajdują się na stronie redakcyjnej (s. 4).

Zadania pisarskie przy powstawaniu niniejszego tomu współautorzy podzielili zgodnie ze specjalizacją, kompetencją ekspercką i zainteresowaniami. Przykładowo, wkładem A. Kruczyńskiego jest konsultacja w zakresie funkcjonowania jednostek specjalnych, zaś wartością autora książki, P. Plebaniaka – specjalizacja w bardziej filozoficznym podejściu do natury konfliktów, a konfliktów militarnych w szczególności.

Autor informuje, że z uwagi m.in. na kwestie praw autorskich do wydań zagranicznych oraz potrzeby czytelników kolekcjonujących kolejne tomy serii „Wzorce”, zdecydował wraz z konsultującym kwestie operacji specjalnym A. Kruczyńskim o publikacji niniejszej pozycji w dwóch edycjach z różnymi wersjami okładki: jedna z nich prezentuje wyłącznie jednego autora tomu, a druga – w oprawie twardej – nazwiska obu współautorów. Zawartość pierwszego i kolejnych wydań obu edycji jest identyczna. Za ewentualne utrudnienia i nieporozumienia przepraszamy.

Z braku podkowsy przepadło królestwo

Wstęp

Bitwy schyłku i narodzin imperiów

Siła wielkiego mocarstwa oscyluje w tempie całych dekad. Oscyluje w rytm koncertu parametrów, które pulsują każdy w swoim rytmie po to, by nagle wygenerować zjawisko synergii i powołać do życia potężne imperia. Siły te wynoszą narody ku chwale i wielkości, by potem nieuchronnie ściągnąć je ku upadkowi.

Ale praktycznie każda geopolityczna zmiana przechodzi bardzo specyficzną fazę ustanawiania nowego mocarstwa – wielką bitwę. To albo bitwa założycielska, albo taka, którą dopiero przyszli historycy są w stanie wskazać jako wydarzenie, które przesądziło o upadku wspaniałego imperium, albo która uruchomiła proces lub tendencję, bez której losy świata potoczyłyby się inaczej.

Na sprawę można spojrzeć z drugiej strony – aby zgromadzić i kontrolować zasoby materialne, aby stoczyć bitwę założycielską, której skutkiem będzie świt nowego porządku świata, należy budować siłę geopolityczną, w tym militarną, przez całe dziesięciolecia.

Z takiego punktu widzenia bitwy stabilizujące nowy układ geopolityczny są jedynie „formalnością”, sposobem zniszczenia militarnych środków oddziaływania przeciwnika w chwili, w której wciąż ma on wolę walki na rzecz

utrzymania starych struktur władzy na poziomie geopolitycznym. Przegrana bitwa staje się impulsem wywołującym w umyśle przeciwnika zjawisko poczucia przegranej. W przypadku człowieka z krwi i kości, w jego mózgu w chwili porażki dochodzi do mierzalnych, obserwowanych za pomocą rezonansu magnetycznego zmian w korze przedczołowej. W przypadkach skrajnych dochodzi do dysfunkcji mechanizmów fizjologicznych odpowiedzialnych za pracę struktur mózgowych odpowiedzialnych za motywację i procesy wolicjonalne.

Na poziomie geopolitycznym dochodzi do degeneracji elit, których prosperita i pozycja nagle przestają zgrywać się z „dobrem” obywateli, podwładnych czy poddanych.

Dać z siebie 110%

Zdolność do innowacji, przejawiania inicjatywy i gotowość do poświęcenia na rzecz przyszłości to stany mentalne, od których zależy „jakość” żołnierza w każdej sytuacji i na każdym poziomie działań zbrojnych. Aby opisywać te zjawiska umysłowe, zwykliśmy posługiwać się niejasnym i nieostrym pojęciem *morale*.

Człowiek o wysokim morale walczy dłużej, męczy się później, daje się opanować zniechęceniu w mniejszym stopniu albo wcale. Poświęca się, jest zdolny do aktów szaleńczej odwagi. Dla szkoleniowca, szefa czy dowódcy, niezależnie czy wojskowego, czy cywilnego, doprowadzenie podwładnych do stanu maksymalnej wydajności to zadanie kluczowe. Dowódca musi balansować wszystkimi parametrami, które tylko zdoła koncepcyjnie opanować, aby podlegli mu żołnierze sami znaleźli energię i motywację do realizacji zadań w sposób wzorowy lub nawet wykraczający poza oczekiwania służby.

Państwa i narody budują całe struktury społeczne, obyczajowe i instytucjonalne, aby zmaksymalizować swój

potencjał. Rodzice oraz nauczyciele szkół podstawowych i średnich wyłapują co zdolniejszych uczniów i dyskretnie lub jawnie kierują ich kształceniem, zgranym z talentami i pasjami. Z dwóch moich ulubionych przykładów pierwszym jest zainteresowanie raketami, jakie przejawiał Werner von Braun, którego geniusz wysłał człowieka na Księżyc. Drugi, częściowo fikcyjny, bo pochodzący z filmu *Kontakt* (1997, reż. Robert Zemeckis), to instrukcje dla ojca nastoletniej głównej bohaterki, by rozwijał on zainteresowania naukowe córki, co poskutkowało jej przełomowym wkładem w radioastronomię. Profesor Gary Flandro, inżynier NASA, który wykoncypował misję sond kosmicznych Voyager, przyznał się w wywiadzie do książki *Siły psychohistorii* (§SP III.1) do własnego aktu natechnienia z wczesnego dzieciństwa. Była nim przeznaczona dla dzieci książka ze specyficznie zwizualizowanym, pozwalającym na manewr asysty grawitacyjnej, rozmieszczeniem planet Układu Słonecznego.

Podsumowując, jednostki pełniące służbę na rzecz wysiłku wojennego noszą w sobie cały pakiet zdolności, talentów, umiejętności i osobistych motywów, które energetyzują je do działania i umożliwiają je. Zawiadowcy potężnych mocarstw, głównodowodzący gdzieś hen z dala od pola bitwy, dowódcy kierujący ludźmi tuż za linią kontaktu z wrogiem i ci dowodzący z pierwszej linii... Wszyscy oni muszą w możliwie dużym stopniu kontrolować jakiś wycinek tego całego galimatiasu motywacji i umiejętności.

Gdy im się uda, efektem jest bitwa wygrana o włos... Bitwa wygrana dzięki zdarzeniom pozornie błahym i przypadkowym, ale w znakomitej większości dającym się wytłumaczyć jako coś, czego ktoś nie musiał tak naprawdę robić, ale zrobił. Zrobił z pasji dla swojego zajęcia, poczucia lojalności czy obowiązku wobec społeczności, albo by mieć swój wkład w rodzącą się dumną przyszłość.

Takim poświęceniem wykazał się por. Richard Best, który zamiast „robić, co mu rozkazano”, odłączył się od fali nurkujących na wrogi lotniskowiec kolegów i w pojedynkę (nie licząc skrzydłowych) zatopił japoński lotniskowiec w bitwie o Midway (s. 286). Best nie musiał tego robić. Zrobił. Zrobił i przypłacił swoje poświęcenie trwałym uszkodzeniem płuc.

Wiedza na poziomie natchnionego mistrza i pioniera awiacji, którą dysponował płk Jimmy Doolittle, pozwoliła z kolei na zrealizowanie ataku bombowego na Tokio w początkowej fazie wojny. Doolittle nie musiał tego robić, aby cieszyć się szacunkiem, sławą i wysoką pozycją w hierarchii. Nie musiał, ale ryzykując własne życie – zrobił.

Prawda jest taka, że zmotywowani popełniają mniej pomyłek. Wierzący w moralną słuszność pójdą ze swoimi aktami poświęcenia i użycia siły wobec przeciwnika dalej. Walczący o dumną przyszłość potężnego mocarstwa zaryzykują własne życie z większym zaangażowaniem.

Relacje z kampanii, bitew i operacji, w których zdołamy wyczytać ten wzorzec, są głównym wątkiem niniejszego tomu *Wzorców zwyciężania*.

Piotr Plebaniak
Hualian, Tajwan
marzec 2024

Temat I

**KAMPAKIE
I BITWY**

Falklandy 1982

Epizody interwencji brytyjskiej

Pierwsza grupa żołnierzy argentyńskiej piechoty morskiej, desantowana z okrętów argentyńskiej marynarki wojennej, korzystała z gumowych łodzi. Grupa ta wylądowała na Falklandach tuż po 23:00 1 kwietnia 1982 roku. Po krótkich walkach wyspy zostały formalnie przejęte 2 kwietnia. Z Falklandów zmieniły się w Malwiny. To był koniec dziesięcioleci bezproduktywnych negocjacji. Ale był to też początek skomplikowanego, wieloetapowego wysiłku strony brytyjskiej, który zakończył się odbiciem wysp.

Do dziś strona argentyńska nie przejawia symptomów pogodzenia się z aktualnym stanem rzeczy. W przypadku nagłego osłabienia Zjednoczonego Królestwa można śmiało spodziewać się ponownej argentyńskiej zbrojnej próby wydarcia Falklandów z rąk brytyjskich. Tym użyteczniejsze mogą być lekcje, jakie da się wyciągnąć z przebiegu kampanii z 1982 roku.

Uwarunkowania historyczne

Falklandy to odizolowany i smagany wiatrem archipelag na południowym Atlantyku, 500 kilometrów na wschód od południowego krańca Ameryki Południowej. Odkrył je angielski żeglarz John Davis w sierpniu 1592 roku. Dopiero w 1671 roku Anglia proklamowała zwierzchnictwo nad wyspami. Trzy lata później Francja, a w następnym roku Anglia założyły na wyspach swoje osady – Port Saint Louis i



Ryc. 1. Mapa archipelagu Falklandów. Znakiem ‚x’ oznaczone są pierwotnie zakładane kolonie Anglii, Hiszpanii i Francji.

Port Egmont. W 1676 roku Francja scedowała swoje prawa na Hiszpanię. Nie istnieją zapisy pozwalające jednoznacznie stwierdzić, czy mieszkańcy obu kolonii wiedzieli o istnieniu konkurencyjnej osady. Niemniej Hiszpanie w 1770 roku wykryli angielskie osiedle i zdobyli je, aby już po roku zwrócić poprzednim właścicielom. Brytyjscy mieszkańcy opuścili niegościnnie Falkland Zachodni w 1774 roku, a Hiszpanie swoją osadę porzucili w 1811 roku.

Kolejną próbę założenia kolonii podjął w 1828 roku niemiecki kupiec Luis Vernet (1791–1871). Niemiec był świadomy konfliktujących roszczeń brytyjskich i świeżo proklamowanej Argentyny. Poprzedził przedsięwzięcie formalnym zapytaniem o pozwolenie zarówno u władz Argentyny, jak i w konsulacie brytyjskim. Miało to związek z dwiema nieudanymi brytyjskimi inwazjami na Wicekrólestwo La Platy, przeprowadzonymi w latach 1806–1807. Wicekrólestwo La Platy (1776–1810), obejmujące rejon estuarium rzeki La Plata, było najbardziej wysuniętą na

południe częścią hiszpańskiej kolonii. Wicekrólestwo stało się rdzeniem proklamowanej w 1816 roku Argentyny.

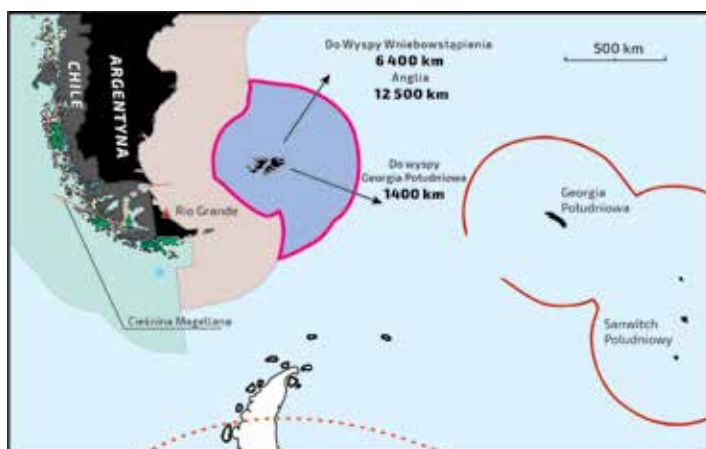
Mieszkańców osady założonej i zarządzanej przez Verneta rozpędziła w 1831 roku Marynarka Wojenna Stanów Zjednoczonych w epizodzie znanym jako spór o łowiska. Dowódca eskadry amerykańskiej Silas Duncan ogłosił przy tym formalne rozwiązanie „rządu” wyspy. Już rok później Argentyna ulokowała na Falklandach garnizon, w którym jednak wybuchł bunt. W 1833 roku na wyspach ponownie pojawili się Brytyjczycy, by odświeżyć proklamację przynależności archipelagu do swojego imperium. Jednak dopiero w 1840 roku Falklandy stały się formalnie kolonią korony brytyjskiej.

Jak widać, poziom zagmatwania kwestii „praw moralnych” do Falklandów wstąpił na poziom niemożliwy do rozwikłania, przypominając skecz z dezorientacji kota grupy Monty Mython.

Wyspy odgrywały ważną rolę w zarządzaniu brytyjskimi roszczeniami względem terytoriów subarktycznych. Ich lokalizacja pozwala na kontrolę szlaków morskich biegnących przez Cieśninę Magellana, które w XIX i na początku XX wieku wiodły do chilijskich zasobów guana i saletry (azotanów potrzebnych jako nawozy i substraty do produkcji materiałów wybuchowych). To zabezpieczenie przewozu tych ostatnich było bezpośrednim kontekstem dwóch bitew morskich między flotą niemiecką i brytyjską. Pierwszą, stoczoną u wybrzeży Chile w listopadzie 1914 roku wygrali Niemcy. Ale drugą, stoczoną w rejonie Falklandów zaledwie miesiąc później, wygrała brytyjska Royal Navy, uzyskując definitywne rozstrzygnięcie – Niemcy opuścili akwen wertykalnie.

XX wiek i tło geopolityczne wojny

Argentyna wznowiła walkę o suwerenność nad archipelagiem Falklandów w latach sześćdziesiątych XX wieku.



Ryc. 2. Położenie Falklandów względem kontynentu i wyłączne strefy ekonomiczne wokół Georgii Południowej oraz Południowych Sandwichów

Rząd argentyński zagrał kartą „kolonializmu” brytyjskiego, co Zjednoczone Królestwo (dalej także UK, ang. United Kingdom) skontrolowało prawem do samostanowienia mieszkańców.

„Gorący” konflikt stał się nieunikniony po 1976 roku, kiedy władzę nad Argentyną przejęła junta wojskowa. Wojskowi w tym samym roku zerwali stosunki dyplomatyczne ze Zjednoczonym Królestwem i ustanowili garnizony na innym archipelagu należącym do Brytyjczyków – Sandwichu Południowym. Brytyjczycy odkryli to dopiero po dwóch latach.

Strona brytyjska na takie naruszenie swojego terytorium musiała zareagować. Okazało się jednak, że Argentyńska junta trafiła idealnie w okres, kiedy świeżo powołany w 1979 roku rząd Margaret Thatcher rozpoczął realizację znacznych cięć budżetowych, obejmujących przede wszystkim siły zbrojne. Zakłócało to m.in. proces wycofania ze służby starych brytyjskich lotniskowców, choć budowano nowe. Brytyjczycy zrezygnowali z obecności wojskowej i inwe-

stycji na południowym Atlantyku. Po stronie argentyńskiej uznano to słusznie za symptom słabości.

Uwarunkowania polityczne stron
i skutki zmiany planów

W grudniu przywództwo junty przejął gen. Leopoldo Galtieri. Pierwotnie wyznaczono dwa terminy zajęcia Falklandów, mając na uwadze efekt propagandowy – 25 maja (rocznica rewolucji) lub 9 lipca (dzień niepodległości). Pierwsza z nich miała też znaczenie pragmatyczne, ponieważ na półkuli południowej maj to początek zimy. Jej nadejście miało uniemożliwić stronie brytyjskiej jakąkolwiek akcję militarną. By zilustrować niedogodności pogodowe, starczy powiedzieć, że na 64 dni obecności brytyjskiego zespołu w rejonie wysp, aż przez 27 nie dało się używać lotnictwa.

Datę operacji inwazyjnej wcześniejszą niż planowano wyznaczono na 2 kwietnia z przyczyn niemilitarnych. Zmiana decyzji wynikała z pogarszających się nastrojów społecznych – trwała tzw. brudna wojna (1974–1983), tj. walki junty z argentyńskimi komunistami. Junta potrzebowała zdarzenia, które by utwierdziło legitymizację jej władzy. Wygrana wojna jest do czegoś takiego idealna.

Drugim epizodem, bardzo niefortunnym dla argentyńskich planów, był incydent wywieszenia argentyńskiej flagi na Georgii Południowej przez złomiarzy, wśród których byli *incognito* – informacja nie jest konkluzywnie potwierdzona – żołnierze piechoty morskiej. Miało to miejsce 19 marca. Dowództwo argentyńskie obawiało się wynikającej z tego incydentu brytyjskiej decyzji o wzmocnieniu obecności na Falklandach. Plany przyspieszono.

Przedwczesne rozpoczęcie inwazji dawało Brytyjczykom okno na podjęcie kontrakcji przed nadejściem zimy. Przede wszystkim jednak doprowadziło do tego, że Argentyna nie zdążyła pozyskać i wprowadzić do służby

wszystkich zakupionych rakiet przeciwokrętowych Exocet. Miało to niewyobrażalnie duży wpływ na proces decyzyjny i planistyczny po stronie brytyjskiej. A przede wszystkim przebieg działań zbrojnych.

Istnieje też aspekt tych wydarzeń, który trudno jest elegancko umieścić w całej tej układance zdarzeń bezpośrednio poprzedzających wojnę. Po dłuższym przemyśleniu dostępnych on-line zapisów archiwalnych wypowiedzi polityków tamtych czasów zaryzykuję pewną hipotezę – dysponując wyłącznie poszlakami w postaci nie do końca jasno sformułowanych wypowiedzi. Brytyjskie siły polityczne, którym nie w smak było objęcie rządów przez Margaret Thatcher (co *nota bene* głośno wyrażały), podpuszczały Argentyńczyków, tkając na ich rzecz obraz brytyjskiej niezdolności do zdecydowanych działań.

Jednym z elementów kształtujących taki obraz mentalny była tzw. *Biała Księga Obrony* z 1981 roku, sporządzona przez Sekretarza Obrony Johna Notta. Z dokumentu wynikało, że Zjednoczone Królestwo nie ma woli politycznej, a wkrótce (tj. po cięciach budżetowych) zabraknie mu środków fizycznych, by bronić swoich terytoriów na dalekim południowym Atlantyku.

„Spisek” miałyby polegać na tym, że gdyby zachęceni słabością brytyjską Argentyńczycy zrealizowali jakiś rodzaj aneksji, to gabinet Thatcher okazałby się bezsilny, a to by z kolei doprowadziło do jego upadku.

O słuszności takiej linii rozumowania świadczy początkowa pasywność i niezdolność decyzyjna Thatcher w obliczu wieści o inwazji. W tej krytycznej chwili brytyjska Żelazna Dama stała na skraju przepaści i zakończenia swojej kariery hańbą i wstydem. Stało się jednak inaczej. Postawiona pod murem Thatcher wykrzesiała z siebie zdecydowanie. Swojemu krajowi dała zwycięstwo, a siebie okryła legendą osoby o najwyższej sile charakteru i woli.

Tu warto przywołać słynny bon mot: za każdą silną osobą jest opowieść o tym, jak nie miała ona innego wyboru.

Epizod I

Brytyjskie zwycięstwo przed początkiem bitwy – rakiety Exocet

Absolutnie najważniejszą bronią w rękach Argentyńczyków były rakiety przeciwokrętowe Exocet. Te francuskie rakiety wykorzystują nawigację inercyjną i docierają w pobliże celu lotem tuż nad powierzchnią morza. Kiedy pocisk pojawi się na horyzoncie radiolokacyjnym, w odległości zaledwie 6 kilometrów od celu, pędząc przy tym z prędkością ok. 1100 km/h, przeciwnik ma mniej niż 20 sekund na reakcję.

AM39, podtyp o zasięgu 50–70 km¹ wystrzeliwany z samolotu, został wprowadzony do służby przez lotnictwo francuskie w 1979 roku, zaledwie trzy lata przed wojną o Falklandy. W rakiety te wyposażone były także siły lotnicze Peru, Chile i Argentyny. Ta ostatnia robiła wszystko, aby mieć ich w czasie operacji zajmowania Falklandów jak najwięcej. Z drugiej strony tuż przed wybuchem konfliktu Brytyjczycy nie szczędzili wysiłków, aby Argentyna dysponowała jak najmniejszą liczbą tych pocisków.

Wyposażona w znaczną liczbę Exocetów Argentyna mogła zadać bardzo poważne straty flocie brytyjskiej. Udowodniły to później faktycznie zrealizowane ataki. Ofiarą pierwszego z nich był brytyjski niszczyciel HMS „Sheffield”. Okręt ten zatonął po trafieniu rakieta 2 maja i to pomimo tego, że głowica bojowa pocisku nie detonowała! W wyniku drugiego ataku, zrealizowanego 25 maja, zatonął statek zaopatrzeniowy SS „Atlantic Conveyor”. Było to dla brytyjskiej operacji potężnym problemem – statek miał na pokładzie m.in. trzy helikoptery Chinook

¹ Zasięg jest tym mniejszy, im bliżej powierzchni morza następuje wystrzelenie.

do transportu piechoty i części zapasowe do myśliwców Harrier. Ale... po zatopieniu zaopatrzeniowca, który w chwili trafienia znajdował się zaledwie 2 kilometry od lotniskowca HMS „Hermes” (jednostki flagowej brytyjskiego zespołu)², Argentynie została tylko jedna rakietą. Zużyto ją bez sukcesu pięć dni później w nieudanym ataku na lotniskowiec HMS „Invincible”.

Dwa lotniskowce były dla Argentyńczyków najbardziej łakomym celem i „zabawa” stron w ich ochronienie i zniszczenie była głównym wątkiem całego konfliktu. Jednym z elementów tej rozgrywki była procedura startów i lądowań samolotów pokładowych. W promieniu około 80 kilometrów (50 mil morskich) od lotniskowca brytyjscy piloci mieli obowiązek lecieć tuż przy powierzchni morza, dzięki czemu argentyńskie radary nie mogły wykryć ich aktywności, a przez to zlokalizować bezcenne okręty.

Jeszcze zanim doszło do kontaktu bojowego stron, jedną z podoperacji było skupowanie przez wywiad brytyjski wszystkich dostępnych na rynku międzynarodowym rakiet – podstawieni pośrednicy podawali się przy tym za reprezentantów Argentyny. W literaturze pojawiają się też niesprecyzowane wzmianki o uszkodzaniu egzemplarzy rakiet znajdujących się w handlu międzynarodowym.

Tak na marginesie, akcja ta, a konkretnie przedział czasowy jej realizacji, świadczy pośrednio, lecz niewątpliwie i dobitnie o tym, że Brytyjczycy wiedzieli świetnie i ze sporym wyprzedzeniem o tym, że nadchodzi wojna. To z kolei niezbitą siłą elementarnej logiki uprawdopodabnia

² W wywiadach udzielonych po wojnie admirał Woodward stwierdził, że utrata lotniskowca spowodowałaby wycofanie całego zespołu brytyjskiego z rejonu operacyjnego wokół Falklandów. Analiza pozycji jednostek brytyjskiej armady pozwala mniemać, że ustawienie się przez „Atlantic Conveyor” burzą do nadlatujących argentyńskich myśliwców sprawiło, że statek ten został uznany za lotniskowiec – przez dużą powierzchnię burty i znaczną długość – i z tego właśnie powodu wzięty na cel. W kwestii tej istnieje rozbieżność opinii ekspertów.

hipotezę o tym, że prowokowali Argentynę do działania za pomocą kampanii okazywania słabości.

Równocześnie Francja wstrzymała dostawy rakiet także do Peru – obawiano się, że kraj ten przekaże swoje pociski Argentynie. Wspomniany powyżej John Nott w swojej autobiografii *Here Today, Gone Tomorrow* wspomina, że Francja wykazała się nadzwyczajną współpracą na rzecz strony brytyjskiej. Francuzi udostępnili nawet brytyjskim siłom powietrznym swoje myśliwce Dassault Super Eten-dard oraz Mirage III – używane także przez Argentynę – umożliwiając FAA³ szkolenie do walki z nimi pilotów latających na Harrierach. Francuzi przekazali też dane techniczne i informacje pomocne w zwalczaniu i unieszkodliwianiu rakiet Exocet przez środki walki radioelektronicznej oraz w akcjach sabotażowych⁴.

Pod koniec konfliktu MI6 wykryło ładunek rakiet przewożony przez statek handlowy dokonujący postoju w jednym z europejskich portów. Komandosi z SBS (Special Boat Service) zostali wyznaczeni do wysadzenia jednostki w powietrze za pomocą min mocowanych do dna jednostki. Operację opóźniono z przyczyn politycznych, nie chcąc dokonywać ataku na terenie państwa sąsiadującego, a później odwołano, gdyż stwierdzono, że ładunek Exocetów dotrze do Argentyny już po przewidywanym zakończeniu walk.

Wszystkie te zabiegi oraz przyspieszenie inwazji przez Argentyńczyków sprawiły, że w czasie konfliktu dysponowali oni tylko pięcioma Exocetami i czterema samolotami zdolnymi do ich dostarczenia w pobliże brytyjskich jednostek (ok. 50 km). Lotnictwo morskie Argentyny pierwotnie planowało pozyskanie dwudziestu rakiet i czternastu samolotów⁵. Dodatkowym utrudnieniem dla Argentyńskiej

³ Fleet Air Arm – siły powietrzne brytyjskiej marynarki wojennej.

⁴ John Nott, *Here Today Gone Tomorrow: Recollections of an Errant Politician*, Politico's Publishing Ltd, Westminster 2003.

⁵ J. Yanagisawy, *Military Implications of the Falklands War: From Japan's Point of View*, National Institute for Defense Studies, Tokio 2013.

floty było to, że ich jedyny lotniskowiec, ARA „Veinticinco de Mayo”⁶, nie został na czas przystosowany do obsługi samolotów Super Etendard. A więc nie dość, że samoloty zdolne do przeprowadzania ataku Exocetami było tylko cztery, to jeszcze musiały operować z baz na kontynencie, przede wszystkim z Río Grande na Ziemi Ognistej.

Epizod II Operacja „Black Buck”. Raid bombowy przez pół Atlantyku

Avro 698 Vulcan to bombowiec strategiczny, który służył w czasie zimnej wojny, od końca lat pięćdziesiątych XX wieku jako element brytyjskiego systemu odstraszania nuklearnego. Był pierwszym bombowcem skonstruowanym w układzie delta. Na dwa lata przed wycofaniem ze służby posłużył do realizacji misji zbombardowania argentyńskich instalacji radarowych oraz lotniska na Falklandach. Misja ta była niemal niewykonalna. Niemal.

Nominalny zasięg samolotu wynosił 7400 kilometrów. Wydłużono go dzięki zespołowi tankowców powietrznych. W tej roli wystąpiło jedenaście odpowiednio dostosowanych byłych bombowców strategicznych HP.80 Victor.

Pierwszą z łącznie siedmiu misji zrealizował nocą z 30 kwietnia na 1 maja jeden bombowiec dowodzony przez por. Martina Withersa⁷. Ten pojedynczy Vulcan zużywał 7,4 tony paliwa na godzinę lotu. Jego misję obsługiwało piętnaście powietrznych cystern, mających zapewnić pierwotnie dwu samolotom łącznie aż osiemnaście tankowań przed i po zrzućcie bomb na cele. Była to fenomenalnie zorganizowana operacja, w której po to, aby obsłużyć

⁶ Skądinąd ARA „Veinticinco de Mayo” to były Hr.Ms. „Karel Doorman”, wybudowany dla Royal Navy jako HMS „Venerable”, należący do typu „Colossus”.

⁷ Drugi z bombowców wyznaczonych do misji uległ awarii tuż po starcie.

samolot realizujący bombardowanie, Victory tankowały siebie nawzajem.

Tak jak przy późniejszych misjach w ramach tej samej operacji, samolot Withersa zrzucał 21 półtonowych bomb. Tylko jedna trafiła w wyznaczony cel, czyli pas startowy lotniska przy miasteczku Port Stanley, stolicy Falklandów. Skromna liczba trafień była zaplanowana – wcześniej udowodniono w ramach testów, że przy zrzucie 21 bomb przynajmniej jedna trafi w pas z 90%, a dwie z 75% pewnością, przy zrzucie zaś mniejszej liczby prawdopodobieństwo byłoby znacznie niższe. Bomby rzucano sekwencyjnie w czasie nalotu realizowanego z wysokości 3000 metrów.

Bombardowanie zrealizowane przez jeden samolot nie było końcem brytyjskiej obecności na niebie Falklandów tamtego dnia. Wkrótce po bombowcu nadleciała para Harrierów z lotniskowca HMS „Invincible”. Wykonały one fotografie pozwalające ocenić skuteczność ataku Vulcana. Była ona minimalna – trafienie nie doprowadziło nawet do zamknięcia lotniska dla operacji lotniczych. Argentyńczycy realizowali je na niepełnej długości pasa startowego. Wkrótce nadleciały Harriery z drugiego lotniskowca, HMS „Hermes”. Eskadra dwunastu samolotów zaatakowała cele w rejonie Port Stanley. Klucz trzech kolejnych zaatakował mniejsze lotnisko przy Goose Green, niszcząc na ziemi trzy maszyny FMA IA 58 Pucará.

W opracowaniach dotyczących całej operacji „Black Buck” pojawiają się opinie, że zniszczenia wyrządzone siłom argentyńskim były wręcz symboliczne – zwłaszcza jeśli brać pod uwagę fenomenalnie skomplikowane zadanie powietrznych cystern. Ale fundamentalne znaczenie całokształtu tego wysiłku miało wymiar strategiczny, a nie taktyczny. Zniechęcił Argentyńczyków do przebazowania większej liczby samolotów, które, choć nie były to najbardziej niebezpieczne „szybkie” myśliwce, mogłyby poważnie utrudnić działanie brytyjskim siłom naziemnym.

Bombowce uczestniczące w operacji „Black Buck” startowały z położonej dosłownie na samym środku Atlantyku Wyspy Wniebowstąpienia (ang. Ascension). Pierwsze z nich dotarły na ten czternastokilometrowy skrawek lądu 18 kwietnia, a więc szesnaście dni po inwazji na Falklandy.

Tak wczesna data miała istotne znaczenie dla morale po stronie brytyjskiej. Pierwsze dni po dotarciu wieści o argentyńskiej agresji pokazały, że każdy kolejny dzień bezczynności mógł spowodować perturbacje zagrażające stabilności gabinetu Thatcher, a więc całej operacji militarnej odzyskania archipelagu. Informacje o sukcesie pierwszej misji brytyjskie media podały, zanim jeszcze ostatnia z powietrznych cystern wróciła na Wyspę Wniebowstąpienia. Efekt propagandowy można przyrównać do także ocierającej się o niemożliwość misji zbombardowania Tokio przez eskadrę płk Doolittle’a w kwietniu 1942 roku.

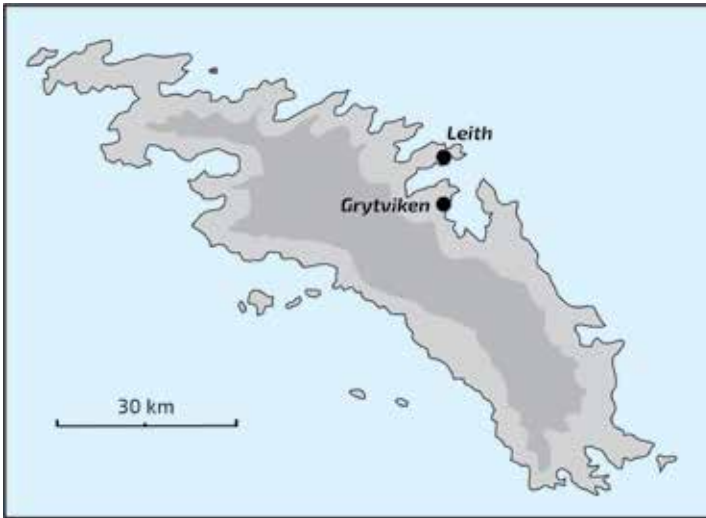
Epizod III

Operacja „Paraquet”.

Odbicie Georgii Południowej

Mobilizacja wszystkich zasobów Zjednoczonego Królestwa przebiegała sprawnie i błyskawicznie. Jednym z jej elementów były rekwizycje cywilnych jednostek, które wykorzystano do transportu żołnierzy. Tempo działań ilustruje los jednego z przejętych statków pasażerskich. Po przycumowaniu do mola w Southampton 7 kwietnia, jednostka przeszła rozległe modyfikacje i zaledwie po 60 godzinach wypłynęła w stronę Falklandów, mając na pokładzie 2,5 tysiąca piechurów morskich i spadochroniarzy.

Rwetes przygotowań objął cały kraj. W jego rezultacie pod koniec kwietnia w drodze na drugi koniec Atlantyku było już 65 statków i okrętów, które tworzyły łańcuch logistyczny



Ryc. 3. Wyspa Georgia Południowa

o imponującej długości 12 tysięcy kilometrów. Ta nadzwyczajna mobilizacja narodowa była dobrym znakiem. I nie mogła zostać zaprzepaszczone.

Wyruszająca z Wielkiej Brytanii grupa zadaniowa skierowała się najpierw na należącą do Brytyjczyków, ale użytkowaną przez Amerykanów Wyspę Wniebowstąpienia. Mała wyspa zagubiona w bezkresie oceanu zawrzała od aktywności. Chwilę wcześniej mieściła się na niej tylko amerykańska instalacja nadzorująca pracę satelitów. Aż tu nagle małe lotnisko zmieniło się w hub przeładunkowy działający na rzecz wielkiej operacji wojennej, obsługując do 400 lotów dziennie. Dowodzący bazą W. Brighten starał się, aby amerykańskie dostawy paliwa i rakiet powietrze-powietrze AIM-9 Sidewinder mogły trafić we właściwe miejsce i we właściwym czasie. W końcu grupa bojowa lotniskowców, dowodzona przez admirała Johna Woodwarda, opuściła wysepkę 18 kwietnia. Dotarła w rejon Falklandów po dwóch tygodniach.

Zanim rozpoczęły się działania na głównym teatrze, wydzielone siły wysforowały się naprzód, by odbić Georgię Południową, zajętą przez Argentyńczyków 3 kwietnia. Eskadra brytyjska pod dowództwem kapitana Briana Younga, dowódcy niszczyciela HMS „Antrim”, pojawiła się u wybrzeży Georgii Południowej 21 kwietnia.

Jeszcze tego samego dnia z okrętu desantował się szesnastoosobowy zwiad komandosów SAS. Początek działań był dla Brytyjczyków pechowy. Pogoda uniemożliwiła rozpoznanie, a dwa helikoptery mające podjąć zwiadowców z wyspy rozbiły się z powodu fatalnych warunków. Więcej szczęścia miał oddział rozpoznawczy, który podpłynął łodziami Gemini w okolice osady Leith. Tylko jedna z wiozących komandosów łodzi dotarła szczęśliwie na brzeg – reszta musiała zawrócić. Brytyjczycy musieli znów posłużyć się bardziej podatnym na wykrycie śmigłowcem. Szczęśliwie dla nich w Leigh stacjonował jedynie szesnastoosobowy posterunek argentyński, który nie wykrył aktywności od strony morza.

Pojawiły się informacje o argentyńskiej łodzi podwodnej operującej w okolicy. Gdyby okręt podwodny zdołał zatopić choć jeden z brytyjskich okrętów, mogłoby to oznaczać bardzo niefortunny koniec całego przedsięwzięcia. Z desantem trzeba było poczekać na fregatę HMS „Briliant”, wyspecjalizowaną w zwalczaniu okrętów podwodnych. Obawy brytyjskie były przesadzone. Choć do wyspy zbliżał się „Santa Fe” – stary, poamerykański okręt podwodny, jeden z czterech na stanie floty argentyńskiej. Jego stan techniczny i postawione mu zadanie nie predysponowały go do jakiegokolwiek kontaktu bojowego. Misją było wyłącznie dowieszenie plutonu argentyńskiej piechoty morskiej do osiedla Grytviken, obsadzanego przez argentyński kontyngent od początku kwietnia.

Brytyjczycy dowiedzieli się o okręcie z nasłuchu. Trafnie wydedukowali, że Argentyńczyk po realizacji zadania roz-

początku podróży powrotną o świcie następnego dnia. Właśnie wtedy, 25 kwietnia, brytyjskie jednostki wysłały swoje śmigłowce ZOP (zwalczania okrętów podwodnych) celem wytopienia i zatopienia argentyńskiej jednostki. Początkowo, by nie zdradzić swojej obecności, załogi zdały się na obserwację wzrokową. W końcu uruchomiono radar, wykonując zaledwie pojedynczy skan. Dało to niemal natychmiastowy skutek – argentyński „Santa Fe” pojawił się na ekranach w pełnej krasie. Jednostka szła kursem na północny zachód, w wynurzeniu, by uniknąć kolizji z górami lodowymi.

Pechowy okręt został obrzucony bombami głębinowymi i uszkodzony na tyle, że nie mógł dokonać ponownego zanurzenia. Jego dowódca zawrócił w kierunku brzegu. Wywiązała się spektakularna wymiana ognia. Brytyjskie jednostki nawodne i helikoptery ostrzelały umykający ku lądowi okręt całymi tuzinami rakiet, a nawet torpedą, powodując dalsze uszkodzenia. Argentyńczycy odgryzali się zaciekle. W końcu przewaga siły ognia po stronie brytyjskiej przemogła zacięty opór załogi „Santa Fe”. Podwodniacy osadzili swój zdewastowany ogniem nieprzyjaciela okręt na kamienistej plaży i zbiegli do Grytviken.

Były to pierwsze strzały oddane w operacji odzyskiwania Falklandów, a zarazem pierwsze wygrane starcie. Ale Brytyjczycy musieli jeszcze zdobyć Grytviken, a utracili właśnie element zaskoczenia.

Pomysł przeprowadzenia natychmiastowego ataku miał plusy i minusy. Minusem było to, że główne brytyjskie siły przeznaczone do przeprowadzenia ataku były w tamtym momencie aż 300 kilometrów od miejsca akcji. Za natychmiastowym jej rozpoczęciem przemawiała z kolei intuicja dowodzącego na miejscu majora Guya Sheridana. Słusznie uznał on, że widowiskowa utrata okrętu wstrząśnie morale argentyńskich żołnierzy, których w osadzie było okopanych i umocnionych około stu. To przeważało.

Dodatkowo Argentyńczycy nie wiedzieli, że główne siły brytyjskie jeszcze nie dotarły, więc musieli myśleć, że stoją sami przeciwko siłom ekspedycyjnym w pełnym składzie. Wszelka niepewność jest jednym z kardynalnych czynników wpływających na decyzje podejmowane na polu walki – ale przede wszystkim na stan morale.

Sheridan błyskawicznie stworzył improwizowany oddział, prawdziwą „zbieraninę” składającą się z komandosów marynarki, zwiadowców SAS, a nawet łącznościowców – razem 79 żołnierzy. Gdy oddział szturmowy desantował się na brzeg, dwa okręty Royal Navy rozpoczęły ostrzał artyleryjski wzgórz w bezpośrednim sąsiedztwie osady. Ich akcję wspierał ogień z helikopterów szturmowych. Chodziło o to, aby jeszcze silniej rozklekotać morale obrońców, ale bez powodowania wśród nich strat.

Tego typu decyzje taktyczne często przekładają się nie tylko na sytuację na polu walki, ale i na powojenne negocjacje czy reakcje światowej opinii publicznej. Odwrotną logikę decyzyjną widzimy odmalowaną w filmie *Byliśmy żołnierzami* (2002, reż. Randall Wallace). Dowódca wietnamski tak odpowiada na pytanie, co zrobić z jeńcami: „Zabić. Może przestaną przychodzić”.

Szturm lądowy rozpoczął się o 14:30. Atakujący zbliżyli się do osady, a jednocześnie HMS „Antrim” wpłynął do zatoki i wycelował lufy w kierunku zabudowań. Argentyński dowódca, porucznik komandor Lewis Lagos, ocenił siłę przeciwników jako przytłaczającą. Po stawieniu symbolicznego, kilkunastominutowego oporu poddał swoich ludzi. Obok powiewającej nad osadą argentyńskiej flagi pojawiła się biała.

Następnego dnia poddał się posterunek obsadzający osadę Leith i tym samym cała wyspa znalazła się ponownie pod panowaniem brytyjskim. Światu i królowej obwieścił to dowódca zespołu kapitan Brian Young w nieśmiertelnych i do dziś poruszających brytyjskie serca słowach:

Mam przyjemność poinformować Jej Królewską Mość, że na Georgii Południowej ponownie powiewa Biała Bandera w towarzystwie Union Jacka⁸.

Boże, chroń królową.

To zwycięstwo było niewielkie jedynie z pozoru. Miało krytyczne znaczenie dla morale po obydwu stronach – zarówno dla żołnierzy walczących na Falklandach, jak i dla cywilów żyjących w niepewności i wyczekujących wieści po drugiej stronie globu. Dla Brytyjczyków, wzorowo rozgrywających kwestie nastrojów, odzyskanie Południowej Georgii stało się potwierdzeniem wiarygodności i kompetencji sił zbrojnych w prowadzeniu działań w tak znacznej odległości od macierzystych wysp. Oto правило do zapamiętania:

Zaaranżowanie początkowego zwycięstwa – dowolnego rodzaju i skali – powinno być priorytetem wszelkiej aktywności planistycznej przy wszelkich dużych i małych operacjach wojskowych⁹.

Podczas walk na Georgii Południowej Brytyjczycy wzięli łącznie do niewoli 137 żołnierzy argentyńskich i 83 członków załogi argentyńskiego okrętu podwodnego „Santa Fe”, uszkodzonego przez brytyjskie śmigłowce.

Działania rozpoznawcze
na Falklandach i w Argentynie

Jednostki specjalne, przede wszystkim SAS oraz SBS, zajmowały się pozyskiwaniem danych już od 1 maja. Poszukiwały przede wszystkim informacji o ukształtowaniu

⁸ Biała Bandera to bandera Royal Navy, a Union Jack to flaga Zjednoczonego Królestwa.

⁹ Wspomnę tu jeszcze o kwestii „umysłu zwycięzcy”. Badania aktywności mózgu typu MRI (rezonansu magnetycznego) pokazują, że mózg osoby, która odniosła nawet drobne zwycięstwo w skali osobistej, funkcjonuje inaczej, wydajniej: zwiększa się proaktywność i dyspozycja do przejawiania determinacji.

terenu, w tym miejscach oferujących przewagę w starciach, położeniu dogodnych miejsc do operacji amfibijnych i rozlokowaniu jednostek argentyńskich

Od samego początku konfliktu falklandzkiej jednostki SAS rzucano, by naprostować sprawę dosłownie w każdym istotnym miejscu. Komandosi prowadzili liczne akcje rozpoznawcze poprzedzające główną operację lądowania sił brytyjskich w rejonie San Carlos, a także wiele akcji sabotażowych i dywersyjnych.

SPECIAL AIR SERVICE (SAS): „ŚMIALI ZWYCIĘŻAJĄ”

Jednostka została powołana przez pułkownika Archibalda Davida Stirlinga latem 1941 roku w celu realizowania ataków dywersyjno-sabotażowych na tyłach wojsk Osi w Afryce Północnej. Działania SAS podczas II wojny światowej były na tyle efektywne, że jednostka ta, choć rozwiązana po zakończeniu wojny, została ponownie aktywowana w 1947 roku. Jej żołnierze uczestniczyli we wszystkich najważniejszych operacjach zewnętrznych i wewnętrznych po II wojnie światowej.

Międzynarodowa opinia publiczna usłyszała więcej o istnieniu SAS 5 maja 1980 roku. Wtedy to grupa 24 komandosów przeprowadziła szturm na opanowaną przez arabskich terrorystów ambasadę irańską w Londynie (operacja „Nimrod”). Dzięki transmisji telewizyjnej na żywo miliony ludzi na całym świecie mogły śledzić, jak ludzie w czarnych kombinezonach, maskach i kamizelkach kuloodpornych, uzbrojeni w pistolety maszynowe MP5, pistolety Browning HP i granaty hukowe opanowują budynek ambasady, by uwolnić kilku zakładników. W akcji zginęło pięciu terrorystów i jeden zakładnik.



Ryc. 4. Fragment kajaka SAS na wyposażeniu jednostki w latach 90.
Fot. Sławomir Petelicki; Źródło: Fundacja GROM. Siła i Honor.

Pierwsze grupy dywersyjne i rozpoznawcze SAS przedostały się na Falklandy nocą z 1 na 2 maja. Środkiem transportu były śmigłowce Sea King. Regułą działania SAS na Falklandach było desantowanie zwiadowców w możliwie bezludnych okolicach. Żołnierze musieli przez to docierać do rejonu działania piechotą. Zasięg operacyjny komandosów – łącznie wysłano ich osiemdziesięciu – wynosił standardowo jeden dzień marszu przez chłostane lodowatym wiatrem i obsrane przez owce trawiaste pustkowia.

Grupy rozpoznawcze operowały i wysyłały meldunki do ostatnich godzin walk. Każda grupa składała się z czterech żołnierzy. Obserwację prowadzili oni w trakcie dnia, przy czym jedna para prowadziła obserwację, a druga ubezpieczała. Nocą cała grupa udawała się na odpoczynek do wcześniej przygotowanej kryjówki, na której straży stał jeden z żołnierzy. Jedna z takich grup została zlikwidowana przez Argentyńczyków niemal tuż przed kapitulacją

Port Stanley – do niewoli dostał się radiotelegrafista, a dowódca zginął w potyczce.

Podobne grupy rozpoznawcze SAS działały także na terytorium Argentyny. Zwiadowców umieszczono w pobliżu instalacji wojskowych, przede wszystkim portów i lotnisk, z których zaopatrywane były oddziały argentyńskie na Falklandach. Grupy te były zwykle liczniejsze – składały się z ośmiu komandosów. Desantowano je ze śmigłowców z lotniskowca „Invincible”, gdy tylko pozwolił na to zasięg maszyn. Niektóre z tych oddziałów pozostały na wroгим terytorium jeszcze po zakończeniu działań wojennych. Rekord należy do grupy podjętej z kontynentu przez okręt podwodny siedem tygodni po zdobyciu Port Stanley. Opóźnienie wynikało z obawy brytyjskiego dowództwa, że konflikt będzie kontynuowany.

Raid na wyspę Pebble

Na wyspie Pebble znajdowała się mała baza lotnicza z trawiastym pasem startowym, gdzie stacjonowały argentyńskie samoloty rozpoznawcze i wsparcia naziemnego. Nasłuch radioelektroniczny stwierdził, że te niewielkie lotnisko jest centrum znacznej aktywności.

Ta aktywność mogła zagrozić operacjom lądowym Brytyjczyków. Rozpoznanie wykryło samoloty szturmowe IA 58 Pucará, uzbrojone w bomby lub zasobniki raketowe oraz działka kal. 20 milimetrów. Choć nie były to samoloty odrzutowe, mogły wyrządzić poważne szkody oddziałom desantowym – a bazowały zaledwie cztery minuty lotu od planowanych miejsc lądowania pod San Carlos. Bombardowanie z powietrza lub ostrzał artyleryjski z okrętów nie gwarantowały zniszczenia argentyńskich maszyn, które były należycie rozlokowane i zamaskowane. Zadanie prosiło się o użycie komandosów SAS.

Raid poprzedzono rekonesansem. Zrealizowały go dwie grupy po czterech komandosów. Udało się je umieścić



Ryc. 5. Wyspa Pebble i usytuowanie lotniska

na Pebble za drugim podejściem. Za pierwszym, nocą z 9 na 10 maja, podejście do brzegu nie było możliwe z uwagi na sztormową pogodę. Następnego dnia oba zespoły przerzucono na Falkland Zachodni, skąd nocą przepłynęły kajakami na Pebble. Wykryto jedenaście samolotów. Podjęto decyzję o ataku w nocy z 13 na 14 maja.

Misję powierzono oddziałowi pod dowództwem majora Cedrica Delvesa, który stacjonował na pokładzie flagowego „Hermesa”. Pierwotny plan zakładał wysadzenie w powietrze wszystkich samolotów i infrastruktury lotniska za pomocą ręcznie rozmieszczanych ładunków sabotażowych. Niska jakość informacji wywiadowczych sprawiła, że ryzyko akcji na Pebble uznano za bardzo wysokie. Komandosi musieli działać bez optymalnej wiedzy o terenie. Jednocześnie czas uciekał – ataku należało dokonać nie później niż o świcie dnia desantu w zatoce San Carlos, czyli 15 maja. Gdy tylko potwierdzono obecność jedenastu argentyńskich samolotów na Pebble, machina decyzyjna poszła w ruch i akcję zaplanowano na wczesne godziny poranne tegoż dnia. Celem miały być przede wszystkim samoloty, a dopiero potem obiekty naziemne i załogi.

Komandosi dostali się z pokładu „Hermesa” na wyspę transportowani przez Sea Kingi. Do tego celu lotniskowiec

zbliżył się do Falklandów w eskorcie zaledwie jednego niszczyciela i fregaty. Wtedy problemy spowodowało załamanie pogody. Wyjątkowo silny wiatr sprawił, że trzy z okrętów wiozących komandosów musiały zredukować prędkość. Ich podróż wydłużyła się z 6 do 7 godzin. Transportujące pięćdziesięciu ludzi z SAS helikoptery Sea King wystartowały dopiero o 2:25 w nocy, aż czterysta mil morskich od miejsca desantowania.

Jednocześnie HMS „Glamorgan”, mający dać dywersantom wsparcie artyleryjskie, osiągnął właściwą pozycję ledwie 10 minut przed planowanym na 4:00 rano otwarciem ognia. Mimo tych problemów należy uznać, że planowanie tej akcji było majstersztykiem. Prace prowadzili specjaliści z dużym doświadczeniem bojowym. Dzięki temu bezpośrednio przed samą akcją odkryto, że mapy admiralicji rozmiągają się o 400 metrów ze stanem faktycznym. Poprawki naniesiono bezzwłocznie i należyście.

Komandosi pojawili się na pozycjach wyjściowych do ataku o godz. 6:10, a musieli zostać wycofani do 7:30. Na sam atak pozostało zaledwie pół godziny z pierwotnie planowanej półtorej. Dodatkowo nie wszyscy żołnierze sekcji mającej przeprowadzić atak dotarli na czas. Zabrakło osiemnastu, których opóźnił nocny przemarsz na przełaj. Wakaty w sekcjach szturmowych uzupełniono żołnierzami z sekcji osłaniających.

Od godziny 6:10 do świtu nie pozostawało wiele czasu. Błyskawicznie rozstawiono moździerze (dwa kalibru 81 mm i trzy 60 mm). Ani argentyński patrol, ani strażnicy na samym lotnisku nie wykryli szykujących się do akcji komandosów SAS.

Wtedy się zaczęło.

Pograżonych we śnie obrońców zerwało do pionu piekło rozpętane przez ostrzał granatników piechoty i ryk pocisków z HMS „Glamorgan”. Okręt mierzył w obszar na

północ od lotniska. Intencją było obniżenie morale obrońców oraz wywołanie i pogłębienie chaosu. Tymczasem komandosi, dowodzeni przez kapitanów Hamiltona i Bursa, rzucili się w stronę lotniska, waląc z broni maszynowej i wyrzutni przeciwpancernych do wszystkiego, co mogło mieć wartość bojową w nadchodzącym głównym starciu pod San Carlos.

Sporadyczny ogień obrońców prowadzony był na ślepo. Nie był w stanie powstrzymać atakujących przed dotarciem do miejsc postoju samolotów po zachodniej stronie lotniska. Starczyło kilka minut, aby wszystkie one zostały zniszczone lub uszkodzone. Komandosi natychmiast przebiegli do miejsc postojowych kolejnej grupy.

Dowodzący argentyńską obroną porucznik Ricardo Marega nabrał przekonania, że atak to wstęp do pełnoskalowego desantu z morza. W obliczu takiego zagrożenia zrealizował rozkaz uniemożliwienia Brytyjczykom wykorzystania lotniska. Detonował ładunki wybuchowe rozmieszczone pod pokrytą trawą pasem startowym, tak aby nie nadawał się do użytku. Eksplozja nastąpiła w chwili, gdy kapral Raymond Armstrong umieszczał materiały wybuchowe na szóstej, ostatniej maszynie argentyńskiej. Pechowiec został rzucony podmuchem na drugą stronę pasa. Ale była to też chwila, w której ostatni samolot na wyspie został bezpowrotnie zniszczony.

Skrócenie czasu ataku sprawiło, że komandosi nie próbowali nawet niszczyć celów drugoplanowych. Poza tym Argentyńczycy współpracowali – sami wysadzili własny pas startowy. Zniszczenie wszystkich samolotów pozwoliło więc Brytyjczykom na wycofanie. Odwrót przeprowadzono sprawnie, a do miejsca spotkania z helikopterami żołnierze dotarli na styk – o 7:30, dokładnie w momencie, w którym maszyny, dudniąc basowo, wyłoniły się z rzadniejących mroków.

Zniszczenie jedenastu argentyńskich samolotów zostało opłacone ranami zaledwie trzech komandosów. Straty

po stronie argentyńskiej wyniosły dwóch rannych. Akcja pozbawiła Argentyńczyków znacznej części lotnictwa bazowanego na miejscu i zachwiała ich morale.

Co zaś do morale po stronie brytyjskiej, nie ma jak porządne śniadanie po porannym wysiłku. A tego ranka grubo krojone pajdy chleba z czymkolwiek, co na nich się znalazło, choćby była to mielonka marki „pies zmielony razem z budą”, miało podwójnie dobry smak – smak zwycięstwa.

Zarówno dowódca zwycięskiej jednostki SAS, jak i wszyscy znajdujący się w zasięgu szkoleniowcy winni wykorzystać takie chwile do maksimum. Powinni wmieszać pomiędzy zwycięzców wszystkich, których tylko się da – od zupełnie zielonych rekrutów po kolegów, których nie wysłano do akcji. Nie ma nic wspanialszego, niż wystawić się na oddziaływanie poczucia siły i triumfu, roznoszonego w grupach ludzkich drogą mechanizmów neurofizjologicznych w postaci tzw. społecznej epidemii.

Epizod IV Zatopienie krążownika „General Belgrano”

30 kwietnia Brytyjczycy proklamowali utworzenie tzw. Strefy Całkowitego Wykluczenia (ang. TEZ – Total Exclusion Zone). Był to obszar o promieniu 200 mil morskich (370 km) od brzegów Falklandów.

Argentyński krążownik „General Belgrano” wraz z dwoma niszczycielami osłony przemykał od południa, tuż poza granicą TEZ. Brytyjczycy umieścili w tym obszarze dwa atomowe okręty podwodne, aby spróbować znaleźć lotniskowiec argentyński, który jednak w tamtym momencie operował od strony północnej. 1 maja późnym wieczorem HMS „Conqueror”, jeden z dwóch operujących wokół Falklandów brytyjskich atomowych okrętów podwodnych, wykrył zespół „Belgrano”.



Ryc. 6. Strefa Całkowitego Wykluczenia oraz kurs krążownika ARA „General Belgrano” w dniach 1-2 maja. Czarna linia kreskowana: orientacyjny promień operacyjny lotnictwa argentyńskiego.

„Conqueror” zadeklarował, że eskadra zmierza na wschód. Dowództwo Royal Navy zaniepokoiło się, że lotniskowiec również ruszy na wschód, by wziąć brytyjski zespół lotniskowców w kleszcze. Emocje sięgnęły zenitu w nocy 2 maja, gdy radar pokazał na ekranie argentyński samolot rozpoznawczy. Wtedy wysłany celem przechwycenia Harrier złapał kilka dużych kontaktów radarowych w odległości zaledwie trzystu kilometrów od jednego z brytyjskich lotniskowców – „Hermesa”. Samolot wykrył również emisje radarowe tego samego rodzaju, co pochodzące z brytyjskich niszczycieli typu 42 – dwa takie okręty posiadała marynarka argentyńska. Takie dane implikowały obecność argentyńskiego lotniskowca.

To był kluczowy moment przy podejmowaniu decyzji o zatopieniu „Belgrano”. O północy brytyjska grupa zadaniowa z lotniskowcem w swoim centrum znajdowała się około 120 mil na północny wschód od Falklandów i płynęła południowo-wschodnim kursem wokół wysp. Dowodzący

grupą kontradmirał Woodward zakładał, że istnieje argentyńska grupa lotniskowcowa, która byłaby w stanie rozpocząć nalot na jego jednostki o świcie, który miał nadejść za 7 godzin.

Tymczasem żaden z dwóch okrętów podwodnych nie nawiązał kontaktu z lotniskowcem, a więc nie miał możliwości przeprowadzenia ataku. HMS „Conqueror” w dalszym ciągu pozostawał jednak w kontakcie z „Belgrano” i jego niszczycielami eskorty. Choć grupa ta nie była zagrożeniem natychmiastowym, to jej prędkość i kurs w tamtej chwili były dla decyzji taktycznych nieistotne, gdyż mogły się błyskawicznie zmienić. Liczyła się pozycja oraz wynikające z niej możliwości i intencje. Oczywiście wnioskiem było to, że „Belgrano” trzeba zatopić.

Problem polegał na tym, że ogłoszone przez rząd Zjednoczonego Królestwa zasady nie pozwalały na atak poza strefą wykluczenia. Potrzebna była decyzja polityczna podjęta w Londynie. Woodward skontaktował się z przełożonymi w Anglii. Szczęśliwie dla sprawy brytyjskiej zarówno wiceadmirał John Fieldhouse, jak i kontradmirał Peter Herbert potwierdzili wnioski wyciągnięte na arenie zdarzeń i na porannym posiedzeniu gabinetu wojennego zapadła decyzja – zatopić!

W tym czasie „General Belgrano” zawrócił na zachód. Wynikało to z czasowego odwołania ataku na brytyjskie zgrupowanie. Przyczyną była pogoda. Samoloty Skyhawk z argentyńskiego lotniskowca nie mogły wystartować z pełnym obciążeniem z powodu niekorzystnego do wiatru. Brytyjczycy spodziewali się, że argentyński okręt po prostu zmieni pozycję i podejmie próbę ataku kolejnej nocy, przy bardziej sprzyjającym wietrze.

Gdy subarktyczny dzień miał się już ku końcowi, HMS „Conqueror” ustawił się na pozycji do ataku i o 14:57 wystrzelił trzy torpedy. Dwie śmiertelnie ugodziły cel.

Po dwudziestu minutach od trafienia, dowódca „Belgrano” uznał, że nie da się go uratować i nakazał jego opuszczenie.

Był to koniec działań argentyńskiej marynarki wojennej w czasie wojny o Falklandy. Uznano, że zagrożenie ze strony brytyjskich atomowych łodzi podwodnych, zwłaszcza dla lotniskowca, jest zbyt wielkie. Flota schroniła się w portach.

Wedle wydanych przez rząd argentyński komunikatów zatopienie było „zdradzieckim aktem zbrojnej agresji”, które nastąpił poza Strefą Wykluczenia. Światowa opinia publiczna znalazła się w stanie szoku, a jej poparcie dla strony brytyjskiej zachwiało się. Przyczyniła się do tego błędna interpretacja kursu „Belgrano” na zachód. Argentyna głosiła narrację, że krążownik oddalał się z od rejonu kontaktu z wrogiem. Dopiero w 2003 roku kapitan „Belgrano” oświadczył publicznie, że w momencie trafienia jedynie manewrował, a nie odpływał swoim okrętem.

Interludium geostrategiczne i siły stron

Szef argentyńskiego MSZ prowadził ofensywę dyplomatyczną, która miała osiągnąć szczyt w chwili rozpoczęcia planowanej inwazji we wrześniu. Cała argentyńska misterna gra zawaliła się przez wyjątkowo niefortunny epizod ze złomiarzami przybyłymi na Georgię Południową. Tu można wspomnieć kultową scenę z filmu *Kilerów 2-óch*. Wywieszenie flagi przez ekipę złomiarzy zmusiło argentyńskich decydentów do dramatycznego przyspieszenia działań. W końcu Brytyjczycy mogli potraktować to jako ostrzeżenie lub wyzwanie i wzmocnić Falklandy na czas eskalacji kryzysu.

Zjednoczone Królestwo faktycznie zareagowało nieoczekiwaną zmianą kursu. Nagle i stanowczo na wydarzenia na południowym Atlantyku. W rezultacie tych zwrotów

wydarzeń, wieczorem 28 marca argentyńska flota inwazyjna wpłynęła w złą jesienną pogodę. Pogodę, która choć uciążliwa, to wciąż pozwalała na kontradziania przeciwnika. Gdy wieczorem 1 kwietnia Grupa Zadaniowa 40 zbliżała się do punktów lądowania w pobliżu Port Stanley, jej ruch został wykryty przez brytyjski wywiad. Lądowanie sił argentyńskich nastąpiło nocą z 1 na 2 kwietnia. Brytyjski garnizon stawiał opór przez 3 godziny, po czym gubernator wysp nakazał złożyć broń. Wojskowy i administracyjny personel brytyjski został wywieziony na stały ląd. Zanim więźniów i jeńców zaokrętowano na transportowce, Argentyńczycy wykonali im propagandowe zdjęcia – leżącym twarzami do ziemi. Zdjęcia te szeroko rozpowszechniono. Samych uwięzionych repatriowano do Wielkiej Brytanii przez neutralny Urugwaj.

Tymczasem już po południu tego samego dnia w mediach brytyjskich powoli zaczęły pojawiać się wiadomości o inwazji. Wieści wywołały falę szoku w rządzie brytyjskim. Thatcher musiała walczyć w Izbie o polityczne przetrwanie swojego rządu. Była niezadowolona i jednocześnie przestraszona sposobem, w jaki zarówno Argentyna, jak i jej administracja zarządzały sytuacją.

Szybko jednak Żelazna Dama ogłosiła decyzję rządu o wysłaniu wojsk. Duża grupa zadaniowa miała wypłynąć natychmiast po zakończeniu przygotowań. Zaledwie po trzech dniach, 5 kwietnia, lotniskowce HMS „Hermes” i HMS „Invincible” opuściły Portsmouth. Imponujący czas ich wypłynięcia był zarówno deklaracją determinacji na użytek wewnętrzny, jak i pokazem stanowczości wobec Argentyny. Wysłanie zespołu zadaniowego na Falklandy miało być „najbardziej ryzykownym rozmieszczeniem wojsk od czasu katastrofy kryzysu sueskiego [niemal] trzy dekady wcześniej”, w 1956 roku.

Argentyna posiadała na Falklandach 12 tysięcy żołnierzy, z czego 70% broniło samego Port Stanley. Resztę kontyn-

gentu rozlokowano w strategicznych miejscach – Goose Green oraz na Zachodnim Falklandzie w Port Howard i wiosce Fox Bay.

W skład brytyjskiego zespołu zadaniowego wchodziły trzy bataliony piechoty morskiej i dwa bataliony spadochronowe. Ale Marynarka Wojenna nie miała żadnego sposobu, aby dostarczyć je do celu i rozwiązać argentyński problem. Nie dysponowała niezbędnymi jednostkami. Rząd brytyjski uciekł się do swojego odwiecznego prawa do rekwirowania statków cywilnych na czas wojny.

Przewaga mobilności

Strata trzech Chinooków i sześciu helikopterów Wesex, zatopionych wraz z SS „Atlantic Conveyor” przez atak Exocetem, nie stępiła brytyjskiej zdolności do przemieszczania się w terenie. Żołnierze po prostu robili z buta. W marszu na Port Stanley żołnierze przemaszerowali 80 kilometrów przez często skalisty teren, dźwigając przy tym po 50 kilogramów sprzętu i amunicji.

Brytyjską przewagą w tej rozgrywce była zdolność do koncentracji siły ognia. Brytyjczycy przywieźli ze sobą osiem lekkich czołgów. Wzięły one udział w walce, m.in. 13 czerwca przy zdobywaniu Wireless Ridge.

Głównym źródłem siły ostrzału były jednak przede wszystkim lekkie działa 105 mm L118. Dowódcy położyli dysponowali nimi i przemieszczali je z wielką biegłością za pomocą helikopterów. Byli dzięki temu zdolni do dostarczenia wsparcia w postaci silnej nawały ogniowej wszędzie tam, gdzie wymagała tego sytuacja taktyczna.

Oprócz dział L118 używano moździerzy 81 mm, pocisków przeciwczołgowych MILAN, granatników przeciwpancernych LAW i innych rodzajów lżejszej broni. Dodatkowo wszystkie działania na lądzie były wspierane przez artylerię okrętową – tak jak było to choćby z rajdem SAS

na lotnisko na wysepce Pebble. Jak już dowiedzieliśmy się powyżej, nawała ogniowa miała tam nadzwyczajny efekt w postaci decyzji dowódcy argentyńskiego o zniszczeniu pasa startowego w obliczu nieuchronnej akcji inwazyjnej. W realizacji wsparcia ogniowego ze strony Royal Navy rolę kluczową odegrali obserwatorzy artylerijscy marynarki – Naval Gunfire Observers, NGFO – specjalnie szkoleni do tego typu obowiązków.

Obie strony działały w identycznych warunkach terenowych, ale... Brytyjczycy atakowali, a więc musieli się ruszać. Praktycznym efektem różnic w użyciu piechoty i artylerii było więc to, że Brytyjczycy stosowali działania mobilne, a Argentyńczycy – nie. Argentyńczycy nie mogli zdecydować nawet o zastosowaniu bardziej aktywnej taktyki z prostego powodu: jakość wyszkolenia i powiązane z nią morale były na niskim poziomie.

Rezultatem tych różnic było, że choć Argentyńczycy górowali siłą ognia liczoną arytmetycznie, to przejawiali brak zdolności doktrynalnych do jego koncentracji i organizowania nawał artyleryjskich celem dezorganizacji aktywności brytyjskiej. Mówiąc krótko, Argentyńczycy całego tego potencjału równie dobrze mogli po prostu nie mieć.

Sojusznicy

Strona brytyjska dysponowała też inną przewagą – współpracą sojuszniczą. Oprócz oddania Brytyjczykom do dyspozycji samolotów Mirage III i Super Etendard¹⁰, Francja wspomagała sąsiada danymi wywiadowczymi i technicznymi broni, którą zakupiła od niej Argentyna.

Chile było w trakcie dysputy granicznej z Argentyną. To dlatego argentyńskie dowództwo nie mogło sobie pozwolić na zdjęcie z pogranicza trzech brygad mających zdolność

¹⁰ L. Freedman, *The Official History of the Falklands Campaign*, Vol. II *War and diplomacy*, Routledge, Nowy Jork 2005, s. 72–73.

do funkcjonowania w subarktycznym klimacie. Brytyjczycy walili w tą słabość z pełnym rozmysłem. Przed początkiem konfliktu przekazali Chile myśliwce Hawker Hunter oraz bombowce Canberra. Wzajemność działała. Chile umożliwiło Brytyjczykom zainstalowanie stacji radarowych na granicy z Argentyną. Stacje dostarczały informacji o bieżącej aktywności argentyńskiego lotnictwa.

Przygotowania do głównej operacji

Stworzoną na potrzeby operacji odbicia Falklandów dowodzenie Grupą Zadaniową CTF317/324 powierzono admirałowi Sir Johnowi Fieldhouse'owi. Pod jego rozkazami działały wszystkie elementy sił brytyjskich w rejonie: od jednostek specjalnych, przez lotnictwo, po armię lądową.

Jedną z mniej oczywistych przewag strony brytyjskiej była zdolność realizowania współpracy między rodzajami broni. Zdolność ta była po stronie brytyjskiej opanowana wzorowo. Było tak na długo przed powołaniem Permanent Joint Headquarters (PJHQ, Stały Połączony Sztab) w 1996 roku. Przewaga ta wynikała z tego, że brytyjskie siły zbrojne przez całe stulecie funkcjonowały, transportując ludzi i sprzęt siły na terytoria odległe od wysp macierzystych o tysiące mil. Ta kultura organizacyjna kumulowała się przez całe pokolenia.

Dla kontrastu zgranie rodzajów wojsk po stronie argentyńskiej zasadniczo nie istniało – także dlatego, że nigdy było wymuszone sytuacją. Co gorsza, udział marynarki w wojnie został zasadniczo zakończony po zatopieniu krążownika „General Belgrano”. Po tym zdarzeniu wkładem marynarki były jedynie aktywność jej lotnictwa, piechoty morskiej oraz transport zaopatrzenia – a i to na ograniczoną skalę.

Ogólna dysfunkcja – musimy pamiętać – wynikała zasadniczo z niedocenienia zdolności do kontruderzenia i sprawności Brytyjczyków. Największym błędem na

poziomie strategicznym było niepodjęcie jakiegokolwiek wysiłku celu wyeliminowania zagrożenia ze strony brytyjskich okrętów podwodnych. Po prawdzie na takie okręty trudno znaleźć bata nawet jakby chcieć i móc. Ale już samo to było *de facto* aktem ograniczenia własnych zdolności oddziaływania – w perspektywie samego konfliktu o Falklandy, ale też nawet podstawowego zadania floty, jakim jest jej własne przetrwanie. Uchybienie to jest tym bardziej oczywiste, że flota argentyńska była kluczowym komponentem militarnym w konflikcie potencjalnie krytycznym dla całego państwa argentyńskiego.

Epizod V

Główny desant pod San Carlos, 21 maja

Tuż przed główną operacją amfibijną siły specjalne rozpoczęły działania mające na celu zniszczenie argentyńskiego punktu obserwacyjnego i wyeliminowanie z gry garnizonu w Goose Green. Mógł on zakłócić brytyjską operację lądowania.

Wojska brytyjskie zaczęły schodzić na brzeg z barek desantowych o godzinie 4:00, a jako pierwszy wylądował 2. batalion Paratrooper Regiment, na południowym krańcu wód San Carlos. Argentyńczycy rozlokowani na lądzie nie podjęli przeciwdziałania. Ale nawet po tym, jak brytyjscy spadochroniarze wyzwolili port San Carlos i brytyjski Union Jack zawisł na tamtejszym maszcie, cała bitwa o San Carlos była daleka od zakończenia.

Duża liczba okrętów wojennych przeznaczonych do lądowania i zarekwirowanych statków handlowych musiałaby podpłynąć do brzegu i pozostawać tam przez wiele dni wystawiona na argentyńską kontrakcję. Jednostki te rzeczywiście stały się celem zaciekłych ataków lotnictwa argentyńskiego, bazującego na kontynencie. Na korzyść

strony brytyjskiej działało to, że atakujący działali na granicy swojego zasięgu operacyjnego, a więc samoloty miały możliwość dokonania zaledwie jednego nalotu. Atakujący narażeni byli na kontrakcje brytyjskich systemów rakietowych, a poza tym działali bez eskorty myśliwców. W czasie ataku dysponowały zaś ledwie kilkoma sekundami na identyfikację celów i odpalenie broni pokładowej.

Z tego powodu 21 maja i w dniach późniejszych argentyńskie ataki skupiały się na brytyjskich okrętach wojennych poza głównym kotwiczowiskiem San Carlos. Okręty te działały jako pikieta – miały przejąć na siebie ataki, odciągając przeciwnika od jednostek transportujących żołnierzy.

Obszar brytyjskiego kotwiczowiska wkrótce zyskał nieformalną nazwę „alei bomb”. Pierwszą ofiarą argentyńskich ataków stała się fregata „Argonaut”. Trafiona została dwiema rakietami, które szczęśliwie nie wybuchły, gdyż błędnie zaprogramowano wysokość, na której nastąpiło ich odpalenie.

Argentyńskie ataki straciły na sile i zaciekłości w wyniku ogólnego wyczerpania argentyńskich sił powietrznych, pierwotnie skierowanych nad San Carlos w liczbie 62 maszyn. Żadna ze stron nie zdołała wywalczyć pełnego panowania w powietrzu, Argentyńczycy byli więc zdolni zadawać dotkliwe straty do samego końca walk.

I tak 8 czerwca pięć argentyńskich Skyhawków dopadło transportowiec SS „Galahad”, dokonujący wyładunku żołnierzy w porcie Bluff Cove. Trzy bomby zabiły 48 żołnierzy. Była to największa pojedyncza strata brytyjska w całych zmaganiach o Falklandy.

Zdobycie Goose Green (28 maja)

Osada Goose Green położona odległa jest o około 40 kilometrów na południe od rejonu desantu. Obsadzał ją garnizon w sile niemal tysiąca żołnierzy. Mieli oni do dyspozycji m.in. trzy haubice kal. 105 milimetrów.

Atak na osadę poprzedził rajd pięćdziesięciu komandosów SAS nocą z 20 na 21 maja. Po forsownym marszu zajęli pozycje na wzgórzach wokół osady i otworzyli ogień ze wszystkiego co mieli: broni maszynowej, granatników przeciwpancernych i moździerz. Wsparły ich ponadto ogniem dwa okręty – fregata „Ardent” i niszczyciel „Glamorgan”.

Zadaniem oddziału SAS było zablokować ewentualną odsiecz argentyńską idącą w kierunku San Carlos. Obrońcy nie podjęli próby kontrataku. Poinformowali dowództwo, że atakuje ich co najmniej batalion. Po wykonaniu zadania komandosi oderwali się od przeciwnika i szybkim marszem połączyli z głównymi siłami desantu. O dynamice tych zdarzeń świadczą dziesiątki starć i potyczek. Przemieszczający się komandosi mieli m.in. okazję zestrzelić Stingerem jeden z myśliwców argentyńskich atakujących miejsce głównego desantu.

Główny atak na Darwin i Goose Green nastąpił o świcie 28 maja. Argentyńscy obrońcy, łącznie 2000 żołnierzy, byli świetnie okopani i bronili się z najwyższą zaciekłością. Wyraźnie też zaznaczyły się zalety obronne płaskiego i pozbawionego drzew terenu. Każdy brytyjski szturm czy przegrupowanie były świetnie widoczne. Przeciwnik nie ułatwiał – kontratakował. Ludzie ginęli po obu stronach. W apogeum jednej z argentyńskich kontrakcji Brytyjczycy utracili kontrolę nad Wzgórzem Darwin, z którego pluton argentyńskiej piechoty zaczął wyjątkowo skutecznie kierować ogniem artylerii, odpierając przy tym kolejne brytyjskie szturmy na wzgórze. W końcu od ognia snajperów padł dowódca plutonu Roberto Estévez, a krótko później jego radiotelegrafista Fabricio Carrascul. Obaj zostali uhonorowani najwyższymi odznaczeniami. Pośmiertnie.

Epizod VI

Szturm na Port Stanley, 11 czerwca.

Nie spacerek w parku, ale wciąż formalność.

Jakikolwiek plan odbicia Falklandów musi uwzględniać zdobycie miasteczka Port Stanley, głównej ludzkiej osady na archipelagu. Dlatego dowodzący argentyńskimi siłami Mario Benjamín Menéndez (gubernator wojskowy) skoncentrował siły właśnie wokół tej miejscowości. Mniejsze garnizony ustanowiono w Goose Green i na San Carlos.

Brytyjski plan zakładał, że po likwidacji mniejszych zgrupowań zrealizowane zostaną dwa kolejne nocne ataki na pozycje dominujące nad Port Stanley od zachodu. Taki ruch uniemożliwiłby siłom argentyńskim utrzymanie miasteczka, niezależnie od ich liczebności. Plan był oczywiście wynikiem z prostego faktu: Argentyńczycy mieli przewagę liczebną, nawet przy wariancie, w którym do ataku zostaną użyte również jednostki SAS¹¹.

W Port Stanley stacjonowało około 9 tysięcy żołnierzy, z czego około 5 tysięcy stanowiły pierwszoliniowe jednostki bojowe. Generał Menéndez rozmieścił podległe sobie siły we wszystkich naturalnych pozycjach obronnych. Odwody były utrzymywane w pobliżu wybrzeża, chroniąc je przeciwko desantom od strony morza. Brytyjczycy markowali zamiar przeprowadzenia lądowania, by zmniejszyć nasycenie obrońcami linii, które faktycznie planowali przełamywać.

Żołnierze broniący Port Stanley mieli różnorodną wartość bojową i bitność. Jedyną argentyńską jednostką, która miała odpowiedni sprzęt na zimne dni i doświadczenie

¹¹ W rzadko omawianym epizodzie dowódca sił specjalnych odmówił przekazania swoich ludzi do takiego „frontalnego ataku”. Słusznie argumentował, że użycie specjalistów SAS i SBS w roli tradycyjnej piechoty byłoby aktem wręcz przestępczym (użył oczywiście innego słowa).

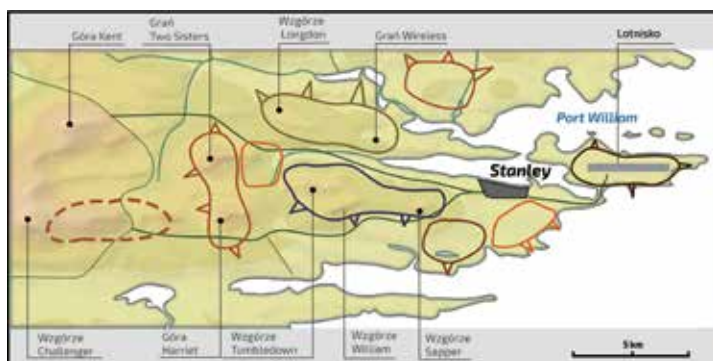
w operowaniu w warunkach subarktycznych był 5. batalion piechoty morskiej. Dla kontrastu 4. Pułk został ściągnięty na Falklandy z prowincji subtropikalnych w pobliżu granicy brazylijskiej. Jego żołnierze nie byli w ogóle przyzwyczajeni do warunków panujących zimą na wyspach. Klimat mocno im doskwierał, a dodatkowo ich morale podkopywała bliskość wroga. 10 czerwca generał Menéndez zażądał posiłków. Odmówiono. Generał Galtieri i reszta junty nie byli gotowi ryzykować ani zasobów marynarki wojennej, ani sił powietrznych.

Brytyjski atak rozpoczął się wieczorem 11 czerwca. Trzy bataliony ruszyły, by zaatakować trzy najsilniejsze punkty zewnętrznego pierścienia argentyńskiej obrony – Mount Harriet, Mount Two Sisters oraz Mount Longdon. Największym problemem okazało się to ostatnie. Choć mniejsze od innych, było wyjątkowo skaliste. Dodatkowo usypane przez mieszkańców kamienne mury pozwoliły argentyńskim obrońcom utworzyć ciasne, ostrzeliwane przez krzyżowy ogień broni maszynowej strefy śmierci. Tu brytyjski atak utknął. Do czasu, aż znalazł się bohater.

Sierżant Ian McKay niemal w pojedynkę poprowadził szalony atak na dwie kluczowe argentyńskie pozycje. Obie zostały wyłączone z akcji. McKay, zabity w trakcie ataku, otrzymał pośmiertnie Krzyż Wiktorii.

Nocne starcie o Mount Longdon było epizodem najbardziej zacieklej, a przy tym prowadzonej na najbliższe odległości walki. Jeden z bohaterów strony brytyjskiej, szeregowy Dominic Grey, był w stanie podczołgać się do argentyńskiego bunkra tak blisko, że zdołał wyeliminować jego załogę, po prostu wrzucając granaty przez otwór strzelniczy.

Co jest fascynujące w wojnie o Falklandy to to, że obydwie strony miały przewagę technologiczną, ale nie zupełną i nie całkowitą. Przykładem z potyczki o Mount Longdon jest



Ryc. 7. Ukształtowanie rejonu miasteczka Stanley i linie obronne strony argentyńskiej.

wyposażenie snajperów z argentyńskiej piechoty morskiej, którzy posiadali noktowizję. Z przewagi tej skorzystał kpr. Carlos Comlil, który bezkarnie likwidował kolejnych brytyjskich żołnierzy, w tym jednego strzelając praktycznie „z przyłożenia”.

Początek lat osiemdziesiątych to wprowadzenie na pole walki zaawansowanych systemów przez obie walczące strony. Falklandy stały się dla nich testem polowym. Swoje systemy noktowizyjne armia argentyńska pozyskiwała z USA.

Pułkownik Mike Scott próbował zmniejszyć ryzyko głównej ofensywy, organizując działanie o charakterze dywersyjnym na południe od Mount William. Szturm ten skutecznie odwrócił uwagę obrońców, a mimo to główny brytyjski atak został szybko przygwożdżony do ziemi celnym ogniem artylerii. Argentyńczycy trzymali się twardo, prezentując ducha bojowego nie gorszego od nacierających. Natarcie dało się Brytyjczykom ponownie uruchomić dopiero po kilku godzinach, a i to wyłącznie dzięki nawale ogniowej własnej artylerii.

Bezustanny ostrzał brytyjskiej artylerii był niezwykle skutecznym narzędziem podkopywania argentyńskiego

morale. Zdarzały się sytuacje, w których Argentyńczycy, zwłaszcza ci niedoszkoleni, nie tylko popadali w stupor, ale – widząc los swoich kolegów obsadzających sąsiednie stanowiska – poddawali się, zanim ostrzał przeniósł się na ich własne pozycje.

W operacji opanowywania wzgórz wokół Port Stanley zginęło łącznie 23 spadochroniarzy. Nie była to wygórowana cena za krytyczne naruszenie pierścienia obrony wokół miasteczka i ukształtowanie sytuacji na własną korzyść przed głównym atakiem.

Gdy w końcu argentyńska obrona Port Stanley upadła, setki żołnierzy w bezładzie ruszyły w kierunku miasta. Argentyński dowódca widząc wyrwy w liniach i mając świadomość niskiego stanu amunicji i podupadającego morale, zdecydował się na kapitulację.

Po południu przybyli brytyjscy parlamentariusze, ale zaproponowane przez nich warunki zostały odrzucone. W następnej kolejności Menéndez przyjął generała Moore. To właśnie on we wczesnych godzinach porannych następnego dnia poinformował rząd brytyjski, że generał Menéndez poddał wszystkie argentyńskie siły zbrojne na całych Falklandach:

*Wyspy Falklandy ponownie znajdują się pod
rządem pożądanym przez ich mieszkańców.
Boże, chroń królową.*

Okupacja argentyńska, trwająca 74 dni, została oficjalnie zakończona. W ciągu dziesięciu tygodni między inwazją, a wyzwoleniem Wielka Brytania straciła 255 zabitych i 775 rannych, a Argentyna 649 zabitych i 1657 rannych. Wypadków zespołu stresu pourazowego (PTSD) było więcej niż rannych.



Ryc. 8. HMS „Invincible” wraca do domu. Źródło: Defence Imaginery.

Powrót do domu

Tysiące Argentyńczyków wróciło z niewoli do domu już kilka dni po kapitulacji. Zastali oni kraj pogrążony w chaosie. Generał Galtieri utracił władzę. W ciągu siedmiu miesięcy swoich rządów pomylił się praktycznie we wszystkich istotnych kwestiach.

Natomiast powracająca do Wielkiej Brytanii zwycięska grupa zadaniowa napotkała wiwatujące tłumy. Wygrana wojna spowodowała niesamowitą reakcję całego narodu. Konserwatywny rząd Margaret Thatcher, zaledwie rok wcześniej znajdujący się na krawędzi katastrofy, był w szczycie popularności, opromieniony chwałą zwycięstwa.

Dla samych mieszkańców Falklandów ich brytyjskie poczucie tożsamości zostało przez wojnę znacznie wzmocnione. Jeden z nich, zapoznany przez autora w trakcie wycieczki do Korei Północnej, podzielił się następującym dowcipem:

- *How do you fill up a telephone booth with Argentini-ans?*
- *Tell them it's not theirs*¹².

Praktyczne porady na wynos

A. Niedoceniony Exocet

Wedle oceny japońskiego analityka Juna Yanagisawy Argentyńczycy nie doceniali rewolucyjnego znaczenia możliwości pocisków Exocet. Brak planów zakupu większej ilości tej broni – większej niż pięć sztuk – świadczyć ma o tym, że nie liczone się w ogóle z brytyjską próbą odbicia Falklandów. Rezultatem w skali strategicznej było to, że raket tych nie użyto do odstraszenia Brytyjczyków.

B. Krótki pas startowy w Port Stanley

Argentyńczycy popełnili błąd, nie przedłużając pasa startowego lotniska w Port Stanley. Powinni byli zrobić to natychmiast po zajęciu wysp. Zastany przez nich pas miał długość jedynie 1250 metrów. Przedłużenie go do 3000 metrów pozwoliłoby na przebazowanie szybkich myśliwców, zdolnych w istotny sposób wpłynąć na swobodę operacyjną brytyjskich lotniskowców¹³.

Ogólnie Argentyńczycy wykazali karygodnie mało troski w zakresie przygotowań do obrony przed brytyjską kontr-

¹² „Jak wypełnić budkę telefoniczną Argentyńczykami? Powiedz im, że nie należy do nich”. Aby dostało się i drugiej stronie, można Brytyjczyków usadzić stwierdzeniem: owszem, Falklandy należą do nich, ale Londyn już nie.

¹³ R. De La Pedraja, *The Argentine Air Force versus Britain in the Falkland Islands*, [w:] *Why Air Forces Fail: The Anatomy of Defeat*, pod red. R. Hinghama i S. Harrisa, University Press of Kentucky, Lexington 1982, s. 227–259.

akcją. Ten stan nieprzygotowania, jaki zastali Brytyjczycy, równoważył ich własne problemy. Można nawet powiedzieć, że obie ścierające się strony nie były przygotowane do konfliktu na taką skalę. A przecież i tak nie była to wielka wojna, a zaledwie lokalne starcie.

Największym argentyńskim błędem był zupełny brak przygotowania na konfrontację z brytyjskimi okrętami podwodnymi. Ustanowienie przez Brytyjczyków strefy wykluczenia, a następnie zatopienie krążownika „Belgrano” sprawiło, że dowództwo argentyńskie nie zdecydowało się ryzykować utraty swojego jedyne go lotniskowca. Innymi słowy, siły powietrzne Argentyny przez zaniedbanie planistyczne odebrały sobie możliwość osiągnięcia dominacji w powietrzu nad Falklandami¹⁴. Miało to bolesne i oczywiste przełożenie na praktyczną skuteczność lotnictwa argentyńskiego w czasie desantu pod San Carlos. Operując na granicy swojego zasięgu i pod ogniem obrony, samoloty argentyńskie nie mogły sobie pozwolić na prawidłowe klasyfikowanie celów i wybieranie ich w kategoriach istotności. Powinny były oczywiście atakować załadowane lub wyładowujące się transportowce, a nie okręty wojenne ochraniające operację.

Dodatkowo argentyńska doktryna walki powietrznej nie nadawała się do wywalczenia przewagi nad przeciwnikiem dysponującym symetryczną lub bardziej zaawansowaną zdolnością w tym zakresie. Harriery, stacje radarowe i lotniskowce były dla Fuerza Aérea Argentina zbyt silne, zwłaszcza działając systemowo. Ten systemowy brak doktryny agresywnego wywalczenia dominacji w powietrzu sprawił, że choć liczniejsze od brytyjskiego, lotnictwo argentyńskie nie mogło wykorzystać swojego teoretycznego

¹⁴ H. Mir Gonzalez, *An Argentinean Airman in the South Atlantic*, [w:] *The Falklands Conflict Twenty Years on: Lessons for the Future*, pod red. S. Badseya, R. Haversa i M. Grove'a, Frank Cass, Londyn 2005, s. 77–78.

potencjału ofensywnego i skupiło się na wspieraniu działań naziemnych.

Innym czynnikiem, wynikającym już z problemów technicznych, było to, że argentyńskie myśliwce Mirage III miały znacząco mniejszy współczynnik ciągu do masy względem brytyjskich Harrierów – 0,7 w porównaniu do 0,9. Jakby tego było mało, argentyńskie Mirage były wyposażone w pociski powietrze-powietrze o generację starsze niż te brytyjskie.

Poza Mirage III i izraelskimi Daggerami (modernizacja Mirage V) lotnictwo argentyńskie posiadało też amerykańskie Skyhawki, operujące z lotniskowca, oraz, również pokładowe, francuskie Super Etendard, zaprojektowane do przenoszenia rakiet Exocet. Na papierze było więc silne, ale bez doktryny i lotnisk blisko rejonu operacji było tylko papierowym tygrysem.

C. Marynarka wojenna wyłączona z gry

Pozostające w dyspozycji argentyńskiej marynarki dwa nowoczesne diesel-elektryczne okręty podwodne typu 209, wyprodukowane w RFN, nie zdołały osiągnąć sprawności bojowej do wybuchu wojny. Jeden z nich, ARA „San Luis”, dysponował wadliwym systemem kierowania strzelaniem torpedowym i mimo kilku kontaktów bojowych żaden z wystrzelonych pocisków nie zaszkodził przeciwnikowi. Gigantyczna ilość sił i środków, jaką Brytyjczycy poświęcili na nieprzerwane i bezskuteczne próby wykrycia argentyńskich okrętów podwodnych¹⁵, dowodzi, że zdolne do skutecznej akcji bojowej dwa argentyńskie okręty mogły mieć w sprzyjających okolicznościach niezwykle istotne znaczenie w utrzymywaniu zespołu lotniskowców wroga w odpowiedniej odległości od wysp.

¹⁵ W książce *Falklands Air War* Hobson pisze (s. 157–158), że jeden z brytyjskich helikopterów ZOP wylatał w ciągu zaledwie jednego miesiąca 265 godzin, co daje 8,5 godziny dziennie.

D. Wyszukolenie żołnierzy argentyńskich

Siły naziemne stacjonujące na Falklandach były zasadniczoszkietowe – nie liczono się z brytyjską próbą odbicia wysp. Dopiero po tym, jak Brytyjczycy wzięli się w garść i wysłali zespół zadaniowy w kierunku Falklandów, dowództwo argentyńskie przeniosło na wyspy dwie brygady piechoty¹⁶. Były to jednak jednostki przystosowane do walki w klimacie tropikalnym, więc ani mentalnie, ani w zakresie wyposażenia nie przystosowane do operowania w niezwykle dokuczliwym klimacie. Jednocześnie przypomnijmy, że Argentyńczycy dysponowali oddziałami idealnie nadającymi się do walki na Falklandach, ale nie zdecydowali się na ich wycofanie z granicy z Chile.

Przesunięcie daty inwazji na początek kwietnia doprowadziło do „aktywacji” wady systemowej armii argentyńskiej¹⁷, która miała *de facto* naturę rotacyjnego obozu treningowego. W tamtym okresie żołnierze przechodzili obowiązkową dziesięciomiesięczną służbę wojskową, która rozpoczynała się w styczniu. W dniu inwazji – 2 kwietnia – w jednostkach inwazyjnych większość stanowili więc ludzie kompletnie zieloni. Ich wartość bojowa, w tym mierzona odpornością na oddziaływanie ogniowe przeciwnika, była więc minimalna. Zmobilizowanych w obliczu nadciągającej wojny rezerwistów było za mało, aby tę sytuację skorygować.

E. Zwycięstwo w pierwszej potyczce przenosi góry

Sprawne odzyskanie Georgii Południowej dało olbrzymi wzrost morale i wiary we własne siły. Tego typu

¹⁶ Brigada Mecanizada X (10 Brygada Zmechanizowana) oraz Brigada de Infanteria III (3 Brygada Piechoty).

¹⁷ M. Middlebrook, *The Fight for the 'Malvinas': The Argentine Forces in the Falklands War*, Penguin Books, Londyn 1990, s. 49–52; *Military Balance, 1981–1982*, Facts on File, Nowy Jork 1981, s. 92–93.

manewr, tj. znalezienie okazji do łatwego zwycięstwa przed głównym starciem, powinno być priorytetowym zadaniem każdego dowódcy, a zwłaszcza głównodowodzącego.

F. Zła kalkulacja zachowań sojuszników

Z uwagi na wcześniejszą neutralność Stanów Zjednoczonych w sporze o wyspy decydenci argentyńscy przyjmowali, że neutralność ta zostanie zachowana także w wypadku wybuchu wojny. Grubo się przeliczyli.

Stany udzieliły Brytyjczykom krytycznie istotnej pomocy, dostarczając broń, udzielając wsparcia logistycznego i wywiadowczego. W przypadku walk powietrznych szczególnie cenne były dla Brytyjczyków dużej ilości rakiet powietrze-powietrze AIM-9L. Swoją rolę odegrały także pociski przeciwokrętowe Harpoon, pociski antyradarowe Shrike i ręczne wyrzutnie ziemia-powietrze Stinger. Amerykanie przekazali też 48 tysięcy ton paliwa lotniczego i wiele innych rodzajów materiałów. Nie sposób pominąć też faktu, że Amerykanie oddali Brytyjczykom do pełnej dyspozycji swoje instalacje na Wyspie Wniebowstąpienia. Amerykański dowódca tamtejszej bazy w początkowej fazie brytyjskiej interwencji działać miał ponoć wedle nieformalnych wytycznych udzielenia absolutnie wszelkiej możliwej pomocy.

G. Łupy wojenne SAS-u

W sytuacji typowej zwycięzca zajmuje pole bitwy, a więc przejmuje on na własność „środki oddziaływania” zdobyte na przeciwniku. W przypadku Falklandów elementem przejętego mienia stały się dwa helikoptery Augusta A109, które „wziął sobie” SAS celem włączenia do portfolio używanych przez siebie maszyn. ■



Ryc. 9. Generał Sławomir Petelicki, założyciel GROM-u, przy helikopterze Augusta, zdobyczy wojennej wykorzystywanej przez SAS do ćwiczeń i realizacji zadań. Baza Hereford, 1994 rok.

Źródło: Fundacja GROM. Siła i Honor.



Desant na Inczon 1950

Operacja „Chromite”. Wizjonerstwo
MacArthura i desperacja Zachodu

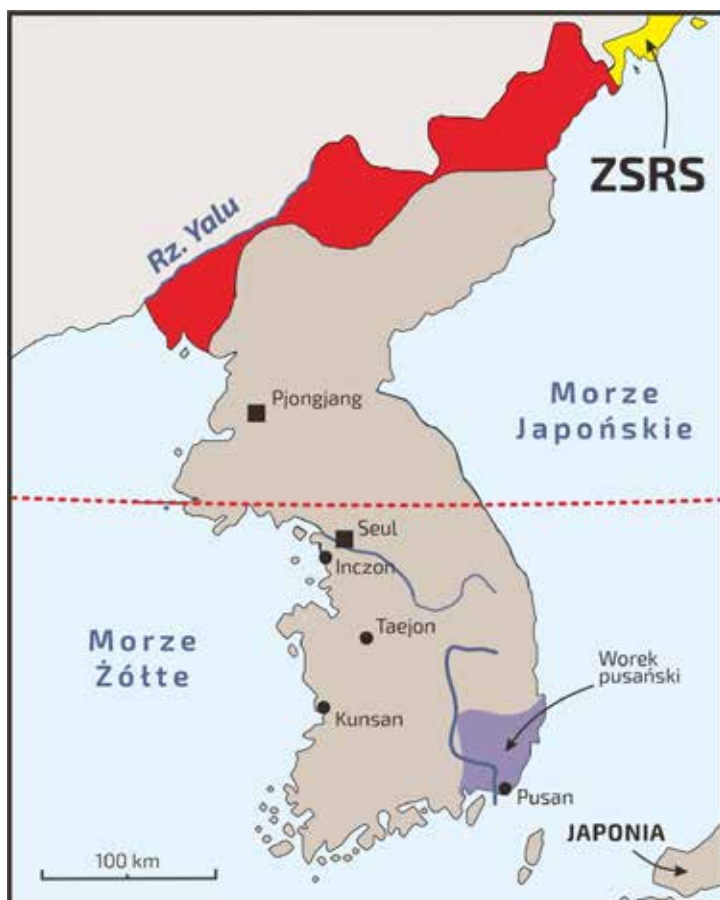
I

Wojna koreańska i tło sytuacyjne

Korea była pod ścisłą japońską kontrolą polityczną od 1910 do 1945 roku. Te 35 lat przeszło pod znakiem bezlitosnego tłumienia oporu wobec kolonialnego zwierzchnictwa Cesarstwa Japońskiego. Ale – w rytm ponadczasowej mądrości zaprezentowanej w kultowym skeczu Monty Pythona – Japończycy wprowadzili podbity kraj z trzeszczącego od biedy średniowiecza w erę uprzemysłowienia i nowoczesności. Także trzeszczącej od biedy. Modernizację tę zasilali zasobami bogatej w złoża mineralne północy i rozwojem nowoczesnego rolnictwa na bardziej przyjaznym produkcji żywności południu.

Koniec II wojny światowej to dla Korei podział na dwie strefy okupacyjne, północną pod kontrolą ZSRS, a południową – Stanów Zjednoczonych. Roboczo ustalono granicę administracyjną na 38 południku. W tamtej chwili nie istniał żaden rząd na uchodźstwie ani inny ośrodek polityczny, który wypełniłby próżnię polityczną po Japończykach¹. Dwaj zimnowojenni rywale wspierali dwa nurty

¹ Po wojnie repatriowano na Wyspy Macierzyste około 700 tys. Japończyków. Warto też dodać, że zachodni administratorzy w wielu przypadkach ignorowali fakt, że Koreańczycy byli odrębnym od Japończyków etnosem i narodem, co w pierwszej fazie stabilizacji powojennej prowadziło do, mówiąc oględnie, rozdziewików.



Ryc. 1. Worek Pusański i orientacyjne położenie kluczowych miejsc w pierwszej fazie (1950) wojny koreańskiej.

ruchu oporu walczącego wcześniej z okupantami japońskimi: kierowany przez Stalina Związek Sowiecki wspierał ugrupowania napędzane ideologią marksistowską, a Stany wsparły ultranacjonalistów sceptycznych wobec komunistycznych porządków. Podobnie jak w przypadku wojny domowej w Chinach, oba „nurty” starały się zaprowadzić porządek ideologiczno-cywilizacyjny wzorowany odpowiednio na wzorcach sowieckich i liberalno-demokratycznych.

Między dwiema połówkami narodu szybko zaczęła formować się przepaść, pogłębianą m.in. przez terror ideologiczny przeszczepiony od Sowietów. Na południe migrowały fale uciekinierów. Ukryci wśród nich do strefy amerykańskiej przeniknęli oczywiście partyzanci i agitatorzy, będący kontrsiłą dla prowadzonych przez ONZ (a *de facto* Stany Zjednoczone) od początku 1948 roku wysiłków w celu ustanowienia państwa południowokoreańskiego. Powstało ono w sierpniu tego roku. Na początku kolejnego roku przywódca północnokoreański Kim Il Sung (znany szerzej jako Kim Ir Sen) uzyskał zgodę Józefa Stalina na przeprowadzenie „tradycyjnej” inwazji na południe. Działania zbrojne rozpoczęto 25 czerwca 1950 roku.

Worek pusański

W inicjującej wojnę ofensywie Koreańska Armia Ludowa (dalej KAL), licząca 89 tysięcy ludzi, ruszyła przeciw 38 tysiącom żołnierzy Armii Republiki Korei (dalej ARK). Zaledwie trzy dni były potrzebne, by padł Seul, stolica południa. 24 Dywizja Piechoty, pierwsza amerykańska jednostka uczestnicząca w nowej wojnie, poniosła ciężkie straty w bitwie pod Taejon w połowie lipca i po ciężkich walkach została zepchnięta na południe.

Siły północnokoreańskie budowane były zasobami uprzemysłowionej północy oraz przy wsparciu szkoleniowym i sprzętowym ZSRS. Siły ONZ, w większości amerykańskie, były mniej liczne i znacznie gorzej wyposażone. Zostały szybko zapędzone do słynnego worka pusańskiego (ang. Pusan Perimeter), wokół miasta i portu Pusan. Port ten był hubem przeładunkowym dla sprzętu i ludzi ONZ i Stanów Zjednoczonych. Tam impet KAL wyczerpał się.

Walki o utrzymanie rejonu Pusan toczyły się od początku sierpnia do czasu desantu pod Inczon. Siły ONZ stopniowo rosły, aż osiągnęły poziom 140 tysięcy żołnierzy. Walczyli

oni o utrzymanie swojej obecności przeciw 98 tysiącom żołnierzy Koreańskiej Armii Ludowej na liniach obronnych o długości 230 kilometrów. Na początku tego okresu wojska ONZ były na krawędzi zapaści, zdołały jednak ustabilizować linię kontaktu z wrogiem. Zaczęły mozolnie, ale pewnie zbudować przewagę w liczebną i materiałową.

Udało się to dzięki trzem czynnikom. Pierwszy to bardzo rozciągnięte linie zaopatrzeniowe sił komunistycznych. Drugi – zaciekle ataki przypuszczane na perymetr, w których KAL ponosiła ciężkie straty i szybko się wykrwawiała. Dodatkowo marynarka wojenna i lotnictwo broniące południa dysponowały w praktyce pełną przewagą w swoich domenach działania. Same pozostając poza zasięgiem oddziaływania bojowego sił komunistycznych, mogły prowadzić systematyczne niszczenie zasobów ofensywnych i drenowanie morale przeciwnika.

Wyhamowanie impetu przeciwnika to jedno. Trzeba mieć jeszcze zdolność zbudowania siły pozwalającej na wyprowadzenie własnej kontrofensywy. Ale samo używanie brutalnej przewagi materiałowej i liczebnej w sposób nieunikniony prowadzi do wyniszczenia własnych zasobów. Potrzebny był manewr. Sytuacja strategiczna podsuwała oczywisty ruch: desant na głębokie tyły wroga. Manewr ten został opracowany i wcielony w życie przez amerykańskiego generała Douglasa MacArthura. Dzięki niemu napór armii północy załamał się definitywnie po 15 września.

II

Przestanki przemawiające za lądowaniem pod Inczon

MacArthur za największą zaletę desantu pod Inczon uznawał możliwość błyskawicznego zdobycia Seulu w toku tej samej operacji. Odbicie stolicy Południa miało nie tyl-

ko odciąć wojska KAL oblegające worek pusański, ale na poziomie geostrategicznym zadziałać na wyobrażenie niezdecydowanych sojuszników Ameryki, zwłaszcza w kwestii rangi i zdolności oddziaływania nowej instytucji międzynarodowej – ONZ.

Alternatywą proponowaną przez gen. Josepha Lawtona Collinsa i admirała Forresta Shermana było lądowanie w Kunsan, około 180 kilometrów w linii prostej na południe. Wadą tej lokalizacji była niemożność natychmiastowego odcięcia linii zaopatrzeniowych przeciwnika, prowadzących do Pusan. Jeszcze inną alternatywą było lądowanie w Posung-myon około 30 kilometrów na południe od Inczon, w pobliżu miasta Osan.

MacArthur nie ustępował. Twierdził, że północnokoreański sztab nie bierze pod uwagę tak zuchwałej próby jak lądowanie przy Seulu, co w połączeniu z zaskoczeniem na poziomie operacyjnym zagwarantuje sukces operacji. Według MacArthura desant amfibijny był najlepszym narzędziem strategicznym, jakim dysponowały na tamtą chwilę wojska ONZ. A tamta chwila potrzebowała zdecydowania. Atak na Kunsan byłby wyłącznie półśrodkiem, umożliwiającym zaledwie częściowe otoczenie sił KAL, a więc nie dawał gwarancji decydującego odwrócenia sytuacji strategicznej i pokrzyżowania planów przeciwnika. Do osiągnięcia takiego efektu potrzebne było uderzenie w punkt newralgiczny – hub logistyczny, jakim był Seul.

Za Inczon przemawiało też wiele innych względów. MacArthur uważał, że KAL rozlokowała swoje najlepsze jednostki wokół Pusan. Siłą rzeczy wszędzie indziej operowały oddziały gorsze lub tyłowe. Głębokie i silne uderzenie na wojska niezaprawione do starcia o najwyższej intensywności miało tym bardziej doprowadzić do zapaści po stronie nieprzyjaciela.

8 września MacArthur wysłał do Waszyngtonu ostatnią wymowną wiadomość:

Wierzę, że stanowi ona [operacja pod Inczon] jedyną nadzieję na odebranie inicjatywy wrogowi, a tym samym stworzenie okazji do zadania decydującego ciosu. W przeciwnym razie czeka nas wojna o nieokreślonym czasie trwania, stopniowym wyniszczaniu i wątpliwych rezultatach. [...] Nie ma najmniejszej możliwości [...] wyrzucenia naszych sił z przyczółka Pusan. Otoczenie od północy natychmiast zmniejszy presję na południowym obwodzie i w istocie jest to jedyny sposób, w jaki można to osiągnąć.

Przejęcie serca systemu logistycznego wroga w rejonie Seulu całkowicie zdeorganizuje zaopatrzenie jego sił działających obecnie w Korei Południowej, a tym samym ostatecznie doprowadzi do ich rozpadu. To właśnie jest głównym celem tego ruchu. Złapany między naszymi siłami północnymi i południowymi, z których obie są całkowicie samowystarczalne ze względu na naszą absolutną przewagę powietrzną i morską, wróg nie może nie zostać ostatecznie rozbity poprzez rozbitcie jego systemu wsparcia logistycznego i naszych połączonych działań bojowych².

Szefowie Połączonych Sztabów w Waszyngtonie w końcu dali się przekonać.

III

Plany i przygotowania

Wojna domowa w Korei

Armia Republiki Korei i policja krajowa nie okazywały sympatii komunistom z południa – wykrytym i domniema-

² Pierwsze dyrektywy, zob. Rad C62423, CINCFE do JCS, 8 września 50 r. i Rad 90958, JCS do CINCFE, 8 września 1950 roku.

nym. W rezultacie w ostatnich dwóch tygodniach września doszło do powstania po obu stronach bratobójczej nienawiści, podobnej do tej widzianej w Europie podczas wojny trzydziestoletniej w XVII wieku³. Wojna domowa z tego względu zdaje się być szczególnie dotkliwą traumą dla każdej wspólnoty narodowej.

Rejon desantu

Dowodzący siłami ONZ MacArthur już w lipcu stwierdził, że do wygrania wojny niezbędny będzie desant amfibijny głęboko za liniami wroga. Już wtedy rozpoczęły się przygotowania koncepcyjne i planistyczne. Do głównego zadania wyznaczono 1 Dywizję Piechoty Morskiej oraz 7 Dywizję Piechoty 7 Armii. W skład sił desantowych weszły również jednostki południowokoreańskie jednostki piechoty morskiej i piechoty. Całość sił desantowych połączono w X Korpus i powierzono dowództwu generałowi majorowi Edwardowi M. Almondowi, wówczas szefowi sztabu MacArthura.

Jako miejsce desantu MacArthur wybrał port Inczon, obsługujący stolicę Korei Południowej. Żadne inne możliwe miejsce lądowania nie było położone tak blisko stolicy. Samo miasto stołeczne i jego węzeł komunikacyjny były odległe od Inczon o około 30 kilometrów. Problemem były jednak niezwykle silne interakcje sił pływowych tego akwenu wodnego. Sprawiały one, że amplituda poziomu morza dochodziła do 10, a nawet 11 metrów. Innym problemem była wręcz niewiarygodna ilość wysp, wysepek i mieliżn w bezpośredniej bliskości portu i na podejściach do niego. Problemy związane z obecnością przeciwnika to również olbrzymia ilość min morskich i bliskość garnizonu KAL w Seulu.

³ Okres ten doskonale odmalowany został w filmie *Tae Guk Gi: The Brotherhood of War* (2004, reż. Kang Je-gyu).



Ryc. 2 Port i miasto Inczon

Inczon było miejscem, w którym dowódcy północnokoreańscy nie spodziewali się desantu z uwagi na warunki pływowe i oceanograficzne, w tym przede wszystkim ukształtowanie dna morskiego. Ale równie sceptyczne było dowództwo amerykańskiej Marynarki Wojennej. Poparcie dla wizji MacArthura było słabe, i to nawet ze strony admirała Jamesa Doyle’a weterana wielu kampanii amfibijnych i głównego planisty szykowanej właśnie operacji.

Sztabowcy sił ONZ uznali, że pierwszym etapem lądowania musi być zajęcie dwóch wysp portowych – Wolmi i Sowolmi. Pojemność operacyjną Wolmi oceniono na jeden batalion i takie właśnie siły zostały wyznaczone do jej opanowania. Atak miał nastąpić w czasie porannego przypływu. Piechota morska miała wylądować na Wolmi o 6:30 rano. Liczba północnokoreańskich obrońców na obu wyspach wynosiła łącznie 400.

Sceptycyzm admirała Doyle’a wynikał z trudności nawigacyjnych i niesprzyjających wpływów. We wrześniu 1950 roku wyliczenia wyjątkowo skomplikowanych zależności przewidywały jedynie trzydniowy okres optymalny dla lądowania.

Podejścia do Inczon były dwa – kanały Latającej Ryby i Wschodni. Idealnie nadawały się do zaminowania, a przy tym prądy w nich obecne były szybkie i niebezpieczne – od 3 do 8 węzłów. Samo kotwiczowisko portowe było niewielkie. Komandor Arlie G. Capps zauważył:

Sporządziliśmy listę wszystkich naturalnych i geograficznych utrudnień. Inczon miało je wszystkie.

Miasto Inczon położone jest przy ujściu rzeki Yom. Jego port posiada basen pływowy, w czasie operacji inwazyjnej dopiero w trakcie budowy. Linie brzegową stanowią błotniste równiny, zalewane dwa razy dziennie przez pływy. W ich apogeum woda podchodzi do wybudowanych ręką człowieka kamiennych ścian, które desantujący się żołnierze musieli sforsować, aby przedostać się w obręb portu. Właśnie te równiny były największym zagrożeniem dla lądujących żołnierzy. W przeciwieństwie chociażby do plaż Normandii, błota te nie pozwalały ani na wyładunek sprzętu, ani jakąkolwiek znaczącą aktywność logistyczną⁴. Było to o tyle istotne, że zapewnienie należytego zaopatrzenia oddziałom szturmowym i lądowanie kolejnych rzutów musiało odbywać się według ścisłego harmonogramu, czego nie ułatwiała ograniczona przestrzeń.

Okręty armady inwazyjnej były zmuszone do żeglugi wąskim kanałem na odcinku aż 34 mil. Zadanie obrońców

⁴ Kto miał do czynienia z błotem pływowym, ten wie, że jest to substancja „złośliwa”. Każda aktywność inna niż chodzenie kończy się tym, że człowiek jest oblepiony i utyłany błotem od stóp do głów, niczym Arnold szykujący się do finalnej konfrontacji z Predatorem.

było więc stosunkowo łatwe: dostęp mogło zablokować zaledwie kilka sprytnie rozmieszczonych baterii obrony wybrzeża i niewielka ilość zagród minowych. Główne podejście dla statków prowadzi od południa przez dwa wspomniane już sztucznie pogłębiane kanały żeglowne o długości około 80 kilometrów i głębokości około 10–20 metrów. Duże jednostki korzystały z wąskiego i krętego Kanału Latającej Ryby. Sam port dzieli się na zewnętrzny i wewnętrzny. Na granicy między nimi ulokowany jest falochron oraz dwie połączone groblą wyspy – Wolmi i Sowolmi. Podczas odpływu poza wąskim, pogłębionym kanałem o głębokości około 4 metrów cały port wewnętrzny zmieniał się w błotnistą równinę. Cumujące statki korzystały z basenu pływowego o wymiarach 500 na 220 metrów i głębokości 12 metrów.

Ściany, które znajdowały się naprzeciwko miejsc lądowania, pełniły funkcję blokującą najwyższe pływy przed wtargnięciem w głąb lądu. Każda sytuacja inna niż maksymalny przypływ czyniła je niemal niemożliwymi do sforsowania, tym bardziej, że szturmujący, mający desantować się późnym popołudniem, mieli na to zadanie jedynie 1–2 godziny światła dziennego. Zastosowano drabiny metalowe i drewniane produkowane w japońskim mieście Kobe, a także haki, liny i sieci desantowe

Słowem, warunki desantowania były wyjątkowo wredne. Planisci musieli dostroić się przede wszystkim do pływów – walczyli o różnicę mniejszą niż jeden metr. Optymalne maksimum pływy osiągały raz w miesiącu.

Do operacji wykorzystano okręty desantowe z czasów II wojny światowej. Musiały one mieć kilka metrów wody pod kilem, aby zbliżyć się do ścian przeciwpływowych. Największy problem był z transportem czołgów. LST (Landing Ship, Tank) wymagały około 6 metrów wody, by pojazdy mogły wyjechać na stały ląd, a nie zdradliwe



Ryc. 3. Okręt desantowy LST-750 w Inczon w październiku 1950.
W czasie odpływów osiadał on na polach błot pływowych.
Źródło: US National Archives.

i nieprzejezdne dla ciężkiego sprzętu blocko. Marynarka ustaliła 7 metrów przyptywu jako krytyczny punkt potrzebny jednostkom desantowym do dotarcia do miejsc lądowania.

MacArthur i jego planiści wybrali na dzień D opcję najszybszą – 15 września, ponieważ wtedy miał nastąpić przyptyw dający maksymalną głębokość wody w optymalnym dla pojawienia się pod Inczon momencie dnia. Poranny przyptyw 15 września nastąpił o 6:59, czterdzieści pięć minut po wschodzie słońca. Moment kulminacyjny przyptywu wieczornego, w czasie którego siły główne miały lądować przy porcie, miał nastąpić po godz. 19:00, dwadzieścia siedem minut po zachodzie słońca... a więc na styk.

Ryzyko jak 5000 do 1 oraz wybór miejsca

„Inczon to hazard z szansą jak 5000 do 1. Przywykłem do takich szans, ” miał rzec MacArthur. Ale ryzyko było skalkulowane i jak najbardziej warte podjęcia – mimo wielu oponentów w gronie decyzyjnym i mimo przeszkód terenowych, z jakimi należało się zmierzyć.

Rejon Inczon i Seulu był kluczowym węzłem logistycznym, z którego niczym z piasty koła rozchodziły się szprychy dróg i kolei. Zajęcie okolicy byłoby druzgoczącym ciosem dla logistyki KAL. Drugim istotnym składnikiem rozważań była kwestia tego, jak desant na tyłach wroga wpłynie na nacisk pod Pusan.

Wybór miejsca należy zacząć od wskazania jako cel wschodniego lub zachodniego wybrzeża. Wtargnięcie na teren kontrolowany przez nieprzyjaciela dawało więcej zysków po stronie zachodniej. Lądujący znaleźliby się bliżej tej aktywności nieprzyjaciela, której przerwanie było celem operacji. To właśnie zachodnia strona Korei była miejscem większości działań wojennych. Jest tak ze względu na ukształtowanie terenu, a więc nasycenie infrastrukturą komunikacyjną.

Jeśli więc brać pod uwagę już tylko zachodnie wybrzeże, realnie wchodzi w grę trzy miejsca: okolice Pyŏngyangu, Inczon i Kunsan. Pyŏngyang leży zbyt głęboko w głąb lądu, a przy tym za blisko Chin. Z kolei położone na południu Kunsan nie oferowało dostatecznie atrakcyjnych zysków strategicznych dla wysiłku operacyjnego.

Największą przeszkodą naturalną dla operacji były pływy. Wieczorny przypływ w dniu wyznaczonym do inwazji rozpoczynał się o 17:30, a zmierzch następował o 18:43. Z tego wynikał czas, jaki mieli do dyspozycji Marines na lądowanie, zajęcie przyczółka, wyładowanie zapasów i takie zabezpieczenie obszaru, które pozwoliłoby im przetrwać do następnego dnia. Konieczne było do tego, aby barki desantowe dla czołgów po dotarciu do

lądu nie zalewanego przez pływy zakotwiczyły i osiadły na odsłoniętym błotnistym dnie do czasu kolejnego przypływu. Gdyby rozpętały się zacięte walki nocne, walczący na przyczółku nie mogli liczyć na jakiekolwiek dodatkowe zaopatrzenie.

Planowanie a pogoda

Problemy na miejscu można było rozwiązać planowaniem, ale zjawiska pogodowe nie podlegały tym zabiegom. Wrzesień to apogeum sezonu tajfunów, które pojawiają się wtedy w obszarze Zachodniego Pacyfiku niemal jeden za drugim.

I tak tajfun Jane uformował się 3 września, a tajfun Kezia – 12 września. Ten drugi nawiedził dokładnie ten rejon Japonii, w którym gromadziła się flota inwazyjna zmierzająca do Inczon... na trzy dni przed wyznaczonym terminem lądowania. Zmusiło to wojska desantowe do przyspieszenia załadunku, ale nie uchroniło całej floty od rejsu w skrajnie niebezpiecznych warunkach sztormowych, przy prędkości wiatru dochodzącej do 140 km/h.

Dywersja i działania wywiadowcze

Przed operacją, w ramach dywersji, po przeciwnej stronie Półwyspu Koreańskiego pancernik „Missouri” miał ostrzelać cele na wybrzeżu, w tym węzeł kolejowy i port Samch’ok. Siły dywersyjne miały też upozorować atak na Kunsan.

Wywiad potwierdzał przypuszczenie MacArthura z końca sierpnia – Koreańczycy z Północy skoncentrowali praktycznie wszystkie swoje zasoby ofensywne wokół zamkniętej w Pusan 8 Armii. Z kolei 28 sierpnia Sekcja G2 X Korpusu przekazała swoje szacunki co do nasycenia wojskami rejonu Seulu. W samej stolicy miało być załedwie około 5000 żołnierzy, a w Inczon 1000. Łącznie

w całym rejonie miało stacjonować 6500 żołnierzy. Szacunki te pozostały niemal niezmienione aż do dnia lądowania.

Podobnie było z północnokoreańskimi siłami powietrznymi i marynarką. Planiści operacji uznali, że obie formacje nie mają zasobów do przeciwstawienia się lądowaniu. Dowództwo Dalekiego Wschodu pod koniec sierpnia szacowało, że północnokoreańskie siły powietrzne dysponowały jedynie dziewiętnastoma przestarzałymi samolotami produkcji sowieckiej. Północnokoreańska marynarka wojenna zaś w praktyce nie istniała. To „prawie” zmateriałowowało się m.in. jako mały stawiacz min, który 7 września został zatopiony przez południowokoreański patrolowiec.

Optymistycznie szacowano też zdolność strony komunistycznej do wzmacniania rejonu Inczon–Seul. W rejonie funkcjonowały tylko jednostki łączności i nowo sformowane oddziały liniowe o bardzo niskim poziomie wyszkolenia. Rozpoznanie lotnicze wykryło intensywny ruch od granicy z Mandżurią. Było to niewątpliwie wsparcie chińskie. Aktywność ta nie dawała podstaw przypuszczać, że Koreańczycy z Północy dowiedzieli się jakoś o mającej rozpocząć się za chwilę potężnej operacji.

Dodatkowo grupa Marines dowodzona przez porucznika marynarki Eugene’a Clarka wylądowała na Yonghung, innej wyspie w pobliżu portu, położonej na południe od niego. Stamtąd żołnierze drogą radiową przekazywali informacje wywiadowcze siłom inwazyjnym.

Siedem dni przed atakiem na Inczon CIA i wywiad wojskowy zainicjowały akcję zwiadowczą o kryptonimie „Trudy Jackson”. Do Inczon przedostał się oddział partyzancki. Bojownicy zebrali od mieszkańców informacje o pływach, właściwościach portowego błota, falochronach i fortyfikacjach. W odwecie za pomoc udzieloną Clarkowi komuniści rozstrzelali blisko 50 cywilów.

Najważniejszym osiągnięciem tej operacji było ponowne

uruchomienie latarni morskiej na wysepce Palmi. Kiedy Koreańczycy z Północy odkryli, że alianccy agenci wkroczyli na półwysep Kimpo na północy, wysłali oddział celem wyrzucenia stamtąd wroga. Marines zamontowali karabin maszynowy na sampanie i zatopili łódź wiozącą żołnierzy KAL.

Flota inwazyjna wyrusza

Pod koniec sierpnia port Pusan w Korei Południowej oraz porty Jokohama, Kobe i Sasebo w Japonii tętniły od aktywności. W Kobe okrętowano 1 Dywizję Piechoty Morskiej, kiedy 3 września nad port nadciągnął kolejny tajfun – Jane. Wszelkie operacje zawieszono. Tymczasem dziesięciometrowe fale, pchane wiatrem dmącym z prędkością do 180 km/h uszkadzały infrastrukturę i zgromadzone jednostki. Pękały stalowe liny o grubości 6 centymetrów!

Tajfun nie przeszkodził flocie inwazyjnej w dotrzymaniu terminu załadunku i wypłynięcia z Kobe. Pracujący mieli motywację – z południowego zachodu zbliżał się szybko kolejny tajfun, kapryśnie zataczająca się Kezia⁵. Flota inwazyjna płynęła ku Inczon w forpoczcie nierozwiniętej w pełni jej niszczycielskiej siły. Wiatr osiągał prędkość zaledwie 100–110 km/h. Skończyło się na poprzesuwanym ładunku w ładowniach i lekkich uszkodzeniach tego,

⁵ Wybrzeże kontynentalne Azji Wschodniej jest osłaniane przed pełną siłą tajfunów przez wyspy takiej jak Tajwan, na które tajfuny spadają od strony otwartego oceanu, po czym nad stałym lądem tracą swoje źródło zasilania i zanikają. Tajfun to samoistnie powstający silnik termodynamiczny zasila-ny ciepłem wód oceanicznych. W dość rzadkich przypadkach kurs tajfunów może się „podkręcić”, co miało miejsce np. latem 2023 roku. Jeden z tajfunów przeszedł obok Tajwanu łukiem, by od południa wtargnąć idealnie w Cieśninę Tajwańską. Potężny żywioł wrył się w kontynent tuż przy mieście Xiamen, dokładnie na wysokości środka wyspy Tajwan. Jej wysokie na ponad 3000 metrów łańcuchy górskie zwykle znacząco redukują niszczycielską siłę wiatru, osłaniając stały ląd. Efektem podkręcenia były wyjątkowo duże straty, wynikające z braku zwykle niepotrzebnych przygotowań przeciwpowodziowych. Właśnie takim anomalnym kursem poruszała się Kezia.

co ułożono na pokładach. Z tajfunem zmagał się też wiozący z Kalifornii 110 samolotów lotniskowiec „Boxer”. Po całonocnych zmaganiach z tajfunem zawitał na krótko w japońskim porcie Sasebo, by z pełną prędkością ruszyć w ślad za zespołem docierającym już do Inczon.

Przygotowanie artyleryjskie

Ataki lotnictwa izolujące obszar Inczon od wsparcia i odsieczy, rozpoczęły się 4 września. Od 10 września celem priorytetowym była wysepka Wolomi, poddana bombardowaniu napalmem. Zrealizowano także rajd sił morskich. Dwa dni przed lądowaniem, 13 września o 10:10 rano, amerykańskie ciężkie krążowniki i sześć niszczycieli oraz dwa brytyjskie lekkie krążowniki podpłynęły pod port, by ostrzelać instalacje obronne.

Był to moment odpływu, dobrany celowo. Dzięki temu zespół realizujący rajd wykrył w Kanale Latającej Ryby pole minowe, odsłonięte przez niską wodę. Część min udało się zniszczyć ogniem pokładowych działek przeciwlotniczych. Nabrzeżne baterie dział 75 mm podjęły pojedynek artyleryjski, powodując na okrętach małe uszkodzenia.

IV

Rejs i desant

261 okrętów z siedmiu krajów utworzyło Joint Task Force 7 (Połączony Zespół Zadaniowy 7, JTF 7) dowodzony przez wiceadmirała Arthura Struble’a. Okrętom nawodnym wyznaczono strefę buforową 12 mil morskich od terytorium sowieckiego lub chińskiego. Siłom powietrznym wyznaczono w tym samym celu 20 mil.

Na Wolmi miał wylądować o 6:30 15 września (w ówczesnym żargonie to dzień D i godzina L), czyli podczas porannego przypływu, 3 batalion 5 Pułku Marines. Po opa-

nowaniu wysepki główny desant – 1. i 5. batalion piechoty morskiej – miał rozpocząć akcję około 17:30 (dzień D, godzina H).

Nawigatorzy dziewiętnastu statków przeprowadzili je przez kręty, zdradliwy Kanał Latających Ryb. Jim Holdman, sternik na jednym z okrętów desantowych, wspominał:

Jeden fałszywy ruch i utknąłbyś pośrodku wielu mil błotnistych równin [...]. To było jak nawlekanie igły z zawiązanymi oczami⁶.

Aktywność zespołu inwazyjnego zainicjowały o 5:00 rano Corsairy piechoty morskiej, startujące z lotniskowców i kierujące się na Wolmi. Pierwszym dwu samolotom udało się zaskoczyć wóz opancerzony jadący groblą łączącą wyspę i port. Reszta ostrzelała cele na wzgórzach, na których ustała wszelka widoczna aktywność.

Wolmi, czyli Wyspa Księżycowego Czubka, jak można przetłumaczyć jej nazwę, to w większości okrągłe, skaliste Wzgórze Radiowe, o średnicy stożka około 900 metrów. Wznosi się ono na 110 metrów ponad poziom morza. Poznaczony jaskiniami teren obrońcy urozmaicili okopami, schronami i stanowiskami armat.

Wielkie działa amerykańskich krążowników „Toledo” i „Rochester” oraz brytyjskich „Kenya” i „Jamaica” zdawały się wstrząsać całym Morzem Żółtym. Ostrzał prowadziły też niszczyciele i przekształcone w okręty rakietowe okręty desantowe średniej wielkości. Wszystkie te jednostki rąbały bez litości w nieszczęsną Wolmi.

O 5:45 krążowniki przeniosły ogień na samo miasto Inczon. Wyspa Wolmi wciąż była całkowicie przesłonięta kłębam dymów, gdy nad obszarem kontrolowanym przez wroga pojawiły się Corsairy wsparcia powietrznego.

O 5:50 padł rozkaz dowodzącego operacją Searsa:

⁶ Bill Sloan, *The Darkest Summer*, Simon & Schuster 2010, r. 12.

„Wyładować siły desantowe”. Barki uformowały się w zwartą grupę i skierowały ku Wolmi. Dla podniesienia morale atakujących i zduszenia oporu obrońców Corsairy bez przerwy bombardowały „plażę” rakietami i ostrzeliwały ją z broni pokładowej. Gdy jednak łodzie desantowe LCVP zaszorowały dnami o piasek „Plaży Zielonej”, cała ta kanonada ustała. Przez chwilę panowała zupełna, nie-rzeczywista cisza. Zaraz potem ostrzał z morza przeniósł się w głąb wysepki.

Operację dowodzono z „Mt. McKinley”, który zajął pozycję około milę od brzegu. Na jego pokładzie generał MacArthur wyszedł na mostek i podniósł lornetkę do oczu. Patrzył na coś, co stanie się najsłynniejszym wyczynem w jego wojskowej karierze – odwracający bieg całej wojny desant pod Inczon.

Wtedy wyczekujące końca akcji artyleryjskiej okręty desantowe uporządkowały szyki i ruszyły ku Wolomi. Linie startową przekroczyły o 6:25, co zaanonsowały głośniki na stanowisku dowodzenia MacArthura.

Jednostki desantowe miały do pokonania dystans niecałych 2 kilometrów. Pierwszy rzut zarył dziobami w błoto dokładnie o 6:33. Marines nie napotkali oporu. Nieliczne grupy nieprzyjaciela stawiały go już tylko w trakcie zabezpieczania wyspy. Podczas zdobywania Wolmi i Sowolmi batalion piechoty morskiej zabił 108 żołnierzy wroga i wziął do niewoli kolejnych 136. Około setka kolejnych, ukryta w kilku jaskiniach, odmówiła poddania się – została więc zasypana przez czołgi-spychacze. Marines szybko opanowali Wzgórze Radiowe i sierżant Alvin E. Smith umieścił na jego szczycie amerykańską flagę.

Późniejsze analizy i przesłuchania jeńców wykazały, że dobrze zaplanowaną obronę rozbiło amerykańskie przygotowanie artyleryjskie. Stanowiska ogniowe nad „Plażą Zieloną” nie zostały nawet obsadzone. Niezależnie od tego

żadna z baterii na stałym lądzie nie mierzyła w samą wyspę Wolmi. Za ten kluczowy skrawek lądu Marines zapłacili symboliczną liczbą siedemnastu rannych. Zero zabitych.

Sowolmi połączona jest z Wolmi długą na 700 metrów groblą. Na wysepce znajdowała się latarnia morska, pilnowana przez niewielki garnizon. Krótco przed 10:00, a więc 2 godziny po zabezpieczeniu Wolmi, kompania G rozpoczęła atak na ten obiekt. Dowódca kompanii, porucznik Robert Bohn, wyznaczył do akcji oddział strzelców, sekcję karabinów maszynowych i sekcję czołgów. Siły szturmowe wpadły pod ciężki ostrzał natychmiast, gdy tylko pojawiły się na grobli. Niemniej rezultat mógł być tylko jeden – Sowolmi przeszła w ręce atakujących.

Ten sukces pierwszej fazy operacji w niewielkim stopniu pocieszał Marines szykujących się do popołudniowego szturm na samo miasto Inczon.

Zdobycie portu

Po zajęciu dwóch portowych wysepek nieprzyjacieli był już w pełni zaalarmowany. Teoretycznie więc drugi rzut, mający wylądować po południu i zdobyć port, czekało znacznie cięższe zadanie.

Pierwsza fala Marines przekroczyła mur na „Plaży Czerwonej” o 17:33. Większość ludzi z kompanii A w czternastu łodziach z pierwszych trzech fal wspięła się po murze za pomocą metalowych drabin i drabinek sznurowych. Niektóre jednostki desantowe wysadziły żołnierzy na wprost szczyb, jakie powstały w murze w czasie przygotowania artyleryjskiego.

W ciągu 24 godzin od głównego lądowania 1 Dywizja Piechoty Morskiej zajęła i utworzyła wyniesiony poza oddziaływanie pływów teren na wschód od Inczon. Obszar był wystarczająco rozległy, aby przeciwdziałać jakimkolwiek próbom kontrataku przeciwnika bądź ostrzału rejonu

portu, w którym zespół inwazyjny z pełnym zaangażowaniem rozładowywał sprzęt i zaopatrzenie potrzebne do ataku na Seul.



Ryc. 4. Marines forsujący częściowo uszkodzony mur morski.
Fot. US National Archives, domena publiczna.

V

Ofensywa z worka pusańskiego i zdobycie Seulu

Wojska ONZ pod Pusan, budujące swoją siłę przełamującą w ciągu poprzednich tygodni, miały rozpocząć ofensywę natychmiast po rozpoczęciu lądowania pod Inczon. Chodziło o to, by związać wszystkie siły wroga zaangażowane przeciwko 8 Armii i uniemożliwić im wycofanie się z południowej Korei. Plan MacArthura zakładał, że

8 Armia wyrwie się spod Pusan i goniąc wycofującego się przeciwnika, połączy siły z X Korpusem w Inczon.

Akcja wyjścia z okrążenia rozpoczęła się już następnego dnia po lądowaniu pod Inczon. Wystarczyło kilka dni, by linie otaczającej worek armii północnokoreańskiej zostały całkowicie zdeorganizowane. Dokładnie taki efekt chcieli osiągnąć Amerykanie. Zespół zadaniowy, na którego czele sunęła szpica pancerna, ruszył, nie dając przeciwnikowi wytchnienia. Wystarczyło zaledwie dziesięć dni, aby wojska te połączyły się z siłami desantowymi, które wylądowały pod Inczon i przez kilka dni samodzielnie prowadziły zaciekle walki o Seul.

Spośród 70 tysięcy żołnierzy KAL skoncentrowanych pod Pusan ponad połowa została zabita lub wzięta do niewoli. Ponieważ jednak siły ONZ skoncentrowały się na zajęciu Seulu, a nie na odcięciu KAL i uniemożliwieniu jej odwrotu na północ, pozostałe 30 tysięcy północnokoreańskich żołnierzy zdołało się wycofać na pozycje ostatniej szansy nad rzeką Jalu.

VI

Poziom strategiczny

Zdobycie lotniska Kimpo i atak na rzekę Han

Lotnisko w Kimpo było największą bazą lotniczą na całym Półwyspie Koreańskim. Po zakończeniu II wojny światowej Amerykanie bardzo je rozbudowali, dzięki czemu mogło one przyjmować nawet ciężkie bombowce. Lotnisko zostało zajęte 17 września, bez napotykania znaczącego oporu. Nie obyło się bez innych pozytywnych niespodzianek – następnego dnia w miasteczku na zachód od Sosy amerykańskie oddziały znalazły magazyn z 2 tysiącami ton nadającej się do użytku amunicji do amerykańskich dział, moździerzy i karabinów maszynowych, który wojska Północy zdobyły w czerwcu.

Seul

Z każdym dniem opór przeciwnika na drodze do Yongdungp'o wzrastał. Zwiad powietrzny i raporty pilotów samolotów wsparcia pola walki zgodnie informowały o znacznych grupach wojska docierających do Seulu od północy. Jednocześnie desant pod Inczon zastał w stolicy północnokoreańską 18 Dywizję, będącą w drodze na południe. Gdy Amerykanie wylądowali i zdobyli port, dywizję natychmiast skierowano do odbicia miasta.

Dowództwo Marines oszacowało łączną liczebność wojsk Północy na 20 tysięcy żołnierzy. Już 17 września oddziały inżynieryjne rozpoczęły rozpoznanie podejść do rzeki Han w pobliżu Seulu.

MacArthur czuł się zobowiązany do dotrzymania obietnic złożonych rządowi Korei Południowej, aby jak najszybciej odbić stolicę. Wyzwolenie miasta gen. Almond ogłosił już 25 września, mimo że Marines wciąż byli zaangażowani w walki. Z północnych przedmieść wciąż grzmiał ostrzał artyleryjski.

Trwająca cały tydzień batalia o Seul była wyczerpująca. KAL starała się opóźnić utratę miasta, licząc na dotarcie sił uciekających spod Pusan. Nadzieje te jednak – dzięki znakomitemu zgraniu akcji po stronie wojsk ONZ – zawiodły. Komuniści musieli porzucić Seul.

Sytuacja geostrategiczna

Te jednostki KAL, którym odcięto drogę ucieczki na północ, utraciły spójność i poszły w rozsypkę, porzucając gigantyczne ilości sprzętu i zaopatrzenia. Z łącznie 130 tysięcy żołnierzy północnokoreańskich operujących na Południu w przededniu lądowania pod Inczon, udało się ujść pod granicę chińską zaledwie 30 tysięcy.



Ryc. 4. Rejon Inczon i Seulu

MacArthur rozważał przeprowadzenie kampanii w Korei Północnej jeszcze przed lądowaniem pod Inczon. Te rozważania nigdy nie wykraczały poza ustanowienie linii w poprzek tak zwanej talii Korei, od Pyŏngyangu na zachodzie do Wŏnsan na wschodzie. 27 września otrzymał zezwolenie na działania na północ od 38 równoleżnika z tym wszakże zastrzeżeniem, by w ograniczyć je przypadku interwencji rosyjskiej lub chińskiej.

Cel wojny wyznaczony siłom ONZ został rozszerzony. Jak ogłosiło 7 października Zgromadzenie Ogólne ONZ, miał on obejmować okupację całej Korei Północnej i eliminację KAL jako zagrożenia dla politycznej odbudowy Korei w postaci jednego narodu i jednego państwa. W tym celu jednostki ARK przekroczyły 1 października 38 równoleżnik. Oddziały armii amerykańskiej zrobiły to sześć dni później. 1 Korpus ARK maszerował szybko wzdłuż wschodniego wybrzeża, wygrywając wyścig o Wŏnsan. Zadanie zajęcia Pyŏngyangu spadło na I Korpus amerykański. Zrealizowano je 19 października. 27 października jednostki ROK dotarły do rzeki Jalu.

Rząd Kim Il-sunga, z resztkami dziewięciu dywizji KAL, wycofał się do górskiego miasta Kangye. Dwie inne dywizje, w towarzystwie radzieckich doradców i obrony powietrznej, walczyły na północny zachód w kierunku rzeki Jalu i chińskiej granicy w Sinŭiju. Dowództwo wojsk ONZ uznało, że KAL straciła wolę walki. W rzeczywistości oczekiwało ono na nadejście uzgodnionej pomocy z Chin. To właśnie postępy sił ONZ w kierunku rzeki Jalu pozwoliły chińskiemu przewodniczącemu Mao Zedongowi „przekonać swój naród”, że Chiny muszą interweniować w Korei Północnej, aby zapobiec „inwazji Stanów Zjednoczonych na Chiny”.

27 października napotkano oddziały chińskie, które przeprowadziły serię udanych ataków i zasadzek już pierwszego dnia kontaktu z siłami ONZ. Przesłuchiwani chińscy dezterterzy zeznali, że w górach za Jalu armia chińska szykuje się do przeprowadzenia potężnego kontrataku. Sytuacja się zaogniała.

MacArthur poprosił prezydenta Harry’ego Trumana o pozwolenie na zbombardowanie chińskich baz w Mandżurii. Truman, chcąc zapobiec eskalacji konfliktu, odmówił. Gdy MacArthur próbował podważać pozycję prezydenta Trumana, ten odsunął go od dowodzenia. Oficjalnym uzasadnieniem było to, że generał wygłaszał publiczne oświadczenia sprzeczne z polityką wojenną administracji.

□

Podsumowanie i praktyczne sposzczerzenia na wynos

A. Ego większe od Galaktyki Andromedy

W czasie lądowania pod Inczon, dwa dni po zajęciu Wolmi, o świcie 17 września na stały ląd zstąpił w chwale sam gen. Douglas MacArthur. Zrobił to w typowym dla siebie gwiazdorskim stylu – otoczony światą generałów, admirałów i błyskających fleszami reporterów. Budujący swój wizerunek generał wyposażył się we wszystkie swoje atrybuty: ikoniczną czapkę, skórzaną kurtkę lotniczą, okulary słoneczne i fajkę. MacArthur był mistrzem rozgrywania motywacji i wyzyskiwał swoją widzialną dla szeregowych żołnierzy obecność do maksimum.

Następnym racjonalnym powodem obecności tak blisko „przedniego skraju pola walki”⁷ była chęć osobistego przekonania się, czy poczynione przed operacją plany wymagają dostrojenia do realiów. MacArthur traktował tego typu operacje i swoją obecność na polu walki jako „rozpoznanie bojowe” (ang. *reconnaissance in force*), mające powiększyć zdolność adaptacyjną całej organizacji i zminimalizować opóźnienia w podejmowaniu decyzji⁸. To dlatego właśnie po zejściu na ląd udał się w rejon walk. Identycznie postąpił na początku wojny – gdy 28 czerwca Seul wpadł w ręce KAL, a morale armii południowokoreańskiej

⁷ Ang. *forward edge of battle area*. Anglojęzyczne określenie żargonowe na linię kontaktu bojowego z nieprzyjacielem.

⁸ M.W. Cagle, *Inchon—The Analysis Of A Gamble*, “U.S. Navy Institute Proceedings” 1954, t. 80/1/611, dostęp pod adresem: <https://www.usni.org/magazines/proceedings/1954/january/inchon-analysis-gamble> [dostęp: 2024-03-31].

znajdowało się na krawędzi zapaści, MacArthur oderwał się od swojej pracy w okupowanej Japonii i przyleciał do Korei, w sam środek bitwy o stolicę, aby ocenić sytuację z możliwie najbliższej perspektywy. MacArthur wraz ze świtą wylądował na lotnisku na południe od Seulu, które kilka godzin wcześniej zostało ostrzelane przez artylerię wroga, a następnie udał nad rzekę Han, na krawędź obszaru ostrzeliwanego przez północnokoreańskie moździerze. To właśnie ta wizyta pozwoliła mu stwierdzić, że armia Południa jest na granicy zupełnej zapaści, a więc niezbędne jest wysłanie kontyngentu wojsk amerykańskich.

Tu na myśl przychodzi mistrzowska scena z filmu *Byliśmy żołnierzami* (2002, reż. Randall Wallace), w której amerykański dowódca, czując moment załamania obrony, wstaje, chłonie przez chwilę całym sobą wszystko to, co dzieje się wokół i dopiero wtedy daje brzemienny w konsekwencji sygnał „Broken Arrow”, ściągający nad pole bitwy całe dostępne wsparcie powietrzne).

Tak właśnie MacArthur kształtował swoją wizję strategiczną, którą sam zresztą skwitował bon motem „Nie mogę z nimi walczyć, jeśli ich nie widzę”. A „widzenie” jest tu właściwym słowem, gdyż MacArthur ewidentnie – nawet mimo przykrej wpadki w postaci kompromitującego zaniedbania przygotowań na wypadek japońskich ataków na rozmieszczone na Filipinach lotniska na początku wojny z Japonią w 1941 roku – miał zdolność widzenia i działania poza horyzontem wyobraźni innych ludzi.

B. Inspirujący argument

W czasie debat MacArthur przywołał jako argument przykład historyczny – zajęcie miasta Quebec przez brytyjskiego generała Jamesa Wolfe’a w 1759 roku, w czasie wojny o panowanie w Ameryce Północnej (1756–1763, zob. s. 344). 5000 żołnierzy dowodzonych przez Wolfe’a wspięło się na stromy nadrzeczny klif, by znaleźć się na tyłach

kontrolowanego przez Francuzów miasta. Spektakularne zwycięstwo doprowadziło szybko do brytyjskiego zwycięstwa w wojnie. Przywołanie tych wydarzeń było mistrzowskim aktem retorycznym – odwoływało się do jednego z najbardziej błyskotliwych zwycięstw zapisanych w annałach anglosaskiej historii militarnej. Generał zasługujący na swoją rangę powinien mieć dziesiątki takich historycznych przykładów w rękawie, gotowych do użytku po to, aby mógł narzucić swoją wolę nie tylko przeciwnikowi, ale i niezdecydowanym, sceptycznym bądź bojącym się podejmowania ryzyka podwładnym.

Należy oczywiście zastrzec, że zdolność wstępowania na wyżyny sztuki retorycznej ma działać na rzecz śmiałości i rzetelnych, racjonalnych rozważań. Nie może być sposobem zasłaniania słabych punktów planu i obroną ego. Dyskutując z równymi, wyższymi i niższymi od siebie dowódcami na miejscu i decydentami z Waszyngtonu, MacArthur nie próbował podskoczyć wyżej własnej dupy – przywołał przykład Quebecu dopiero po tym, jak wysłuchał wszystkich argumentów przedstawionych przez swoich interlokutorów.

Śmiała operacja była, co zdaje się, przeważała, niezbędną w tamtym momencie wojny. Owszem, ryzyko było nadzwyczaj wysokie i trudne do skalkulowania. Alternatywą było jednak ugrzęźnięcie w wojnie na wyniszczenie. MacArthur stwierdził to wprost:

Jedyną alternatywą dla takiego uderzenia, jakie proponuję, byłaby kontynuacja najwyższego poświęcenia, jakie ponosimy... bez nadziei na odwrócenie biegu rzeczy w zasięgu wzroku. Czy jesteście zadowoleni z tego, że nasi żołnierze tkwią na perymetrze [Pusan] jak bydło w rzeźni? Kto weźmie odpowiedzialność za tę tragedię? Z pewnością nie ja... Musimy działać teraz, albo zginiemy.



Ryc. 4. USS „Missouri” ostrzeliwuje północnokoreańskie miasto portowe Chongjin, październik 1950. Źródło: US National Archives, domena publiczna.

C. Strategiczne przepychanki i broń atomowa

Trzecim typem parametrów decyzji były przesłanki polityczne. Śmiała operacja zakończona zajęciem Seulu to nadzwyczajna nagroda psychologiczna i zastrzyk wiary w siebie u walczących – od prostych żołnierzy po decydentów politycznych i sojuszników. Tu dochodzimy do wpływu sukcesu pod Inczon na decyzje chińskie w kwestii wsparcia wysiłku wojennego Korei Północnej.

Główne uderzenie chińscy ochotnicy wykonali w północno-zachodniej części półwyspu. W jego wyniku został rozbity południowokoreański 2 Korpus. Przemieszczone oddziały bezładnie wycofały się na południowy zachód. Dowództwu wojsk ONZ udało się co prawda przywrócić ciągłość frontu poprzez wprowadzenie do działań odwodów strategicznych, lecz kolejna ofensywa chińsko-koreańska przekreśliła te wysiłki. Pod impetem atakującego przeciwnika wojska ONZ rozpoczęły strategiczny odwrót. Według szacunków wywiadu amerykańskiego na froncie było już 450 tysięcy „ochotników” chińskich a dalsze 900 tysięcy skoncentrowano w Mandżurii. Na początku grudnia MacArthur zażądał od prezydenta Trumana zgody na użycie przeciw Chinom broni atomowej.

Według planów generała kilkanaście ładunków nuklearnych zniszczyłoby odwody chińskie oraz stworzyło „strefę radioaktywną” wzdłuż granicy chińsko-koreańskiej. Zdecydowany sprzeciw Trumana stał się przyczyną ostrego konfliktu między Waszyngtonem a dowództwem w Korei. Sytuacja uległa dalszemu zaognieniu, gdy prezydent nie zezwolił na bombardowanie mostów na rzece Jalu i odrzucił propozycję wprowadzenia do działań wojsk Republiki Chińskiej (Tajwanu).

W grudniu wojska komunistyczne odbiły Pyöngyang oraz odcięły od sił głównych X Korpus Amerykański.

Przed całkowitym rozbiem wojska te uratowała ewakuacja drogą morską. 25 grudnia Koreańska Armia Ludowo-Wyzwoleńcza i oddziały „ochotników chińskich” przekroczyły 38 równoleżnik a 4 stycznia zajęły Seul. Siły te zostały zatrzymane kilkanaście kilometrów na południe od stolicy Republiki Korei.

W powojennych analizach nie kwestionowano nigdy tego, że bezpośrednią konsekwencją operacji „Chromite” było przystąpienie Chin do konfliktu. Jednocześnie wzrost „siły oddziaływania” MacArthura po spektakularnym sukcesie jego operacji pod Inczon doprowadził do konfliktu, który powoli przybierał charakter sporu o prymat czynnika politycznego nad wojskowym. Eskalacja sprzecznych dążeń generała i prezydenta Trumana doprowadziła do odwołania MacArthura ze stanowiska głównodowodzącego. Zastępcą wielkiego Douglasa MacArthura został generał Matthew B. Ridgway. ■

Temat II

Przełomy technologiczne



Karaka i galeon

Impuls innowacyjny
kontra wszechpotężne imperium

*Krucjaty to zwycięstwo francuskiej monarchii nad
muzułmańską anarchią.*

*francuski historyk René Grousset
(1885–1952, parafraza)*

Po co?

Na karace Krzysztof Kolumb odkrył Amerykę w 1492 roku. Na karace Vasco Da Gama opłynął Afrykę i otworzył drogę do ustanowienia portugalskiego imperium kolonialnego. Karaka była pierwszym typem statku, który opłynął całą naszą planetę.

Karaka to statek żaglowy opracowany pod koniec XV wieku w Hiszpanii i Portugalii. Łączył w swojej konstrukcji osiągnięcia technologii Morza Śródziemnego oraz Morza Północnego i Bałtyku. To, że karaka była pierwszą europejską jednostką morską zdolną do podróży oceanicznych, wynikało z jej pochodzenia od popularnej na Bałtyku jednostki handlowej – kogi.

Państwa Półwyspu Iberyjskiego wypracowały projekt Karaki w jednym celu. Podjęły ambitną próbę ustanowienia szlaku handlowego, który dałby im dostęp do obszarów uprawy przypraw i innych dóbr, na który bezwzględny monopol mieli handlarze muzułmańscy, przede wszystkim ci z rosnącego gwałtownie w siłę Imperium Osmańskiego.

Sytuacja strategiczna Europy

Francuski historyk, którego *bon mot* jest mottem tego eseju, trafił w dziesiątkę. Podzielona politycznie Europa, a ogólnie świat chrześcijański, nie potrafił wygenerować dość siły (jedności), aby oprzeć się inwazji islamu. Aż do czasu, kiedy został osiągnięty należyty poziom spójności politycznej. Ruch krucjatowy, odnoszący początkowo sukcesy, został definitywnie zakończony przegraną przez Chrześcijaństwo bitwą pod Nikopolis (współcześnie północna Bułgaria) w 1396 roku.

Upadek Konstantynopola w 1453 roku oderwał zaś z ciała chrześcijańskiego świata jego bodaj najbardziej prosperujący kawałek. Ale upadek Konstantynopola był przede wszystkim przejawem pojawienia się nowego, wielkiego ośrodka cywilizacyjnego. Było nim Imperium Osmańskie, które całkowicie zablokowało jakiegokolwiek nadzieje Europy na dostęp m.in. do wysp południowo-wschodniej Azji, będących źródłem przypraw oraz Indii, będących miejscem produkcji tkanin i barwników. Ostateczne zakończenie rekonkwisty (wyzwolenia z obecności muzułmańskiej Półwyspu Iberyjskiego) w 1492 roku tylko pozornie równoważyło utratę Konstantynopola. Zwycięstwo było możliwe wyłącznie dlatego, że w rejonie hiszpańskim istniały silne militarnie i kulturowo państwa muzułmańskie, ale żaden ośrodek cywilizacji klasy Bizancjum. Determiniści geograficzni mogą teraz przerwać lekturę tej książki i otwierać szampana.

Clou problemu europejskich mocarstw leżało w tym, że Europejczycy nie posiadali technologii niezbędnych ani do opłynięcia Afryki, ani do stworzenia przewagi militarnej w starciu, które doprowadziłoby do zniszczenia osmańskiej kontroli nad akwenem zachodniej części Oceanu Indyjskiego. Brakującą technologią, która pojawiła się pod koniec XV wieku była właśnie karaka.

Uzbrojenie wersji bojowych

Karaka była absolutnym cudem technologicznym tamtych czasów. Stała się nim dzięki połączeniu innowacji wygenerowanych przez odległe od siebie i izolowane ośrodki skutnicze Morza Śródziemnego i Morza Północnego. Pierwsze statki tego typu zostały opracowane przez Portugalczyków i Hiszpanów. W największym skrócie, były one produktem końcowym natchnionego projektu rozwoju nawigacji, który zainicjował portugalski władca Henryk Żeglarz. Jego dalekosiężną wizją było stworzenie okrętu zdolnego opłynąć afrykę oraz pozyskać wiedzę o akwenach przylegających do jej wybrzeży.

Największą zaletą całego projektu była jego „skalowalność”. Kolejne ulepszenia finansowały się same, gdyż pozwalały na nawiązywanie handlu z ośrodkami położonymi coraz dalej od macierzystej Portugalii i Hiszpanii. Koncepcję karaki stale ulepszano, aż w końcu stały się połączeniem statku handlowego i okrętu wojennego, zbalansowanym idealnie do epoki, jak i zadania, do jakiego był rozwijany. W tym eseju interesują nas jego zdolności ofensywne.

Drednot piętnastego wieku

Zbudowany w 1906 roku HMS „Dreadnought” był radykalnie nową konstrukcją, skomponowaną praktycznie „od zera”. Skupiała ona w sobie wszystkie innowacje morskich technologii militarnych początku XX wieku: artyleria główna jednolitego kalibru, brak dział pomocniczych, nowy napęd, centralne sterowanie ogniem itp.

Karaka, choć do kształtu, w której pomogła Europejczykom odkryć resztę świata, ewoluowała znacznie dłużej, była równie przełomowa. Kluczową cechą karaki, dającą jej przewagę nad wszystkim, co mogły wystawić mniej zaawansowane technologicznie mocarstwa, było przejście

z napędu wiosłowego na napęd żaglowy i ulokowanie dział pokładowych na burtach. Ówczesny poziom technologii, a więc przede wszystkim nośność broni pokładowych, sprawiał, że główną taktyką bitewną było taranowanie i abordaż. W akwenie Morza Śródziemnego napędem dającym optymalną manewrowość i niezależność od wiatru były wiosła. Od starożytności.

To właśnie się zmieniło. Karaki były statkami napędzanymi żaglami. Uwolniło to burty dla balist, a potem dla artylerii prochowej. Salwa burtowa kilku, a potem już kilkunastu dział była czymś, czym nie dysponował nikt inny – przełamującą siłą ognia, zdolną do zniszczenia przeciwnika na dystans¹, zanim doszło do rozstrzygnięcia abordażowego. **Statki mogły stać się pływającymi fortami**, których zdolność bojowa osiągnęła perfekcję w postaci okrętów liniowych początku XIX wieku.

Zanim artyleria rozmieszczona na burtach rozpowszechniła się, Portugalczycy zdążyli opłynąć Afrykę i złamać osmański system handlu na Oceanie Indyjskim w kluczowej bitwie o Diu w 1509 roku². W bitwie o kluczowy port osmańskiego imperium handlowego przewagą portugalską były nowoczesne, europejskie działa większego kalibru niż te, którymi dysponował przeciwnik, znacznie lepsza manewrowość oraz właśnie mordercza salwa burtowa. Przewaga Portugalczyków osiągnęła poziom „miażdżący”, gdyż była wieloczynnikowa. Broniący portu memeluccy Osmanie, choć także mieli kilka karak, nie zdołali wygenerować kontrsiły pozwalającej im bić się na równych warunkach.

Konstrukcja karaki

Postęp inżynierii okrętowej kumulował się przez całe stulecie i w XV wieku bezustannie udoskonalane karaki

¹ Zob. „Koncentracja siły ognia” (III.10) w P. Plebaniak, *Sun Zi i jego Sztuka wojny*, Chiron, Kraków 2023.

² Zob. #PG IX.3, „Portugalski epizod imperialny”.

stały się zdolne do podróży oceanicznych. Ich walory użytkowe wynikały z wielkości dostatecznej dla przewożenia ładunku handlowego, a zarazem pozwalającej na przewóz zaopatrzenia niezbędnego do odbycia długodystansowej podróży. Nieodzownym elementem była możliwość zabrania w podróż uzbrojenia, dzięki któremu jednostka handlowa była zdolna do obrony, a nawet ataku. Zaletą karak była ich zdolność do zabrania na pokład zamiast ładunku kontyngentu żołnierzy i dodatkowej artylerii. Mówiąc prosto, dało się je łatwo przekształcać w okręty zdolne do akcji ofensywnych.

Aż do końca XIX wieku zasadniczo walka okrętów na morzu sprowadzała się do wstępnego ostrzału, a następnie abordażu i walce na pokładach. W czasie walk nadbudówki na dziobie i rufie (kasztel dziobowy i rufowy) pełniły funkcje obronne. W czasie rejsu w przednich nadbudówkach lokowano marynarzy, a w tylnych kwaterowali oficerowie i kapitan³. Załoga wojennej karaki liczyła 100–200 ludzi, z czego większość, zwykle około 70%, stanowili żołnierze i obsługa dział.

W XIV wieku uzbrojenie jednostek toczących walkę na morzu składało się przede wszystkim z balist. Artyleria prochowa pojawiła się w coraz większej ilości w XV wieku. Były one używane przy pościgach lub ucieczkach – rozmieszczano je na kasztelu rufowym i dziobowym.

Z czasem prym zaczęły wieść działa umieszczane wzdłuż burt. Stało się to możliwe wraz z rozwojem technologii budowy furt, przez które działa strzelały. Musiały być one szczelnie zamykane w warunkach sztormowych. Kwestia ta była dużym problemem w całej historii budownictwa

³ Wiąże się z tym m.in. mniej dotkliwie bujanie na rufie okrętu, oraz to, że mimo zdolności do płynięcia pod wiatr (halsowania) okręty z reguły pchane były wiatrem od rufy, przez co wyżsi rangą nie byli narażeni na niekomfortowe zapachy. Kuchnie na statkach żaglowych mieściły się na dziobie z tego właśnie powodu.

okrętów żaglowych. Brytyjska „Mary Rose”, jedna z najsłynniejszych karak, oddana do służby w 1511 roku, zatonięła w skutek nagłego, wywołanego niespodziewanym podmuchem wiatru przechyłu. Ponieważ stało się to w czasie bitwy, przez otwarte furty dział burtowych dostała się woda morską, której wtargnięcie doprowadziło do niemal natychmiastowego zatonięcia jednostki. □

Spostrzeżenia, przykłady i porady na wynos

A. Na rozprawę nożową z działami.

Bitwa o Diu (1509)⁴

Sojusznicy broniący portu Diu przed eskadrą portugalską dysponowali miażdżącą przewagą liczebną... Ale tylko liczebną. Portugalczycy dysponowali bowiem przewagą synergiczną, której składnikami były:

- Ofensywny charakter ich przystąpienia do starcia.
- W skład ich eskadry wchodziły wyłącznie karaki, których doktryna użycia wyzyskiwała wszystkie zalety karak do maksimum. Kluczową koncepcją było poleganie nie na walce abordażowej, a na obezwładnieniu przeciwnika nawałą ogniową i zatopienie go. Teza ta nie stoi w sprzeczności z faktami, tj. tym, że okręty obrońców zdobywano abordażem. Dysproporcja strat w walkach była uderzająca: za zabicie ponad 3000 wrogów Portu-

⁴ Tło geopolityczne i całościowy opis bitwy w eseju „Portugalski epizod imperialny”, PG IX.3.

galczycy zapłacili śmiercią zaledwie 32 marynarzy, w tym dwóch dowódców okrętów („Nuno Vaz Pereira” i „Pêro Cão”)

- Kluczowa rola ostrzału artyleryjskiego z baterii burtowych. Przewaga ta ujawniła się zaraz na początku bitwy. Karaka „Espírito Santo” wystrzeliła jedną tylko salwę na karakę egipską, co wystarczyło do zatopienia jej.
- Przewaga artyleryjska Europejczyków wynikała z dominacji technologicznej w konstrukcji broni prochowej. Działa europejskie były celniejsze, miały większy zasięg, strzelały szybciej i były bardziej niszczycielskie. To te nagromadzenie przewag technologicznych było podstawą rewolucji w tym, jak przebiega starcie z przeciwnikiem.

Zwycięstwo portugalskie wynikało z rewolucyjnego przesunięcia krytycznego punktu, w którym decydowało się zwycięstwo w morskiej potyczce. W czasie bitwy do basenu portowego wpływały coraz to nowe okręty Portugalczyków. One oczywiście przystępowały do abordaży, ale dopiero po krótkiej, zasadniczo jednostronnej walce artyleryjskiej. Miała ona w większości przypadków miejsce w wąskim kanale portowym. Obrońcy nie mieli w nim możliwości wykorzystania swojej przewagi liczebnej. Dodatkowo, flagowa karaka portugalska „Flora de la Mar” ostrzeliwała grupę mniejszych jednostek przeciwnika, nie pozwalając im wykorzystać ich jedyne go instrumentu oddziaływania: sił abordażowych.

B. Po karakach galeony

Galeony powstały w drodze ewolucji karak, zmierzającej do poprawienia ich własności żeglugowych. Statkom

tym nadawano smuklejsze kształty. Zwiększało to zarówno ich ładowność, jak i ilość artylerii. Karaki przeistaczały się w galeony na początku XVI wieku, już w czasach bitwy o Diu.

Ich cechą charakterystyczną było obniżenie kasztelu dziobowego oraz zwężanie się ku górze kasztelu rufowego.

Galeony nadal były jednostkami uniwersalnymi. Po uzbrojeniu stawały się pełnoprawnymi okrętami wojennymi. Ale nieuchronnie następowała era specjalizacji. Od siódmej dekady XVI stulecia zaczęły pojawiać się galeony wojenne, w których liczyła się siła salwy dział lekkich i ciężkich w ilości w zakresie od kilkudziesięciu do nawet 200 sztuk na obu burtach. Wyścig koncentracji siły ognia „pływających fortów” rozpoczął się na dobre na początku XVII wieku, a jego przejawem było pojawienie się drugiego, a czasem i trzeciego pokładu artyleryjskiego.

■

Nota: Tu gorąco zapraszam czytelnika do lektury wyjątkowo udanego eseju pt. „Koncentracja siły ognia”. Znalazł on swoje miejsce w tomie Sun Zi i jego Sztuka wojny. Jest też do bezpłatnego pobrania w wersji elektronicznej na stronie prezentacyjnej ww. książki, w sekcji próbek pod adresem

chiny.pl/ksiazka/sunzi



Droga technologiczna do karabinu Maxim

Druga wojna burska –
pierwszy nowoczesny konflikt

*Paul Kruger, prezydent Transwalu, który wypowiedział
wojnę Brytyjczykom w 1899 roku, był najlepszym
przyjacielem, jakiego miała brytyjska armia.*

*– anonimowy weteran
drugiej wojny burskiej
(parafraza)*

Karabin maszynowy Maxima został zaprojektowany w 1884 roku i szybko stał się przyczyną fundamentalnych zmian na polach bitew. Nastąpiło to w epoce, w której wszystkie nowoczesne armie świata posługiwały się wciąż karabinami jednostrzałowymi. Ba! Jeszcze w czasie amerykańskiej wojny secesyjnej podstawowym uzbrojeniem były ładowane od lufy muszkiety. Jednak broń wielostrzałową i automatyczną, dającą przewagę siły ognia, rozwijano z różnym efektem przez cały XIX wiek. Karabin maszynowy był produktem końcowym wyścigu koncepcji i sztuki inżynierskiej. Jego projektantem był sir Hiram Maxim. Osiągnięcie Maxima wyprzedzało swoje czasy i stało się inspiracją dla projektantów na całym świecie. Wynalazca zastosował wszystkie osiągnięcia i wynalazki swojej epoki, by stworzyć karabin tak użyteczny, że służył na polach bitwy obu wojen światowych i długo później.

Zaletą Maximów w czasach ich debiutu był system chłodzenia wodą. Alternatywą była częsta wymiana luf lub nieefektywne wówczas chłodzenie powietrzem. Niektóre wersje karabinu miały zewnętrzny zbiornik na wodę. Celownik pozwalał na efektywne strzelanie na dystans do 2000 metrów, a więc tym samym na tworzenie stref izolowanych, w których nieprzyjaciół bądź nie mógł się przemieszczać w ogóle lub w ograniczonym stopniu.

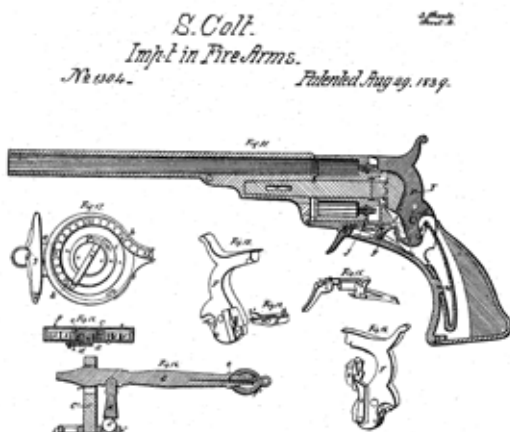
Przed wszystkim jednak sir Hiramowi udało się jako pierwszemu wykorzystać siłę odrzutu broni (energię gazów prochowych) do przeładowania broni. Wcześniejsze rozwiązania, stosowane m.in. w kartacznicy systemu Gatlinga, opierały się na skomplikowanym mechanizmie usuwającym zużytą łuskę i wsuwającym nowy nabój, który napędzany był ręką obsługującego karabin człowieka.

Masowa produkcja

Przed XIX wiekiem broń palna była wytwarzana przez rzemieślników – rusznikarzy. Często mówi się, że każdy taki pistolet lub muszkiet był małym dziełem sztuki. Jednak wraz z wprowadzeniem produkcji masowej coraz bardziej realna stawała się implementacja koncepcji standaryzowania elementów mechanicznych, która umożliwiała łatwą i taną zastępowalność uszkodzonych i zużytych komponentów. Postęp koncepcyjny i technologiczny, w tym pomiarów mikrometrycznych, sprawił więc, że broń mogła być wytwarzana w niespotykanych dotąd ilościach. W połączeniu z rozwijającymi się dziedzinami chemii i metalurgii otworzył się nowy rozdział w historii wojskowości.

Do XIX wieku jedyną powszechnie dostępną formą chemicznego materiału miotającego był czarny proch wykonany z prostej mieszanki siarki, węgla drzewnego i saletry. Proch deflagrował¹ poniżej prędkości dźwięku, wytwarzał

¹ Deflagracja to bardzo szybkie spalanie. Sam proch czarny nie jest materiałem wybuchowym sensu stricto, a materiałem deflagrującym, gdyż nie detonuje, a po prostu gwałtownie się spala – z prędkością ok. 0,3–0,4 m/s.



Ryc. 1 Colt Paterson, szkic z oryginalnego wniosku patentowego z 1836 roku.

znaczne ilości dymu oraz zanieczyszczał przewód lufy. Proch czarny wymagał również zapłonu w postaci otwartego ognia, co wiązało się z koniecznością przytknięcia ognia (zamki lontowe) lub skrzescania iskier (zamki skałkowe), by spowodować strzał.

Cały ten kłopot odszedł do przeszłości w 1800 roku. Wtedy to brytyjski szlachcic Edward Charles Howard (1774–1816) dokonał odkrycia, które zmieniło świat. Odkrył on piorunian rtęci, niestabilny materiał wybuchowy, którego fala detonacyjna rozchodziła się z prędkością 5,5 km/s. Jego zaletą w rusznikarstwie jest to, że detonuje pod działaniem bodźca mechanicznego. Nadawał się więc idealnie jako materiał do spłonek i detonatorów. Potrzeba było jednak dwóch kolejnych dekad, aby w 1822 roku amerykański wynalazca Joshua Shaw opatentował zamkniętą hermetycznie spłonkę perkusyjną, czyli kapiszon. Technika ta przyjmowała się opornie ze względu na sceptycyzm amerykańskich władz wojskowych oraz – podobnie jak w przypadku nitrogliceryny – problemami ze stabilnością i podatnością substancji na bodźce mechaniczne. Zastosowano ją na masową

skąłę dopiero w latach czterdziestych XIX wieku, w czasie wojny meksykańsko-amerykańskiej (1846–1848).

Pierwszym rewolwerem kapiszonowym, stworzonym przez Samuela Colta, samozwańczego pułkownika, był wprowadzony na rynek w 1836 roku Colt Paterson. Choć była to broń wciąż prymitywna, zastępowała jeszcze prymitywniejszą – muszkiety i pistolety skałkowe. Broń kapiszonowa tak dalece wyprzedzała wszystko inne swoją użytecznością i niezawodnością, że kupował ją prywatnie każdy żołnierz, który mógł wysupłać kwotę 20 dolarów w złocie... A więc, pisząc pół-żartem, w złocie to mniej więcej tyle, co i dziś płacimy za pistolety z najwyższej półki. Współcześnie, w 2011 roku, oryginalny rewolwer Colta z 1836 roku został sprzedany na aukcji za 977 500 USD.

Kultową bronią stał się Colt Walker z 1847 roku, zaprojektowany na zamówienie teksańskiego rangersa Samuela Walkera. Model ten stał się „bronią, która zawojowała Zachód” i był powszechnie stosowany przez Amerykanów walczących w wojnie przeciw Meksykowi. Meksyk wojnę przegrał w dużej mierze właśnie przez zapóźnienie techniczne i przemysłowe, gdyż bez własnego przemysłu zbrojeniowego musiał polegać na muszkietach skałkowych, importowanych głównie z dalekiej Wielkiej Brytanii.

Wojna krymska (1853–1856)

Następna dekada przyniosła wojnę krymską. W jej trakcie coraz szerzej muszkiety kapiszonowe pojawiały się na polu walki, także w wersjach z lufami gwintowanymi, przystosowanymi go strzelania pociskami Minié². Pociski te miały w swojej tylnej części zagłębienie, dzięki któremu energia gazów powstałych na skutek spalania ładunku miotającego powodowała rozszerzenie się miękkiego oło-

² Zob. #WZ1 III.2.

wiu (pocisk „pęczniał”). Znikały dzięki temu nieszczelności między ścianką a pociskiem, co zwiększało skokowo jego prędkość, celność i pęd. Jednocześnie średnica pocisku mniejsza od prześwitu lufy pozwalała na swobodne ładowanie go od wylotu.

Brytyjczycy wdrożyli wszystkie powyższe innowacje w Enfieldach P1853, karabinach wciąż ładowanych odprzodowo. W czasie wojny krymskiej dawały one zasadniczą przewagę dzięki celności, zasięgowi i szybkości przeładowywania.

Karabiny ładowane do komory (odtylcowo) pojawiły się już sporo wcześniej. Armia norweska była jedną z pierwszych europejskich potęg, które zaadaptowały świeżo opracowane rozwiązanie. Kammerlader M1842 wykorzystywał unikatowy mechanizm dźwigniowy, w którym strzelec unosił umocowaną na trzpieniu komorę, do której następnie wsypywał proch i wkładał kulę. Był to więc karabin odprzodowy, ale o innowacyjnym, nietypowym podejściu do problemu.

Metalurgia rozwijała się gwałtownie przez cały długi wiek XIX. Dlatego, choć Kammerlader był doskonałym projektem, to zmyślny, choć toporny mechanizm przeładowujący skazywał go na natychmiastową przestarzałość, kiedy gdy tylko pojawiły się lepsze i bardziej poręczne rozwiązania. Po wojnie krymskiej większość narodów europejskich zaadaptowała jego konstrukcję i sposób ryglowania do własnych standardowych karabinów piechoty, ale dostosowując ją do amunicji scalonej – nabojów. Takie karabiny jak francuska Tabatière czy brytyjski Snider M1881 stanowiły ogniwo przejściowe pomiędzy odprzodowymi muszkietami a odtylcowymi karabinami powtarzalnymi.

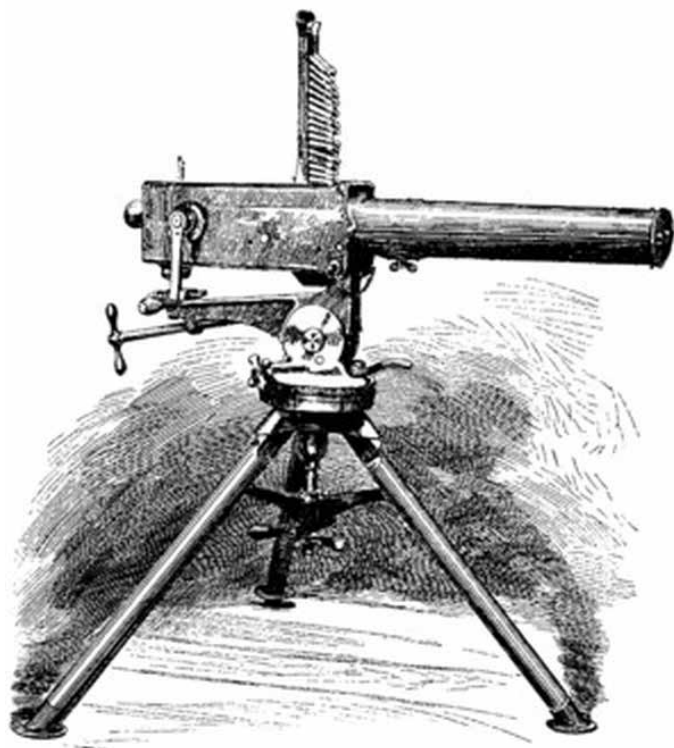
Okres pojawienia się Kammerladera to czas, w którym zaczęły powstawać pierwsze mechanizmy ryglujące dość wytrzymałe, aby dać niezawodność i odporność na wysokie ciśnienie przy strzale. Zasadniczy przełom dokonał

się w Prusach. Państwo to intensywnie poszukiwało innowacji, która pozwoliłaby uzyskać mu przewagę militarną otwierającą drogę do zjednoczenia Niemiec w jeden organizm imperialny.

Gdy wielkie mocarstwa europejskie były zajęte wojną krymską, Królestwo Prus szukało sposobu na przeskoczenie konkurentów poprzez przyjęcie iglicowego karabinu inżyniera Dreyse. Pomimo kiepskiej szczelności i awaryjności iglicy detonującej spłonkę³, karabin ten doprowadził do radykalnej zmiany w taktyce piechoty, pozwalając bowiem żołnierzowi na przeładowanie w pozycji leżącej, a więc bez wystawiania się na ogień nieprzyjaciela. Największą wadą tego karabinu był zastosowany nabój papierowy, który spalał się częściowo w lufie, a nie już poza nią. Jednak ta wada szła w parze z dalece donioślejszą zaletą – łatwością rozmontowania broni i wymiany uszkodzonej części w warunkach bojowych.

Kolejnym konfliktem przyspieszającym wprowadzenie broni maszynowej była amerykańska wojna secesyjna. Jednym z jej hitów był karabin powtarzalny Spencera. To jeden z pierwszych modeli broni, w których do przeładowywania służył mechanizm dźwigniowy. Umożliwiało to zastosowanie naboju scalonego z łuską metalową – pod tym względem Europa była wyraźnie zapóźniona. Przewagą Spencerów była szybkość przeładowywania kolejnych siedmiu nabojów z magazynka rurowego ukrytego w kolbie. Przeładowanie do kolejnego strzału wymagało dwóch czynności: odciągnięcia kciukiem kurka i przesunięcia dźwigni, której częścią była osłona spustu. Piechurzy Konfederacji, wyposażeni w Enfieldy M1853, ładowane odprzodowo w procedurze trwającej 15 sekund, nie mieli żadnej szansy – kawalerzyści Unii mieli nad nimi kilkakrotnie, miazdząca przewagę w intensywności ognia.

³ Iglica w odtłocówce Dreyse M1841 była długa, bo miała uderzać w spłonkę umocowaną na dnie pocisku, nie łuski. Narażało to ją na gwałtowne zmiany temperatur i ciśnienia, a przez to zwiększało podatność na pękanie – przyp. red.



Ryc. 2 Wzorowana na Gatlingu kartaczownica Gardnera, 1863.

Metalowe naboje zabezpieczały ładunek miotający przed wilgocią, a przy tym uszczelniały przewód lufy. Jedną z pierwszych bardziej znanych broni, które je wykorzystywały, był wprowadzony na rynek w 1857 roku Smith & Wesson Model 1. Ale nawet szybkostrzelność karabinów i karabinków Spencera była dziecięcą igraszką w porównaniu z szybkostrzelnością, którą na pola bitew wniosła kartaczownica Gatlinga.

Jordan Gatling wynalazł swoją broń w 1861 roku. Jej powstanie było możliwe dzięki innowacji w postaci świeżo opracowanych nabojów scalonych, w których ładunek miotający i spłonka zamknięte były w metalowej łusce.

Zasadniczą innowacją kartaczownicy jako całości był jednak mechanizm korbowy, który obracał wiązką sześciu luf. Każda z nich w jednym cyklu strzelała, była opróżniania z łuski, a następnie przyjmowała kolejny nabój podawany przez skomplikowany mechanizm odpowiedzialny jednocześnie za rotację luf. Naboje były dostarczane w zasobnikach wsuwanych od góry i trafiały do komory nabojoyej pod własnym ciężarem. Efektywna szybkostrzelność karabinu Gatlinga to około 200 pocisków na minutę. Wersje istniejące w czasie wojny secesyjnej były uznawane za bezużyteczne z uwagi na częstość zacięć i wytwarzanie chmur dymu prochowego. Sprawdziły się natomiast w walce z tubylcami w Afryce.

Istniały, oczywiście, konkurencyjne rozwiązania, ale miały poważne wady. Jedną z takich konstrukcji była francuska *Mitrailleuse* (mitralieza) – dwunastolufowy karabin salwowy, czyli taki, który strzelał jednocześnie lub po kolei z kilku lub kilkunastu luf, po czym wymagał czasochłonnego przeładowania.

Wojna francusko-pruska 1870–1871

Kolejny konflikt przyniósł kolejny skok w rozwoju broni strzeleckiej. Niemieckie karabiny Dreyse, tak świetnie sprawdzające się w wojnie z Austrią kilka lat wcześniej, okazały się znacznie gorsze od francuskich Chassepot Mle 1866. Nowy francuski karabin dzięki wkładce kauczukowej lepiej uszczelniał komorę nabojoyą, a wciąż papierowe naboje zyskały spłonkę umieszczoną w denku, co eliminowało wadę pruskich odtylcówek – podatną na uszkodzenia długą iglicę. Francuskie pociski były szybsze i celniejsze.

Prusy zwycięstwo osiągnęły dzięki artylerii i taktyce, a do wymiany broni strzeleckiej piechoty zabrały się na-

tychmiast po zakończeniu wojny. Już w 1871 roku wprowadzono Mausery M1871, ale te zostały szybko wyparte przez model z 1884 roku, który – wyposażony w magazynek stały na pięć naboí – był karabinem powtarzalnym. Rok 1884 był też tym, w którym pojawił się karabin maszynowy Maxim.

Lata osiemdziesiąte XIX wieku przyniosły ostatni kluczowy składnik potrzebny do zaistnienia wynalazku Maxima. Brytyjski wynalazca sir Frederick Abel w 1889 roku opatentował kordyt, proch bezdymny. Był on mieszanką kilku dopiero co wytworzonych przez przemysł chemiczny substancji, które spalały się szybciej, czyszej i silniej. Przełom był w swej istocie rewolucyjny: pozwalał na skokowe zwiększenie donośności broni palnej, nie zanieczyszczał lufy (większość produktów spalania było gazami; przy prochu czarnym 55% stanowiły substancje stałe) i nie zdradzał pozycji strzelającego.

Maxim

W końcu skokowe postępy w metalurgii, chemii i konstrukcji broni palnej pozwoliły na realizację pomysłu wykorzystania energii odrzutu do wyrzucania pustej łuski z komory karabinu i załadowania nowego. Karabin Maxim, z pojedynczą lufą zamkniętą w płaszczu wodnym, ważył zaledwie 27 kilogramów, mógł być więc obsługiwany przez jednego człowieka. Możliwość przenoszenia przez pojedynczego strzelca całkowicie deklasowała ważącą 77 kilogramów kartaczońnicę Gatlinga.

Maxim zadebiutował jako broń mocarstw kolonialnych w Afryce. Z pełnym sukcesem. Dzięki użyciu bezdymnego prochu, naboju scalonego i innych innowacji przestał być awaryjny. Zaczął być wręcz nieodzowny.

Tak właśnie, w ciągu zaledwie siedemdziesięciu lat, Cywilizacja Zachodnia przeszła od ładowanych odprzodowo

muszkietów o efektywnym zasięgu 50 metrów do karabinów zasilanych taśmą i magazynkiem, pozwalających strzelcowi w sposób powtarzalny trafiać w cel odległy o 600 metrów. Standaryzacja i jakość rozwiązań – mówiąc innymi słowy – zniosły ograniczenia skuteczności broni. Ograniczeniem były teraz umiejętności strzelców i potencjał przemysłowy oraz logistyczny zdolny dostarczyć siłę ognia do miejsca rozstrzygnięcia konfliktu.

Wada broni maszynowej. „Wada”?

Zaopatrzenie w amunicję było istotnym czynnikiem logistycznym i przemysłowym, który wpływał na zdolności mocarstw do wytworzenia siły militarnej. Naboje, zwłaszcza te z łuską papierową, były podatne na uszkodzenie i przeterminowanie. Naboje do francuskiego karabinu Chassepot były lepsze i przy tym prostsze, ale kosztowały dwa razy więcej, wymagając pracochłonnego sposobu produkcji. Wojskowi mieli świadomość potencjału szybkostrzelnych rodzajów broni małokalibrowej, ale dostrzegali też, że ich wprowadzenie na masową skalę stworzy wiele nowych problemów. Skokowe zwiększenie budżetu, dodatkowe obciążenie łańcuchów dostaw – z perspektywy planistów i logistyków tak właśnie wyglądało wkraczanie w erę wojen przemysłowych, w których przewagę siły ognia osiągało mocarstwo dysponujące silnym przemysłem, źródłami energii oraz surowców do jego funkcjonowania.

Podobnie było z kosztami produkcji samych karabinów. Ilość roboczogodzin potrzebnych do wytworzenia ciężkiego karabinu maszynowego Vickersa pozwalała na wyprodukowanie sześciu ręcznych karabinów maszynowych Lewisa lub piętnastu Lee-Enfieldów.



Ryc. 3 Karabin maszynowy Maxim, wersja z początku lat 90. XIX wieku. Źródło: domena publiczna.

Maximy i ewolucja pola bitwy

Kartaczownice Gatlinga zwykle nie przemieszczano po polu bitwy w jej trakcie. Trudno to nawet nazwać błędną konceptualizacją. Także Maximy na początku swojej kariery były traktowane jako zaledwie dodatek do artylerii polowej. Ze względu na słabą mobilność i osadzenie na ławetach przypominających te dla lekkich dział polowych. Bądźmy jednak wyrozumiali – by odkryć możliwości nowej broni, armie używające Maximy musiały zebrać doświadczenie bojowe i eksperymentować. Poza tym Brytyjczycy nie mieli należytego impulsu by poznawać możliwości karabinów maszynowych w konfrontacjach z wyposażonymi w archaiczną broń tubylcami. W przypadku typowym po prostu masakrowali szarżującego *en masse* przeciwnika pieszego lub konnego. Absolutnie klasycznym przykładem siły Maximów była bitwa pod Omdurmanem w 1898 roku (zob. §SP X.4). Ale to przecież nie przystawało do realiów konfliktu symetrycznego, na który zaczynało się zanosić w Europie.

Dopiero doświadczenia praktyczne sprawiły, że karabiny te – końcowy produkt wielu równolegle rozwijanych usprawnień i wynalazków – zmieniły na polu bitwy wszystko, od taktyki piechoty w starciach między armiami stojącymi na podobnym poziomie technologicznym poczynając, a na problemach zaopatrzenia kończąc.

Co zdarza się całkiem często, pierwsi największe zalety Maximów dostrzegli nie ich twórcy, Brytyjczycy, a Niemcy. W rezultacie w czasie I wojny światowej żołnierze niemieccy górowali siłą ognia zarówno nad Francuzami, jak i Brytyjczykami. Dobrze rozmieszczone karabiny maszynowe były w stanie powstrzymać każdy atak piechoty. W pierwszej fazie wojny, w latach 1915–1916, stopniowo stało się oczywiste, dotychczasowa taktyka walki piechoty stała się bezużyteczna.

Tu ujawnił się kolejny paradoks. Karabin maszynowy Maxim był bronią „naturalnie” defensywną, gdyż pierwotnie był narzędziem odpierania szarż – czy to piechoty, czy kawalerii. Ale przenośność broni maszynowej szybko pozwoliła na wykorzystanie jej w ataku, o czym przeczytać możemy już w książce *Piechota atakuje* Erwina Rommla. W dziele tym autor opisuje użycie ognia CKM w atakach już w 1915 roku. Coraz to nowe zalety i zastosowania lekkiej broni maszynowej ujawniały się z kolejnymi innowacjami poprawiającymi przenośność.

Postęp w zakresie karabinów maszynowych nie zatrzymał się. Karabiny Vickersa, tak jak i Maximy, były chłodzone wodą, wymagały więc jej znacznych ilości. Pożerały też duże ilości amunicji i potrzebowały do obsługi aż ośmiu żołnierzy. Ręczny karabin maszynowy Lewisa był tymczasem obsługiwany przez zaledwie dwóch ludzi. Przede wszystkim był chłodzony powietrzem. W przeciwieństwie do modeli wyposażonych w chłodnicę wodną, mógł strzelać nawet po uszkodzeniu przez pociski czy odłamki.

W armii niemieckiej Maximy zaczęło wypierać z pierwszej linii dopiero pojawienie się uniwersalnego karabinu maszynowego MG34 w 1934 roku, ale w służbie zostały w zasadzie do końca II wojny światowej. Brytyjski Vickers został wycofany znacznie później, gdyż znaleziono dla niego zastosowanie w nowej taktyce, w której z drugiej linii, daleko od wrogich kul i odłamków, posyłał strumienie pocisków na stanowiska wroga, zmuszając go do krycia się i obniżając morale.

Do przeszkolenia obsługi Vickersa do poziomu optymalnej wydajności potrzeba było dziesięć tygodni. O wiele bardziej opłacało się szkolić obsługę moździerzy, realizujących podobną rolę na polu bitwy – wystarczyło siedem dni szkolenia. Dodatkowo, na scenę wkroczyły cięższe karabiny maszynowe, o kalibrze 0,50 cala (12,7 mm). Oferowały one większy zasięg i zasilane były szerszą gamą wyspecjalizowanych pocisków.

Przykład

Druka wojna burska (1899–1902)

Druka wojna burska to konflikt przeciwników, którzy stali w zadziwiającej dysproporcji siły. Po jednej stronie stało Imperium Brytyjskie z całym swoim globalnym potencjałem, a po drugiej dwie skromne republiki burskie, dysponujące zaledwie milicją z karabinami. Ale... była to największa, a zarazem najdroższa wojna, jaką Brytyjczycy stoczyli w wieku XIX.

W chwili wybuchu konfliktu Brytyjczycy mieli w całej Kolonii Przylądkowej niemal półmilionową armię, której trzonem było 350 tysięcy etnicznych Brytyjczyków.

Oprócz nich walczyli żołnierze mieszanego pochodzenia z kolonii brytyjskich – Kanady, Australii czy Indii, których było powyżej 100 tysięcy. Resztę w liczbie około 100 tysięcy stanowili *auxilia*⁴. Burowie zdołali zmobilizować zaledwie około 60–88 tysięcy ludzi, z których największą wartość miało około 45–50 tysięcy burskich członków milicji, czyli tzw. komand. Ale Brytyjczycy walczyli we wrogim kraju, na końcu długich i kłopotliwych w utrzymaniu liniach komunikacyjnych. Walczący w defensywie Burowie wykorzystywali manewr, wachlarz taktyk partyzanckich i nadzwyczaj wysokie umiejętności strzeleckie, doskonalone przez nich od wczesnego dzieciństwa.

Rys historyczny. Pierwsze osadnictwo holenderskie

Pierwsze osiedle europejskie w rejonie współczesnego miasta Kapsztad założyli Holendrzy w 1652 roku. Służyło ono jako miejsce odpoczynku dla załóg statków należących do Holenderskiej Kompanii Wschodnioindyjskiej. Kolonie rozrastały się kosztem m.in. spychanej w głąb lądu ludności bantu, która kolonizowała południowy kraniec Afryki od północy, stopniowo eksterminując wcześniej bytujące tu ludy i etnosy.

Koloniści europejscy przywieźli swoje prawa i restrykcyjne struktury społeczne. Dały one naturalny impuls dla najniższej usytuowanych i pozbawionych szansy nabycia praw własności ziemi uprawnej i awansu społecznego do tego, aby szukać szczęścia w głębi lądu. Pionierzy burscy (bur oznacza dosł. chłopca, farmera) szukali swojego miejsca na świecie, migrując coraz dalej na północ i wschód. W XIX wieku byli dodatkowo wypychani z okolic Przylądka Dobrej Nadziei przez coraz intensywniejsze osadnictwo brytyjskie. Największe nasilenie tych ruchów migracyjnych nastąpiło w latach 1835–1841. Wtedy w tzw. Wiel-

⁴ To łacińskie słowo jest żartobliwym nawiązaniem do oddziałów rzymskich rekrutowanych z lokalnej ludności. W kontekście wojny burskiej chodziło o ludność bantu i ludność rdzenną, obie dostępne do poboru na miejscu.



Ryc. 4 Mapa Afryki południowej i państw regionu istniejących w 1899 roku.

kiej Wędrówce (hol. Groot Trek) terytoria kontrolowane przez Brytyjczyków opuściło około 14 tysięcy holenderskich farmerów.

Był to moment powołania do życia bardzo nietypowych narodków. Liczne historyczne przykłady dowodzą istnienia ponadczasowej prawidłowości – ludzie pogranicza, zmuszeni do wywalczenia swojego miejsca do życia, stają się szybko proto-narodem, spajanym wyjątkowo silnymi więzami wspólnotowymi. Impulsów do tego procesu dostarczała konieczność formowania wspólnot zapewniających przetrwanie we wrogim, nieopanowanym środowisku pogranicza. Raczej prędzej niż później pojawiają się w ich przypadku aspiracje do suwerenności, które trudno zdusić, stłamsić czy zdeenergetyzować⁵.

Holenderscy farmerzy stali się ludźmi twardymi i zaciekłymi, ukształtowanymi przez bezlitosne środowisko

⁵ Zob. esej „Kłamstwa założycielskie”, [§SP VIII.8](#) oraz „Asabijja” [§SP VII.3](#) w tomie *Sily psychohistorii*.



Ryc. 5 Trzy pokolenia Burów, anonimowa fotografia z 1900 roku.
Źródło: Australian War Museum, domena publiczna.

naturalne, chroniczne spory terytorialne z autochtonami i kolonizującą te rejony ludnością napływającą z Afryki centralnej, w tym Zulusów, będących jednym z odłamów konglomeratu etnosów noszącego nazwę bantu. W bardzo podobny sposób do pionierów Ameryki Północnej wspólnoty trekkerów powoływały do życia komanda strzegące osad, pól i pastwisk przed napadami oraz prowadzące akcje, a nawet operacje o charakterze ofensywnym.

Brytyjczycy zajęli kolonię holenderską w czasie wojen napoleońskich. Było to dla nich geopolityczną koniecznością, gdyż Holandia została w 1802 roku zaanektowana przez Francję, wówczas śmiertelnego wroga Albionu. Lata dwudzieste XIX wieku to początki intensywnej imigracji brytyjskich osadników. Cały obszar przyszłej Kolonii Przylądkowej zmieniał język, walutę i ustrój społeczny. Co interesujące, choć Imperium Brytyjskie zniosło niewolnictwo w 1807 roku, w Afryce Południo-

wej przetrwało ono instytucjonalnie aż do 1828 roku. Wynikało to z prostej konieczności ekonomicznej – w rejonie brakowało siły roboczej.

Połowa XIX wieku była okresem formowania się państw burskich. Powstały trzy republiki: Transwał, Natal i Orania. Brytyjczycy uznali je... ale bardzo szybko gorzko tego pożałowali. W latach sześćdziesiątych na terenie tych państw odkryto olbrzymie zasoby złota i diamentów⁶.

Pierwsza wojna burska (1880–1881)

Na miejsca potyczek i bitew pierwszej wojny burskiej Brytyjczycy maszerowali kolumnami, wystrojeni w swoje ikoniczne czerwone mundury. Burowie i morderczy gorąc szybko i dobitnie wybiły im te anachronizmy z głowy. Brytyjska taktyka i uzbrojenie były całkowicie nieadekwatne wobec zaprawionych w quasi-partyzanckiej wojnie komand burskich. Burowie od pokoleń prowadzący z sąsiadami podjazdową wojnę o przetrwanie, ubrani w stroje koloru khaki, byli mistrzami podchodów, rajdów, zasadzek i ogólnie wszelkich taktyk asymetrycznych. Swoje umiejętności szlifowali dodatkowo przy codziennych polowaniach. Obie te egzystencjalne potrzeby okraszone były tym, że Burowie mieli do dyspozycji pierwszorzędą, nowoczesną broń, aczkolwiek w praktyce jedynie lekką.

Nic więc dziwnego, że pierwszą wojnę burską Brytyjczycy przegrali z kretesem. Burowie triumfowali, kiedy wróg musiał uznać m.in. niepodległość Transwału. Ale ten trwający rok konflikt stał się dla strony brytyjskiej impulsem do modernizacji. Dogrywka miała już być prowadzona w zupełnie inny sposób.

⁶ Gorączka Złota Witwatersrand rozpoczęła się w 1886 roku, jednak kluczowym odkryciem były diamenty. Ich olbrzymie ilości znaleziono w Kimberley w 1867 roku.

Druga wojna burska

Pięć lat po zakończeniu pierwszej wojny burskiej nastąpiło odkrycie wręcz fantastycznych zasobów złota, które zapoczątkowało słynną Gorączkę Złota Witwatersrand. Wcześniej złoto znajdowano sporadycznie. Skala nowego odkrycia sprawiła, że nastąpił gwałtowny napływ osadników z Europy, przede wszystkim z Wysp Brytyjskich.

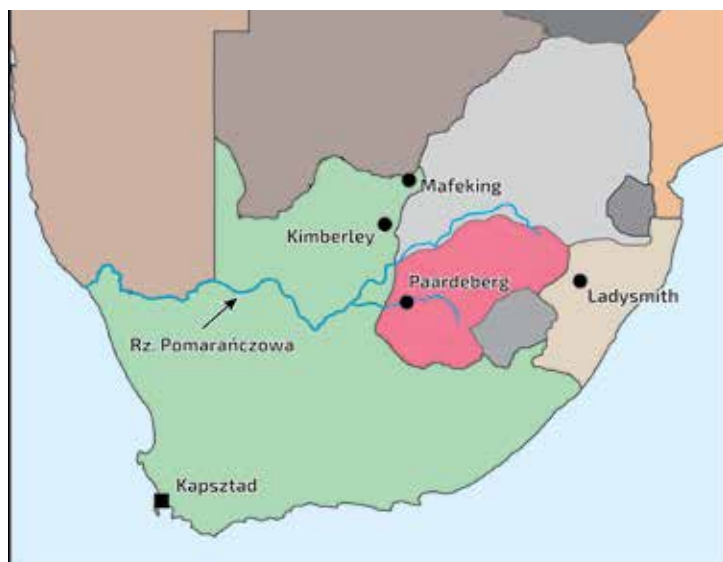
Ale kwestia kontroli nad złożami złota i diamentów – wówczas największymi zasobami tych dóbr na świecie – była przyćmiona rosnącym znaczeniem geopolitycznym regionu. W grę wchodziła kontrola nad szlakami handlowymi, ważnymi mimo funkcjonowania Kanału Sueskiego. Anglicy mieli też bardzo ambitne plany objęcia kontrolą kolonialną pasa terytoriów od Egiptu na północy Afryki do Kolonii Przylądkowej na samym południu kontynentu. Burowie mieli wielkiego pecha, że swoje miejsce na ziemi znaleźli dokładnie na drodze walca tych imperialnych aspiracji.

Kto gra w czyją wojnę

Nieunikniona przy takim stanie spraw druga wojna burska wybuchła w 1899 roku. Obie strony zdawały sobie sprawę z jej nieuchronności, jednak w pierwszej fazie konfliktu to Burowie dysponowali przewagą. Dało im ją wyprzedzające wszczęcie wojny.

Burscy decydenci zdawali sobie sprawę z brytyjskiej przewagi materiałowej. Z tego wynikała oczywista konieczność aktywnego działania i błyskawicznego osiągnięcia zwycięstwa pozwalającego na wymuszenie korzystnych warunków pokoju zanim dałaby o sobie znać przewaga materiałowa Brytyjczyków.

Negocjacje stron załamały się w październiku 1899 roku i Burowie natychmiast poszli na wojnę. Rozpoczęli oblężenie trzech brytyjskich miast usytuowanych na pograniczu terytoriów burskich – Kimberley, Mafeking i Ladysmith.



Ryc. 6. Obszar walk w czasie drugiej wojny burskiej

Na samym początku wojny strony dysponowały armiami liczącymi po około 40 tysięcy walczących. Szybko jednak Brytyjczycy dostali w rejon konfliktu sprzęt, zaopatrzenie i ludzi. Pamiętali przy tym świetnie nauczki z nieporozumienia z Burami dwie dekady wcześniej. Farmerzy byli mistrzami w wojnie partyzanckiej i świetnie używali strzelców wyborowych, kłusujących z bezpiecznej dla siebie odległości. Dlatego tym razem żołnierze brytyjscy nosili już mundury w kolorach maskujących – khaki i odcieniach oliwki. Oddziały szkockie zaś pożegnały się ze swoimi ikonicznymi kiltami, znanymi konieserom kina z odmalowanego w filmie *Braveheart*. *Waleczne serce* niekonwencjonalnego zastosowania przed bitwą pod Stirling.

Okres od 10 do 15 grudnia 1899 roku Brytyjczycy nazwali potem „czarnym tygodniem”. Ofensywa zaplanowana w październiku przez Paula Krugera, jednego z głównych przywódców politycznych Burów, była dla nich druzgocząca.



Ryc. 7. Brytyjskie stanowisko QF 1pdr górujące nad sawanną w czasie drugiej wojny burskiej, 1899. Autor: William Skeoch Cumming, domena publiczna (koloryzowane AI).

Ale tak dobra passa Burów trwała zaledwie do lutego następnego roku. Już w grudniu 1899 roku do Kolonii Przylądkowej przybył lord Frederick Roberts, nowy głównodowodzący wojsk Imperium Brytyjskiego. Przybył też lord Kitchener, który rok wcześniej zlikwidował za pomocą Maximów armię mahdystów w Sudanie, zyskując sobie tym uwielbienie opinii publicznej i tytuł szlachecki⁷. Na południu Afryki pojawił się on na czele armii liczącej 50 tysięcy żołnierzy.

Armie dowodzone przez lorda Kitchenera i Roberta szybko uwolniły oblegane miasta, a następnie ruszyły na północ wzdłuż linii kolejowych. W lutym 1900 roku Brytyjczycy przejęli Bloomfontein, stolicę Wolnego Państwa Oranii, a w maju i czerwcu Johannesburg i Pretorię w Republice Transwału.

Burowie byli świetnie uzbrojeni i lepiej dostosowani taktyką do warunków terenowych. Byli wyposażeni w najnowocześniejszą broń ręczną, w tym karabiny maszynowe Vickers-Maxim w liczbie co najmniej 24 oraz kilka Maximów. W czasie większych bitew byli więc zdolni do

⁷ Zob. „Kanał Sueski i krwawe spotkanie dwóch epok”, [†SP X.4](#).

zadawania nimi Brytyjczykom wysokich strat, gdy stosowali ostrzał na dalekie dystanse, z pozycji zamaskowanych roślinnością. Atutami był proch bezdymny i zwyczaj prowadzenia ognia z lasów i zagajników. Wobec takiego sposobu walki Brytyjczycy stawali się bezradni – jeśli wierzyć relacjom, Burowie potrafili zlikwidować baterię dział polowych w zaledwie dziesięć minut. Konie i ludzie byli skutecznie eliminowani zanim żołnierze brytyjscy byli w stanie określić, skąd prowadzi się do nich ogień⁸.

Napadani Brytyjczycy oczywiście dysponowali własnymi Maximami, ale ruchliwi i perfekcyjnie ukryci Burowie nie stanowili łatwego celu. Karabiny maszynowe były idealne do tworzenia zapór ogniowych lub do powstrzymywania szarż, ale nie do snajperskich pojedynków ogniowych. Brytyjczycy przekonali się o tym, atakując 11 grudnia 1899 roku ufortyfikowane miasto Magersfontein. W szarżach na umocnienia stracili tysiąc żołnierzy. Generalną zasadą stało się to, że ten, kto dał się złapać na odsłoniętej przestrzeni, przegrywał.

Druga wojna burska była znakomitym momentem, aby wykształcić taktykę użycia karabinów maszynowych. Bodaj największym wkładem w tą naukę był raport podpułkownika Alexandra Thorneycrofta, dowodzącego oddziałem strzelców konnych. Wskazywał on na wyjątkowo silne oddziaływanie karabinów maszynowych na morale ostrzeliwanego przeciwnika.

O dziwo, Maximy sprawdzały się świetnie w zadaniu uciszania ognia snajperskiego z dużej odległości. Co ciekawe, Thorneycroft wykoncypował innowacyjną taktykę – zalecał używanie karabinów maszynowych pojedynczo w misjach zwiadowczych. Maxim ze swoją siłą ognia wysunięty maksymalnie do przodu w kierunku lub w głąb terenu zajętego przez przeciwnika zaburzał jego plan ogniowy

⁸ G.S. Hutchison, *Machine Guns: Their History and Tactical Employment (Being Also a History of the Machine Gun Corps, 1916-1922)*, Uckfield 2004, s. 74.

i ograniczał mobilność, a często zmuszał go do wycofania się z mozołnie przygotowanych wcześniej i zamaskowanych pozycji lub rezygnacji z przeprowadzenia ataku. Pułkownik zdecydowanie stwierdzał, że zyski znakomicie przeważały nad ryzykiem utraty karabinu⁹.

Bitwa pod Paardeberg, 18–27 lutego 1900 roku

Rozciągnięta w czasie na kilka dni bitwa pod Paardeberg jest wręcz modelowym potwierdzeniem słuszności dla kilku prawidłowości. Pierwszą jest to, że zwycięstwa przynoszą klęskę. Świeżo odniesiona wygrana sprawia, że triumfujący dowódca zaczyna lekceważyć przeciwnika, siebie samego postrzegając za niezwyciężonego. Drugim prawidłem jest to, że wystawianie formacji i armii idealnie sprawdzającej się w walce partyzanckiej do walnej bitwy na otwartym terenie przeciw armii regularnej jest decyzją samobójczą. Piet Arnoldus Cronjé, dowodzący burskim oblężeniem miasta Kimberley, popełnił oba powyżej opisane błędy.

Jego przeciwnikiem był lord Kitchener. Oswoiwszy się z teatrem działań, Kitchener zdecydował, że jego pierwszym celem strategicznym będzie zdjęcie oblężeń z brytyjskich miast. Na pierwszy ogień poszło Kimberley.

Burska armia oblegająca to miasto liczyła skromne cztery tysiące żołnierzy. Zbliżyła się do niej armia dowodzona przez marszałka sir Johna Frencha. Z jej atakiem skoordynowano atak z wewnątrz obleganego miasta. Burowie zostali zmuszeni do odstąpienia od murów. Walcząc z następującymi im na pięty Brytyjczykami, Burowie posuwali się ku wzniesieniu Paardeberg na południe. Monitorujący sytuację rząd burski nakazał wszystkim oddziałom operującym w rejonie, by ruszyły na pomoc.

⁹ D.L. Goldsmith, *The Devil's Paintbrush: Sir Hiram Maxim's Gun, Old Heathfield*, s. 110–11.

To wtedy właśnie gen. Cronjé popełnił kardynalny błąd. Rozbił obóz warowny na otoczonej wzgórzami równinie, nad brzegiem rzeki Moder, gdzie został sprawnie otoczony przez 20 tysięcy Brytyjczyków. Zaczęli oni morderczy ostrzał z użyciem artylerii i karabinów maszynowych. Zanosilo się na jednostronną rzeź. Ale wtedy to z kolei Brytyjczycy nie docenili Burów.

Nadciągnęły siły wezwane na pomoc Cronjémui. Zaczęły one z marszu szturmować obsadzone przez Brytyjczyków wzgórza. Brytyjczycy byli jednak znakomicie okopani i skryci za przeszkodami. Zajmowali też pozycje wyniesione – wzgórza i wzniesienia. Zdołali odeprzeć tę próbę przełamania. Ich zadanie było tym łatwiejsze, że Burowie nie odnajdywali się w walnych bitwach i dużych operacjach. Byli milicją. Powinni byli powtórzyć manewr Brytyjczyków spod Kimberley i zaatakować pierścień okrążenia jednocześnie od zewnątrz i od wewnątrz.

Cronjé jednak pozostawał bierny i nie było nikogo, kto by nakazał mu lub uzgodnił z nim plan takiej akcji. Burami na zewnątrz także nie dowodził nikt o randze wystarczającej do narzucenia właściwego, profesjonalnego rozwiązania. Kolejnego dnia, 26 lutego, Burowie próbujący przełamać brytyjski pas obrony od zewnątrz popadli w konfuzję. Z wojskowego punktu widzenia stanowili raczej zbiorowisko oddziałów i oddziałków, a nie spójną armię będącą narzędziem w rękach kontrolującego wszystko sztabu lub dowódcy. *De facto* nikt nimi nie kierował jako całością! Nie mieli struktur dowodzenia adekwatnych do sytuacji, z jaką musieli się mierzyć.

Nie dysponując żadną metodą łączności zdalnej, oddziały operujące na zewnątrz wysłały posłańca, który przekradł się przez strefę kontrolowaną przez Brytyjczyków. Dostarczył on Cronjémui sugestię, aby generał podjął próbę przedarcia się. Cronjé odmówił jednak porzucenia obozu. Zamiast tego 27 lutego rano poddał się siły Brytyjczykom.

Jeden z historyków analizujących te zdarzenia zaproponował wyjaśnienie tej decyzji – w taborach znajdował się dobytek walczących. Tak przynajmniej interpretuje się z perspektywy *post factum* zadziwiającą decyzję o kapitulacji. Inną hipotezą może być to, że Cronjé utracił zdolność podejmowania decyzji pod presją nietypowego dla własnych doświadczeń położenia taktycznego (okrążenie przez nieproporcjonalnie silniejsze siły wroga) i ostrzału swoich pozycji przez artylerię.

Odwracają się szale wojny

Zadziwiający akt poddania się generała Cronjé załamał morale Burów. Wielu walczących powróciło do domów. Ci, którzy walczyli dalej, wrócili do tego, w czym byli najlepsi i co było teraz jedyną możliwą opcją – do taktyki partyzanckiej. Pozwoliło im to kontynuować opór aż do 1902 roku.

Po klęsce w Paardebergu prezydent Transwału Paul Kruger (właśc. Stephanus Johannes Paulus Kruger) udał się do Europy w poszukiwaniu sojuszników gotowych wesprzeć Burów w konfrontacji z Imperium Brytyjskim. Bezskutecznie. Tymczasem do końca 1900 roku ustabilizowała się sytuacja patowa – Brytyjczycy nie byli w stanie wytępić partyzantów do końca. Z kolei Burowie, dowodzeni przez takich dowódców jak Christian Rudolph Red i Jacobus Herkules, mogli rozwinąć skrzydła w swoim partyzanckim żywiole. Zwolnieni z oblężenia brytyjskich garnizonów i miast Burowie rozkręcili swoją wojnę podjazdową się do pełnej prędkości. Wsiąkli w teren i z właściwą sobie mistrzowską precyzją atakowali drogi, połączenia kolejowe i instalacje wojskowe.

Marszałek polny Kitchener był bezradny. Przejął po Roberta rolę głównodowodzącego w listopadzie 1900 roku i nie mogąc znaleźć sposobu przeciwdziałania, stosował brutalną taktykę niszczenia bazy logistycznej i demogra-

ficznej, na której opierali się partyzanci. Uciekł się nawet do zakładania rozległych pól drutu kolczastego, podówczas nowości na polu bitwy. Z braku alternatyw i w obliczu kompletnej nieefektywności działań pacyfikacyjnych uciekł się do spędzania ludności cywilnej do obozów internowania (koncentracyjnych). Cywilów mogących udzielać wsparcia walczącym aresztowano, a ich farmy, wioski i miasteczka palono do gołej ziemi. Internowanym przygotowano tragiczne, wyniszczające warunki bytowania... z wiadomym wpływem na śmiertelność przetrzymywanych. Szacuje się, że w obozach zmarło około 50 tysięcy Burów i pozostałej ludności rejonu, w tym około 20 tysięcy kobiet i dzieci.

Pokój podpisano w maju 1902 roku, po 15 miesiącach nużącej wojny partyzanckiej. □

Spostrzeżenia na wynos

A. Kolejna wojna, która ma skończyć się do Świąt

Brytyjska opinia publiczna, być może nadmiernie optymistyczna i oszołomiona wielkim sukcesem w Sudanie, była przekonana, że Burowie dostaną nauczkę w tempie ekspresowym. Jednak farmerzy mieli doskonale zorganizowany system milicji. Jej członkowie byli napędzani czymś, czego Polacy, mogący co najwyżej przywołać wspomnienia lektury *Trylogii* Sienkiewicza, raczej nie rozumieją. Była to kultura pogranicza (ang. *frontier culture*). Wiele jej elementów, takich jak kultura posiadania broni, przetrwało w mentalności mieszkańców Teksasu. Większość członków tych milicji szła do walki z własnym karabinem, koniem i perfekcyjnie ukształtowaną motywacją do walki.

Obserwował to wszystko własnymi oczami Winston Churchill, wówczas korespondent wojenny. To właśnie burskie komanda stały się dla niego inspiracją do nazwania oddziałów brytyjskich sił specjalnych komandosami. W języku afrikaans oznaczało to po prostu oddział zbrojny.

B. Piechota i milicja

Oddziały milicji mogą walczyć w roli jednostek regularnych, ale jedynie w określonych warunkach i okolicznościach. Okoliczności takie istniały w pierwszej fazie wojny – od października do grudnia 1899 roku, zanim Brytyjczycy nie ściągnęli na obszar wojny sił, którymi odwrócili bieg konfliktu w lutym kolejnego roku.

Widząc przełom, Brytyjczycy już we wrześniu 1900 roku ogłosili swoje zwycięstwo nad Burami. Ale wojna miała mieć jeszcze trzecią fazę. Burscy milicjanci/partyzanci atakowali na brytyjskich tyłach: niszczyli linie kolejowe, które służyły m.in. do zaopatrywania brytyjskiej maszyny wojennej. Równolegle maszyna ta nie mogła znaleźć dla siebie celu, do którego zniszczenia została zaprojektowana i wyposażona. Ten niewątpliwy sukces taktyki partyzantkiej przekonał Burów, że sposobem na zwycięstwo może być uczynienie z całego regionu obszaru, którego nie da się kontrolować (ang. *ungovernable*).

Jednak Brytyjczycy zdołali wypracować skuteczną, choć niezwykle powolną metodę pokonania Burów. Strategia polegała na metodycznym zakłócaniu mobilności taktycznej oddziałów burskich przez budowanie olbrzymiej ilości polowych, improwizowanych umocnień, które obsadzano załogami liczącymi zaledwie sześciu żołnierzy. Strategię uruchomiono w połowie 1901 roku. W miasteczkach i wzdłuż linii kolejowych pojawiało się coraz więcej posterunków. Spychały one burską obecność wojskową do pustkowi poza osiedlami ludzkimi. W końcu, w maju 1902 roku reszta oddziałów burskich złożyła broń.

Za zwycięstwo brytyjska armia zapłaciła śmiercią 22 tysięcy żołnierzy. Absolutnie niezaskakującą ciekawostką było to, że zestawienie start wśród szeregowców ze stratami wśród podoficerów i młodszych oficerów wykazywało, że te drugie były dwa razy większe. To efekt działania strzelców wyborowych. Całkowicie racjonalnie przejawiali oni *undue level of hostile attention*¹⁰ wobec brytyjskich oficerów – strzelali do nich w pierwszej kolejności, uszkadzając tym samym struktury dowodzenia.

W ojczyźnie spadł na armię ogień krytyki. Jeden z dziennikarzy, Leo Amery, stwierdził, że armia brytyjska okazała się wydmuszką (ang. *largely a sham*), na ujawnienie czego wystarczyła konfrontacja ze zdeterminowanym przeciwnikiem. Nie obyło się oczywiście bez czystek. Dowódcy, w których służbie dopatrzone się uchybień, trafiali do Stellenbosch, miasteczka na zachód od Kapsztadu. Do dziś w brytyjskim języku angielskim funkcjonuje idiom „to be Stellenbosched”, znaczący tyle co „zostać zwolnionym”.

C. Czego nauczyła się armia brytyjska?

Zaraz po wojnie powołana została królewska komisja do zidentyfikowania przyczyn nieskuteczności działań militarnych w czasie wojny. Należyte zaangażowanie w celu znalezienia uchybień oddawał wiersz Rudyarda Kiplinga pt. *Nauczka*, który zaczyna się słowami:

*Let us admit it fairly, as a business people should,
We have had no end of a lesson: it will do us no end
of good.*¹¹

¹⁰ Ang. nadmierny poziom wrogiej uwagi. To użyte tutaj w konwencji żartu słowa lorda Cornwallisa w filmie *Patriota* (2000, reż. Roland Emmerich). Generał skarżył się na taktykę amerykańskiej milicji eliminowania przede wszystkim oficerów w czasie potyczek z milicją w amerykańskiej wojnie o niepodległość.

¹¹ Przynajmy szczerze, jak to czynią ludzie czynu / Dawano nam lekcję raz za razem. I będzie to dla nas nieskończonym dobrem.

Brytyjczycy prowadzili wojny i interwencje kolonialne na całym świecie. Pierwszym, co należało określić, było dla nich to, które naučky były uniwersalne, a które specyficzne dla wojny z Burami. Było to tym pilniejsze, że już wtedy wybuch wielkiej wojny w Europie był uznawany za pewnik.

Proces zapisywania na piśmie i wprowadzania do obiegu informacyjnego doświadczeń, jakie Brytyjczycy zgromadzili, walcząc z Burami, miał formę tzw. niebieskiej księgi, choć w porównaniu do współczesnych systemów *debriefingu* raczej należy uznać ją za zaczątkową. Zawartością księgi miały być odpowiedzi oficerów na szereg pytań na temat taktyki i sprzętu.

Żołnierzy, w tym szeregowców, zachęcano także do publikowania opisów walk. Ten ostatni pomysł przyniósł nadszodkiewanie pozytywne efekty. Raz – został przyjęty z wielkim entuzjazmem, a dwa – nagle powstał potężny rynek autorski i czytelniczy, Rynek ten stał się elementem systemu wymiany doświadczeń i podnosił ogólną kulturę militarną zainteresowanych, m.in. dzięki systemowi nagród za najwartościowsze teksty.

Podsumowując, najważniejsze nauki armii brytyjskiej z drugiej wojny burskiej to prosta wytyczna:

Inicjatywa na poziomie taktycznym jest kluczowa.

Miała ona zastąpić promowane we wcześniejszych podręcznikach często bezmózgie posłuszeństwo rozkazom i bezrefleksyjne respektowanie rang kosztem działania w sposób adekwatny do sytuacji. Skutkiem takiego systemu było to, że młodszy oficerowie nie próbowali nawet podejmować własnych decyzji (*vide* decyzja Richarda Besta w bitwie przy Midway, s. 286). Wady starego systemu wychodziły na wierzch zwłaszcza w potyczkach małych

oddziałów. Rezultatem na poziomie szkolenia było to, że instytucjonalnie wyrugowano praktykę poniżania i dyscyplinowania żołnierzy za błędy popełniane w fazie treningu i szkolenia.

Wykryto, że młodszy dowódcy byli często oceniani niesprawiedliwie przez swoich bezpośrednich dowódców. Wynikało to z tego, że dowódcy wyższego szczebla nie mieli kontaktu z realiami, z którymi mierzyli się ich podwładni. Efektem była trudna do wykrycia i do zdefiniowania w czasie działań wojennych **przypadłość w postaci porażek i niewykorzystanych okazji, na których nie uczyli się ani bezpośredni uczestnicy, ani tym bardziej reszta armii.**

We współczesnych jednostkach elitarnych i nie tylko elitarnych system natychmiastowego uczenia się na własnych błędach wygląda tak, że uczestnicy i dowodzący piszą dwa raporty. Jeden opisuje bohaterską walkę z przeważającymi siłami doskonale wyszkolonego i przebiegłego wroga, z którym zwycięstwo osiągnięto dzięki kompetencji kadry oficerskiej i wysokiemu morale żołnierzy. Drugi jest raportem „wewnętrznym”, w którym otwartym tekstem pisze się o tym, co, kto i kiedy coś spieprzył, co nie zagrało, jak trzeba i co trzeba zrobić następnym razem w podobnej sytuacji. W idealnych warunkach ten drugi dokument powinien pozwalać na przyznawanie się do pomyłek bez konsekwencji służbowych i karnych, które mogłyby (i zawsze to robia!) zakłócić proces nauki na poziomie organizacji.

W 1909 roku brytyjska armia opublikowała podręcznik *Field Service Regulations*, w którym skodyfikowane zostały zasady i zakres decyzyjny „osoby na miejscu”. Regulacje zezwalały na podejmowanie decyzji sprzecznych z rozkazami otrzymanymi wcześniej od przełożonego. W przeszłości tego typu rozporządzenie byłoby wręcz nie do pomyślenia.

Widząc straty wśród oficerów, dostrzeżono, że podoficerowie powinni być szkoleni tak, aby byli zdolni przejąć obowiązki swoich bezpośrednich przełożonych¹². Ustanowiono nawet Szkołę Podoficerów (Non-Commissioned Officer School), której efekty działania były oceniane niezwykle pozytywnie. Niemniej, co zadziwiające, szkołę zamknięto wkrótce z braku funduszy¹³.

D. Czego się nie nauczono.

Nie została należycie doceniona taktyka precyzyjnego jak na ówczesną epokę ostrzału przez artylerię polową. Rozwój koncepcji jej użycia zarzucono, uznając, że nie będzie użyteczna w walce z przeciwnikiem na równorzędnym poziomie uprzemysłowienia, a więc dysponującego podobnym arsenałem.

Za nieprzydatne w innych rejonach świata uznano też rozproszone formacje piechoty. Uznano, że mają one wartość tylko w walce w buszu, tj. na sawannie pokrytej sporadycznie krzakami. Nie dostrzeżono więc zagrożenia ze strony karabinów maszynowych, których strzelcy celują zwłaszcza w skupiska żołnierzy przeciwnika. ■

¹² Widzimy tu zarys idei wzajemnej zastępowalności personelu, rozwinięty w siłach zbrojnych Stanów, a szerzej omówiony w rozdziale o Midway.

¹³ Odsyłamy do D. Frencha, *Armia Brytyjska 1919-1945 a wojna z Niemcami*. Poza uwolnieniem od dyktatu rozkazów przełożonych, ani system, ani szkolnictwo wojskowe nie tworzyły spójnej i uniwersalnej doktryny.

Temat III

**PŁYWAJĄCE FORTY,
MAHAN,
I PANCERNIKI**

Horatio Nelson

Człowiek wielki, ale nieszczęśliwy

Procent niepełnosprawności, będących skutkiem ran i obrażeń odniesionych przez Nelsona, wyliczony wedle współczesnych reguł przyznawania renty inwalidzkiej, sięga 140%.

Zdolność widzenia w prawym oku Nelson utracił w czasie oblężenia Korsyki w 1794 roku. W bitwie przy St. Vincent w 1797 roku złapał do kolekcji przepuklinę. W bitwie o Santa Cruz na Teneryfie kula muszkietowa roztrzaskała mu kość prawej ręki, którą amputowano bez znieczulenia. W bitwie u ujścia Nilu 1798 roku odłamki trafiły go w czoło. Doprawdy, Nelsonowi do kompletu atrybutów ikonicznego wilka morskiego brakowało drewnianej nogi. Najlepsze na koniec. Nelson cierpiał dotkliwie na wręcz niewiarygodną w jego przypadku przypadłość – chorobę morską. Nękała go od początku do samego końca kariery.

By dopełnić listy, Nelson źle sypiał. Często przemęczenie zmuszało go do drzemek w środku dnia, do których służył specjalnie zaprojektowany fotel umieszczany w jego prywatnej kabinie. Ostatecznie śmierć dopadła Nelsona pod Trafalgarem, w czasie bitwy, która stała się jego największym triumfem. Kula francuskiego muszkietu trafiła go w kręgosłup i przebiła płuco. Ale umarł utulony świadomością, że stał się architektem największego zwycięstwa w historii swojego kraju.

Nelson urodził się w 1758 roku jako wcześniak, całe siedem tygodni przed terminem. Wychował się w miejscu urodzenia, mieście Norfolk, jako szóste z jedenaściorga

dzieci. W kontakt z morzem wszedł, mając 13 lat, gdy został zatrudniony na statku swojego wuja. Już jako nastolatek Nelson pokazywał, że stanie się kimś nietuzinkowym. W 1773 roku, a więc jako piętnastolatek, uczestniczył w ekspedycji arktycznej, której celem miało odkryć mityczne Północne Przejście pomiędzy Atlantykiem a Pacyfikiem. W wieku 19 lat został porucznikiem. Sprawdzał się. Dwa lata później Nelson otrzymał swoje pierwsze samodzielne dowództwo – na HMS „Boreas”.

Nelson oczywiście popełniał błędy. Był tylko człowiekiem. W czasie służby w rejonie Karaibów (dla ówczesnych Anglików – Indii Zachodnich) tuż po rewolucji amerykańskiej zdołał skonfliktować się z miejscowymi władzami i ludnością, narzucając zbyt restrykcyjne zasady embarga na handel z koloniami amerykańskimi. Skłonny był też do udzielania pouczeń swoim bezpośrednim przełożonym. Starszych stażem i pozycją, nieodmiennie irytowała uporczywa maniera wskazywania błędów i pomyłek.

Seria wpadek wynikających z braku wyczucia doprowadziła do tego, że w okresie 1788–1793 Nelson poszedł w odставку. Po zdaniu służby nie dostał nowego przydziału i osiadł w rodzinnej miejscowości, otrzymując od rządu połowę kapitańskiej lafy.

Wojna z ogarniętą rewolucyjnym zapalem Francją wybuchła w 1792 roku. Zniecierpliwionego Nelsona przywrócono z rezerwy. Przydzielono go do floty śródziemnomorskiej, operującej pod dowództwem lorda Hooda. Sam Nelson objął dowodzenie HMS „Agamemnon”, uzbrojonym w 64 działa. To była jego szansa – pomny swoich wcześniejszych wpadek w hierarchicznych przepychankach, Nelson był skrajnie zdeterminowany, by wykazać się na polu walki. Miał wtedy napisać:

*Jeśli to grzech pożądać chwały,
jestem najgrzeszniejszą duszą na świecie.*



Ryc. 1. Horatio Nelson (1801), olej Williama Beecheya. Źródło: Norwich Castle Museum and Art Gallery, domena publiczna.

Nelson często nie wykonywał nawet bezpośrednich rozkazów. Ratowało go to, że w wielu przypadkach miał rację. Ciągłe udzielanie rad i przekazywanie wiedzy działało w dwie strony – Nelson nie tylko uczył swoich oficerów, dzieląc się z nimi doświadczeniem, ale też dawał im więcej swobody i samodzielności. Kontrastowało to ze sztywnym gorsetem hierarchii służbowej, od której armia brytyjska zaczęła na poważnie odchodzić instytucjonalnie dopiero na początku XX wieku (patrz s. 136).

Najśłynniejszym epizodem ignorowania rozkazów przez Nelsona był ten z bitwy pod Kopenhagą w 1801 roku. Nelson otrzymał od swojego dowódcy sir Hyde’a Parkera sygnał nakazujący oderwanie się od nieprzyjaciela. Wtedy podniósł lunetę do swojego niewidzącego oka i wyrzekł ikoniczne słowa: „Mam prawo czasem coś przeoczyć. Nie widzę tego sygnału”¹. I kontynuował atak.

Skutkiem niesubordynacji stało się brytyjskie zwycięstwo. Nelson został za nie doceniony. Awansował na głównodowodzącego flotą. To była dobra decyzja admiralicji. Pod komendą Nelsona Royal Navy odniesie trzy swoje największe zwycięstwa – Nil, Kopenhagę i Trafalgar.

Podejście Nelsona²

Zawsze dowodził z pierwszej linii, ale gruntowne badania jego zachowanych listów prywatnych oraz rozkazów wydawanych na piśmie, przeprowadzone na początku XXI wieku, pokazują, że tajemnica jego sukcesu tkwi raczej w jego olbrzymim talencie do zarządzania ludźmi i zdolnościach administracyjnych, niż w geniuszu taktycznym³. Trzy taktyki, które Nelson połączył, planując bitwę pod Trafalgarem, to atakowanie dywizjonami, a nie pojedynczą linią, przełamywanie linii przeciwnika (pod Trafalgarem skutkiem było odcięcie 1/3 floty przeciwnika od udziału w bitwie) oraz wymuszanie starcia na minimalnej odległości (na której artyleria brytyjska miała przewagę). Wszystkie trzy elementy były realizowane znacznie wcześniej przez wielu dowódców, jak też i przez samego Nelsona.

¹ Powstanie frazy „turn a blind eye toward...” (pol. skierować niewidzące oko na...) jest powszechnie, lecz niestety błędnie przypisywane właśnie temu epizodowi.

² Ang. *Nelson’s touch*. Tym określeniem biografowie Nelsona nazywają specyficzne metody dowodzenia admirała.

³ Zob. opis bitwy pod Trafalgarem, s. 161.

Tym, co było osiągnięciem rewolucyjnym na miarę tamtych czasów i co stanowiło kluczowy wkład w zwycięstwo, były odprawy i konsultacje przed bitwą. Zespołowe podejmowanie decyzji zwiększa zaangażowanie ludzi w realizowane zadania. To zaś, że głównodowodzący słucha opinii podwładnych, zawsze niesłuchanie podnosi morale, zwłaszcza w kontraście do porażającej arogancji i toksycznej dominacji wszelkiej maści arystokratów.

Nelson przejawiał wielkie zainteresowanie ludźmi, a przy tym angażował się głęboko w rozwiązywanie ich problemów. Podwładni go kochali. Wieść o jego śmierci w czasie bitwy pod Trafalgarem rzuciła wielu z nich kolana. Zastępca Nelsona, admirał Collingwood, persona niezwykle opanowana, po prostu rozsłochał się. Bosman flagowego „Victory”, a więc ktoś, kogo codzienną rolą jest być budzącym powszechny strach sk...synem i trzymać twardo za mordę tysiąc napompowanych testosteronem twardej... rozkleił się tak, że nie był w stanie użyć swego służbowego gwizdka na podkomendnych, by dać im sygnał do zajęcia stanowisk bojowych.

Oto jak umierają wielcy wodzowie. I jak powstają potężne imperia.

W wcześniejszych bitwach Nelson nie pojawiał się za pierwszą falą szturmujących, jak robił to MacArthur. On falę abordażu prowadził! Tak było w bitwie przy St. Vincent w lutym 1797 roku. To Nelson stał na czele pierwszej grupy abordażowej, zbliżającej się do pierwszego okrętu wroga, aby zdobywszy go, przejąć kolejny. Były to hiszpańskie „San Nicolás” oraz „San Josef”, które szczepiły się ze sobą po kolizji. Wcześniej Nelson kierowaną przez siebie eskadrę skierował w lukę w hiszpańskiej formacji i doprowadził do jej rozerwania, co zdecydowało o zwycięstwie Brytyjczyków w całej morskiej potyczce.



Ryc. 1. Początkowa faza bitwy u ujścia Nilu (1-2 sierpnia 1798), olej Nicholasa Pococka (1808). Źródło: National Maritime Museum, Londyn, domena publiczna.

Co zaś do śmierci Nelsona pod Trafalgarem, niektórzy biografowie Nelsona wysuwają hipotezę, że admirał celowo przechadzał się po pokładzie swego okrętu w pełnym umundurowaniu tak, aby dać się zastrzelić w momencie swojej największej chwały. Wynikało to z komplikacji towarzyskich (głównie jego skandalicznego związku z Emmą Hamilton) oraz chronicznej złej passy w sprawach finansowych. Bezpośrednio przed bitwą Nelson zwrócił się do jednego z kapitanów słowami „Niech cię Bóg błogosławi, Blackwood. Nigdy już nie będziemy rozmawiać”.

Zanim Nelsonowi zaczęto powierzać potężne okręty linio-we, przez osiem lat dowodził fregatami. W kształtowaniu tego, jak Nelson podejmował swoje decyzje, dużą rolę odegrał charakter służby na jednostkach tego typu. To na nich wyzłifował swoje zdolności i doświadczenie. Fregaty były okrętami budowanymi nie jako przeważające nad wrogiem siłą ognia, a szybkością i zwrotnością. Zwykle – było tak w czasie blokad Tulonu i Kadyksu (s. 162) – były oczami i uszami floty.

Nelson już pod St. Vincent wiedział, że wstąpienie na wyżyny upragnionej sławy wymaga aktywności na wielu polach. Pośród nich wygrywanie bitew morskich było tylko nieociosaną bryłą kamienia, z której natchniony rzeźbiarz wykuwał arcydzieło, wcześniej mozolnie konstruując narzędzia prowadzące do zwycięstwa.

Zdawał sobie sprawę, że zwycięstwa zawdzięcza w dużej mierze swoim kapitanom, budował więc zespół i lojalność. Po bitwie pod St. Vincent (i wszystkich innych) w należyty sposób podziękował im za wysiłek. Upewnił się też, że jego wyczyny staną się znane opinii publicznej, spisując nieoficjalną relację z bitwy i wysyłając ją do Anglii. Odniosło to zamierzony skutek – Nelson natychmiast przyciągnął zainteresowanie i osiągnął rangę narodowego bohatera.

Potem jednak przyszło otrzeźwienie – porażka pod Santa Cruz w 1897 roku, w czasie której stracił prawą rękę. Przez krótki czas Nelson pograżył się w depresji. Ale już w następnym roku, gdy doszedł do siebie fizycznie i psychicznie, został wysłany na czele trzynastu okrętów wojennych na Morze Śródziemne. Tam odniósł swoje drugie ikoniczne zwycięstwo – u ujścia Nilu.

Już w tym starciu pokazała się w pełnej krasie koncepcyjna przewaga Nelsona nad swoją epoką. Nie trzymał podległych sobie kapitanów w rygorze ścisłego przestrzegania rozkazów – gdy tylko upewnił się, że rozumieją jego plany, pozwolił im na swobodę podczas ich realizacji. To właśnie te „luzy decyzyjne” zadecydowały o zwycięstwie u ujścia Nilu. Kapitan Foley na HMS „Goliath” zbliżając się do kotwiczących przy płyciznach jednostek francuskich, perfekcyjnie wykorzystał fakt, że da się przepłynąć obok nich od strony mielizny – od strony, od której Francuzi nie mieli nawet załadowanych dział! ■

Bitwa u ujścia Nilu 1798

„Najbardziej przemożne zwycięstwo
ery żagla”

Tło strategiczne

Etap wojen napoleońskich zwany wojną z II koalicją antyfrancuską (1798–1802) to okres walk konserwatywnych monarchii europejskich przeciw rewolucyjnej Francji. W tym okresie Napoleon zdecydował się zaatakować brytyjskie terytoria zależne we wschodniej części Morza Śródziemnego i rozpoczął inwazję na Egipt. Brytyjska flota śródziemnomorska starała się z jednej strony doprowadzić do walnego starcia z flotą francuską, a z drugiej zwalczać statki zaopatrujące Napoleona w Egipcie.

Z braku fregat przetrwało imperium

280 transportowców, 13 okrętów liniowych, 42 fregaty oraz mrowie jednostek pomocniczych. Las masztów zajmował 4 mile kwadratowe. Ta zapierająca dech w piersiach flotylla przemieszczała się z francuskiego Tulonu do Egiptu.

Na pokładach tych statków płynęło 38 tysięcy żołnierzy francuskiej Armii Orientu, uzbrojonych w 60 dział polowych, 40 dział oblężniczych i mających 1200 koni. Na pokładzie jednostki flagowej „L'Orient” podróżował sam Napoleon. Jednostka była przeciążona – załadowano na nią 2000 ludzi, dwa razy więcej, niż liczyła zwykła załoga.

Cała ta armia miała wylądować w Egipcie, aby odciąć Anglików od przyszłej perły w koronie ich imperium – Indii. Przerwanie szlaków handlowych na Daleki Wschód mogło rzucić Brytyjczyków na kolana. To dlatego francuski Dyrektoriat 12 kwietnia 1798 roku wydał Napoleonowi tajny rozkaz uczynienia Egiptu francuską kolonią oraz przejęcia wszelkich brytyjskich terytoriów, po jakie tylko dałoby się sięgnąć. Flota miała też po drodze zająć strategicznie położoną Maltę.

To był świetny geostrategicznie plan, wprowadzony w życie w idealnym momencie. W 1796 roku Anglicy wycofali swoje okręty z Morza Śródziemnego na skutek francuskich zwycięstw we Włoszech i przystąpienia Hiszpanii do wojny po stronie Francji. Brytyjczykom zrobiło się na akwenie po prostu ciasno. Jednak na wieść o olbrzymiej flocie szykującej się do wypłynięcia z Tulonu, Anglicy wysłali eskadrę mającą zaatakować francuską wyprawę wojenną na morzu.

Problemem Anglików było to, że nie wiedzieli, dokąd ta flota miała płynąć. Do Indii Zachodnich (Karaiby)? W kierunku Anglii? Wszystko było możliwe. Francuzi mieli zaś własne problemy. Ich flota inwazyjna poruszała się z prędkością najwolniejszych transportowców, osiągających zaledwie 3 węzły. Przeładowany „L'Orient” dawał z siebie maksymalnie 6 do 10 węzłów.

Brytyjczycy i Francuzi przez bite dwa miesiące bawili się w kotka i myszkę. Nelson pływał jak wariat w tę i we w tę, a dowodzący flotyllą admirał Brueys obrał nieco określny kurs w kierunku Krety, aby zminimalizować ryzyko napotkania się na Anglików.

Nelson był cały czas na tropie, ale miał pecha i spóźniał się. Po tym jak jednostki angielskie zostały uszkodzone przez sztorm przy Sardynii, a potem naprawione. Eskadra przechwyciła statek handlowy, którego dowódca ujawnił, że francuska flotylla już wyruszyła! Problemem Nelsona



Ryc. 1. Trasy przebyte przez flotę inwazyjną Napoleona i ścigającego ją Nelsona. „X” – miejsce minięcia we mgle 22 czerwca.

było to, że dwie fregaty wchodzące w skład jego eskadry widząc uszkodzenie masztu flagowego „Vanguarda”, zawróciły do Gibraltaru, zakładając, że reszta eskadry także tam zawróci. I tyle te fregaty widziano. Tymczasem Nelson proaktywnie naprawił swój okręt na Sardynii i został za to pokarany – stracił oczy i uszy swojej eskadry.

Anglicy wciąż mogli się tylko domyślać celu francuskiej wyprawy. Wtedy, płynąc koło Sycylii, dowiedzieli się, że Francuzi zajęli Maltę. Na naradzie dowódców Anglicy wydedukowali w końcu, że celem Francuzów musi być Aleksandria. Anglicy pojawili się tam 28 czerwca. Francuzów nie zastali.

Stawką pościgu była przyszłość brytyjskiego imperium, więc Nelson nie odpuszczał. Bezzwłocznie – już następnego dnia – skierował swoje okręty na północ. Dosłownie 2 godziny po tym, jak ostatni brytyjski okręt, bryg „Mutine”, zniknął za horyzontem, do Aleksandrii dotarł pierwszy okręt francuskiej wyprawy – fregata „Juno”.

Dwie godziny! Wyobraźmy sobie, jaki pogrom mogliby zrealizować Anglicy dopływającym do Egiptu w większości bezbronnym transportowcom. Starcie byłoby pierwszym kandydatem na najbardziej epicką, a zarazem brzemioną w konsekwencje bitwę w historii świata!

Nie było to pierwsze bliskie rozminięcie się stron. Ani nawet drugie. 22 czerwca minęły się one w wyjątkowo gęstej mgle, obie płynąc w kierunku Krety. Szybsi Anglicy przepłynęli obok portu Chania 25 czerwca, dzień przed Francuzami. 29 czerwca Anglicy zawrócili w kierunku Krety, ale wzdłuż syryjskiego wybrzeża. Gdy dotarli do Krety, dowiedzieli się o rozminięciu z wrogiem kilka dni wcześniej. Ale zamiast wracać do Aleksandrii, skierowali się w kierunku Sycylii. To tam przesłuchanie kapitana kolejnego zatrzymanego statku handlowego pozwoliło upewnić się, że celem francuskiej wyprawy była Aleksandria.

Tuż przed bitwą

Wiceadmirał François-Paul Brueys d'Aigalliers nakazał swojej flocie zacumować w zatoce Aboukir. Ale w czasie rozmieszczania okrętów w formacji defensywnej przy pływaczach, Francuzi popełnili kardynalny błąd – zostawili zbyt szeroki prześwit między pierwszym z okrętów kotwiczących w linii a pływaczami. Ciężar błędu został powiększony przez to, że część załóg zeszła na ląd celem uzupełnienia zapasów, których braki, wraz z przemęczeniem, doskwierały francuskim marynarzom.

Tally-ho!

Anglicy pojawili się ponownie w rejonie Aleksandrii w ciągu pięciu dni. Niestety, po francuskiej flotyli nie było ani śladu. Chociaż nie, był jeden – francuscy żołnierze na lądzie. Skoro więc armia lądowa została desantowana, statki i okręty musiały czekać w pobliżu. Znalezienie ich zabrało Anglikom resztę lipca. Żmudne poszukiwania opłaciły się – znaleźli Francuzów w zatoce Aboukir (współcz. Abu Qir), położonej 15 mil morskich na zachód od Aleksandrii. O zmroku 1 sierpnia, gdy mijali położony na przylądku zamek Aboukir, dokładnie o 14:45, ich oczom – nawiązując do arcydzieła polskiego kina – ukazał się las

masztów. Anglicy zaatakowali z marszu. To wtedy Brueys popełnił kolejny kardynalny błąd – uznał, że Brytyjczycy nie zdecydują się na atak o tak później porze, a dopiero rano. Kosztowało go to dodatkowe minuty. Do tego dołożył się wyjątkowo niefortunny kierunek wieczornego wiatru. Jak na złość wiał on z kierunku, który utrudniał manewrowanie zakotwiczonym okrętom. Tymczasem Nelson wydał rozkaz natychmiastowego ataku, gdy tylko o 18:00 brytyjskie okręty wpłynęły do zatoki.

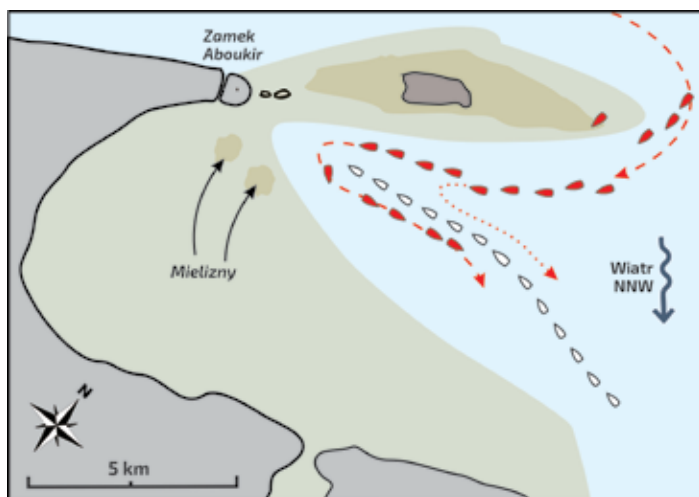
Brytyjscy kapitanowie dostrzegli i natychmiast wykorzystali pozostawiony przez Francuzów odstęp między mielizną, a zakotwiczonymi okrętami. Dodać trzeba, że błąd Brueysa polegał na tym, że nie docenił determinacji i gotowości do podjęcia ryzyka przez przeciwnika. Francuski admirał kalkulował po prostu, że Brytyjczycy nie zaryzykują manewrowania na niezbadanych wodach. Sprawy ułożyły się też tak, że świadoma decyzja zakotwiczenia okrętów dziobami w stronę lądu, mająca zapobiec rozcięciu ich linii, w czasie niespodziewanej wieczornej bitwy uniemożliwiła przeprowadzenie manewrów obronnych.

Bitwa

Nelson szybko zorientował się, że francuskie okręty kotwiczą zbyt daleko od mielizn. Wydał rozkazy i zdał się na inicjatywę dowódców poszczególnych jednostek.

Ta filozofia, która stulecie później zostanie nazwana *mission-objective*¹, dała w zatoce Aboukir efekt wręcz fenomenalny. Kapitan Thomas Foley na HMS „Goliath” dostrzegł, że skrajny francuski okręt jest w odległości 1,7 mili od wyspy, a przy tym da się wpłynąć w przestrzeń między mieliznami a linią zakotwiczonych jednostek!

¹ Zob. K. Fudalej, „Wytyczne czy zadanie? Dwie filozofie dowodzenia” [w:] *Sun zi i jego Sztuka wojny*, Kraków 2025, s. 489.



Ryc. 2. Przybliżony szkic sytuacyjny początkowej fazy bitwy u ujścia Nilu.

Natychmiast skierował się w tamtym kierunku. Kilka innych brytyjskich okrętów podążyło za nim. Jednocześnie Nelson podpłynął pod francuską linię od strony morza. Tylko jeden z atakujących okrętów osiadł na mieliźnie.

Pech Francuzów, fart Lemoniarzy. Brytyjczycy podpływali do kolejnych okrętów po obu stronach – od lądu i morza, by z bezpośredniej bliskości z obu stron ładować w burty przeciwnika salwę za salwą.

Brytyjczykom potrzeba było aż 3 godzin, aby przełamać obronę pierwszych pięciu okrętów. Około godziny 21:00 zajął się ogniem „L'Orient”, okręt flagowy Brueysa. Sam admirał został ranny. Ogień, podsycony zmagazynowaną pod pokładem farbą i terpentyną, dotarł w końcu do magazynu prochu, prowadząc do spektakularnej eksplozji. Wszyscy obecni na okręcie, w tym Brueys, zginęli w ułamku sekundy. Przeżyli tylko ci, którzy salwowali się ucieczką z okrętu wcześniej, jeszcze w czasie pożaru.

Jedenaście z trzynastu francuskich okrętów zostało zniszczonych lub zdobytych. Tylko trzy dało się Anglikom wyremontować i wcielić do służby. Zginęło 1700 Francuzów, 1500 zostało rannych, do niewoli trafiło 2000. Brytyjczycy za swoje spektakularne zwycięstwo zapłacili symbolicznie: dwa okręty zostały poważnie uszkodzone, zginęło 218 marynarzy, a 677 zostało rannych.

Parametry zwycięstwa

Główną przyczyną francuskiej klęski było feralne rozlokowanie okrętów na kotwiczowisku. Jednostki nie mogły sobie nawzajem pomagać, gdyż zastosowaną taktyką było utrzymanie przeciwnika na dystans. Taktyką Nelsona w tej bitwie, ale także później, pod Trafalgarem, było natomiast skrócenie dystansu. Wynikało to z zasadniczo odmiennych doktryn użycia artylerii – francuska oddziaływała na przeciwnika optymalnie w czasie pojedynków w linii, a więc toczonych na dystans, natomiast siła salwy brytyjskie sprawdzały się na krótkich dystansach. Brytyjczycy potrafili wystrzelić trzy salwy w ciągu pięciu minut. W tym samym czasie Francuzi mogli wystrzelić zaledwie jedną!

Efekty zwycięstwa

I tak armia Napoleona została pozbawiona transportu i ochrony floty. Bitwa utrwaliła brytyjskie panowanie na morzach do końca francuskich wojen rewolucyjnych. Ale macierzysta wyspa dowiedziała się o triumfie dopiero 2 października, aż dwa miesiące później. Zaraz po bitwie Nelson wysłał HMS „Leander” z wieściami, ale został on przechwycony na morzu i w krótkiej walce zdobyty przez „Généreux”, jeden z okrętów, któremu udało się uciec z pogromu pod Aboukirem.

Nelson stał się sławny! Od kapitana statku „Swiftsure” Nelson otrzymał w podarunku trumnę wykonaną z wyłowionego masztu okrętu „L’Orient”, aby po śmierci mógł spocząć we własnym trofeum. Rząd Zjednoczonego Królestwa podarował Nelsonowi cztery fregaty i ustanowił dożywotnią pensję w wysokości 2000 funtów rocznie. Nelson został też baronem Nilu.

Spostrzeżenia na wynos

A. Metoda Nelsona (ang. *Nelson's touch*)

Nelson, dodatkowo, przez całą długość tego godnego pamięci rejsu zmienił pokład dowodzenia „Vanguarda” w coś co można nazwać tylko „szkołą kapitanów”².

Takich słów używał kapitan okrętu, Edward Berry. W czasie „zwiedzania” Morza Śródziemnego Nelson wypracował swoje nowatorskie w tamtym okresie podejście do szkolenia. Rutynowo zwoływał na swoim flagowcu dowódców pozostałych okrętów. W trakcie tych posiedzeń z jednym lub wieloma kapitanami Nelson prezentował gościom swoje koncepcje i pomysły manewrów. My nazwiemy takie narady gramy wojennymi. Ich celem było przepracowanie koncepcyjne wszelkich dających się pomyśleć wariantów napotkania przeciwnika. Fitchett opisywał:

² W.H. Fitchett, *Nelson and His Captains*, Londyn 1902.

Nie było pozycji, w której można by się znaleźć, a której nie uwzględniłby w swoich kalkulacjach i dla najkorzystniejszego ataku nie przetrawił i nie ułożył najlepszych możliwych planów. Dlatego też każdy z jego kapitanów był doskonale zaznajomiony z mistrzowskimi pomysłami ich admirała na temat taktyki morskiej! Sygnały były potrzebne rzadko. [...] Jednym słowem Nelson tak bardzo zaprzętał umysły swoich kapitanów swoimi planami, że gdy nadszedł moment działania [...], nie było potrzeby niezadarnie literować za pomocą sygnału, czego oczekuje od nich admirał. Byli już przesiąknięci tą wiedzą.

Sesje dyskusyjne nie ograniczały się do zapoznawania słuchaczy z planami i zamiarami głównodowodzącego. Były dla wszystkich nauką taktyki i oswajaniem z różnymi koncepcjami i możliwymi interpretacjami wariantów sytuacji taktycznych oraz sposobami radzenia sobie z nimi. Efektem było to, że kapitanowie poszczególnych okrętów byli zdolni odtworzyć rozumowanie swoich kolegów, a więc przewidzieć decyzje w sytuacjach, w których sygnały flagowe były do tego niewystarczające.

To dzięki takiemu treningowi w czasie nagłego spotkania wroga w zatoce Aboukir kapitanowie nie zaczęli rozmyślać, nie opóźniali swoich decyzji ani nie czekali na polecenia z okrętu flagowego. W czasie nieznośnie powolnego opływania przylądka i mieliżn jedynym sygnałem flagowym było polecenie przygotowania się do bitwy i informacja, że Nelson chce atakować przód i środek formacji francuskiej.

Jednym z kluczowych elementów takiego zgrywania się bez słów jest cecha charakteru, która w opisach metody Nelsona nazywana jest lojalnością. Chodzi w niej o to, żeby żaden z uczestników akcji nie uległ pokusie działania dla własnej chwały czy nie próbował realizować jakiegś własnej koncepcji osiągnięcia zwycięstwa. Nelson swoją

magnetyczną osobowością wzbudzał taką lojalność – podlegający mu ludzie byli w stanie zwalczyć swoje egoistyczne zapędy.

Alfred Mahan opisując walory dowódcze Nelsona, wylicza rozmaite techniki, którymi posługiwał się on celem wytworzenia ducha zespołu. Jedną z głównych metod było wychwalanie podwładnych. Takie docenianie wysiłku, zwłaszcza kontrastujące z zachowaniami toksycznymi innych dowódców (zob. Cuszima i Port Artur), czyniło cuda. Któż nie poświęci się dla takiego dowódcy? Tak działa ludzka natura. Mahan i inni biografowie przytaczają rozmaite przykłady takiej postawy. Oto w liście z 1781 roku Nelson tak wychwala załogę swojego pierwszego okrętu:

*Mam na okręcie wyjątkowo dobre towarzystwo;
Nie ma w nim człowieka [marynarza] ni oficera,
którego chciałbym zmienić [...]. Jestem w pełni usatysfakcjonowany zarówno oficerami, jak i załogą.*

Któż z nas chciałby sprawić zawód dowódcy czy szefowi, który docenia naszą ciężką katorgę od świtu do nocy?

W przededniu bitwy pod Trafalgarem Nelson rozesłał do swych kapitanów swoje słynne memorandum. Było ono proste aż do bólu – omawiało jedynie dwa warianty sytuacji, biorące pod uwagę kurs przeciwnika z wiatrem i pod wiatr. Poza tym memorandum i słynnym sygnałem o oczekiwaniach Anglii wobec jej ludzi Nelson w czasie 6 godzin od dostrzeżenia przeciwnika do pierwszego strzału nie widział potrzeby instruowania kapitanów swoich 27 okrętów liniowych. Świetnym podsumowaniem tego porozumienia bez słów jest anegdota przytaczająca słowa dowodzącego „Royal Sovereign” barona Collingwooda: „Niechże Nelson przestanie ślać sygnały. Wszyscy wiemy, co robić!”³.

³ Ang. *I wish Nelson would stop signalling, as we know well enough what we have to do.*

Ale Nelson nie rozgadywał się. Wiedział, że nie musi, bo to jego wizja stała za skomponowaniem kolektywnego umysłu kapitanów prowadzących swoje okręty na przeciwnika. Po wysłaniu niezbędnych sygnałów miał rzec do kapitana „Victory”, Blackwooda:

Teraz nic już nie pozostało mi do zrobienia. Musimy zaufać Wielkiemu Sprawcy wszystkich zdarzeń i słuszności naszej sprawy. Dziękuję Bogu za tę wielką szansę wypełnienia moich obowiązków⁴.

Podsumowując, metoda Nelsona składała się z kilku umiejętności potrzebnych do dobrego dowodzenia okrętem. Przede wszystkim to edukacja i trening. Tą pierwszą zapewniał on w czasie sesji dyskusyjnych. Treningiem była faktyczna służba i potyczki z przeciwnikiem, których w czasie wojny nie brakowało.

Ale Nelson szedł znacznie dalej w celu wygenerowania jednomyślności i kolektywnego rozumienia sytuacji taktycznej na odległość. Stosował indoktrynację. W toku dyskusji wywoływał w podległych sobie dowódcach przekonanie o słuszności wyboru takiej, a nie innej metody działania. Właśnie ta indoktrynacja była główną częścią składową tworzonej u podkomendnych lojalności, tj. zaniechania forsowania własnej agendy i szukania osobistej chwały kosztem zaburzenia jednomyślności. Tu Nelson miał naturalną przewagę nad innymi ludźmi – swoją magnetyczną osobowość, dzięki której ludzie wokół niego szli za nim niczym kaczątka za mamą-kaczką.

Tak oto Nelson, niejako automatycznie, generował kolejny składnik swoich zdolności dowódczych – będąc pewnym lojalności podkomendnych, mógł z niskim ryzykiem obda-

⁴ W oryginale: *Now I can do no more. We must trust to the Great Disposer of all events and to the justice of our cause. I thank God for this great opportunity of doing my duty.*

rzyć ich zaufaniem i dać swobodę wykazywania inicjatywy. Bez wcześniej opisanego stworzenia za pomocą indoktrynacji i pozostałych elementów ducha pracy zespołowej, metoda Nelsona nie mogłaby zadziałać w praktyce. Dodać warto, że funkcjonowanie takiego „rozumienia bez słów” samo w sobie było formą podnoszenia morale. Wynikało to m.in. z poczucia pewności co do tego, że realizowane działania są prawidłowe (eliminacja czynnika niepewności).

Przed wynalezieniem radia i telegrafu koordynowanie działań w czasie bitew i operacji było dla dowódców prawdziwą zmaganiem. Nelson wypracował wypracował rozwiązanie natchnione. Model dowodzenia skomponowany przez Nelsona był systemem, w którym zawodna, polegająca na sygnalizacji flagami komunikacja między okrętami stawała się zasadniczo zbędna. To, co każdy miał robić, wynikało z sytuacji, która wcześniej była wałkowana wielokrotnie. To, co robili młodszy oficerowie, to wprowadzanie na bieżąco modyfikacji do ogólnych dyspozycji, wynikające z napotkania specyficznych warunków. W swoim podsumowaniu Mahan stwierdza po prostu:

Nie było więc szczęśliwym zbiegiem okoliczności to, że bitwa przebiegła zgodnie z ogólnym zamysłem, choć z niezbędnymi zmianami w szczegółach. Nie tylko wiele wariantów scenariuszy było przedyskutowanych, [...] ale nowe sygnały [tj. kombinacje flag] zostały zapisane w książkach sygnałowych, aby intencje admirała były szybko zrozumiane.

■



Trafalgar 1805

Najważniejsza bitwa Imperium Brytyjskiego

W rzeczy samej istniały jeszcze doniosłe i zdumiewające konsekwencje wynikające z decydującej supremacji brytyjskiej potęgi morskiej, której ustanowienie, poza wszelkimi wątpliwościami i konkurencją, było wielkim osiągnięciem Nelsona.

Alfred Mahan, The Life of Nelson (1897)

Wojny napoleońskie (1803–1815)

Francuski bóg wojny mocno załazł Anglikom za skórę, zmagając się z nimi o kontrolę mocarstwową nad Europą i zasobami reszty świata. Napoleon, mający w pamięci historycznej Polaków bardzo pozytywne miejsce, na Zachodzie Europy często postrzegany jest niemal jak francuski odpowiednik Hitlera – jako megalomaniak pragnący podbić świat. Napoleon szczególnie nie lubiany jest przez Brytyjczyków, czego przejawem jest film *Napoleon* z 2023 roku, w którym Brytyjczyk Ridley Scott portretuje Napoleona w mocno nieobiektywny sposób, przedstawiając go praktycznie w krzywym zwierciadle.

Jednym z głównych wątków wojen przełomu XVIII i XIX wieku były przygotowania do inwazji na Wyspy Brytyjskie. Ale wszystkie te przepychanki zakończyło spektakularne zwycięstwo brytyjskiej floty dowodzonej

przez wiceadmirała Horatio Nelsona. Dzień stoczenia zwycięskiej bitwy – 21 października 1805 roku – był i jest postrzegany przez kolejne pokolenia Anglików jako moment powołania do życia ich światowego imperium.

Nelson na czele floty i blokady portów

Nelson objął dowodzenie flotą śródziemnomorską w maju 1803 roku, mając czternaście lat doświadczenia w walce z Francuzami. W tamtej chwili w dorobku miał dwa strategiczne zwycięstwa – na Nilu w 1798 roku i pod Kopenhagą w 1801 roku. Obejmując dowództwo, Nelson wiedział, że priorytetem dla całej Royal Navy jest odniesienie decydującego zwycięstwa nad flotą francuską.

Po bitwie u ujścia Nilu Brytyjczycy dominowali na Morzu Śródziemnym. Przez całe miesiące Nelson trzymał francuską flotę zamkniętą w porcie w Tulonie. Ignorując własne zdrowie, pilnował, aby marynarze i okręty były w możliwie pełnej sprawności. Z uwagi na bliskość już wtedy brytyjskich Malty i Gibraltaru, ustanowił na tych kierunkach szlaki zaopatrzeniowe.

Cechą szczególną blokady Tulonu była odległość, jaką brytyjskie jednostki utrzymywały względem samego portu. Zamiast zupełnie uniemożliwić statkom i okrętom opuszczenie portu, Nelson monitorował go z nieco większej odległości. Intencją było wywabienie przeciwnika do walnej bitwy. Nelson pisał o tym wprost jeszcze w 1804 roku:

Port w Tulonie nigdy nie był przeze mnie blokowany. Wręcz przeciwnie – przeciwnik dostawał wszelką okazję do wypłynięcia na morze, ponieważ to właśnie tam mamy nadzieję zrealizować nadzieje i oczekiwania naszego kraju¹.

¹ Letter to the lord mayor of London, [w:] *The Dispatches and Letters of Lord Nelson: May 1804 to July 1805*, t. 6, wybór i opracowanie N.H. Nicolas, Chatham 2003, s. 125.



Ryc. 1. Lokalizacja przylądka Trafalgar.

Francuzi dwukrotnie podejmowali próby opuszczenia Tulonu. Pierwszy raz w styczniu 1805 roku. Tamtego dnia jednak to sztorm zagnał ich z powrotem. Druga próba powiodła się! 30 marca francuska eskadra opuściła port i niezauważona przez Brytyjczyków, cierpiących na deficyt fregat do dozoru, skierowała na zachód. Francuskie okręty miały połączyć się z hiszpańskimi przy Kadyksie, by wspólnie przekroczyć Atlantyk i nękać żeglugę brytyjską w rejonie Karaibów. Zrealizowawszy tę misję, flota miała pojawić się na Kanale La Manche, by uczestniczyć w inwazji na Anglię.

Nelson nie zdołał przeniknąć tego planu, a z kolei dowodzący francuskimi okrętami Villeneuve, bo to on wydostał swoje okręty z Tulonu, rozminął się z innymi eskadrami francuskimi już u celu. Tym samym nie zrealizował zadania. Po ponownym przekroczeniu Atlantyku zawiął do portu w Kadyksie. Flota brytyjska zablokowała go w tym porcie niemal natychmiast.

Wizja Nelsona

Nelson rozumiał geostrategiczne potrzeby swojego kraju i realizował je z pełną determinacją. Tak było przy dwumiesięcznym polowaniu na francuską flotę w 1798 roku, którą dopadł przy ujściu Nilu. Wtedy pokrzyżował francuski plan atakowania brytyjskich kolonii w tamtym regionie. Podobny geostrategiczny cel osiągnął zwycięstwem w bitwie pod Kopenhagą w 1801 roku. Osiągnięciem tym zwycięstwem Nelson zniechęcił mocarstwa bałtyckie do sojuszu z Napoleonem.

Teraz, podejmując pościg za francuską flotą, Nelson ryzykował, gdyż pozbawił akwen śródziemnomorski osłony floty. Słusznie jednak uznał, że większym zagrożeniem jest skoncentrowana flota francuska operująca w rejonie atlantyckiego wybrzeża Francji, która mogła niespodziewanie pojawić się w dowolnym miejscu u brzegów Europy. Było przy tym całkowicie jasne, że celem Francuzów będzie zatopienie pojedynczych okrętów i mniejszych eskadr Royal Navy, by oczyścić sobie drogę do inwazji.

Strony toczyły wojnę z przerwami od 1756 do 1815 roku. Jedną z chwilowych pauz zakończono 16 maja 1803 roku. Do końca tego roku Brytyjczycy zdołali wybudować 75 jednostek. Flota francuska w maju składała się z 47 okrętów, ale kolejne 19 było w trakcie budowy.

Anglicy mieli dwie floty. Pierwsza to flota Kanału Angielskiego (mówiąc z brytyjska), broniąca Wysp Brytyjskich przed inwazją. Drugą była flota śródziemnomorska, która miała blokować działania francuskiej marynarki wojennej oraz korsarzy operujących z Tulonu i innych okolicznych portów. Słowem – miała ona blokować wszelkie francuskie zapędy mocarstwowe w regionie, w tym przede wszystkim w północnych Włoszech. W repertuarze strategicznym wojny na morzu Brytyjczycy mieli blokady, desanty, ochronę konwojów i atak na żeglugę handlową przeciwnika. I, oczywiście, walne bitwy.

Przejawia się tu specyficzne prawidło dotyczące obu stron: Francja zawsze miała słabszą marynarkę, przez co nigdy nie udało jej się wywalczyć dominacji na Kanale La Manche. Dla Anglików podstawowym instrumentem prowadzenia polityki imperialnej była Royal Navy. Dla Francji zawsze, a w przypadku szczególnym dla Napoleona, marynarka pełniła jedynie rolę wspomagającą działania armii lądowej.

Plan Nelsona i przygotowania do bitwy

Esencją wszystkich angielskich działań była potrzeba ochrony opartej na handlu gospodarki. Za pomocą zasobów pozyskiwanych z całego świata, gospodarka ta generowała instrumenty własnego przetrwania – okręty liniowe. Zadaniem równoległym było osłabianie gospodarek konkurentów. Na takich podstawach kilka dziesięcioleci później wykształci się **wizja Alfreda Mahana, której esencją było utrzymanie kontroli nad zasobami poprzez zdobycie dominacji na morzach, możliwej dzięki zniszczeniu floty wojennej konkurenta.**

Teraz brytyjska flota miała dokładnie takie zadanie. Musiała zniszczyć flotę przeciwnika w walnej bitwie. 9 października Nelson ujawnił w tajnym memorandum do dowódców swój plan bitwy, polegający na rozcięciu wrażej linii bitewnej. Brytyjskie okręty miały zaatakować w trzech liniach.

Taki manewr rozcinań linii przeciwnika był stosowany z sukcesem w przeszłości, ale tylko jeden raz za pomocą dwóch własnych linii – w bitwie pod Camperdown. Nie jest więc tak, że Nelson w nadludzkim akcie natchnienia napisał nowy rozdział w księdze manewrów morskich. Jego zasługą było raczej dogłębne rozumienie sytuacji przeciwnika i doprowadzenie do tego, aby okręty brytyjskie zamiast walczyć w linii, wykorzystały swój największy atut – siłę niszczącą angielskich salw burtowych, które na bliskie odległości były wręcz mordercze.

Brytyjczycy górowali dyscypliną i siłą ognia na bliskie odległości. Nic dziwnego, że pojedynki ogniowe i chaotyczna bitwa na bliskim dystansie były ich preferowanym sposobem rozstrzygnięcia. Praktykowanym zresztą wielokrotnie. Ale nie uprzedzajmy faktów.

Celem memorandum było zadeklarowanie doktryny taktycznej polegającej na przejęciu inicjatywy i elastycznym dostosowywaniu się do biegu zdarzeń zarówno na poziomie całej floty, jak i decyzji dowódców poszczególnych okrętów. Nelson podkreślał, że takie podejście uwzględnia kwestię przypadku oraz niezrozumienia sygnałów wysyłanych przez poszczególne okręty za pomocą flag sygnałowych.

Czynnik ludzki i styl dowodzenia

Zawsze w ruchu. Skutkiem ciągłego obciążenia zadaniami, wręcz do granic wydajności, było to, że brytyjscy marynarze byli świetnie wyszkoleni. Więcej, czuli swoje umiejętności w rękach, co dawało im pewność siebie, śmiałość i zasadniczo podnosiło morale. Głównodowodzący zdołał jasno sformułować doktrynę i zakomunikować ją swoim podwładnym. Dzięki temu komunikacja w czasie bitwy po prawdzie nie była wcale potrzebna!

Jakże inaczej były splątane struktury dowodzenia oraz motywacji po stronie sprzymierzonych flot francuskiej i hiszpańskiej! W okresie przed bitwą flota francuska była zablokowana w Kadyksie. Jej dowódcy i załogi nie miały możliwości należytego ćwiczenia swoich umiejętności. Nelson świetnie zdawał sobie sprawę z tej ułomności, a nawet podkpiwał².

² Miał rzec "Ci dżentelmeni wkrótce będą tak doskonalili w teorii, że [z pewnością] wypłyną w morze by wiedzę swą wcielić w działanie." *The Dispatches and Letters of Lord Nelson*, Vol. VI, ed. Sir Nicholas Harris Nicolas, (London: Henry Colburn, 1846; reprint, London: Chatham Publishing, 1998), s. 253.

Zupełnie inne motywacje krążyły w krwi Francuzów. Odwagi im nie brakowało, ale zabrakło ciągłej zaprawy. Pojawił się też czynnik polityczny – większość oficerów floty francuskiej wywodziła się z arystokracji, a więc dla władz Republiki stanowili oni element podejrzany. Wielu zostało z tych powodów usuniętych ze stanowisk, a czasem musiało nawet uciekać z własnej ojczyzny.

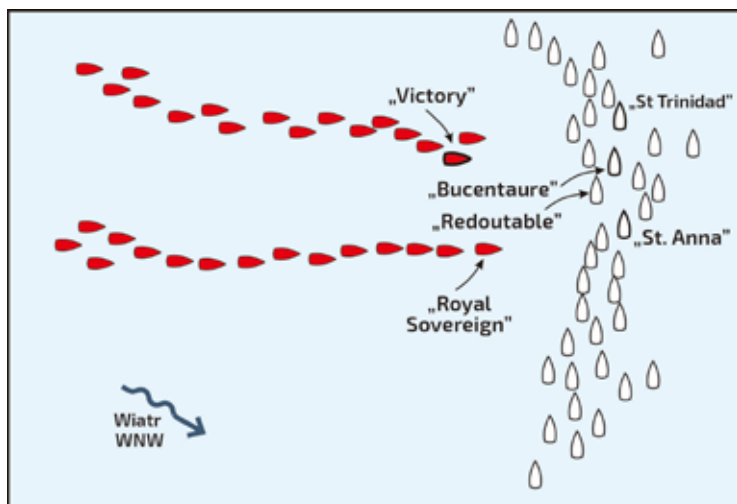
Jakże inna była też motywacja francuskiego dowódcy do przystąpienia do decydującej bitwy! Villeneuve wypłynął z Kadyksu, gdyż dowiedział się, że Napoleon zdecydował o pozbawieniu go dowództwa, a stosowna korespondencja miała już być w drodze. Innym przyczynkiem do decyzji były narastające animozje między dowódcami francuskimi i hiszpańskimi. Dodatkowo, dla wielu dowódców i załóg nieunikniona bitwa miała być pierwszym walnym starciem z wrogiem.

Tuż przed bitwą

Zapowiedź zbliżającej się bitwy dostarczyła fregata HMS „Sirius”, patrolująca wody na „przedpolach” Kadyksu. Wiadomość o wychodzeniu wrogich jednostek z portu „Sirius” wysłał o 7:00 rano. Była ona przekazywana przez cały łańcuch fregat aż do oddalonego o 50 mil morskich okrętu flagowego Nelsona. O 9:30 Nelson nakazał przygotowanie do bitwy. Francuska flota płynęła wzdłuż wybrzeża na północ, a brytyjska nadpływała z zachodu. Wiatr sprzyjał Anglikom, popychając ich od tyłu, spowalniał natomiast flotyllę sojuszników, która opuściła port.

Tuż przed bitwą, o 11:45 Nelson nakazał wywiesić słynny sygnał:

*Anglia oczekuje od każdego człowieka,
że wypełni on swój obowiązek.*



Ryc. 2. Szkic sztyku obu stron
tuż przed początkiem bitwy przy Przylądku Trafalgar.

Pięć minut później francuski dowódca Pierre-Charles-Jean-Baptiste-Silvestre de Villeneuve nakazał swoim okrętom podjęcie walki. Pierwszy strzał padł z działa francuskiego okrętu „Fougueux”, wycelowany w „Royal Sovereign”, okręt flagowy wiceadmirała Cuthberta Collingwooda.

	Flota brytyjska	Flota francusko-hiszpańska
Ludzie	18 000	30 000
Okręty	27	33 (18 Fr, 15 Hiszp)
Działa	2148	2632

Ryc. 3. Stosunek sił brytyjskich i sojusznicznych
w bitwie pod Trafalgarem

Bitwa

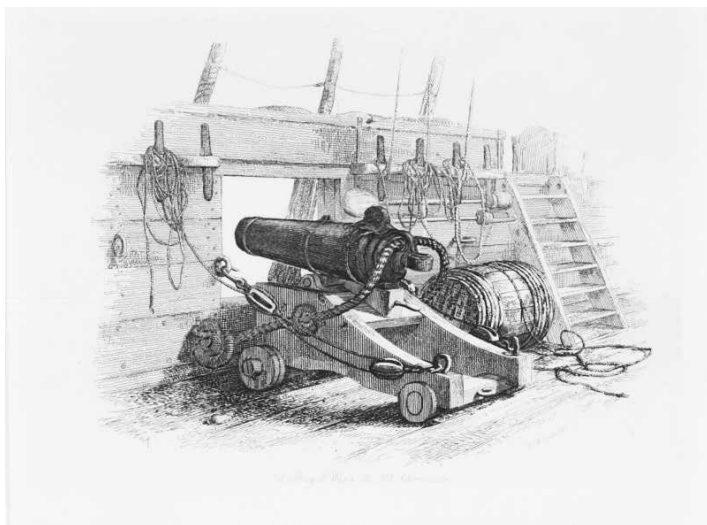
W początkowej fazie wiatr dawał przewagę Brytyjczykom – wiał od bakburty, a wypływający z portu płynęli pod wiatr. Podobnie jak przy ujściu Nilu, Wiatr ten był bardzo słaby. Stąd dziwna dla nieobytych z morzem powolność wydarzeń bitwy i długi czas, w którym okręty brytyjskie, dopływając do francuskiej linii, były wystawione na ogień przeciwnika bez możliwości odpowiedzi.

Część okrętów sprzymierzonych płynęła w parach, co stało się przedmiotem późniejszych spekulacji. Przyjmuje się, że Villeneuve przewidział, że Nelson spróbuje przerwać linię wymykającej się z Kadyksu floty i próbował to utrudnić. Zresztą, także Brytyjczycy nie zaprowadzili rygorystycznego porządku w swoich dwóch liniach – tłumaczy się to tym, że Nelson chciał dotrzeć do przeciwnika możliwie najszybciej.

Wbrew pierwotnej zapowiedzi w memorandum, brytyjskie okręty atakowały dwóch, a nie trzech liniach. Tą bardziej na północ prowadził HMS „Victory”. Pierwsze cztery okręty miały aż trzy pokłady artyleryjskie; osiem pozostałych – dwa. Grupa prowadzona przez HMS „Royal Sovereign” miała trzy trójpokładowce i 12 mniejszych okrętów liniowych.

Brytyjczycy zbliżając się przeraźliwie powoli do linii przeciwnika, nie mogli odpowiadać salwami burtowymi. Ale teraz miała się uwidocznic ich przewaga w sile ognia. Wymierzona w rufę „Santa Ana” Salwa „Royal Sovereign” była mordercza – raniła lub zabiła 400 ludzi.

HMS „Victory” otworzył ogień do „Bucentaure” 45 minut po pierwszej salwie z „Royal Sovereign”. Pierwotnie „Victory” Nelsona zbliżała się do innego hiszpańskiego okrętu, „Santissima Trinidad”, ale w ostatniej chwili zmieniła cel na następną jednostkę, „Bucentaure”, flagowy okręt francuski.



Ryc. 4. Karonada o wagomiarze 12 funtów,
rysunek E W Cooke 1833.

„Victory” wpłynęła tuż za rufę Francuza. Pierwszymi działami, które wystrzeliły w przeciwnika były dziobowe karonady o wagomiarze pocisków 68 funtów. Jedna strzeliła litą kulą, a druga baryłką wypełnioną 500 kulami muszkietowymi. Z przyłożenia. Zaraz potem poszła cała salwa burtowa. Salwa z „Victory” była równie zabójcza, co ta wystrzelona przez okręt Collingwooda. Przewaga siły ognia zadecydowała o wyniku potyczki dwóch pływających fortów już na samym jej początku.

Chwilę potem „Victory” uwikłał się w wymianę z „Redoubtable”, co sprawiło, że francuski okręt opuścił swoją linię. W powstałą dziurę w szyku wpłynęły kolejne jednostki brytyjskie. W ten sposób Francuska linia została przerwana w drugim miejscu – dokładnie tak, jak planował Nelson. Wybranie punktu rozcięcia linii okrętów przeciwnika było kluczowe. Nelson celował w miejsce na 1/3 długości, licząc od początku formacji. Efektem tak

przeprowadzonego rozcięcia było zredukowanie sumarycznej ilości jednostek przeciwnika w pierwszej fazie bitwy o 1/3. Ponieważ wiatr był słaby, okręty te nie mogły wrócić na pole walki i ostatecznie nie miały wpływu na wynik bitwy.

Wtedy bitwa zmieniała się w kłębowski pojedynek. Dzięki planowaniu Nelsona Francuzi nie mogli wykorzystać swojej przewagi liczebnej, za to Brytyjczycy wykorzystywali swoją przewagę w szybkości, zabójczości i celności ognia. Ostatnie strzały padły o 17:30.

Po bitwie

Siedemnaście okrętów francuskich i hiszpańskich zostało zdobytych, a jeden płonął. Cztery uciekły z pola bitwy, a jedenaście zdołało wrócić do portu w Kadyksie.

Straty Brytyjskie: 449 zabitych i 1217 rannych. Straty sprzymierzonych: 4408 zabitych, 2545 rannych i prawie 20 tysięcy wziętych do niewoli. Niestety dla Brytyjczyków wkrótce po bitwie rozpętał się potężny sztorm. W szale sił natury utracili oni większość zdobytych jednostek.

Śmierć Nelsona

Nelson został trafiony kulą muszkietową o 13:30. Utrzymał się przy życiu do 16:30 lub 17:00. Umarł około godzinę przed końcem bitwy, ze świadomością, że oto został architektem najwspanialszego zwycięstwa swojej ojczyzny. Jego ostatnie słowa, wyszeptane do pokładowego kapelana, brzmiały:

Bogu dzięki, że wypełniłem swój obowiązek.

Wiść o wygranej bitwie dotarła do Londynu dopiero 6 listopada – aż szesnaście dni po zwycięstwie. Collingwood otrzymał tytuł barona, kapitanowie okrętów Złoty

Medal Marynarki, a marynarze specjalną nagrodę rekompensującą im utratę przyżu³ – większość ze zdobytych na przeciwniku okrętów zatonała w czasie sztormu.

Zwycięstwu na morzu nie towarzyszyło zwycięstwo na lądzie. Już na początku grudnia Napoleon pokonał Austrię i Rosję w bitwie pod Austerlitz. Ale od czasu Trafalgaru to brytyjska Marynarka Królewska była niekwestionowanym władcą mórz. Spełniła tym naczelny postulat mającej powstać całe dekadę później wizji Alfreda Mahana. Zniszczywszy flotę przeciwnika mogła zdusić jego żeglugę handlową i odciąć tym samym od zasobów całego świata.

Przewaga Royal Navy w wyszkoleniu i taktyce daleko wyprzedzała wszystko, co byli w stanie zbudować konkurenci przez więcej niż kolejne sto lat. Zwycięstwo pod Trafalgarem pozwoliło zbudować brytyjskie imperium i zapoczątkowało ewolucję koncepcji, którą ostatecznie sformułował Mahan. □

Spostrzeżenia na wynos

A. Przewaga brytyjskich artylerzystów

Okręty liniowe przełomu XVIII i XIX wieku były absolutnie imponującym osiągnięciem techniki wojennej. Te pływające forty były ucieleśnieniem odwiecznej zasady koncentracji siły ognia, a taktyka ich użycia w czasie bitwy drugiej reguły – użycia całości przeciw części.

³ Kapitanowie okrętów dostali astronomiczne 3362 funtów na głowę, porucznicy po 226 funtów, chorążowie (ang. *warrant officers*) po 153 funty, midszypmeni (odpowiednik podchorążych) po 37 funtów, a szeregowi marynarze po 6 funtów i 10 szylingów. Kapitanowie otrzymali więc 1/3 tego, co mogliby otrzymać z przyżu, a marynarze ledwie 1/5.

Optymalna wielkość okrętu. W czasach Nelsona optymalnej wielkości okręt liniowy uzbrojony był w 74 działa i obsługiwany przez załogę liczącą 650 ludzi. W jego ładowniach były zapasy na pięciomiesięczną podróż. Dysponował 8 tysiącami metrów kwadratowych żagla, kontrolowanego przez niemal 40 kilometrów bieżących olinowania. Brytyjskie okręty miały zwykle dziewięć łodzi, którymi mogły desantować do 90 żołnierzy piechoty morskiej. Najlepsze na koniec. Każdy z nich dysponował siłą ognia artylerii większą niż armia angielska konfrontująca się z armią Napoleona na polach Waterloo. Każdy jeden. Absolutnie imponujące.

Osprzęt i działa. Brytyjska artyleria okrętowa ery napoleońskiej drastycznie górowała nad konkurencją: wyposażeniem, wyszkoleniem i doktryną. Podstawą uzbrojenia Anglików były działa projektu Sir Thomasa Blomfielda, uznawane ówczesnie za najlepsze działa świata. Były lżejsze i rzadziej eksplodowały. Anglicy mogli opuszczać lufy i częściowo wciągać działa do ponownego załadowania, podczas gdy Francuscy artylerzyści często musieli sięgać daleko poza furty. Do odpalania dział Anglicy używali zamków skałkowych, często podwójnych lub potrójnych z uwagi na możliwość zgubienia kamienia przy którymś z kolejnych strzałów (widzimy je w użyciu w filmie *Pan i władca na krańcu świata*). Zamki skałkowe powszechnie weszły na działa okrętowe po bitwie u ujścia Nilu. Były one odpalane za pomocą sznurka, co pozwalało celowniczem działa mierzyć od ostatniej chwili. skutkiem praktycznym było to, że u Anglików wystrzał następował natychmiast po akcji artylerzysty, co pozwalało lepiej zsynchronizować go z przechyłami okrętu. Francuzi w bitwie pod Trafalgarem wciąż korzystali z lontownic.

Karonady. Były to działa o niezwykle innowacyjnej konstrukcji, które Brytyjczycy opracowali do użytku na lżejszych okrętach. Działa te miały krótszą i cieńszą lufę,

zajmowały więc mniej miejsca i nie obciążały konstrukcji, a przy tym, umożliwiały podjęcie walki ze znacznie większymi jednostkami. Przykładem był „Belleisle”, który teoretycznie miał mieć 74 działa standardowe, ale pod Trafalgarem miał ich aż 84. To zwiększało znacznie ciężar jego salwy – oczywiście na krótkie dystanse.

Czynnikiem kluczowym dla siły rażenia karonad było ściślejsze niż w tradycyjnych działach dopasowanie średnicy kuli względem kalibru lufy. Tolerancja wynosiła zaledwie 0,1 cala (2,5 mm) w porównaniu do 0,6 cala (15,2 mm) w działach innych typów. Karonady miały mały zasięg, ale mogły strzelać pociskami o większym wagomiarze, były więc idealne do walki na krótkich dystansach, dokładnie takich, jakie dzieliły okręty stron walczących pod Trafalgarem. Brytyjczycy mieli ich więcej, a przy tym ich doktryna wymiany ognia sprzyjała wykorzystaniu tego potencjału.

To właśnie te myki pozwalały strzelać Anglikom celniej, a przy tym dwa do trzech razy szybciej.

Doktryna. Anglicy celowali w kadłuby, Francuzi zaś w omasztowanie. Wynikało to z kilku czynników. Dla Anglików strzelanie w żagle było rozumiane jako działanie defensywne, a w kadłub – jako ofensywne, gdyż redukowało siłę salwy przeciwnika. **Francuzi toczyli więc pojedynki, a Anglicy chcieli przeciwnika zniszczyć.** Aby wykorzystać swoją przewagę siły niszczącej ognia artylerii, Anglicy dążyli do walki na bliskie odległości.

Ale kluczowa różnica w taktyce i „filozofii” walki wynikała z bardzo wielu czynników. Na to, w co Francuzi celowali i jaką obierali taktykę strzelania, wpływała jakość prochu i to, że to zwykle Anglicy agresywnie podpływali do okrętów francuskich. Jako że robili to z wiatrem, ich okręty miały przechył w stronę przeciwnika, a więc naturalniej było celować w kadłub. Z francuskimi działami

było odwrotnie – przechył wystawiał im na cel ożaglowanie Anglików. Rezultatem było to, że trafiające w kadłub angielskie pociski zabijały odpryskami drewna, a ofiarami strzałów były głównie obsługi dział przeciwnika. Aby zwiększyć efekt niszczący „siłę żywą wroga”, Anglicy stosowali dwa sposoby: zmniejszali wielkość ładunku miotającego albo ładowali po dwie albo nawet trzy kule. Rezultatem było to, że kule z litego żelaza zamiast przelecieć przez wraży statek na wylot, rykoszetowały w jego wnętrzu.

W czasie bitwy trafałgarskiej Francuzi strzelali pierwsi, ale celowali w ożaglowanie, ładując podwójnie (częsta praktyka), jednak bez oczekiwanego skutku. Anglicy strzelali na wprost z minimalnej odległości, około 300–400 metrów. To właśnie dlatego już pierwsza salwa z „Royal Sovereign”, która została wystrzelona w „Santa Anę”, była nokautująca, zabijając i raniąc setki ludzi.

Kolejnym z czynników angielskiej przewagi była **jakość prochu**. Jego składnikiem jest saletra, zawierająca azot. Najlepszym jej rodzajem jest azotan potasu – jest najmniej higroskopijna, tzn. nie pochłania wody, co przekłada się na powolniejszą degradację prochu. Na najlepszej jakości azotan potasu, pochodzący z Indii, Anglicy mieli monopol. Francuzi pozyskiwali swoją saletrę ze źródeł, ehm..., biologicznych, tj. osadów jaskiniowych i zwierzęcego nawozu. Anglicy przyłożyli się też, by wypracować sposób produkcji równomiernie spalającego się węgla drzewnego – używali specjalnie skonstruowanych, podgrzewanych cylindrów. Rezultatem było to, że brytyjskie armaty mogły strzelać około 15% dalej niż francuskie.

Jakość załogi. Tu także Anglicy górowali. Zawdzięczali to reformom przeprowadzonym przez Samuela Pepysa w połowie XVII wieku. W tamtym okresie wprowadzono system merytokratyczny, premiujący zdolności marynarzy i oficerów. Do największego wysiłku zmuszał swoich

marynarzy admirał Collingwood, wymagając wystrzelenia trzech celnych salw burtowych w ciągu pięciu minut. Jego marynarze osiągnęli jeszcze więcej – nadzwyczajny czas trzech i pół minuty. Standardowo artylerzyści realizowali cykl strzału w czasie 100 sekund, co i tak było wartością co najmniej dwukrotnie krótszą niż osiągnięta przez przeciwników.

B. Atmosfera zaufania i polityczny terror

Napoleon nie ufał głównodowodzącemu flotą. W dniu bitwy w drodze do Kadyksu była dyspozycja zdjęcia Villeneuve'a ze stanowiska. To wieść o tym odwołaniu, w połączeniu z informacją o zmniejszeniu liczby okrętów w brytyjskiej blokadzie, stała za decyzją Francuza, aby podjąć próbę przedostania się do Tulonu.

Nelson zarażał pewnością zwycięstwa, a Villeneuve był otwarcie pesymistyczny – w równie zaraźliwy sposób. Nelson, mimo zaprowadzenia nadzwyczaj surowej dyscypliny, był kochany i przez oficerów, i przez zwykłych marynarzy. Kapitanowie eskadry francusko-hiszpańskiej pogardzali swoim dowódcą. A warto dodać, że Napoleon ufał swoim dowódcom okrętów, bo powierzał jednostki tylko tym, którzy wykazali się kunsztem żeglarskim oraz odwagą i zaciekłością w walce.

Na morale rzutowały też zwyczaje i obyczaje w kwestii poddania okrętu. Francuscy dowódcy decydując się na kapitulację, często kierowali się subiektywną oceną, że walczyli tyle, ile wymagał honor. Brytyjczycy natomiast odmawiali poddawania się, walcząc do ostatka. Ilustracją tej reguły dostarczają relacje z ostatnich minut Nelsona. Gdy doniesiono mu o wielkim zwycięstwie, miał zapytać „Czy któryś z naszych okrętów poddał się?”. Ducha oddał dopiero po tym, gdy zapewniono go, że żaden. ■

Admirał Yamamoto: od Cuszimy do Midway

Isoroku Yamamoto urodził się w rodzinie zubożałego samuraja Sadayoshiego Takano w mieście Nagaoka, w 1884 roku – tym samym, w którym świat ujrzał karabin maszynowy Maxim. Studia w akademii marynarki wojennej na wyspie Eta (Etajima) w Zatoce Hiroszimskiej rozpoczął w wieku lat siedemnastu. Od samego początku dało się poznać, że kształtujący się właśnie młody człowiek przeznaczony jest do rzeczy wielkich. Wyróżniała go siła woli i wyjątkowe – nawet jak na Japończyka – opanowanie. Kontrola zewnętrznych przejawów odczuwanych emocji jest w japońskiej kulturze samurajskiej centralnym elementem wizerunku publicznego i gier hierarchicznych.

Isoroku ukończył akademię w roku 1904 i został przydzielony do służby na krążowniku „Nisshin”, na którym uczestniczył w bitwie w Cieśninie Cuszimskiej. Stracił w niej dwa palce prawej ręki. Gdyby stracił trzeci, zostałby zwolniony ze służby.

Pierwsze samodzielne dowództwo objął na krążowniku „Isuzu”. W międzyczasie doszkalął się w zakresie użycia lotnictwa pokładowego i w 1928 roku został dowódcą lotniskowca „Akagi”.

W 1930 roku został adoptowany przez klan Yamamoto, wpływową rodzinę, której głowa nie miała własnego męskiego potomka. W tym samym roku awansował do rangi kontradmirała i uczestniczył w konferencji morskiej w Londynie jako ekspert ds. wojskowości przy japońskiej delegacji.

Ten, który zna przeciwnika

30 sierpnia 1939 roku Yamamoto został dowódcą naczelnym Połączonej Floty. Mimo niechęci do wojny zdawał sobie sprawę, że jest ona zasadniczo nieunikniona. Na tym stanowisku był głównym architektem ataku na Pearl Harbor. Atak, dodajmy tutaj, w swoim politycznym aspekcie był porażką, gdyż został wykorzystany przez rząd USA do radykalnej zmiany antywojennej postawy społeczeństwa amerykańskiego.

W latach 1919–1921 studiował a Uniwersytecie Harvarda i objął stanowisko młodszego attaché morskiego w ambasadach kilku pomniejszych krajów. Był to okres, w którym Yamamoto nabył dogłębną wiedzę o sile i słabościach Stanów Zjednoczonych. Przede wszystkim pojął rozmiar potęgi przemysłowej, jaka odpowiadała za ich siłę geopolityczną. To właśnie to doprowadziło Yamamoto do wniosku, że Japonia nie ma szans w długotrwałej wojnie z Ameryką. Wyraził to m.in. we wrześniu 1941 roku, kiedy na pytanie premiera swojego kraju odpowiedział:

Jeśli dostanę rozkaz walki bez względu na jej konsekwencje, przez pierwsze pół roku lub rok będę niepowstrzymanie pał naprzód, ale nie mam pewności, co będzie w drugim lub trzecim roku wojny.

Konfrontacja z Ameryką

W drugiej połowie lat trzydziestych to Yamamoto stał za rozbudową japońskiej floty do rozmiarów, które pozwoliły rzucić wyzwanie Amerykanom. Jego antywojenne przekonania tak bardzo antagonizowały go z militarystami¹,

¹ Wszelkie „pacyfistyczne” i górnolotne wywody dotyczące agresywnej japońskiej ekspansji kolonialnej naświetlam w rozdziale „Japonia – imperium z konieczności” w tomie *Prawidła geopolitycznej gry o przetrwanie*. Całkowity brak surowców, zwłaszcza energetycznych, skazywał Japonię na wybór: imperializm lub poniżenie przez nacje, które te zasoby miały.



Ryc. 1. Portret Isoroku Yamamoto datowany na 1943 rok

że w 1939 roku, by uchronić go przed zamachem, admirała wysłano do służby na morzu.

Japończyk z jednej strony z determinacją sprzeciwiał się przystępowaniu do wojny, z drugiej jednak, gdy wojna stała się nieunikniona, z najwyższym zaangażowaniem wykorzystywał wszelkie zasoby do tego, by Japonia konflikt wygrała. Przed atakiem na Pearl Harbor w liście do Ryoichi Sasakawy oceniał amerykańską gotowość do obrony:

Gdyby doszło do wybuchu działań wojennych między Japonią a Stanami Zjednoczonymi, nie wystarczy, że zajmiemy Guam i Filipiny, ani nawet Hawaje i San Francisco. Aby mieć pewność zwycięstwa, musieliśmy wkroczyć do Waszyngtonu i dyktować warunki pokoju w Białym Domu.

Yamamoto dysponował nadzwyczajną przenikliwością w kwestii potencjału przemysłowego Ameryki. Nie był w swojej opinii jedyny. Racjonalnie myślący decydenci i budowniczowie japońskiej mocarstwowości świetnie zdawali sobie sprawę z podstawowej słabości struktury geopolitycznej, którą zarządzali. Wszystkie zasoby potrzebne do budowania nowoczesnego państwa na wzór europejskich mocarstw kolonialnych Japonia musiała na Wyspy Macierzyste dowozić. Była więc beznadziejnie podatna na atak prowadzony zgodnie z doktryną Mahana, a sama nie mogła w podobny sposób zagrozić Ameryce. To z tej okoliczności wynikały usterki i ogólna niespójność japońskiego planu konfrontacji z USA na najwyższym, geostrategicznym – niemal filozoficznym – poziomie.

Planowanie Pearl Harbor i Midway

Mówiąc nieco inaczej, zaangażowani w wojnę w Chinach Japończycy byli po prostu za słabi demograficznie i cywilizacyjnie do tego, aby rzucić wyzwanie Stanom Zjednoczonym. Na poziomie militarnym esencją problemu było to, że potęga floty wojennej była budowana zgodnie z doktryną, która nie dawała się należycie dopasować do sytuacji mocarstwa, któremu ta flota służyła.

Strategicznym zamiarem, będącym tkanką całego planu ataku na Pearl Harbor, było zadanie decydującego ciosu tak, żeby zmusić Amerykanów do negocjacji i zakończenia wojny. Plan, trzeba to podkreślić, okazał się wadliwy na wielu płaszczyznach. Przystąpienie do jego realizacji nie było warunkowane obecnością w porcie najważniejszego

celu – amerykańskich lotniskowców. Co więcej, nie zrealizowano ataku na zbiorniki paliwa okrętowego, których zniszczenie zmusiłoby flotę amerykańską do przebazowania na kontynent. Atak, w przeciwieństwie do przeważających w dyskursie opinii, nie był ani sukcesem strategicznym, ani taktycznym. Yamamoto musiał zdać sobie sprawę z tego, że atak na Hawaje był porażką, a wynikająca z tego wojna na wyczerpanie była przegrana już w tamtym momencie. Dodatkowo, atak nie tylko nie osiągnął żadnych istotniejszych celów, ale też wygenerował inny efekt – radykalną zmianę postawy Amerykanów.

Drugą krytyczną porażką japońskiego admirała była bitwa o Midway. Decyzje dowodzącego bitwą adm. Nagumo były sprzeczne z koncepcją całego starcia. Yamamoto powinien był dać dowództwo komuś z wizją w zakresie użycia lotniskowców, a nie torped (zob. s. 294), ale być może sam z jakichś powodów nie chciał dowodzić z pierwszej linii. Na jego niekorzyść działał brak pod ręką takiego wizjonera jak MacArthur, który z całą pewnością chciałby być jak najbliżej obszaru starcia.

Ale krytycznym błędem Yamamoto w kontekście Midway było zlekceważenie oczywistych implikacji pojawienia się amerykańskich lotniskowców w rejonie Midway. Ich wcześnie przybycie wskazywało na to, że Amerykanie wiedzieli o planowanej operacji. A skoro wiedzieli, to z przechwyconych i odczytanych japońskich depesz. Musiała istnieć jakaś nadzwyczaj silna blokada mentalna, która przeszkodziła Japończykowi w dojściu do tej oczywistej konkluzji. Zapewne, oprócz inercji związanej z rozmachem operacji, podobnie jak w przypadku niemieckiej operacji „Cytadela” w 1943, podłożem są uwarunkowania kulturowe. Tym bardziej podejrzane było, że amerykańskie lotniskowce w liczbie trzech przemknęły się przez linię dozoru japońskich okrętów podwodnych na wysokości atolu French Frigate Shoals (zob. mapa s. 254).

Po zestrzeleniu w słynnej akcji nad Bougainville² Yamamoto został pośmiertnie awansowany na admirała floty. Była to najwyższa ranga w Japońskiej Marynarce Wojennej.

Yamamoto nie stał w miejscu w japońskiej hierarchii władzy, w którym miałby realną zdolność sterowania biegiem historii. Nie w konfrontacji z potęgą przemysłową i militarną Stanów Zjednoczonych. Ale walczył z oddaniem i determinacją. Skutecznie wykorzystywał wszystkie japońskie przewagi, by zadawać przeciwnikowi ciosy tam, gdzie odczuwałby je najboleśniej.

Ale bez serii niezwykle korzystnych okoliczności, np. zatopienia kilku amerykańskich lotniskowców – nawiązując do motta pierwszego tomu *Wzorców zwyciężania* – to nie Yamamoto, a amerykańscy admirałowie mieli szczęście. „Szczęście”.



² Zob. tom I

Cuszima 1905

Pierwsza geostrategiczna,
a może raczej kulturowa,
klęska europejskiego imperium

Akt I Epicka podróż

Znaczenie Port Artur

Jedną z pierwszych rzeczy, jakie stwierdzili Rosjanie po wydzierżawieniu Port Artur, było to, że ich wrota na Pacyfik były bardziej przekleństwem niż błogosławieństwem. Ich dwa porty, jeden własny, a drugi dzierżawiony, były co prawda niezamarzające, ale znajdowały się na najdalszym końcu wątlej arterii komunikacyjnej, wówczas jeszcze nieukończonych kolei transsyberyjskiej.

Sam port wojenny w Port Artur miał fatalne położenie strategiczne i taktyczne. Znajdował się na końcu długiego półwyspu, był więc narażony na ostrzał nie tylko z morza, ale i ze wzgórz pokrywających półwysep, jeśli wpadłyby one w ręce przeciwnika. Co gorsza, tor wodny był zbyt płytki dla największych jednostek, które mogły wpływać do portu i opuszczać go wyłącznie w porze przypływu. Niemniej, port ulokowany był w miejscu krytycznym. Będąc w rękach rosyjskich uniemożliwiał Japończykom osiągnięcie pełnej dominacji nad akwenami regionu.

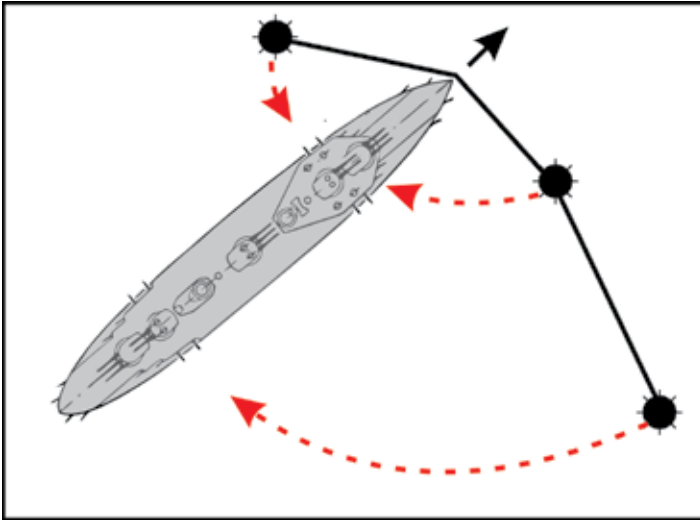


Ryc. 1. Rejon Morza Japońskiego i Mandżurii w 1905 roku.

28 tysięcy mil nawodnej żeglugi

Dowodzący Eskadrą Pacyfiku admirał Stiepan Osipowicz Makarow (1848–1904) był nieco niekonwencjonalnym, ale bardzo zdolnym i popularnym oficerem. Był prawdopodobnie najlepszym admirałem w rosyjskiej flocie. Niestety dla losów Imperium Rosyjskiego, okręt flagowy Eskadry Pacyfiku „Pietropawłowsk” wszedł na minę. Jej eksplozja zatopiła okręt i zabiła samego Makarowa. Strata była o tyle istotna, że nastąpiła w krytycznym momencie początku wojny rosyjsko-japońskiej (1904–1905). W wojnie tej Rosja broniła swoich wpływów na Pacyfiku i przegrywała. Oba rosyjskie porty, a w nich rosyjskie okręty wojenne, dostały się pod japońską blokadę. Wszelkie próby jej przełamania nie powiodły się. Oczywistym rozwiązaniem było wykorzystanie do deblokady eskadry bałtyckiej lub czarnomorskiej.

Problem z wysłaniem którejkolwiek z nich polegał na tym, że na trasie na Daleki Wschód Rosja nie posiadała



Ryc. 2. „Pietropawłowski” wszedł na pakiet min połączonych tańcuchami (na ilustracji sylwetka innego okrętu).

żadnych baz zaopatrzeniowych ani sojuszników. Co więcej, Imperium Brytyjskie, potencjalnie największa pomoc w wyprawie, było z Rosją w złych stosunkach.

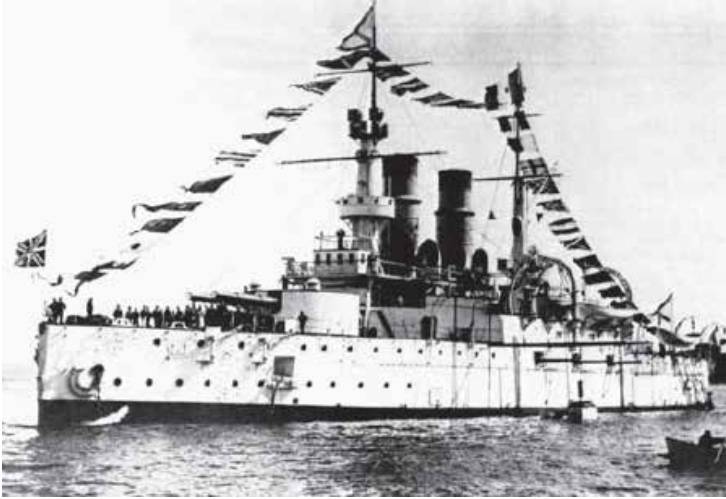
Ani okręty, ani załogi nie były przystosowane ani do przepłynięcia tak dużych odległości, ani do działań w klimacie tropikalnym. Wiele okrętów było zbyt ciężkich i siedziało głęboko na wodzie, co było skutkiem silnego opancerzenia, schodzącego poniżej linii wodnej. Załogi nie były przyzwyczajone ani do wielomiesięcznych rejsów, ani do warunków panujących na oceanach, ani do gwałtownych zmian klimatu. Większość marynarzy pochodziła z centralnej Rosji i pierwszy kontakt z oceanem miała dopiero po powołaniu do wojska. Dodatkowo dowódcy oceniali, że wśród załóg zakamuflowali się rewolucjonisci, których zadaniem było podburzanie kolegów i obniżanie ich dyscypliny. Wynikało to choćby z tego, że około 15% marynarzy stanowili skierowani do służby wojskowej więźniowie, w większości polityczni.

Skład Drugiej Eskadry Pacyfiku

W sumie do rejsu na Daleki Wschód przygotowywano 45 okrętów rosyjskiej Floty Bałtyckiej. Były to siły teoretycznie wystarczające do przełamania blokady Port Artur, a samo ich pojawienie się w okolicach Mandżurii potencjalnie całkowicie zmieniało funkcjonowanie logistyki japońskiej. Było tak dlatego, że lądowa armia japońska była całkowicie zależna od połączenia z Wyspami Macierzystymi. Stawka była więc dla Rosjan wysoka. Ale dla strony japońskiej – egzystencjalna.

By zaradzić problemom zaopatrywania floty w paliwo, opracowano plan, w ramach którego frachtowce wyczarterowane od niemieckiej linii HAPAG (Hamburg-Amerikanische Packetfahrt-Actien-Gesellschaft) miały tankować eskadrę na morzu lub w neutralnych portach. Ponieważ paliwem był węgiel, realistycznie „tankowanie” całej floty dawało się realizować tylko na spokojnych wodach portowych lub w zatokach. Problem doskwierał Rosjanom przez całą podróż. Szczególnie dokuczliwa była niska pojemność bunkrów pancerników typu „Borodino”, skutkująca zasięgiem jedynie 2200 mil morskich przy ekonomicznej prędkości 9 węzłów. Ratowano się wykorzystywaniem do przechowywania węgla wszystkich możliwych pomieszczeń, w tym nawet kabin mieszkalnych.

Takie przeładowywanie okrętów, w tym wynikające z doraźnych zmian konstrukcyjnych, prowadziło do problemów z ich statecznością, co mogło mieć katastrofalne skutki przy napotkaniu niesprzyjających warunków pogodowych. Przykładem był pancernik „Borodino”, którego zanurzenie po przysposobieniu do podróży zwiększyło się o 86,5 cm. Na pancernikach tego typu główny burtowy pas pancerny chował się całkowicie pod wodą już przy przechyle około 6 stopni nawet przy nominalnym załadunku i należyтым rozkładzie mas.



Ryc. 3. Pancernik „Sisj Wielikij”, zwodowany w 1897 roku był pierwszym nowoczesnym pancernikiem floty rosyjskiej. Ten ciężko opancerzony okręt dysponował działami dwunastocalowymi i najnowocześniejszymi podówczas kotłami Belleville.

Jeszcze innym problemem była silnie zróżnicowana wartość bojowa jednostek wchodzących w skład floty. Niektóre były przestarzałe, inne nieadekwatnie uzbrojone, a jeszcze inne co prawda nowo wybudowane, ale niesprawdzone w boju i o niezgranej załodze. Główną siłą II Eskadry było pięć nowoczesnych pancerników: „Oslabia”, „Suworow”, „Aleksander III”¹, „Orieł” i „Borodino”. Cztery z nich – pancerniki typu „Borodino” – były zupełnie nowe i osiągały prędkość maksymalną 18 węzłów. W skład eskadry

¹ Rosyjskie okręty cierpiały na szereg wad konstrukcyjnych. Przykładowo na pancerniku „Aleksander III” w czasie testów morskich przed oddaniem jednostki do służby stwierdzono zbyt niskie położenie centralnej baterii 12 armat kal. 75 mm przeznaczonych do zwalczania kutrów torpedowych. Ich furty strzeleckie znajdowały się zaledwie 2,75 metra nad linią wodną. Gdy okręt przechylał się do skrótu przy prędkości bojowej 17 węzłów, przechył osiągał 15–17 stopni. Prowadził do gwałtownego wtargnięcia do okrętu wody morskiej. Rezultatem był szereg ograniczeń nałożonych na manewrowanie okrętem w czasie walki.



wchodziły też dwa starsze pancerniki „Sisój Wielikij” i „Nawarin”, przy sprzyjającym wietrze i w pełni sprawnych maszynach osiągające 15 węzłów. Do tego dochodziły cztery stosunkowo szybkie i nowoczesne krążowniki „Oleg”, „Aurora”, „Żemczug”, „Dmitrij Donskoj”, „Swietłana” i „Ałmaz”. Dwa ostatnie, choć były całkiem nowe i szybkie, były jednak przerobionymi jachtami i w związku z tym nie posiadały żadnego opancerzenia². Z drobnicy flotę wzbogacało dziewięć łodzi torpedowych, statek szpitalny, kilka statków zaopatrzeniowych i lodołamacz.

Wojna rządzi się swoją własną logiką. Powołano do życia II Eskadrę Pacyfiku, a jej dowódcą został kontradmirał Zinowij Pietrowicz Rożestwienski. Zaletą nowego dowódcy była apolityczność, a wadą wyjątkowo choleryczny charakter. Admirał miał zwyczaj w chwili zdenerwowania ciskać lornetkami. Na potrzeby rejsu adiutanci rezolutnie zgromadzili zapas pięćdziesięciu lornet. Oj, przydały się.

Choć Rożestwienski był niezwykle sprawnym administratorem i organizatorem, admirał był wręcz modelowym przykładem osobowości destrukcyjnej dla wszelkiej pracy zespołowej. Obrazuje to cytowany w książce *Cuszima 1905* naoczny świadek wydarzeń, podoficer żywnościowy pancernika „Oriol” Aleksy Nowikow:

Chorobliwie ambitny, nieprawdopodobnie zarozumiały, pasjonat niepomahowany w uniesieniu, admirał budził strach nie tylko w marynarzach, lecz i oficerach. Pogardzał nimi, zabijał w nich wolę i wszelką inicjatywę.

² „Swietłana” była jachtem wielkiego księcia generała-admirała Aleksieja Aleksandrowicza.

Maltretował nawet dowódców okrętów i nie przebieając w słowach, wymyślał im najordynarniej. Oni zaś, odznaczeni orderami, w stopniach oficerów sztabowych, ludzie starsi i poważni, prężyli się przed nim jak uczniacy. [...] Szykany te [...] znosili bez protestu, cierpliwie i w milczeniu, jak ujeżdżone konie³.

Rezultatem było to, że sztab admirała, liczący 22 oficerów, składał się z osób permanentnie pozbawionych inicjatywy i niezdolnych do innowacji. Było to kryterium doboru lub efekt narzucenia przez Rożestwenskigo reguł funkcjonowania. W zespole dowódczym nie istniało pojęcie doradztwa czy samodzielności decyzyjnej, a wyłącznie ślepe posłuszeństwo. Admirał nie tylko nie konsultował z nikim swoich planów, ale nie ujawniał ich nawet wyższym oficerom i dowództwu. Zasadniczo było to uzasadnione kwestią zabezpieczenia się przed przechwyceniem komunikacji przez stronę japońską, ale działało w dwie strony. Eskadra miała poważne problemy ze zgraniem już w trakcie koncentracji w punkcie zbornym przy wyspie Madagaskar.

Wyptynięcie

Już na samym początku wyprawy flotę dopadła plaga pechowych okoliczności. Okręt flagowy osiadł na mieliźnie. Jeden z krążowników stracił kotwicę i łańcuch. Flota musiała czekać. W międzyczasie jeden z niszczycieli staranował jeden z pancerników i musiał zawrócić do portu. Niemniej flota po opuszczeniu portów posuwała się naprzód przez Bałtyk.

³ A. Nowikow-Priboj, *Cuszima*, Moskwa 1958, s. 69. Za J. Wiesław Dyskant, A. Michałek, *Port Artur-Cuszima, 1904–1905*, Warszawa 2005.



Ryc. 5. Trasa pokonana przez Drugą Eskadrę Pacyfiku.

Potyczka w Dogger Bank

W Cieśninach Duńskich dało o sobie znać słabe morale. Załogi wpadły w panikę pod wpływem plotki, że w cieśninach czyha na rosyjskie jednostki eskadra japońskich kutrów torpedowych. Gdy rosyjska flotylla wpłynęła na Morze Północne, w rejonie ławicy Dogger wydarzył się słynny epizod, w którym rosyjscy marynarze wzięli flotyllę brytyjskich trawlerów rybackich za jednostki japońskie.

W ferworze fałszywego nocnego alarmu i nerwowego ognia kilka rosyjskich jednostek zasygnalizowało nawet, że zostały trafione torpedami. Rosjanie ostrzelali siebie nawzajem i tylko fatalne wyszkolenie rosyjskich artylerzystów spowodowało, że nie poniesiono znacznych szkód. Wiele okrętów zmarnowało znaczną część swoich zapasów amunicji, w nic nie trafiając. Problem z zalewaniem kazamat burtowych ujawnił się w pełnej krasie na pancerniku „Oriół” – w czasie strzelania do niewidzialnego wroga artylerzyści pracowali po kolana w wodzie.

Emocjonalna reakcja brytyjskiej opinii publicznej na ten incydent wynikała z tego, że zdarzył się on akurat w rocznicę bitwy pod Trafalgarem (s. 161). Ostrzał rosyjski uznano za próbę podważenia brytyjskiej dominacji na morzach i oceanach świata. Incydent stał się przez chwilę na tyle poważny, że brytyjska Royal Navy wystawiła eskadrę swoich pancerników i zaczęła szykować się do walnej bitwy w rejonie Cieśniny Gibraltarskiej.

Na poziomie dyplomatycznym oliwy do ognia dolewali Niemcy, dla których spięcie pomiędzy Rosją a Imperium Brytyjskim było idealną okazją, by doprowadzić do zaburzeń w sojuszu brytyjsko-francuskim (Rosja była w przymierzu z Francją). Ostatecznie dyplomaci rosyjscy zdołali ugasić rodzący się pożar.

Gorzkim podsumowaniem skuteczności rosyjskiej floty w czasie nocnego zamieszania jest to, że udało jej się nie wywołać wojny z żadnym mocarstwem europejskim tylko dlatego, że artylerzyści haniebnie pułowali. Nie potrafili trafić w żadne przepływające jednostki, wśród których były i niemiecki trawler, i francuski szkuner, i szwedzki statek handlowy. Aha! Na pożegnanie z wodami europejskimi i powitanie afrykańskich jeden z rosyjskich okrętów zerwał kabel telegraficzny koło Tangeru w Maroku.

W Tangerze nastąpiło rozdzielenie floty. Część złożona z mniejszych jednostek skierowała się ku Kanałowi Sueskiemu. Większe, które nie mieściły się w kanale, ruszyły w kierunku punktu zbornego w Madagaskarze wzdłuż zachodniego i południowego wybrzeża Afryki.

STACJE WĘGLOWE

Era węgla jako paliwa dla jednostek morskich rozpoczęła się w połowie XIX wieku. W dalekich rejsach istniała oczywista konieczność dokupowania paliwa niezbędnego do dotarcia do celu. Stacje bunkrowania

stały się więc niezwykle istotne dla flot wojennych i marynarek handlowych imperiów. Postęp ekspansji ekonomicznej w praktyce oznaczał też stopniowe tworzenie od zera całej infrastruktury portowej i sieci zaopatrzenia w węgiel.

Lokalnie pozyskiwany, ale nawet dowożony z zewnątrz węgiel zasadniczo zwiększał ładunek, a więc i rentowność rejsów komercyjnych. O ile w przodującym w rozwoju porcie regionu – Dakarze – w roku 1904 dostępne było zaledwie 29 tysięcy ton węgla (75% rocznego zapotrzebowania gospodarki Senegalu w tamtym okresie), to dziesięć lat później było to już 160 tysięcy ton. Wytworzył się mechanizm handlowy, w którym statki przywożące węgiel w drogę powrotną zabierały takie towary jak banany czy pomidory (ang. *cash crops*, których produkcja destabilizowała lokalną dostępność żywności)⁴.

Ale jakość węgla bardzo często pozostawiała wiele do życzenia. Składowany na otwartym powietrzu węgiel mógł być zanieczyszczony, niskokaloryczny, lub po prostu nasączony wodą po obfitych deszczach. Te parametry przekładały się na żywotność kotłów, konieczność oczyszczania ich z nagaru, prędkość marszową i maksymalną prędkość bojową w czasie potyczki z przeciwnikiem.

Przykładem są perypetie okrętu warsztatowego „Kamczatka” w czasie sztormu, który ogarnął eskadrę rosyjską 24 grudnia. Jednostka załadowała wyjątkowo podłej jakości węgiel, który uniemożliwiał jej utrzymanie się w formacji. Dowódca okrętu poprosił Rożestwińskiego o pozwolenie na zrzucenie do morza 150 ton gorszego węgla, aby dokopać się do lepszego. Odmowa, ma się rozumieć, miała formę spektakularnej połajanki.

⁴ D. Castillo Hidalgo, *Bunkering in West Africa: The Case of Dakar*, [w:] *Seaports, Coal, and Oil Markets*, red. D. Castillo Hidalgo, C. Honorato, Londyn 2023.



Ryc. 6. Mozolna ręczna praca uzupełniania węgla na Pacific Mail S.S. „Siberia” w porcie w Nagasaki ok. 1904 roku.

Źródło: Biblioteka Kongresowa.

Uzupełnianie węgla na morzu było skomplikowane, ale Rosjanie nie mieli wyboru, nie dysponując bazami węglowymi na stałym lądzie. W czasie bunkrowania okręty ładujące węgiel stopowały maszyny, ustawiając się zwykle około kilometra od węglowca. Następnie barkasy z workami holowane przez okrętowe kutry przewożyły ładunek, mozolnie kursując między jednostkami. Obszar zabezpieczały zwykle dwa pierścienie osłony, przy czym wewnętrzny stanowiły kontrtorpedowce i transportowce, a zewnętrzny – większe okręty.

Rosyjscy marynarze osiągnęli perfekcję w organizacji tej niełatwej pracy. Z tempa około 16 ton na godzinę wspięli się na zadziwiające 40–45 ton. Krążowniki i pancerniki mogły przewozić zapasy około 1500 ton. Ale przez autokratyczne decyzje dowódcy eskadry węgiel ładowano ponad normę. Choćby „Nawarin”, mający miejsce na 700 ton, przewoził 1800 ton – kosztem zajęcia pomieszczeń załogi

i pomimo tego, że kapitan informował o braku potrzeby kolejnych dostaw. Okręty pokrywały się cienką warstwą pyłu węglowego. Oprócz stwarzania zagrożenia pożarowego, wszechobecny pył zmieszany z wilgocią tropikalnego powietrza zmieniał się w maź drażniącą gardła i płuca załóg.

Z bunkrowaniem węgla wiąże się jedna z zabawniejszych anegdot – zabawniejszych dla nas, czytelników relacji z wydarzeń sprzed stulecia. 6 grudnia 1904 roku flota zawinęła do niewielkiej zatoki na południu Angoli, nieopodal portu w Mocâmedes. Przystąpiono do przeładunku węgla z towarzyszących flocie pięciu węglowców. Wkrótce w zatoce pojawiła się portugalska kanonierka „Limpopo”. Jej dowódca nakazał eskadrze natychmiastowe opuszczenie zatoki, grożąc użyciem siły w przypadku odmowy.

Kapitanowi portugalskiej jednostki, mającej ledwie 320 ton wyporności, Rożestwieski z kurtuazją oznajmił, że flota dokończy ładowanie węgla i odpłynie. Dodał przy tym, że nie otworzy ognia do momentu w którym któraś z rosyjskich jednostek nie zostanie uszkodzona. A mógł zabić!, chciałoby się dodać, parafrazując dowcip o Józefie Stalinie.

Naprawy i zaopatrzenie

Dla głównego inżyniera floty, Eugeniusza Politowskiego (warto nadmienić – Polaka), rejs był niekończącą się gehenną. Praktycznie codziennie musiał przenosić się ze statku na statek, by dokonywać doraźnych napraw.

Flota wymagała również uzupełnienia amunicji, ponieważ większość jej ograniczonego zapasu została wystrzelona w stronę brytyjskich trawlerów. Nastroje poprawiły się, gdy przybył statek zaopatrzeniowy, rzekomo przewożący bezcenną amunicję. Skrzynie przedźwigano na pokłady okrętów, ale po ich otwarciu okazało się, że otrzymano...

12 tysięcy par butów podszytych futrem i odpowiednią liczbę płaszczy zimowych, wręcz idealnych do operacji na morzach równikowych.

Flota przez trzy miesiące kotwiczyła na kilku kolejnych kotwiczowiskach przy brzegu Madagaskaru. Północny krańiec wyspy miał być miejscem spotkania eskadry z Flotą Czarnomorską i zespołem, który oddzielił się od sił głównych przy Tangerze. Oba zespoły miały pojawić się przy wschodnim wybrzeżu Afryki po przepłynięciu Kanału Sueskiego. Czas oczekiwania wykorzystano na prowadzenie ćwiczeń, w tym manewrów zespołowych.

Różestwienski rozkazał spróbować przywrócić przynajmniej pozory porządku podczas ćwiczeń artyleryjskich. Efekt był zniechęcający i komiczny – nie uzyskano trafień. Chociaż nie! Okręt flagowy Celnie ułokował jeden pocisk – w statek holujący cel.

Eskadra niszczycieli otrzymała rozkaz płynięcia w szyku szeregowym, ale zamiast tego rozproszyła się. Gdy już się zebrała, wystrzelono siedem torped, z których jedna się zacięła, trzy gwałtownie zboczyły z kursu, a dwie płynęły z wyjątkowo małą prędkością, nie trafiając w cel. Ostatnia zatoczyła duży okrąg, powodując ponowne rozproszenie okrętów uczestniczących w ćwiczeniach.

W czasie oczekiwania przy wybrzeżu Madagaskaru do floty dotarła poczta. W prasie przywiezionej przez brytyjską kanonierkę Rosjanie wyczytali bardzo złą wiadomość – Port Artur poddał się siłom japońskim. Tym samym główny cel przedsięwziętej wyprawy stał się nieaktualny. Jednak, ponieważ nie wszystkie przebywające tam okręty I Eskadry Pacyfiku zostały w zatopione w porcie przez japońską artylerię rozlokowaną na wzgórzach, niektóre ocalałe pancerniki mogły trafić do służby we flocie japońskiej. Trzeba było się spieszyć.

U celu

To wręcz zadziwiające, że eskadra trapiona tyloma komicznymi i często niewiarygodnymi incydentami wciąż parła naprzód. Zaslugę należy przypisać Rożestwieskiemu, który mimo swoich wad charakteru – a może, paradoksalnie, dzięki nim – osiągnął efekt wręcz nadzwyczajny. W ciągu 224 dni eskadra przepłynęła 18 670 mil morskich (34 577 km), nie tracąc ani jednego okrętu!

Poprzepłynięciu Cieśniny Malakka, eskadra pojawiła się na Morzu Południowochińskim, a w końcu w pobliżu Wysp Japońskich. Admirał Tōgō przez cały czas monitorował postępy Rosjan. 25 maja dowiedział się, że Rożestwieski odesłał węglowce, które schroniły się w porcie szanghajskim.

To była krytyczna wiadomość dla szykujących się do bitwy Japończyków. Miejscem docelowym kolejnego etapu podróży rosyjskiej eskadry miał być Władywostok. Odesłanie węglowców oznaczało, że Rosjanie musieli planować przepłynięcie najkrótszą trasą – przez Cieśninę Cuszimską pomiędzy Japonią a Koreą.

Wtedy to, wczesnym rankiem 27 maja obserwator na jednym z japońskich krążowników zasignalizował, że w polu widzenia pojawiła się II Eskadra Pacyfiku.

Część II

Bitwa

Japońskie przygotowania

Upadek Port Artur miał kardynalne znaczenie dla japońskiego dowództwa morskiego, oznaczał bowiem koniec ingerencji rosyjskiej floty w sytuację na Morzu Japońskim.



Ryc. 7. Wpłynięcie Drugiej Eskadry Pacyfiku do Cieśniny Cuszimskiej

Nieco wcześniej z gry wypadła eskadra bazująca we Władywostoku. Bazujący tam zespół krążowników kontradmirała Karla Jessena przegrał bitwę jeszcze 14 sierpnia 1904 roku. Po porażce Rosjanom zostały dwa krążowniki pancerne, sześć torpedowców i kilka okrętów podwodnych o prymitywnej konstrukcji. Krążownik „Gromoboj” tuż przed bitwą cuszimską wszedł na minę. Jeden krążownik i garstka torpedowców miały w praktyce zerową szansę jakiegokolwiek udanej eskapady poza falochron portu.

Niezbędne przygotowania do bitwy Japończycy podjęli jeszcze przed upadkiem Port Artur. Już 25 grudnia 1904 roku pierwsze okręty udały się do stoczni w portach japońskich, prywatnych i państwowych. Wszelkich. Przeszły gruntowne remonty maszyn, konstrukcji i uzbrojenia. Jedną z ważniejszych czynności było zainstalowanie systemu centralnego sterowania ogniem na tych jednostkach, które jeszcze go nie miały. Prace te przeprowadzono z największą dyscypliną i zaangażowaniem. Kiedy jedne okręty opuszczały doki, ich miejsce zajmowały kolejne.

Pozyskiwano nowe jednostki. Remontowano i modernizowano jednostki uszkodzone. Uzbrajano nawet statki odebrane przemysłnikom. Japończycy gorączkowo pracowali nad dokończeniem budowy nowych okrętów. Prace szły pełną parą.

Japończycy dysponowali meldunkami o postępach rosyjskiej eskadry, dzięki czemu mogli zadbać o morale załóg. Wiedząc o długim postoju Rosjan koło Madagaskaru, wypuszczono załogi na urlopy. Gdy tylko wróciły, rozpoczęto intensywne ćwiczenia bojowe. Najciekawszą zmianą taktyczną było zezwolenie przez admirała Tōgō na większą samodzielność jednostek w boju. Zrezygnowano z doktryny bezwzględnego utrzymania spójności na poziomie eskadry – okręty miały operować w ramach znacznie mniejszych dywizjonów. Japońska flota w przeddzień bitwy miała siedem takich zespołów bojowych.

Spotkanie

Rozciągniętą na ponad 6 mil morskich II Eskadrę Oceanu Spokojnego poprzedzały cztery krążowniki zespołu rozpoznawczego. Okręty prowadziły ożywioną korespondencję radiową, która nie uszła uwagi japońskiej. Odesłanie sześciu rosyjskich węglowców i przybycie ich do portu w Wusong (dziś dzielnica Szanghaju) upewniło sztab japoński co do rosyjskich planów. Rosjanie zrezygnowali z opływania Wysp Japońskich od wschodu, i podjęli decyzję o rejście przez Cieśninę Koreańską, a konkretniej przez jej część przylegającą do wysp japońskich – Cieśninę Cuszimską.

W końcu na horyzoncie pojawiła się Cesarska Marynarka Wojenna. W przeciwieństwie do incydentu przy Dogger Bank i wielu innych fałszywych alarmów, tym razem kurs rosyjskiej floty przecięły jak najbardziej autentyczne okręty wojenne i prawdziwe torpedowce.



Ryc. 8. Admirał Heihachirō Tōgō, fotografia z 1905 roku.

Rosyjska eskadra teoretycznie przewyższała w nowoczesnych pancernikach eskadrę admirała Tōgō w stosunku 2 do 1. Gdyby nie fatalny poziom wyszkolenia artyleryjskiego i zdolności manewrowania zespołowego, pancerniki te mogłyby podjąć równorzędną walkę z Japończykami. Ale admirał Rożestwieski zaniedbał kwestię ćwiczeń. Podaje się to jako główną przyczynę porażki rosyjskiej. Poza tym jednak to Japończycy mieli przewagę 8 do 3

w krążownikach pancernych, choć w tamtym okresie jednostki te były postrzegane jako drugoplanowe.

Prędkości sunących na siebie eskadr były zbliżone. Rosyjska grupa bojowa mogła osiągnąć prędkość 14 węzłów, a japońska – ze względu na dołączenie do niej nieco starszych jednostek – 15 węzłów. Różnicę stanowiło to, że rosyjskie okręty po przepleśnięciu 28 tysięcy mil, prędkość maksymalną mogły utrzymywać tylko przez bardzo krótkie okresy. Nie tylko stan maszyn napędowych był u Rosjan gorszy niż u Japończyków. Wyszkolenie artylerzystów, jakość urządzeń do celowania ogniem i jakość amunicji – we wszystkich tych aspektach przewaga była po stronie japońskiej.

Tuż po północy japoński krążownik pomocniczy zauważył na horyzoncie włączone światła pozycyjne. Światła należały do jednej z rosyjskich jednostek – statku szpitalnego „Orieł”, który zgodnie z zasadami cywilizowanego prowadzenia wojny sygnalizował swoją pozycję, aby zapobiec przypadkowemu atakowi w ciemności. Japoński okręt przekazał przez radio lokalizację sił rosyjskich do sztabu admirała Tōgō. Ten natychmiast rozkazał swojej flocie wypłynąć do bitwy. To wtedy Tōgō wysłał sygnał do Tokio, informując stolicę o zamiarze ataku na siły rosyjskie

Warunki na akwenie, przez który płynęli Rosjanie, były szczególnie niekorzystne. Widoczność ograniczały mgły i szkwały. Okręty bujały się na nieprzyjemnej, wysokiej fali. Wtedy z obu stron rosyjskiej floty pojawiły się jednostki japońskie, tworząc rodzaj luźnego kordonu. Rosjanie zbliżali się do japońskich sił głównych, ale wciąż dzieliło ich od wroga około 40 mil.

Dla Rosjan stało się oczywiste, że bitwa jest nieunikniona. Wstał świt i rosyjska eskadra uformowała się w dwie kolumny. Na początku jednej z nich płynął „Suworow”, a za nim najnowocześniejsze pancerniki „Aleksander III”,

„Borodino” oraz „Orieł”. Do każdej kolumny przydzielono jeden krążownik i dwa torpedowce do ochrony flanki. Transportowce i część łodzi torpedowych płynęła pomiędzy dwiema kolumnami, statek szpitalny zaś trzymał się z tyłu.

Wtedy rosyjska flota dostrzegła japoński krążownik „Azumi”. Japończycy również dostrzegli inny krążownik – „Szymczak” – na prawym skrzydle rosyjskiej formacji. W tamtej chwili główne siły japońskie wciąż były jeszcze daleko. Ale rosyjskie jednostki zaczęły otrzymywać sygnały od okrętów znajdujących się na tyłach, gdy w polu widzenia pojawiały się coraz to nowe okręty japońskie. Rożestwienski rozkazał więc przyjąć szyk bojowy. Transportowce zostały w tyle, a pancerniki i krążowniki pancerne połączyły w jedną długą linię.

Tu pojawia się miejsce na spekulacje i rozważania o alternatywnym przebiegu starcia. Gdybyż rosyjska eskadra nie musiała czekać na dopływające z Morza Czarnego wątpliwej wartości bojowej okręty III Eskadry Pacyfiku, Rosjanie dopłynęliby na miejsce kilka miesięcy wcześniej, kiedy pewna liczba japońskich okrętów nadal przebywała w stoczniach, naprawiając szkody powstałe we wcześniejszych walkach. W skali taktycznej – więcej rosyjskich okrętów zdołałoby podpłynąć bliżej linii japońskiej i otworzyć ogień.

Niestety dla Rosjan 27 maja w obszar starcia Japończycy ściągnęli dosłownie każdy okręt zdolny do walki. Załogi tych jednostek czas oczekiwania spędzały na niekończących się ćwiczeniach – artyleryjskich i wszelkich innych. Drugie „niestety” – Tōgō miał w ciągu kilku minut osiągnąć idealną formację, gdy jego okręty liniowe staną się poprzeczką w literze „T” i zaczną bić pełnymi salwami burtowymi.

Rożestwienski szorstko sygnalizował swojej flocie, aby nie marnowała amunicji. Eskadra zmieniła kurs, kładąc

się na wprost, na Władywostok, który był jej ostatecznym celem. Tymczasem Japończycy zaczęli przemieszczać się tak, aby stać się górną kreską w „T”. Rosjanom zostało strzelanie do przodu, a więc mniejszą liczbą luf na raz. Odpowiednie ustawienie się szarżujących okrętów względem siebie wymaga wprawy. Trzy z czterech pancerników na przedzie formacji wykonało manewr celująco, zawiódł natomiast „Aleksandr III”. Żle zinterpretował sygnały i stracił czas by wrócić do szyku.

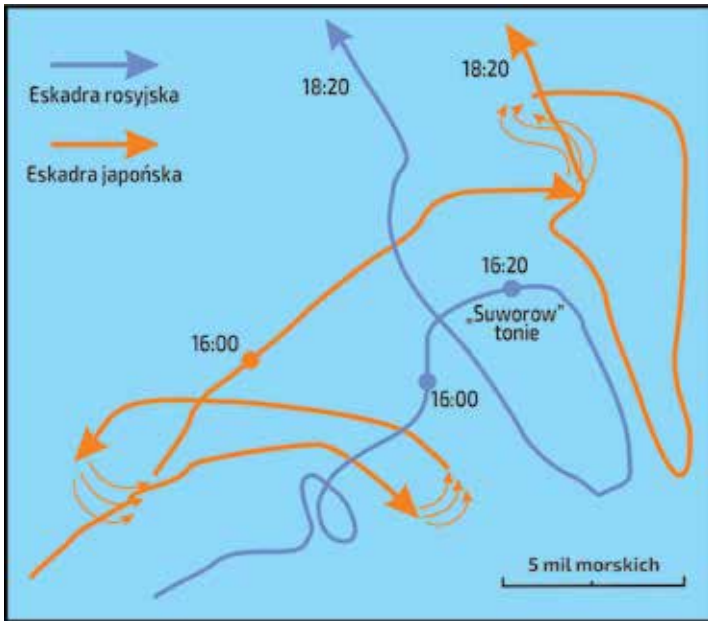
Wkrótce potem flota japońska skręciła z kursu południowego na południowo zachodni i nawiązała bezpośredni kontakt bojowy z flotą rosyjską. Tōgō miał wyjątkowo kompetentnego oficera sygnalizacyjnego. Jeszcze przed bitwą przygotował on większość sygnałów, jakie były prawdopodobne w czasie jej trwania. Wkrótce został podniesiony prosty sygnał o znaczeniu nietaktycznym. Jako że w tamtym czasie Cesarska Marynarka Wojenna Japonii pozostawała pod silnym wpływem brytyjskiej Królewskiej Marynarki Wojennej, wiadomość dla pozostałych jednostek floty stanowiła przeróbka słynnego sygnału Horatio Nelsona z bitwy pod Trafalgarem:

Los Imperium zależy od wyniku tej bitwy.

Niech każdy wypełni swój obowiązek.

Pierwsi wystrzelili Rosjanie. Ogień otworzyły „Kniaź Suworow”, „Aleksandr III” i „Borodino”. Za nimi pozostałe okręty wciąż próbowały ustawić się w pozycji do otwarcia ognia na wprost. Pierwszy rosyjski pocisk trafił zaledwie 20 metrów od „Mikasy”, a wkrótce potem spadły kolejne. Obie wrogie formacje błyskawicznie skracaly dystans.

Wtedy Tōgō rozkazał „Mikasio” otworzyć ogień. Japońskie salwy padły szeroko i wyglądało na to, że Rosjanie rzeczywiście będą mieli przewagę. W ciągu pięciu minut



Ryc. 9. Uproszczony schemat głównej fazy bitwy cuszimskiej w godzinach 14:25 do 18:20.

pancernik „Mikasa” został trafiony aż 19 razy, sam nie zadając ani jednego trafienia!

Ale Japończycy działali metodycznie. Nanieśli poprawki i wszystkie ich pancerniki skoncentrowały ogień na „Suworowie”. Krążowniki pancerne strzelały do „Oslabii”, ponieważ rzekomo była jednostką zastępcy dowódcy rosyjskiego zespołu. Czego Japończycy nie wiedzieli, to to, że dowódca okrętu, kontradmirał von Fölkersahm zmarł dzień wcześniej, co ukryto nawet przed załogą.

„Oslabia” była atakowana przez co najmniej sześć krążowników pancernych jednocześnie! Trafił już pierwszy japoński pocisk. Naładowany szimozą (jap. *Shimose kayaku* 下瀬火薬), materiałem wybuchowym silniejszym niż użytkowane w innych flotach, a opracowanym przez Japończyków samodzielnie, dokonał spustoszeń.

Konstruujać swoje pociski, japońscy inżynierowie i wojskowi zrealizowali kilka interesujących pomysłów. Zwiększono trzykrotnie ilość materiału wybuchowego w stosunku do starszych pocisków i zastosowano zapalnik kontaktowy. W efekcie większość japońskich pocisków eksplodowała bez opóźnienia, bezpośrednio przy uderzeniu w pancerz przeciwnika. Niesione przez fale uderzeniowe płomienie zaczęły ogarniać wszystkie łatwopalne rzeczy, na jakie natrafiały na powierzchni nadbudówek i pokładów, w tym warstwy farby, kawałki drewna, a przede wszystkim osad pyłu węglowego nagromadzony w czasie długiej podróży. Pod Cuszimą nadbudówki wielu rosyjskich okrętów zajęły się żywym ogniem. W rosyjskiej linii bojowej zaczęła pojawiać się dezorganizacja.

Szybko też ujawnił się szereg nieoczekiwanych słabości rosyjskich pancerników – tym dotkliwszy, że siła eksplozji japońskich pocisków była większa, niż się spodziewano. Cieńsze płyty pancerne i elementy słabo przytwierdzone do pokładów, jak drabiny i tym podobne wyposażenie, wybuchy zmiotły do morza. Brak drabin uniemożliwiało normalne przemieszczanie się członków załóg, zwłaszcza tych zajmujących się walką z pożarami.

Jednocześnie „Nikołaj I” zaliczył szczęśliwe trafienie w „Asamę”, wyłączając krążownik z akcji na prawie 45 minut, a następnie zaczął celować w krążowniki „Nisshin” i „Kasuga”. Ale obydwaj japońskie okręty po prostu przyspieszyły ponad 15 węzłów i wyszły poza zasięg ostrzału.

„Suworow” płonął. Jeden z pocisków trafił w mostek. Powietrze tak nagrzało się od buzującego ognia, że lornetki w rękach obserwatorów stały się bezużyteczne. Wkrótce i tak trafił tam następny pocisk, zabijając trzech znajdujących się w środku ludzi. Chwilę później odłamki metalu ponownie dosięgły załogę mostka. Tym razem Roże-

stwienski został poważnie ranny w głowę i nogi, a kapitan okrętu zginął. Ogień rozprzestrzenił się na cały pokład „Suworowa”. Na mostku w tej chwili przy życiu pozostało już tylko czterech oficerów, wszyscy ranni. Kanały wentylacyjne przestały działać. Rożestwienski i pozostali żywi opuścili mostek i zeszli w dół pancernym szybem na zapasowe, położone niżej stanowisko dowodzenia.

Śmiertelnie ranny okręt flagowy eskadry wyłamał się z szyku. „Aleksandr III”, „Borodino” i „Oriol” skrzyły za nim, ale po kilku minutach zdały sobie sprawę z tego, co się stało. „Aleksandr III” wrócił na kurs, wychodząc na czoło rosyjskiej formacji. Tym samym stał się celem numerem jeden dla okrętów admirała Tōgō.

Bitwa stopniowo przemieszczała się na południowy wschód. „Suworow” zwolnił i zatrzymał się. Inne rosyjskie okręty przepłynęły obok, strzelając raz za razem w kierunku japońskich jednostek. „Aleksander III” dotkliwie odczuł już wściekłość japońskich pancerników – z kilku miejsc jego pokładu strzelały płomienie. Okręt wciąż jednak trzymał kurs. A okręty japońskie utrzymywały ostrzał. Realizowana od początku taktyka niszczenia jednego okrętu na raz w oczywisty sposób była dla nich najkorzystniejszą drogą do zniszczenia całej eskadry wroga.

Pociski trafiły także pancernik „Sisoj Wielikij”. W ciągu następnej godziny zaczął nabierać wody. Łącznie dosięgło go dziewięć pocisków z trzech różnych okrętów. Ogarniany przez pożary, nie miał jak z nimi walczyć – uszkodzony został system dostarczający wodę do sprzętu gaśniczego.

Dopiero wtedy okręty na tyle rosyjskiego szyku, wcześniej mające wroga poza zasięgiem dział, mogły w końcu wkroczyć do akcji. To m.in. licząc nominalną siłę salwy dwie najskuteczniejsze jednostki rosyjskiej floty – krążowniki „Oleg” i „Aurora”. Ale niemal natychmiast wpadły

pod japoński ogień krzyżowy! Odpowiadały ogniem, ale szamotały się, próbując unikać dostrzeżonych torped, przez co nie mogły należycie wykorzystać swojej siły ognia.

Gdzieś pośrodku tego pandemonium warsztatowiec „Kamczatka” płynął nieniekoszony, powoli zataczając kręgi i zanurzając się coraz głębiej rufą.

Gdy „Aleksandr III” stanął w płomieniach, miejsce na przedzie formacji zajął pancernik „Borodino”. Był to akt samobójczy, bo japońska taktyka „jeden na raz” była już dla Rosjan całkowicie oczywista.

Wtedy mgła zaczęła gęstnieć, powodując zmniejszenie natężenia ognia między wrażliwymi liniami stalowych kolosów. Rozproszone rosyjskie okręty płonęły, podczas gdy Japończycy strzelali do nich bez przerwy. Ich dowódcy byli zdeterminowani, by posłać na dno wszystkie jednostki przeciwnika. W kierunku „Suworowa” wypuszczono cztery torpedy – nieszczęsny okręt palił się nieprzerwanie przez kilka godzin. I wciąż nie tonął. Wtedy japońskie kutry torpedowe ustawiły się na pozycji dogodnej do nocnego ataku. Jeśli „Suworow” przeżyłby tak długo, miały go posłać na dno. Niespodziewanie do walki wrócił „Sisoj Wielikij”. Ugasił swoje pożary, choć wciąż utrzymywał niewielki przechył.

„Borodino” był już tylko płonącym wrakiem, ciężko siedzącym na wodzie. Mimo to jego przednie działa nadal prowadziły ogień. Jednak 12 minut później pancernik „Fuji” oderwał się od japońskiej linii i posłał w kierunku „Borodino” salwę pożegnalną. Trafił tylko jeden pocisk, ale za to skutecznie. Wznicił pożar, który w ciągu kilku chwil dotarł do jednego z magazynów pocisków sześciocalowych. Magazyn detonował, a zaraz po nim nastąpiła seria wtórych eksplozji, rozkołysując okręt. W końcu przewrócił się on stępką do góry i pogrążył w odmętach. Obok niego wciąż przepływały inne rosyjskie jednostki. Wciąż walcząc.

„Oriół” również był poważnie uszkodzony i gwałtownie tracił prędkość. Łodzie torpedowe ponownie zbliżyły się do dryfującego „Suworowa”, wypuszczając torpedy. Z siedmiu trafiły dwie lub trzy. Nagle nad okrętem rozkwitł potężny słup czarno-żółtego dymu. Detonował magazyn amunicji. W ciągu dziesięciu minut rosyjski okręt flagowy przewrócił się stępką do góry. Do ostatka grzmiał z ocalałych dział w kierunku Japończyków.

Admirał Tōgō rozkazał swoim jednostkom wstrzymać ogień. Tak jak jego przeciwnik, chciał wycofać się w obawie przed atakiem łodzi torpedowych. Tymczasem pozostałości rosyjskiej eskadry skrzyły na południowy zachód, próbując ominąć japońskie okręty w całkowitej ciemności.

W ciągu nocy rosyjskie okręty zaczęły odwrót. Japońskie łodzie torpedowe atakowały kilka razy. Już o świcie następnego dnia tylko cztery inne okręty podążały za rosyjskim okrętem flagowym. „Oleg” i „Aurora” skierowały się na południowy zachód i wycofały z akwenu.

Po bitwie

Pozostawiwszy japońskie okręty daleko na południu, dowódcy „Olega”, „Aurory” i „Szymczaka” stanęli przed dylematem, w którym kierunku się udać. Część oficerów chciała kontynuować rejs do Władywostoku. Przeważyło zdanie admirała dowodzącego – rozkazał zawrócić do Chin. Już w drodze zmienił jednak decyzję i okręty zmieniły kurs na Filipiny. W porcie w Manili Rosjanie byli bezpieczniejsi, ponieważ mniejsza była szansa na to, że Japończycy zdołają przekonać amerykańskie władze do wydania im rosyjskich okrętów niż w przypadku portu chińskiego. Trzy krążowniki w drodze do Manili napotkały amerykańską eskadrę złożoną z dwóch pancerników i trzech krążowników. „Aurora” wzięła udział w rewolucji październikowej i przetrwała do dziś.

Z akwenu cuszimskiego uszła też garstka okrętów dowodzona przez admirała Nikołaja Iwanowicza Niebogatowa. Wkrótce jednak została otoczona przez siły Tōgō mające przewagę liczebną 27 do 5. Niebogatow podniósł sygnał oznaczający kapitulację i zwołał naradę wojenną.

Debatę przerwali Japończycy pięć minut po jej rozpoczęciu. Otworzyli ogień i w ciągu zaledwie 10 minut okręt Niebogatowa otrzymał sześć trafień poniżej linii wodnej. W końcu admirał rozkazał wycofać sygnał i podnieść japońską flagę. To akt kapitulacji wręcz hańbiący dla Rosjan.

W bilansie końcowym 21 okrętów rosyjskich zostało zatopionych, przejętych lub utraconych w inny sposób. Tylko trzy dotarły do Władywostoku. Niektóre ze zdobytych okrętów zostaną odremontowane i przyjęte do japońskiej służby pod nowymi nazwami.

Japończycy w całym starciu bezpowrotnie stracili tylko trzy łodzie torpedowe. Okręty Tōgō wyglądały na uszkodzone jedynie powierzchownie, ale w rzeczywistości nie było to prawdą. „Mikasa” otrzymał ponad 30 trafień. Na „Shikishimie” jedno z dział zostało kompletnie zniszczone. Na „Fuji” rosyjski pocisk dwunastocalowy oderwał lufę jednego z dział głównego kalibru. „Nisshin” utracił część artylerii. A to tylko krótka lista.

Tōgō pozwolił Niebogatowowi na warunkową kapitulację. Zgodził się również poinformować cara o wyniku bitwy. Gwarantował poszanowanie własności osobistej załóg. Kurtuazyjnie pogratulował przeciwnikowi niezwyklej podróży wokół Europy, Afryki i Azji.

Bitwa pod Cuszimą oficjalnie się zakończyła. Jednocześnie zakończyła się też wojna rosyjsko-japońska. Rosja musiała zasiąść do stołu negocjacyjnego i podpisała traktat w Portsmouth. Admirał Tōgō został uhonorowany awansem oraz zaszczytami – powierzono mu m.in. pieczę nad edukacją przyszłego cesarza Hirohito.

Admirał dożył 1934 roku i miał jeszcze okazję przyglądać się karierze innego oficera walczącego w bitwie. Oficerem tym był ówczesny chorąży Isoroku Yamamoto. Obiecujący młodzieniec w czasie bitwy stracił dwa palce lewej ręki. Gdyby stracił trzeci, zostałby wykluczony ze służby wojskowej, a losy wojny odległej o trzy dekady przebiegłyby zupełnie inaczej. □

Spostrzeżenia na wynos

A. Przyczyny rosyjskiej klęski ogólnie

Za główną przyczynę klęski uważa się pasywne i niekompetentne dowodzenie rosyjskim zespołem. Głównodowodzący działał bez planu bitwy, która była zasadniczo nieuchronna. Również za słabe przygotowanie rosyjskiej floty do walki odpowiedzialnością obciąża się Rożestwienskigo. Większość rosyjskich marynarzy z pośpiesznie formowanych II i III Eskadry była niedostatecznie wyszkolona w strzelaniu i manewrowaniu, a podczas długiego rejsu admirał Rożestwienski nie uczynił praktycznie żadnych postępów w tym zakresie.

Istotnym czynnikiem była przewaga Japończyków w zakresie manewrowania, pomnożona przez niejednorodność rosyjskiego zespołu, w skład którego wchodziło wiele jednostek wolniejszych i przestarzałych. Znaczenie miała także przewaga techniczna okrętów japońskich, aczkolwiek nie była ona wielka. Ocenia się, że np. cztery nowe pancerniki typu „Borodino” mogły być znacznie lepiej wykorzystane, tworząc wraz z „Oslabią” odrębny zespół, dorównujący szybkością i siłą japońskim siłom głównym.

W zaistniałych warunkach Rosjanie raczej od początku nie mieli szans na zwycięstwo, jeśli nie zaistniałyby jednak żadne zasadnicze błędy po stronie japońskiej. Przy lepszym dowodzeniu przynajmniej stosunek strat mógł być inny. Niewątpliwie na wynik starcia miało wpływ wiele czynników sprzyjających Japończykom, jednakże rozmiar zwycięstwa japońskiej floty był w pewnej mierze kwestią szczęścia.

Ostatecznie należy także zauważyć, że w sytuacji upadku Port Artur nawet osiągnięcie celu operacyjnego marszu II Eskadry Pacyfiku w postaci dotarcia do Władywostoku nie dałoby wymiernie niczego. Po prostu utknęłoby tam więcej jednostek.

B. Zaniechanie ćwiczeń i szkolenia?

Jeszcze przed wypłynięciem eskadry z portów bałtyckich Rożestwienki zaordynował dziesięciodniowe ćwiczenia w okolicach Rewla. Ćwiczenia te wykazały słabą celność i niezgranie przy manewrach koniecznych do odparcia ataków torpedowców. Dowódca wiedział więc o niskim poziomie wyszkolenia załóg. Prowadził szkolenia w trakcie rejsu wokół Afryki i dalej, ale mimo to nie osiągnięto zadowalającego postępu. A do dyspozycji był czas całej wielomiesięcznej podróży.

Ilustracji dostarczają ćwiczenia artyleryjskie w czasie oczekiwania przy Madagaskarze, zrealizowane 26 stycznia 1905 roku. Wiceadmirał działał pod instrukcjami nakazującymi oszczędzanie amunicji, której brakowało i eskadrze, i portowi we Władywostoku. Niezależnie od tego dziesięć okrętów, które uczestniczyły w strzelaniu, nie uzyskało żadnych trafień do tarcz ćwiczebnych mimo wystrzelenia aż 400 pocisków! Podobny rezultat osiągnięto pięć dni później, gdy niemal 800 pocisków nie odnalazło drogi do celów ćwiczebnych. W raportach można wyczytać, że na jednym z okrętów błędy w odczycie odległości dochodziły

do szokujących 2400 metrów, a czas celowania dochodził do 40 minut. To właśnie w tym cyklu ćwiczeń „Suworow” trafił nie w cel ćwiczebny, a w rufę krążownika „Donskoj”. Wniosek z tych ćwiczeń był jasny – eskadra nie miała zdolności niezbędnych do przystąpienia do starcia z rzeczywistym wrogiem.

Przy okazji wyszły na jaw rozmaite inne usterki, np. źle działające systemy łączności na większych jednostkach. Imponujące rozmiarami i parametrami systemy telegraficzne, produkowane przez niemiecką firmę Slaby-Arco, miały zasięg 900 kilometrów, ale w praktyce ich zasięg był nieprzewidywalny, w tym najczęściej bliski zeru. Dla kontrastu kontrtorpedowce dysponowały urządzeniami o nominalnym zasięgu 120 kilometrów, których dawało się używać do komunikacji na dystansie o 50 kilometrów większym.

O tym, że sedno problemu tkwi w czymś innym niż ilość treningów, świadczy efekt kolejnych ćwiczeń, przeprowadzonych w przeddzień bitwy. 26 maja eskadra sunęła z prędkością 9–11 węzłów. Korzystając z braku nieprzyjaciela po południu przeprowadzono ćwiczenia w manewrach zespołowych. Tak jak i wcześniej wynik rozczarowywał. Manewry nie wychodziły. Test umiejętności posługiwania się dalmierzami przyniósł wręcz złowieszcze rezultaty. Namiary poszczególnych okrętów na krążownik „Swietłana”, który oddalił się na 10 mil morskich od ćwiczących, różniły się nawet o 7000 metrów (40%).

C. Kamuflaż okrętów

Początek XX wieku to czas, w którym kamuflaż utrudniający namierzanie okrętów miał bardzo realny wpływ na celność artylerii pokładowej przeciwnika. Mimo że kwestia była rozpoznana i zasadniczo oczywista, obie strony nie stosowały jeszcze barw kamuflujących. Okręty



Ryc. 10. USS „Collet” w 1944 roku.

malowano na dwa kolory – albo kadłuby i nadbudówki na czarno, a kominy na żółto, albo kadłuby na biało, a kominy na czarno-żółto.

Obie strony w trakcie wojny szybko dostosowały się do realiów morskich starć. Reformę przyspieszył przede wszystkim wzrost zasięgu dział. Japończycy zaadaptowali dla swoich większych okrętów kolor szaro-oliwkowy, możliwie zbliżony do typowego koloru wód Morza Japońskiego. Mniejsze jednostki, torpedowce i kontrtorpedowce, malowano na kolor jasnoszary, co miało lepiej ukrywać je w porannych mgłach i przy deszczowej pogodzie.

Rosyjska Eskadra Pacyfiku bazująca w Port Artur malowała swoje okręty w barwy zbliżone do koloru skał półwyspu Liaodong, na którym bazowała. Był to kolor ciemno-szary i czerwono-brązowy. We Władywostoku stosowano własne rozwiązania. Stosowano białe i czerwono-brązowe pasy i plamy. Dowódca II Eskadry Pacyfiku Rożestwienki nie wprowadził żadnego maskowania, które mogłoby utrudnić Japończykom wykrycie eskadry czy celowanie.

Dopiero I wojna światowa przyniosła docenienie przez wojskowych kamuflaży okrętów. Najbardziej spektakularne były tzw. kamuflaże dezorientujące (ang. *dazzle camouflage*). Ich celem było utrudnianie określania kursu

i prędkości jednostki obserwowanej przez peryskopy niemieckich okrętów podwodnych. Choć wypowiedzi niemieckich kapitanów jednoznacznie potwierdzały skuteczność pomysłu, był on traktowany mocno po macoszemu przez brytyjską admiralicję. Wynikało to z oporu mentalnego i tego, że efektem ubocznym kamuflażu było zwiększone wykrywanie przez wroga i w czasie testów. Trzecim powodem sceptycyzmu i okresowego zarzucenia pomysłu była niemożność wyciągnięcia wniosków z prowadzonych statystyk, co wynikało m.in. ze niemożności wiarygodnego zliczania czy analizowania przebiegu udanych i nieudanych ataków oraz stosowania kamuflażu tylko na większych jednostkach handlowych, a nie wszystkich.

D. Skazani na przegraną

Już w chwili wypłynięcia eskadry z baz na Bałtyku szanse osiągnięcia przez nią zamierzonego efektu strategicznego były bliskie zeru. Z punktu widzenia pozycji, jaką zajmował Rożestwienski, osiągnęły zero absolutne 15 grudnia 1904 roku, kiedy do floty dotarła kanonierka brytyjska HMS „Partridge”. Dowódca tej płynącej z Kapsztadu jednostki dostarczył Rożestwienskiemu na „Suworowie” do rąk własnych prasę, w której opisano zdobycie przez Japończyków kluczowego, górującego nad Port Artur Wzgórza 203.

Pozornie ostateczny cios w morale przyszedł 29 grudnia, gdy okręty eskadry rzuciły kotwice u wybrzeży Madagaskaru. Przywiezione tamtego dnia gazety rosyjskie informowały o zniszczeniu zablokowanej w Port Artur I Eskadry. Te wieści wprawiły oficerów w stan szoku. Dwa miesiące później, 11 marca, flotę dogonił transportowiec „Irtysz”. Statek zamiast brakującej amunicji przywiózł 10 tysięcy ton węgla... i odzież zimową. Kilka dni później do Rosjan dotarła wieść o przegranej bitwie pod Mukdenem.

Te wieści bardzo podkopywały morale załóg. Już do końca podróży w ich sercach i umysłach zapanowało przygnębienie, zobojętnienie i poczucie bezsensu odsieczy. Wielu marynarzy cierpiało na nerwicę i wyczerpanie psychiczne, zwłaszcza że choleryczny dowódca zamiast z pełnym zaangażowaniem podnosić morale, nękał podwładnych sesjami połajanek i poniżania.

E. Jak przepłynąć obok Wysp Japońskich

Bezpieczna droga do Władywostoku wiodła przez Cieśninę Koreańską. Rożestwienski mógł jednak wstrzymać pochód na północ, ku Władywostokowi, co dałoby czas na zrealizowanie rozpoznania lub wypadu korsarskie przeciw japońskiej flocie. Przy odrobinie szczęścia doprowadziłoby to do decyzji o rozdzieleniu skoncentrowanego zgromadzenia floty japońskiej. Innymi słowy, japońskie plany stoczenia bitwy spotkaniowej pełnymi siłami musiałyby zostać porzucone.

Rożestwienski mógł też podzielić swoją eskadrę na dwa zespoły mające różną prędkość. Istnienie dwóch zespołów rosyjskich postawiłoby admirała Tōgō przed dylematem, czy podzielić siły i zaatakować oba zespoły rosyjskie, czy zaatakować tylko jeden z nich. Tōgō nie miał dość jednostek liniowych dla dwóch zespołów dysponujących przewagą siły ognia nad nie do końca rozpoznanym wrogiem.

Ale do podejmowania tego typu decyzji i do bycia gotowym na ryzyko potrzebne jest wysokie morale i buzująca wola zwycięstwa. Tychże Rosjanie nie mieli na żadnym poziomie hierarchii, od dowództwa po najprostszych marynarzy. To zaś prowadzi do nie do końca odkrywczego wniosku: że morale jest wszystkim.

F. Przestarzała flota rosyjska

Postęp techniczny i koncepcyjny w budowie okrętów wojennych w dwóch ostatnich dekadach XIX i pierwszej



Ryc. 11. Admirał Tōgō składa wizytę u rannego kontradmirała Rożestwieńskiego. Źródło: Edwin Sharpe Grew, *War in the Far East*, Virtue 1905.

dekadzie XX wieku były wielkim wyzwaniem. W dużej mierze posiadanie nowoczesnej floty i jednoczesna możliwość lub konieczność stoczenia wojny były kwestią przypadku. Tylko traf powodował, że można było rzucić lepsze jednostki i pobić wroga w optymalnej konfiguracji okoliczności.

W przypadku Japonii i Rosji kluczową rolę odegrało to, że Rosjanie opierali swoje okręty o wzorce francuskie, a Japończycy zamawiali swoje okręty w stoczniach brytyjskich, które były istnym tygłem innowacji. Postęp był tak gwałtowny, że w tamtym okresie każda stocznia miała prawo swobodnie podchodzić do projektu i wprowadzać do niego często radykalne zmiany. Przykładowo przy budowie japońskiego pancernika „Mikasa”, flagowego okrętu japońskiej floty, stocznia Vickersa zastosowała rewolucyjną technologię montażu płyt pancernych. Brytyjska admirałica natychmiast nakazała innym stoczniom skopiowanie

technologii. Japońskie okręty były więc lepsze, choć nie zawsze była to różnica deklasująca jednostki rosyjskie.

Ale różnice sięgały również doktryn użycia floty. Francuska teoria, wypracowana w dwóch ostatnich dekadach XIX wieku, mówiła, że kluczowe dla pokonania wroga jest przerwanie jego linii zaopatrzeniowych przez krążowniki pancerne oraz zniszczenie jego okrętów liniowych przez kutry torpedowe. To dlatego pancerny i kaliber dział głównych okrętów budowanych na wzór francuski były traktowane po macoszemu. Inną krytyczną wadą konstrukcyjną było koncentrowanie się na opancerzeniu maszynowni, które polegało na zainstalowaniu grubszego pancerza jedynie na 1/3 długości burt. W rezultacie, w rzeczywistości prowadzonych bitwach dochodziło do tego, że okręty co prawda zachowywały nietkniętą maszynownię, ale traciły źle zabezpieczoną artylerię.

Taką filozofię walki na morzu sfalsyfikowały już działania w czasie wojny hiszpańsko-amerykańskiej w roku 1898. Cuszima odesłała ją całkowicie do lamusa. W czasie bitwy okazało się, krążowniki mogły zostać wyłączone z walki, tj. pozbawione artylerii przez przeciwnika znacznie mniejszego i wyposażonego w działa mniejszego kalibru. Rosjanie zdawali sobie sprawę z wad swoich okrętów i wzmacniali na własną rękę pancerze na całej długości burt. Była to jednak inwestycja chybiona podwójnie. Z jednej strony pogarszała stateczność okrętów, a przy tym nie dawała wymaganej ochrony przed artylerią krążowników będących w posiadaniu potencjalnych przeciwników Rosji. W efekcie mające zaledwie kilka lat, ale zbudowane wedle przestarzałych koncepcji rosyjskie okręty nie miały szans w starciu z japońskimi okrętami, budowanymi wedle często rewolucyjnych koncepcji wypracowanych i wprowadzanych „na wariata” w stocznjach Anglii.

Brytyjski przemysł stoczniowy był najlepszy na świecie. Stosował przy tym model pracy, w którym spychał ryzyko

testowania eksperymentalnych rozwiązań na swoich zagranicznych klientów. Za pieniądze zagranicznych rządów nowatorskie konstrukcje testowano w warunkach praktycznych, a Royal Navy składała swoje zamówienia dopiero, gdy sprawdziły się w praktyce. Częścią perfidnego mechanizmu było to, że odbiorcy byli zmuszeni przyjmować nawet wadliwe okręty z prostego powodu – kredytu na ich zakup udzielały angielskie banki, których współpraca ze stoczniami miała charakter, mówiąc delikatnie... Jakby to... O! „Noszący znamiona zмовy”⁵.

Przegląd wybranych jednostek rosyjskich i japońskich

Wśród okrętów japońskiej eskadry szczególnie wysoką wartością bojową wyróżniały się „Fuji” i „Yashima”. Zastosowano w nich świeżo opracowane brytyjskie działa kalibru 305 mm. Były one lżejsze, bardziej szybkostrzelne i miały większy zasięg niż pozornie silniejsze działa 343 mm. Nie były jednak rewolucyjne z tego powodu, lecz dlatego, że stanowiły autonomiczny, izolowany system wraz z własnym magazynem amunicyjnym i systemem transportu pocisków oraz ładunków miotających. Konstrukcja ta, oddzielona od reszty okrętu hermetycznymi drzwiami, izolowała wieżę od pożarów i innych czynników destrukcyjnych, a więc pozwalała zachować okrętowi zdolności ofensywne pod skutecznym oddziaływaniem przeciwnika.

Drugą innowacją zastosowaną przez natchnionego inżyniera George’a Macrowa ze stoczni Thames Ironworks było przedłużenie pancerza pokładowego w dół wzdłuż

⁵ Opinia autora PP. Również zakup przez II RP okrętów podwodnych zbudowanych w Anglii, w tym ORP „Orzeł”, ma znamiona takiej zimnej kalkulacji. Było oczywiste, że w razie wojny i zajęcia przez Niemców Polski okręt zasili flotę broniącą Wysp Brytyjskich. Współczesną analogią eksternalizacji kosztów prowadzenia wojny na Ukrainie byłyby zakupy przez RP broni przekazywanej następnie Ukrainie.

pasa burtowego. *Clou* pomysłu stworzenia tej dodatkowej, pozornie nieznaczącej tylko osłony na burtach stanowiła odpowiedź na sposób działania ówczesnych zapalników stosowanych w pociskach artylerii okrętowej. Ówczesnie zapalniki te ustawiano tak, by detonacja następowała niemal natychmiast, zanim pocisk wniknął do wnętrza trafiającego okrętu. Rezultatem takiej decyzji było to, że pociski wybuchały zanim przeniknęły poza opancerzenie. W czasie bitwy cuszimskiej przełożyło się to na mylący wygląd zewnętrzny japońskich okrętów. Pozornie wyglądało na to, że zostały zdemolowane ogniem Rosjan. Faktycznie jednak maszynyria wewnątrz okrętów, w tym systemy artyleryjskie, nie była unieszkodliwiona – a to się liczyło. Pancerniki zbudowane tak jak „Fuji” miały dzięki tym rozwiązaniom parametry bojowe lepsze niż okręty rosyjskie budowane nawet dziesięć lat później.

„Shikishima” miała jeszcze doskonalsze niż „Fuji” rozwiązania konstrukcji pancerza. Pancerz okrętów typu „Fuji” miał co prawda imponującą grubość 457 mm w krytycznych miejscach, ale składał się z trzech warstw przekładanych drewnem. Nowy pancerz zastosowany na „Shikishimie” miał zaledwie 229 mm grubości w krytycznych miejscach, lecz jego przewagą była znacznie mniejsza liczba nitów, co przekładało się na zasadniczo wyższą odporność na ostrzał oraz łatwość instalacji i naprawy, co ułatwiała przywrócenie sprawności bojowej.

„Cuszima” i „Niitaka” zostały z kolei wyposażone w kotły systemu Niclausse’a. Mogły utrzymać bojową prędkość 20 węzłów nie w porywach, jak to było na większości okrętów tamtej epoki, ale przez kilkanaście godzin. Po modernizacji okręty te mogły wyciągnąć nawet nadzwyczajne 24–25 węzłów.

Na okrętach „Kasuga” i „Nisshin” starano się o ujednolicenie kalibru artylerii głównej, co w praktyce przekładało

się na uproszczenie zaopatrywania w amunicję i dawało możliwość stworzenia centralnego systemu kierowania ogniem. W pełni trend ten zmaterializował się w postaci całkowicie rewolucyjnego HMS „Dreadnought” z 1906 roku, który Brytyjczycy ukończyli jako pierwsi, nieznacznie tylko wyprzedzając konkurentów. Drednoty stanowiły tak radykalne nasycenie rewolucyjnymi koncepcjami, że bezlitośnie odesłały wszystkie starsze konstrukcje do lamusa, co obrazowało nazwanie ich „pięciominutowymi okrętami” (zob. ‡WZ1.III.3).

Krażownik „Tokiwa” był przejawem innej innowacji koncepcyjnej. Innowacja wywodziła się ze spostrzeżenia, że krążowniki starego typu stawały się szybko bezbronne po wybiciu obsługi dział, czego dokonać mogły nawet lekkie działa przeciwnika. Na okrętach tamtego okresu działa umieszczone na pokładzie z reguły nie były osłonięte choćby prostą tarczą, gdyż priorytetowe było osłanianie maszynowni. Philip Watts, przyszły główny konstruktor Royal Navy, stwierdził, że nie da się zabezpieczyć całego statku i przemyślał całość zagadnienia. Zidentyfikował systemy faktycznie krytyczne, które koncentrowały się w ramach zdolności ofensywnych, dzięki czemu mógł zaproponować odwrotną praktykę: słabego opancerzenia maszynowni, ale silnego zabezpieczenia artylerii.

W tym zakresie obserwacja była banalna i oczywista – pomieszczenie, które otrzymało bezpośrednie trafienie i tak było najczęściej całkowicie zniszczone. **Problemem nie było więc zabezpieczenie przed bezpośrednim trafieniem, bowiem pocisk zawsze wygra z pancerzem, ale doprowadzenie do sytuacji, w której skutki tego trafienia (eksplozja lub pożar) nie rozprzestrzeniłyby się na resztę okrętu!** Wieże artylerii musiały więc otrzymać taką konstrukcję, która zapobiegałaby eliminowaniu ich przez

pojedynczy pocisk. Odpowiedzią była idea budowy wież artyleryjskich jako izolowanych systemów opisana powyżej. Można z tego wyciągnąć ogólne prawidło:

Genialny pomysł to taki, o którym nikt nie pomyślał wcześniej, a gdy zostanie wprowadzony, wszyscy będą ze zdziwieniem biadolić, dlaczego sami nie wpadli wcześniej na coś tak oczywistego.

Sprawa z jednostkami rosyjskimi wyglądała zasadniczo inaczej niż z japońskimi. Ukończony w 1893 roku „Imperator Nikołaj I” za uzbrojenie główne miał krótkolufowe działa kalibru 305 mm strzelające z użyciem prochu dymnego, co już wówczas było kompletnym anachronizmem. Zasięg tych dział był również rażąco niedostateczny. Nie miało to jednak większego znaczenia – przestarzałe dalmierze pozwalały prowadzić ogień na dystansie zaledwie 3 kilometrów. Choć pancierz tego okrętu był taki jak w „Fuji” – trójwarstwowy o grubości 356 mm – to przestarzałe systemy artyleryjskie nie dały mu wejść do walki w czasie bitwy cuszimskiej. Rosyjski pancernik strzelał tylko sporadycznie – okręty eskadry japońskiej były całkowicie poza jego zasięgiem.

„Pierieswiet”, „Pobieda” i „Oslabia” były typowym produktem francuskiego budownictwa okrętowego. Miały wysokie burty, co psuło stateczność, ale pozwalało instalować dużą ilość artylerii do zwalczania torpedowców. Należy przy tym przyznać, że Rosjanie zdawali sobie sprawę z rozmaitych mankamentów okrętów kupowanych za granicą i budowanych przez własne stocznie. Poprawiali konstrukcję montując grodzie wodoszczelne i automatycznie zbiorniki balastowe. Nie mogli jednak usunąć podstawowej wady swojej floty – budowania jej „po taniości”. A za łatwość i taniość eksploatacji w warunkach pokoju

ceną była mała odporność na ogień przeciwnika w warunkach bojowych.

Przykładem takiej pułapki inwestycyjnej był pancernik „Borodino” i jego siostrzane jednostki. „Borodino” wszedł do służby w 1903 roku i od pierwszego dnia służby był jednostką przestarzałą, wymagającą modernizacji. Okręty tego typu nabierały wody przy skrętach i w specyficznych okolicznościach mogły przewrócić się już przy przechyle sięgającym 20 stopni, podczas gdy lepiej skonstruowane jednostki potrzebowały aż 40–45 stopni. Okręt wyprodukowany był w rosyjskiej stoczni, co wiązało się z dodatkowymi mankamentami – z uwagi na niższy poziom kultury technicznej miał prędkość o 2–3 węzły mniejszą i zużywał 75% więcej węgla. Nie wspominając o awaryjności.

Były to uchybienia wynikające z fuszerki, braku kontroli jakości w czasie budowy, a także tego, że decydentami przy rozwiązywaniu problemów przy powstawaniu okrętu byli urzędnicy bez doświadczeń i praktyki stoczniowej czy bitewnej, a nie inżynierowie i dowódcy-praktycy. Jak w innych podobnych przypadkach, w grę wchodziło też maskowane łapówkami dostarczanie wadliwych i złej jakości materiałów konstrukcyjnych. Na to nakładały się przestarzałe technologie konstrukcyjne. W konstrukcji panczerzy burtowych stosowano stale Kruppa i Harveya, które były znacznie gorsze niż nowsze rozwiązania. Wadliwa była przede wszystkim technologia montowania płyt – nawet uderzenia pocisków kalibru 152 mm mogły oderwać od kadłuba całe arkusze, wystawiając systemy okrętu na kolejne trafienia.

Podajniki amunicyjne na „Borodino” działały dwukrotnie wolniej niż na odpowiednikach brytyjskich. Również przyrządy celownicze były przestarzałe. Do tego oficerowie obsługujący ten sprzęt nie mieli odpowiednich kwa-

lifikacji do wykorzystania jego pełnego potencjału, nawet jeśli był ograniczony. Problem z kadrami wygenerował warunki do pojawienia się *oszybki* w zarządzaniu całą eskadrą – otóż nawet nie zabrała ona ze sobą nawet tablic balistycznych, potrzebnych do obliczania toru lotu pocisków. W czasie podróży nie prowadzono treningu oficerów artyleryjskich, ani nawet nie wyznaczono głównego oficera artyleryjskiego⁶. ■

⁶ J.W. Dyskant, A. Michałek, *Port Artur–Cuszima...*, *op. cit.*, s. 377.

Upadek Port Artur 1904–1905

Gibraltar Wschodu
i Hongkong Północy jednocześnie

Tło geopolityczne:
punkt zbiegu interesów imperiów

Pod koniec XIX wieku Chinami rządziła mandżurska dynastia Qing, znajdująca się w stanie głębokiej dysfunkcji. Wśród mocarstw pilnie przyglądających się zapaści Chin była Rosja. Car Mikołaj II oraz jego rząd widzieli w wydarzeniach i szansę, i zagrożenie. Zagrożeniem był wzrost potęgi japońskiej. Głodne surowców aspirujące imperium kolonialne mogło odciąć Rosjan od udziału w grabieniu bogactw chińskich.

Rozszarpywanie drgającego w agonii imperium Qingów (czyt. Ćingów) rozpoczęło się na dobre podczas powstania bokserów w latach 1899–1901. Było ono zrywem etnicznych Chińczyków doprowadzonych poza krawędź wybuchu przez lata coraz zuchwalszej obecności obcych wojsk i kultury, przejawiającej się m.in. zakładaniem eks-terytorialnych enklaw.

Apogeum powstania była międzynarodowa interwencja połączonych sił zbrojnych mocarstw kolonialnych w 1900 roku, w którym rząd Qingów wypowiedział wojnę. W siódemce państw były i Rosja, i Japonia. Eskalacja przemocy wobec obcokrajowców sprowokowała desant korpusu ekspedycyjnego. Obce wojska zajęły Pekin i splądrowały m.in. Zakazane Miasto, siedzibę cesarską.

Dla Rosji i Japonii najbardziej łakomym kąskiem była przebogata w zasoby mineralne Mandżuria. Gdy Mandżurscy władcy przejęli władzę nad Chinami po upadającej dynastii Ming w 1644 roku, nie zdawali sobie sprawy, że trzy stulecia później pod niegościnnymi, jałowymi pustkowiami ich ojczyzny odkryte zostaną gigantyczne złoża węgla, żelaza i miedzi, niezbędne do funkcjonowania nowoczesnego przemysłu, będącego sercem mocarstw imperialnych.

Traktat Timonoseki

Zanim wybuchło powstanie bokserów, w latach 1894–1895 Japończycy stoczyli z imperium Qingów zwycięską wojnę. Na mocy Traktatu Timonoseki, podpisanego w 1896 roku, Korea przestała być lennem mandżurskim (Japończycy zaanektowali ją w 1910 r.), a wyspa Formoza (Tajwan) stała się japońską kolonią. Japończycy otrzymali też półwysep Liaodong, na którego końcu znajdował się port wojenny. Z tym epizodem historii wiąże się masakra, jaką japońska armia przeprowadziła w trakcie lądowania w Port Artur. Żołnierze cesarscy wymordowali tamtejszy garnizon wraz z kobietami i dziećmi. Mieczami.

Po podpisaniu traktatu Niemcy, Francja i Rosja wymusiły jego zmianę – Japonia miała zwrócić Liaodong. Nie licząc znaczenia geopolitycznego, dla japońskich decydentów była to potworna zniewaga, którą należało pomścić. Od 1896 roku Japonia metodycznie przygotowywała się do wojny, której motywem honorowym było ponowne wywalczenie rejonu.

Z drugiej strony dla Rosjan półwysep Liaodong i Port Artur były ważniejsze od surowców. W przeciwieństwie do Władywostoku, który był skuty lodem przez trzy miesiące w roku, Port Artur nigdy nie zamarzał, a otaczające go wzgórza chroniły przed nękającymi region arktycznymi, północnymi wiatrami. To właśnie chęć ustanowienia bazy floty skłoniła Rosję do sformowania koalicji z Niemcami i Francją.



Ryc. 1. Morze Żółte i Półwysp Liaodong.
Strefy wpływów z 1904 roku.

Po zwróceniu półwyspu i miasta Chinom – coś za wielki gest, zdawałoby się – Rosja... wymusiła dwudziesto-pięcioletnią dzierżawę samego portu oraz linii kolejowej łączącej go z koleją transsyberyjską (zob. mapa s. 184). Celem było uczynienie z Port Artur Gibraltaru Wschodu. Jego uruchomienie było spełnieniem rosyjskich marzeń jeszcze z czasów Piotra Wielkiego – posiadania niezamarzającego portu nad Pacyfikiem.

Lecz dla dumnych samurajów, planujących podbicie okolicznych nacji i zbudowanie ich zasobami odporności na podbój przez mocarstwa zachodnie, taki bieg rzeczy był nieakceptowalny, a pozbawienie zdobyczy traktowano jako potwarz. Utratę Liaodongu nazywali oni wprost kradzieżą i hańbą narodową. Poza tym Japończycy mają, zdaje się, fetysz na atakowanie baz morskich innych mocarstw.

Początek wojny

Port Artur, leżący krańcu półwyspu Liaodong, był jednocześnie fortecą i bazą marynarki wojennej. Jego usytuowanie miało plusy i minusy. Plusem była możliwość kontrolowania akwenów w bezpośredniej bliskości chińskiej stolicy, co umożliwiało uczestniczenie w grabieniu Chin. Minusem było wystawienie na ostrzał w zasadzie z każdej strony.

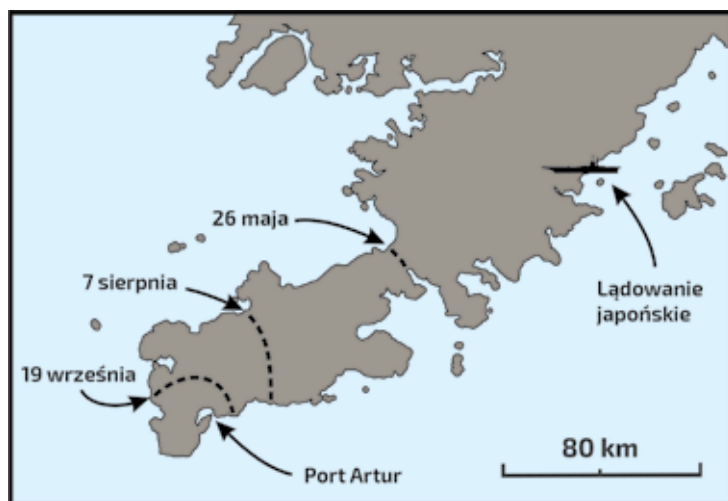
Port Artur zabezpieczał rosyjskie interesy w regionie, które skupiały się na eksploatacji bogactw naturalnych Mandżurii. Stawiało to Japonię i Rosję w nierozwiązywalnym konflikcie interesów. Było tak tym bardziej, że Japonia po podpisaniu Traktatu Timonoseki w 1896 roku zagarnęła niepodzielnie Koreę wraz z jej bogactwami.

Rozwiązanie sporów i zaspokojenie roszczeń musiało przybrać formę militarną. Już na początku 1904 roku Japonia zerwała stosunki dyplomatyczne z Rosją. Wojna była tuż-tuż.

Atak podstępny, ale spodziewany

Pierwszy jawnie agresywny ruch wykonali Japończycy. W chwili ich ataku na kotwicy w Port Artur stało siedem rosyjskich pancerników, w tym okręt flagowy „Pietropawłowski”. Portu strzegł zespół sześciu krążowników. „Pałłada” i „Askold” używały swoich reflektorów, by przeniknąć ciemności nocy ogarniające ocean. Wiceadmirał Oskar Wiktorowicz Stark, dowodzący flotą, rozkazał wykorzystać także reflektory portowe do ochrony podejść do rosyjskich jednostek. Rozkazał też wszystkim okrętom podnieść sieci przeciwtorpedowe. Niektórzy kapitanowie, arogancy arystokraci, zignorowali ten ostatni rozkaz.

Japończycy pojawili się o 23:50. Dziesięć kontrtorpedowców (niszczycieli) wychynęło nagle z mroków, by wystrzelić salwę torped w kierunku okrętów kotwiczących



Ryc. 2. Kraniec półwyspu Liaodong wraz z Port Artur
oraz postęp wojsk japońskich

poza portem, na redzie zewnętrznej. Rosyjskie reflektory wykryły przeciwnika tuż przed atakiem, ale nie podniesiono alarmu, gdyż Japończyków uznano za powracające własne patrolowce. Do tego nocą z 8 na 9 lutego 1904 roku, mimo istnienia napięć, wciąż jeszcze formalnie nie ogłoszono stanu wojny. Efektem nocnego ataku było uszkodzenie „Pałady”, „Retwizana” i „Carewicza”.

Twierdza i baza marynarki wojennej

Port Artur zyskał swoją zachodnią nazwę po tym, jak porucznik William C. Arthur z brytyjskiej Królewskiej Marynarki Wojennej, schronił się w tamtejszej zatoce w 1860 roku przed potężnym tajfunem. W starym, wschodnim basenie portu znajdowały się doki, warsztaty maszynowe, składy węgla i amunicji. Z biegiem lat obok starego, nędznego i pełnego ruder miasteczka chińskiego zaczęło rękami rosyjskimi powstawać większe, bardziej eleganckie i przestronne Nowe Miasto. Kontrast nowoczesnych, szerokich

i brukowanych ulic ze starą zabudową mówił zorientowanej w takich sprawach osobie jedno – Rosjanie planowali tam zostać. Świetnie zdawali sobie przy tym sprawę z japońskiego pragnienia odzyskania Liaodongu.

To dlatego do 1904 roku Port Artur stał się jednym z najsilniej ufortyfikowanych miejsc na świecie. Wizytujący go specjaliści twierdzili, że jest on nie do zdobycia. A mówili tak, gdy prace fortyfikacyjne nie były ukończone jeszcze nawet w połowie!

Fortyfikacje rejonu Port Artur

Dla Japończyków Port Artur stanowił twardy orzech do zgryzienia. Pierwszą linię obrony stanowił pas ufortyfikowanych wzgórz, z których ogień artyleryjski był rozplanowany na poziomie mistrzowskim. W repertuarze powitalnym Rosjanie mieli olbrzymie ilości dział sześciocalowych i niezliczone gniazda karabinów maszynowych Maxim. Forty na poszczególnych wzgórzach były skomunikowane okopami i drogami pozwalającymi na szybki transport zaopatrzenia oraz odwodów. Wszędzie tam, gdzie było to możliwe, do wsparcia obrony wykorzystano naturalne elementy terenu, m.in. rozciągając na stromych zboczach gęste zwoje drutu kolczastego.

Do najbardziej znanych fortów należały te na kluczowych wzniesieniach: Wzgórze 203, Wzgórze 174, Mała Sierota, Duża Sierota oraz Wzgórze Fałszu. Wzgórza Sieroce były naturalnie strome. Aby jednak pomnożyć ich walory obronne, Rosjanie spiętrzyli rzekę Tai, która stała się dla tych wzniesień naturalną fosą.

Blżej portu – zbyt blisko w obliczu rozwoju artylerii pod koniec XIX i na początku XX wieku – Rosjanie wykorzystali również stare chińskie fortyfikacje zbudowane do ochrony Starego Miasta. Ich trzonem był wysoki na trzy metry mur z błota i cegły. Mur ten posiadał zadaszoną dro-



Ryc. 3. Rosyjska haubica kal. 6 cali na stanowisku polowym na obrzeżach Port Arthur, 1904. Fot. domena publiczna.

gę, która oprócz funkcji komunikacyjnych dawała ochronę przed zjawiskami pogodowymi.

Zakończenie wszystkich prac fortyfikacyjnych Rosjanie planowali na rok 1909. Do czasu japońskiego ataku, mimo przyspieszenia prac, zrealizowano niewiele ponad połowę planowanych zadań, wydając mniej niż 1/3 przeznaczonego na nie budżetu w postaci 15 milionów rubli.

„Port Artur będzie moim grobem!”

Rosjanie wiedzieli, że szykuje się wojna. Generał major Roman Izydorowicz Kondratenko i jego 8 Pułk Strzelców Syberyjskich otrzymali zadanie wzmocnienia obrony portu. Do prac zagoniono setki mieszkających w okolicy Chińczyków. Z braku betonu usypywali oni szance i budowali umocnienia z użyciem materiału pozyskiwanego na miejscu. Rosyjscy inżynierowie w miejsce brakującego drutu kolczastego wykorzystywali nawet druty telegraficzne. Na podejściach do fortyfikacji utworzono pola minowe

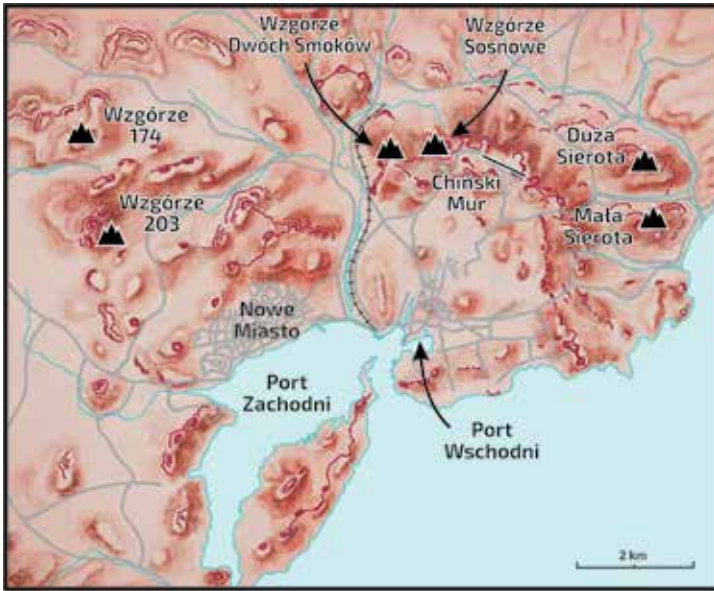
i budowano przemysłne pułapki, których nie powstydziliby się Wietkong kilka dekad później. Na noszących słomiane sandały japońskich żołnierzy czekały chociażby deski gęsto nabijane potężnymi gwoździami. Obrońcy ryli też szanse w stromych stokach wzgórz. Po zadaszeniu i zamaskowaniu skalnym gruzem stanowiska strzeleckie znakomicie wtapiały się w teren.

Gorzej było z dowodzeniem. Obronę Port Artur powierzono generałowi baronowi Anatolijowi Michajłowiczowi Stesselowi. Zaprowadził on żelazną dyscyplinę, jednak w sposób niekompetentny. Drakońskie kary za pijaństwo, jedyną zasadniczo rozrywkę żołnierzy, doprowadziły do dramatycznego spadku morale całego garnizonu. Swoją ewidentny dla wszystkich wokół brak kompetencji maskował pokazówkami, brawurą i buńczuczными, dramatycznymi komunikatami. W jego korespondencji prywatnej pełno było zawołań takich jak „żegnaj na zawsze” czy „Port Artur będzie moim grobem”. Stessel miał oczywiście i zalety. Był wybitnym organizatorem.

Port Artur funkcjonował jako skład zaopatrzenia dla Rosjan w innych częściach Chin, co prowadziło do niebezpiecznych zmian w poziomie zapasów, grożących zdolnościom obronnym twierdzy. Tuż przed nadejściem 3 Armii Japońskiej garnizon Port Artur liczył niemal 50 tysięcy żołnierzy. Mieli oni do dyspozycji nieco mniej niż 500 dział. Oprócz tego mieszkańcy miasteczka to kolejne 37 tysięcy ludzi. Deficyt żywności i wadliwe mechanizmy rynkowe jej dystrybucji prowadziły do szybkiego wzrostu cen, co dodatkowo poważnie podkopało morale.

Porażka marynarki wojennej

Plany wojenne japońskiego sztabu były wręcz banalnie proste. Flota dowodzona przez kontradmirała Tōgō miała zneutralizować rosyjski zespół stacjonujący w Port Artur



Ryc. 4. Bezpośrednie okolice Port Arthur i kluczowe punkty obrony.

i nałożyć na port blokadę morską. Atak przeprowadzony późnym wieczorem 8 lutego był pierwszym krokiem do realizacji tych zamiarów. Drugim krokiem miało być zablokowanie wejścia do portu przez osadzenie w nim wraków jednostek handlowych. Plan ten nie powiódł się.

Innym problemem Rosjan było fatalne wyszkolenie oraz niskie morale załóg okrętów, które same w sobie były uzbrojone w nowoczesną artylerię i dostatecznie opancerzone. Brak kompetentnych i zmotywowanych kadr neutralizował skuteczność całej, kosztownej maszynarii wojennej.

W marcu 1904 roku pojawiła się szansa na odwrócenie negatywnych trendów. Do Port Artur przybył wiceadmirał Stiepan Osipowicz Makarow. Oficer ten miał talent do ludzi. Zaszczepił ducha walki w swoich oficerach i marynarzach, co było niezbędne do działań ofensywnych. 13 kwietnia Makarow poprowadził eskadrę bazującą

w porcie do generalnego starcia z flotą japońską. Pech chciał, że okręt flagowy „Pietropawłowski” wszedł na minę i zatonął wraz liczącą 600 osób załogą i samym Makarowem. Utrata admirała była poważnym ciosem dla spójności i morale rosyjskiej marynarki.

W sierpniu podjęto kolejną próbę wydania bitwy Japończykom, ale rosyjska eskadra dostała się pod huraganowy ogień i została rozpieńczona na cztery wiatry. Jeden z poturbowanych okrętów, mając odciętą drogę powrotną do Port Artur, doturlał się aż do Szanghaju. Te jednostki Eskadry Pacyfiku, które zdołały powrócić do portu, nigdy już nie próbowały przeprowadzić żadnej akcji przeciwko okrętom wroga. Ich artyleria została zaprzęgnięta do obrony portu przed atakiem lądowym.

Początek oblężenia

1 Armia generała Tamemoty Kurokiego wylądowała w północnej Korei i przekroczyła rzekę Yalu. Niemal z marszu zaatakowała siły rosyjskie w Mandżurii. Wtedy po raz pierwszy Azjaci pokonali Europejczyków w walnej bitwie nowoczesnych armii. Dla europejskiej opinii publicznej było to szokiem. Był to przedsmak „mentalnego zwarcia”, jakie Japończycy mieli wkrótce zafundować europejskim mocarstwom bitwą cuszimską.

2 Armia pod dowództwem generała Yasukaty Oku wylądowała na półwyspie Liaodong, zajmując pozycję pomiędzy Port Artur a rosyjskimi oddziałami generała Aleksieja Nikołajewicza Kuropatkina na północy. Połączenie miasta-twierdzy z Mandżurią i Rosją zostało przerwane. Oku przypieczętował to osiągnięcie 15 czerwca, odpierając rosyjską próbę przełamania blokady. Od tamtej chwili dla obrońców Port Artur sprawa była całkowicie jasna: byli zdani na siebie.

Japoński sztab powierzył zadanie zdobycia Port Artur 3 Armii, dowodzonej przez gen. Maresuke Nogi. Liczące 90 tysięcy ludzi zgrupowanie wylądowało około 40 kilometrów na północ od miasta i szybko rozpoczęło marsz w kierunku rosyjskiej twierdzy.

W Port Artur wszystko, co żyło (i piło), ruszyło na wyznaczone stanowiska bojowe. Szańce, reduty, forty, szpitale polowe i wieże kotwiczących w porcie okrętów zaroili się od ludzi. I tak 7 sierpnia oficjalnie rozpoczęło się oblężenie, zainaugurowane japońskim ostrzałem Starego Miasta. Miało trwać przez następne pięć miesięcy.

Walki o Dużą Sierotę i Małą Sierotę

Po analizie map generał Nogi zdecydował, że kluczem do otwarcia twierdzy jest przejście wzgórz Duża Sierota i Mała Sierota. Japończycy mogli z nich ostrzeliwać rosyjskie reduty położone bliżej portu.

Problemem Japończyków była ich własna arogancja i lekceważenie przeciwnika. Japoński generał nie znał liczebności garnizonu ani stanu jego przygotowania na oblężenie. Raporty i informacje o faktycznej sile obrońców, okopanych starannie na perymetrze o łącznej długości około 33 kilometrów, były pogardliwie ignorowane. Kierując się głęboko zaszczeplionymi tradycjami samurajskimi, Nogi nakazał szturm na oba wzgórza. Zaatakowano czołowo od północnego wschodu i północnego zachodu, poprzedzając atak trwającym 15 godzin przygotowaniem artyleryjskim. Kierunek uderzenia został wybrany tak, by wzgórza osłoniły szturmujących od ognia artylerii okrętowej z jednostek kotwiczących w Port Artur. Zaniechano wcześniejszego zniszczenia tamy na rzece Taj, którą spiętrzyli obrońcy – uszkodzenia zapory i obniżenia poziomu wody powyżej niej, na trasie ataku, dokonano dopiero w trakcie wieczornego szturmego rozpoczętego o 19:30.

Pewna ilość obławowanych bronią i amunicją żołnierzy utonęła. Ci, co przeżyli, do morderczej wspinaczki pod ostrzałem przystąpili przemoczeni. Silny ostrzał z góry sprawił, że zostali zatrzymani.

Japończycy spróbowali szczęścia następnego dnia. W ruch poszły głady, bagnety i pięści. Po zaciętej walce wręcz, o 20:00 żołnierze japońscy dotarli na szczyt Wielkiej Sieroty. Drugie z pary wzgórz zdobyli następnego dnia, ale gdy tylko wzniesli na nim swoją flagę, spadł na nich ostrzał z rosyjskich redut na sąsiadujących wzgórzach.

Walki o te i następne wzgórza, nawet nocne, skutkowały wysokimi stratami. Rosjanie używali potężnych reflektorów, aby wystawić atakujących na ostrzał artylerii i karabinów maszynowych. Mała i Duża Sierota miały dodatkowy walor obronny, szczególnie istotny w przypadku ataków dziennych – zapewniały widok na prawie kilometr płaskiego przedpola. Decydując o taktyce ataku, Nogi całkowicie to zlekceważył. Nie zmienił podejścia mimo znacznych strat, sięgających 3 tysięcy zabitych i rannych, i zdobywał kolejne wzgórza w ten sam sposób. Generał-samuraj podjął tę decyzję, źle interpretując dane ze zwiadu balonowego. Kiedy bowiem Nogi osobiście analizował wyniki obserwacji powietrznej, ku własnemu zaskoczeniu zauważył brak koordynacji działań rosyjskiej artylerii. Dlatego właśnie postanowił przystąpić do bezpośredniego frontального ataku w dół wąwozu Wantai. Gdyby ten śmiały manewr się powiodł, pozwoliliby bardzo szybko osiągnąć japońskim żołnierzom Stare Miasto.

Nogi gotów był obrać taką strategię ze względu na otrzymany rozkaz jak najszybszego zdobycia Port Artur. Znakomicie przygotowana i realizowana przez Rosjan obrona była zaskoczeniem. Spowodowała też, że na japońskiego generała spadła lawina krytyki ze strony Sztabu Generalnego.

Walki o Wzgórze 174

Plan atakujących był następujący – mieli skupić się na zajęciu wąwozu Wantai, usytuowanego w centrum północno-wschodniego półkola fortów. Po nim planowano zdobycie Wzgórza Dwóch Smoków i Wzgórza Sosnowego Drzewa. Zajęcie tych dwóch wzgórz pozwoliłoby ostrzeliwać od tyłu, a następnie zdobyć szturmem Chiński Mur. Stamtąd prowadziła już prosta droga do Starego Miasta.

Ale Nogi ewidentnie nie znał się na zdobywaniu fortec, a przy tym nie miał do tego środków. Potężne umocnienia skrywające artylerię potrzebują równie potężnej kontrsiły. Mówiąc prościej – silnie ufortyfikowana pozycja nie zostanie nigdy zdobyta przez masy wystawionej na ostrzał piechoty uzbrojonej w broń małokalibrową.

Relacje źródłowe i opracowania nie wskazują jasno, czy ta lekkomyślna taktyka wynikała z podanej tutaj podwójnej przyczyny „systemowej”, czy jej podstawą było tylko jedna z przedstawionych dalej okoliczności. Pierwszą było „samurajskie” zaciętrzewienie, opisane wcześniej. Drugą był prosty fakt – 15 czerwca rosyjski krążownik „Gromobol” zatopił „Hitachi Maru”, transportowiec wiozący do Mandżurii ciężką artylerię produkcji niemieckiej. Zatopione haubice oblężnicze byłyby w stanie skruszyć pierścień fortów artyleryjskich wokół Port Artur, ale do 3 Armii po prostu nie dotarły.

Japoński atak na Wzgórze 174 rozpoczął się 19 sierpnia, realizowany siłami 1. Dywizji. Obrońcami dowodził pułkownik Nikołaj Aleksandrowicz Tretiakow, pod nadzorem Kondratenki. Obaj oficerowie dowodzili rozlokowanymi w tym rejonie 5 i 13 Wschodniosyberyjskimi Pułkami Strzelców oraz dwiema kompaniami marynarzy z unieruchomionych w porcie okrętów.

Japończycy pojawili się pod wzgórzem w biały dzień. Sforsowali zasieki i zajęli część zbocza od północnej strony. W zaciętych walkach w ciągu całego dnia zdobyli

dwie linie okopów. Tego dnia nie dali jednak rady iść dalej. Opór zaprawionych w boju weteranów obsadzających szczyt wzgórza był zbyt duży.

ROSYJSKI PIECHUR DAJE RADĘ!

Obsadzający fortyfikacje wokół Port Artur rosyjscy piechurzy dysponowali olbrzymią, wieloczynnikową przewagą nad swoimi japońskimi przeciwnikami. Japończycy mieli swoje Arisaki, a Rosjanie karabiny Mosin. Choć strzelcy w obu armiach dysponowali bronią uznaną za nowoczesną i względem siebie równoważącą, to diabeł – jak zawsze, a w przypadku obrony Port Artur w szczególności – tkwił w szczególe, czyli w dostosowaniu broni do kultury technicznej żołnierzy.

Mosin był końcowym produktem długiego dostosowywania pierwotnej konstrukcji do warunków bojowych i kompetencji użytkowników w zakresie konserwacji i eksploatacji. Poprzednikiem Mosina był model Mosin-Nagant, wzorowany na belgijskim oryginale – Naganie z siódmej dekady XIX wieku. Rosjanie udoskonalali projekt filozofią „gniotsa nie łamiotsa”, znaną nam Polakom z czasów ZSRS. Wyroby przemysłowe wytworzone zgodnie z tą żartobliwą frazą są toporne pod względem technicznym i estetycznym, ale są wyjątkowo odporne na uszkodzenia czy zniszczenie. Mosin składał się z minimalnej ilości części, przez co był wyjątkowo tani w produkcji i prosty w konserwacji. Był też fenomenalnie odporny na warunki polowe: zanieczyszczenia, warunki pogodowe czy temperaturę.

Japończycy poszli w odwrotnym kierunku i „przekombinowali” w uderzająco podobny sposób do Niemców w kazusie ich broni pancernej czasów II wojny światowej. W 1897 roku Japończycy rozpoczęli produkcję karabinu wzorowanego na niemieckim Mauserze. Choć co prawda uprościli go względem pierwowzoru, to produkcję podjęli, trzymając się nadmiernie wysokich standardów

konstrukcyjnych. Mogły go przy tym produkować tylko najlepsze, a więc nie wszystkie fabryki. Efektem był wyjątkowo duży odsetek broni z defektami. Największym problemem były wadliwie produkowane lufy, zwłaszcza w początkowych latach. Zamki tych karabinów były dodatkowo wyjątkowo wrażliwe na zanieczyszczenia. Kolejnym problemem Arisaki był prymitywny, stały celownik, zamiast nowoczesnych schodkowych czy ramkowo-krzywkowych, co w przypadku użycia słabszej amunicji, lecącej stromym torem, miało istotny wpływ na celność na dalsze dystanse.

Kluczowa przewaga Mosina i rosyjskich żołdatów w pełni uwidaczniała się jednak dopiero w czasie walki na bagnety, w tamtym okresie będącej zasadniczą formą walki formacji piechoty. Rosjanie dysponowali tak wielką przewagą we wszystkich aspektach takich starć, że Japończycy, mimo że byli stroną atakującą, unikali starć wręcz, starając się do ostatniej chwili prowadzić pojedynki ogniowe. Rosjanie z kolei czuli swoją wyższość i dążyli do rozstrzygnięcia na bagnety.

Pierwsza kwestia w tym zakresie jest techniczna. Japońskie karabiny były krótsze (Mosin 1288 mm – Arisaka 1140) i miały nieoptymalny kształt kolby. Bagnety nożowe miały rekompensować to oraz niewielki wzrost żołnierzy japońskich. Jednak dłuższe, nożowe bagnety powodowały, że karabiny ciążyły na lufę, utrudniając tym walkę i pogarszając celność strzałów. Bagnety rosyjskie były szpikulcami. Były lżejsze, a że żołnierze nosili je w zasadzie stale na lufach (w pozycji bojowej i niebojowej), to byli też wyćwiczeni w strzelaniu z nimi.

Druga kwestia to przewaga Rosjan w zakresie budowy ciała. Poborowi rosyjscy byli zdecydowanie większej postury i sporo silniejsi od Japończyków. W naturalny sposób więc byli w walce wręcz bardziej przebojowi. Do tego w rosyjskiej armii prowadzone przez specjalistów szkolenie z walki na bagnety trwało dwa razy dłużej niż w japońskiej.

Ale nawet najlepsi obrońcy, dysponujący dobrą bronią i wyszkoleni w odpowiednim zakresie, mający dobrze przygotowane pozycje i odnoszący do tej pory sukcesy, mieli swoje granice wytrzymałości. Już pod wieczór rosyjscy strzelcy zaczęli bez rozkazu opuszczać stanowiska – mimo tego, że kładli przeciwnika pokotem. Próbując temu przeciwdziałać, generał Kondratenko wprowadził coś, co czterdzieści lat później w Armii Czerwonej będzie znane jako „oddziały zaporowe NKWD” – rozmieścił za swoimi liniami strzelców, którzy mieli otwierać ogień do wszystkich próbujących opuścić swoje pozycje na pierwszej linii. Pod przymusem bądź bez niego, żołnierze obu stron wykazywali się wręcz nieludzką determinacją. Walki były tak zacięte, że kolejne fale szturmujących żołnierzy musiały stąpać po ciałach swoich zabitych i umierających towarzyszy.

Wzgórze 174 ostatecznie padło następnego dnia. Podobną hekatombę Rosjanie zafundowali 3 Armii na Reducie Wodociągów, ulokowanej pośród płaskich pól uprawnych. Cały tamten obszar był pokryty zasiekami, które obrońcy podłączyli do prądu. Japończycy poradzili sobie z tą przeszkodą, zaopatrując nożyce do cięcia drutu w bambusowe rękojeści. Równie dużą daninę krwi Japończycy zapłacili przy zdobywaniu przyległej pary fortów Pan Lung. Forty te padły 22 sierpnia.

Te sukcesy były dla Japończyków morderczą nauką. Za same fortysiki Pan Lung zapłacili oni stratą 16 tysięcy najlepszych żołnierzy. Doborowy 7 Pułk został zredukowany z 1800 do 200 żołnierzy. A póki co zdobyczami były jedynie słabo umocnione fortysiki na zewnętrznym perymetrze rosyjskiej obrony!

Tradycyjne oblężenie

Tradycyjne operacje oblężnicze Japończycy rozpoczęli 25 sierpnia. Nowoczesna wojna piechoty i artylerii zo-



Ryc. 5. Japońska jedenastocalowa (280 mm) haubica w akcji pod Port Arthur. Źródło: domena publiczna (koloryzowane).

stała zastąpiona rodzajami starć starszymi o trzy stulecia. Saperzy kopali rowy oblężnicze w kierunku rosyjskich fortów i podkopy prowadzące pod rosyjskie umocnienia, by umieszczać w nich ładunki wybuchowe i neutralizować w ten sposób kolejne forty.

Japoński dowódca liczył na posiłki z wysp macierzystych i faktycznie się ich doczekał. Wkrótce dostał do dyspozycji haubice oblężnicze kalibru 11 cali. Mogły one miotać pociski na odległość do 9 kilometrów. Nogi miał dzięki nim na granicy zasięgu rejon samego portu. Ale mimo powolnych postępów, m.in. zdobyciu Reduty Wodociągowej 16 września, o kluczowym Wzgórzu 203 Nogi wciąż jeszcze mógł tylko pomarzyć.

Mając do dyspozycji wspomniane haubice, japońscy artylerzyści mieliby możliwość prowadzenia morderczego ostrzału kotwiczącej tam floty. Daliby więc Rosjanom mata w identyczny sposób, w jaki młody Napoleon Bonaparte doprowadził do zakończenia oblężenia Tulonu w 1793

roku (wskazał, że wystarczy zdobyć wzgórze górujące nad portem). Ale żadne wysiłki Japończyków nie przyniosły upragnionego rezultatu. I tak nastał listopad.

Już wtedy rosyjska II Eskadra Oceanu Spokojnego była w drodze i Nogi był pod rosnącą presją, by wreszcie zdobyć Port Artur. Niezależnie jednak od kwestii przypłynięcia rosyjskiej floty, przedłużające się oblężenie wiązało 3 Armię, a była ona potrzebna Japończykom w innych miejscach Mandżurii. Zaczęto przygotowania do decydującego szturmu.

Szczęśliwie dla atakujących, otrzymali na czas potrzebne posiłki. W drodze było też osiemnaście dodatkowych haubic 280 mm. Po dotarciu do Port Artur potężne działa były przepchane na pozycje strzeleckie przez zespoły liczące 800 żołnierzy, toczące działa przez 13 kilometrów torów kolejki wąskotorowej, ułożonych specjalnie w tym celu.

Wyprodukowane w Japonii haubice zaprojektowała brytyjska firma Armstrong w 1884 roku. Ogromne pociski, ważące po 230 kilogramów każdy, dolatywały na rosyjskie pozycje z potężnym, przeraźliwym wizgiem i zostały nazwane przez nich „ryczącymi pociągami”. W czasie oblężenia Japończycy wystrzelili ponad 35 tysięcy takich ładunków.

Co ciekawe, ponieważ haubice te były pierwotnie zainstalowane w fortach nad Zatoką Tokijską i Zatoką Osaka, by strzec tych dwóch miast przed atakiem wrogiej floty, japońscy żołnierze nazywali je „dziećmi Osaki”. Teraz sprawdziły się w wojnie lądowej. Ich przetransportowanie do Port Artur świadczyło o tym, jak zdeterminowani byli Japończycy, by jak najszybciej zdobyć rosyjską twierdzę.

Wzgórze 203

Rosjanie wiedzieli, że Wzgórze 203 jest kluczem do Port Artur. Wzgórze to ukształtowane było w dwa bliźniacze szczyty. Na obu wybudowano potężne cytadele, wzmoc-



Ryc. 6. Wzgórze 203 w 1909 roku. Źródło: domena publiczna.

nione drewnianymi balami i płytami pancernymi. Szczyty otaczały pierścieniem aż dwie linie szańców strzeleckich, do których dostępu broniła płatanina drutu kolczastego pod napięciem. Cytadele na obu szczytach były połączone okopami z sąsiednimi twierdzami na Wzgórzu Fałszywym i Akasakayama. Obroną tych fortyfikacji dowodził otoczony wcześniej nimbem niezwykłości Tretiakow. Problemem obrońców wzgórza były skromne zapasy żywności. Żołnierze posilali się mięsem mułów i koni.

Japończycy zaatakowali falami. Natychmiast przygwoździła ich nawała ognia artylerii i karabinów maszynowych. Ale parli naprzód. W ciągu całego szturmu wzgórze kilkakrotnie przechodziło z rąk do rąk. Żołnierze wycofywali się, tracili rezon i ducha, reorganizowali, odbijali szczyty z rąk nieprzyjaciela. Tretiakow dwoił się i troił, by podtrzymać walczących w bojowym zapale, często grożąc spanikowanym szablą.

Przepychanki zakończyły się tym, że Rosjanie utrzymali kontrolę nad szczytami. Wtedy Japończycy wprowadzili

do akcji swoje jedenastocalowe haubice. W trwającym cały dzień ostrzale władowali w rosyjskie umocnienia tysiąc pocisków. Umocnienia zostały roztrzaskane na gruz i drzazgi. Choć większość oficerów zginęła. Żołnierze wciąż stali na nogach. Walczyli. Ale ranny Triertiakow nie miał możliwości, by podtrzymać ich na duchu. 5 grudnia o 10:30 rano wzgórze zostało opanowane przez Japończyków.

Srogo zapłacili za to zwycięstwo: 14 tysiącami zabitych i rannych żołnierzy. Dla japońskiego generała koszt zdobycia Wzgórza 203 był szczególnie dotkliwy, bo podczas ostatecznego szturm na wzgórze zginął jego ostatni żyjący syn.

Ale przy tak ciężkich walkach strata pojedynczych ludzi nie ma znaczenia. Japończycy wreszcie osiągnęli przełomowe zwycięstwo! Bezzwłocznie przystąpili do ostrzeliwania przebywających w porcie okrętów. W ciągu kilku dni wszystkie jednostki floty rosyjskiej zostały albo zatopione, albo ciężko uszkodzone.

Urażony faktem, że rosyjska Flota Pacyfiku zostanie zatopiona przez armię, a nie przez Cesarską Japońską Marynarkę Wojenną, oraz mając bezpośredni rozkaz z Tokio, że pancernik „Sewastopol” nie może wyrwać się z matni, admirał Tōgō przystąpił do prób zatopienia tego okrętu. Zmontował sześć ataków na ostatni rosyjski pancernik, który zdołał wypłynąć poza zasięg japońskich haubic. Ale po trzech tygodniach „Sewastopol” wciąż utrzymywał się na powierzchni i nie tylko zdołał ująć przed 124 torpedami, które w niego wystrzelono, ale zatopił przy tym dwa japońskie niszczyciele i uszkodził sześć innych jednostek.

Upadek Port Artur

W połowie grudnia stało się jasne, że od upadku twierdzy dzielą walczących dni. Brakowało żywności, rozprzestrzeniały się choroby takie jak szkorbut i czerwotka. Morale upadło niemal zupełnie. Zapas amunicji oceniano na wystarczający na odparcie góra dwóch poważnych szturmów.

„Kiedy skończy się amunicja do dużych dział, wciąż będziemy mieli 10 milionów sztuk amunicji do broni strzeleckiej. Potem zostaną nasze bagnety”, miał wtedy rzec Stessel.

Ale pod koniec grudnia większość głównych fortów i redut znajdowała się już w rękach japońskich. 1 stycznia 1905 roku Stessel wysłał do japońskiego generała oficera z propozycją poddania Port Artur. Zgodnie z warunkami kapitulacji rosyjscy szeregowi mieli pójść do niewoli, podczas gdy oficerowie mogli bądź iść razem z nimi, bądź skorzystać ze zwolnienia warunkowego. Większość wybrała to drugie.

Koszt zwycięstwa i koszt przegranej

3 Armia zapłaciła za zwycięstwo cenę co najmniej 60 tysięcy zabitych i rannych. Pozostali cierpieli na niedożywienie i wynikające z niego choroby. Po drugiej stronie Rosjanie pokazali ponad wszelką wątpliwość, że ich oddziały stacjonujące na Dalekim Wschodzie, jeszcze przed wojną uważane za gorszej jakości i pogardzane, są w stanie wykrzesać z siebie nadzwyczajne męstwo i waleczność.

Wojna to czas sprzecznych narracji i czarnej propagandy mającej, oprócz rozgrywania decyzji obserwujących, doprowadzić wroga do wewnętrznych sporów i utraty jedności. Japończycy byli zdumieni, gdy odkryli, że w Port Artur pozostały ogromne zapasy żywności i amunicji, co sugerowało, że Stessel poddał się na długo, zanim stało się to rzeczywiście konieczne. Istnieje jeszcze inna opinia – że Stessel zdradził. Poddając Port Artur, oddał on Japończykom całą artylerię, czyli nie mniej niż 500 dział różnych kalibrów, a do tego amunicję i zapasy, które w chwili kapitulacji pozostały w twierdzy. Stessel został skazany przez sąd wojskowy na karę śmierci, którą potem złagodzono do dziesięciu lat więzienia.

Zgodnie z obawami rosyjskich elit upokorzenie, jakiego doznała Rosja na Dalekim Wschodzie, wywołało rewolucję. Nieudaną, ale była ona omenem tej, która przyniosła upadek cara w 1917 roku.

Dla Japonii zdobycie Port Artur było impulsem do przejęcia dominacji przez ultranacjonalistów i militarystów. Upojeniu sukcesem, mieli oni w kolejnych dekadach tym agresywniej kierować Imperium Japońskie ku dalszym podbojom. Już pięć lat po zwycięskiej wojnie Japończycy dokonali pełnej, formalnej aneksji Korei. Pełne opanowanie Mandżurii nastąpiło jednak dopiero w latach trzydziestych XX wieku. Ta właśnie dekada przyniosła nasilenie procesu przejmowania kontroli nad kluczowymi, nadmorskimi regionami Chin. To zaś nieuchronnie doprowadziło do konfrontacji Japonii z wolą geopolityczną kolejnego imperium – Stanów Zjednoczonych. □

Porady i spostrzeżenia na wynos

A. W przededniu Wielkiej Wojny

Port Artur był próbą generalną przed katastrofalną wojną światową, która miała wybuchnąć dekadę później. W oblężeniu, ochrzczoneym mianem pierwszego oblężenia nowoczesnej wojny, wykorzystano karabiny powtarzalne, karabiny maszynowe, potężną artylerię, szybkostrzelne haubice, okopy i drut kolczasty. Japońskie baterie artyleryjskie były koordynowane przez centrale kierowania ogniem połączone z nimi telefonami polowymi. Europejscy przywódcy wojskowi zignorowali lekcje pierwszej wiel-

kiej wojny stulecia na własne ryzyko i na ryzyko swoich żołnierzy, skazanych na zagładę na froncie zachodnim.

Oblężenie Port Artur było pierwszym miejscem, w którym wprowadzono zdobyczne techniki dwóch ostatnich dekad XIX wieku. To m.in. potężne haubice jedenastocalowe, miotające pociski o wadze 217 kilogramów na odległość 8 kilometrów. Do powszechnego, masowego użycia weszły karabiny maszynowe Maxim, zasadniczo kończąc erę zmasowanych ataków na otwartym terenie. To właśnie Port Artur stał się pierwszym zwiastunem ery walki okopowej. Do powszechnego użycia weszły też karabiny czterotaktowe z pięcionabojoyowym magazynkiem i granaty ręczne.

Rosjanie masowo stosowali sprawdzające się świetnie zasieki z drutu kolczastego i ogrodzenia elektryczne. Dużą innowacją w obronie przed atakami lądowymi były reflektory łukowe, taktyczna sygnalizacja radiowa... i pierwsze przypadki zagłuszania radiowej komunikacji wroga.

Wszystkie te innowacje były i będą zawsze przedmiotem studiów ze strony obserwatorów wojskowych wysyłanych przez kraje niezaangażowane w konflikt. Tacy obserwatorzy byli obecni w Port Artur, choć niemal wszyscy opuścili miasto 14 sierpnia 1904 roku, po odrzuceniu przez dowództwo rosyjskie oferty kapitulacji.

B. Niedocenione Wzgórze 203

Japończycy zdobywali Wzgórze 203 kilka lat wcześniej, walcząc z Chińczykami. Ewidentnie mieli okazję do sporządzenia należytego studium linii obronnych. Jest więc bardzo dziwne, że w początkowej fazie bitwy generał Nogi nie zdawał sobie sprawy ze strategicznego znaczenia tego wzgórza. Jest to tym dziwniejsze, że od listopada Japończycy mieli świadomość, że rosyjska Flota Bałtycka jest w drodze na Daleki Wschód.

Japońskie dowództwo w pełni rozumiało konieczność zniszczenia rosyjskich okrętów uwieczonych w Port Artur.

Niezakłócony widok na port umożliwiłby ostrzał rosyjskiej floty, która się tam schroniła. Fakt ten zwrócił jednak uwagę Japończyków dopiero wtedy, gdy odcinek odwiedził generał Kodama Gentarō.

To Gentarō dostrzegł, że wzgórze jest kluczem do całej rosyjskiej obrony. Najważniejszym narzędziem opanowania Port Artur było posiadanie przez stronę japońską odpowiedniej broni – haubic jedenastocalowych, które dysponowały dostatecznym zasięgiem, by zagrozić portowi i okrętom przy nabrzeżach. Gdy postawić haubice na wzgórzu 203, zniszczenie okrętów w porcie było tylko kwestią czasu.

C. Świadomość sytuacyjna cara i dowódców różnego szczebla

Rosjanie świetnie zdawali sobie sprawę z nieuchronności konfrontacji z Japonią i tego, że Port Artur jest dla przeciwnika priorytetowym celem strategicznym oraz prestiżowym. Przedsięwzięto stosowne przeciwdziałanie w postaci stworzenia kompleksowego, starannie przemyślanego systemu obrony. Rosyjskie umocnienia Port Artur były wielowarstwowe, z nakładającymi się polami ostrzału. Świetnie wykorzystywały naturalne ukształtowanie terenu. Nie jest więc tak, że odpowiedzialni za obronę Port Artur byli co do jednego głupcami czy arogantami. Deprecjonowanie przeciwnika, do czego człowiek jest skłonny z natury, nie jest dobre w trakcie działań wojennych, nauka zaś tego szacunku kosztuje potem wiele żołnierskiej krwi. Chcielibyśmy być może tak myśleć jako Polacy, mający bogatą historię nieporozumień z Rosją, w tym kolektywną pamięć czasów II wojny światowej czy zaborów, a obecnie, tj. po roku 2022, poddawani proukraińskiej propagandzie wojennej.

Ilustracją tego, że rosyjski car miał bardzo trzeźwe spojrzenie na sytuację, jest jego reakcja na utratę dwóch

Wzgórz Sierocych. Sytuacja skłoniła go do natychmiastowego rozważenia bezpieczeństwa rosyjskiej Eskadry Pacyfiku, uwięzionej w Port Artur. Car bezzwłocznie wysłał rozkazy do admirała Wilgelma Vitgefta, dowodzącego flotą po śmierci admirała Makarowa, aby opuścił on Port Artur i przebazował się do Władywostoku. Vitgeft wypłynął w morze o 08:30 10 sierpnia 1904 roku i zaatakował czekających Japończyków pod dowództwem admirała Tōgō w bitwie na Morzu Żółtym. Rosjanie przegrali tę potyczkę i musieli wrócić do Port Artur.

D. Karygodne lekceważenie zasad bezpieczeństwa

Chcąc być uczciwym wobec Rosjan w ocenie ich działań, warto przypomnieć, że nie tylko oni ryzykowali beztroską, lekceważąc napiętą sytuację grożącą wybuchem wojny. Wiele podobieństw, szczególnie w zakresie ignorowania procedur bezpieczeństwa bazy morskiej, wykazuje nonszalancja widoczna w przygotowaniach do nieuchronnej wojny w Pearl Harbor w grudniu 1941 roku.

W lutym 1904 roku dowodzący Eskadrą Pacyfiku Makarow dostrzegł, że jego okręty kotwiczące na redzie zewnętrznej Port Artur skrajnie ryzykownie wystawiają się na niespodziewany atak. Na kotwiczowisku panował rozgardiasz. Mówiąc delikatnie. Rutynowo, dla ułatwienia codziennej pracy okręty oświetlały się nawzajem reflektorami, miały także włączone światła pozycyjne. 8 lutego okręt „Pałlada” był dodatkowo doświetlony, gdyż nocą bunkrowano na nim węgiel potrzebny do przeprowadzenia patrolu następnego dnia. Ten obraz całkowitej beztroski był kompletnie niewidoczny dla dowództwa na miejscu, poruszył jednak komendanta bazy morskiej w Kronsztadzie, kontradmirała Makarowa. Wystosował on pismo ostrzegawcze do ministra marynarki... które zostało zlekceważone jako wyraz nadgorliwości.

O lekceważeniu zagrożenia japońskiego świadczyły opinie oficerów uczestniczących w wieczornej odprawie na pokładzie flagowego „Pietropawłowska”. Szef sztabu Wilgelm Witgeft uspokajał uczestników słowami „Japończycy nie ośmielą się zaatakować” i „wojny nie będzie”. Słowa te wypowiadał w chwili, w której japońskie kontrtorpedowce pruły fale na podejściach do redy Port Artur¹.

E. Postęp technologii artyleryjskich

Obrona Port Artur była epizodem wojennym, z którego wnioski wyciągały wszystkie armie świata. Walki pokazały, że tylko działa kalibru 254 mm i większego mogły toczyć równorzędny pojedynek z artylerią okrętową przeciwnika.

Ówczesne standardy zmieniały się z szaleńczą prędkością. Baterie Port Artur zaprojektowano, by wytrzymywały pojedyncze trafienia pociskami 203–280 mm z dystansu 2–3 kilometrów, ale już po kilku latach musiały mierzyć się z pociskami kalibru 280–305 mm nadlatującymi z dystansu do 9 kilometrów. Pociski takie miały zapalniki o działaniu ze zwłoką, pozwalające wnikać pociskowi albo w ziemię usypaną na masce (przedniej ścianie baterii) i uszkodzenie struktury schronu bliskim wybuchem, lub też na wybuch już we wnętrzu bunkra. W przypadku optymalnym dla strzelających eksplozja pocisku we wnętrzu schronu amunicyjnego mogła doprowadzić do zniszczenia całej baterii.

Doświadczenia z Port Artur sprawiły, że zaczęto rozmieszczać pojedyncze działa i ich indywidualne magazyny amunicyjne w znacznie większej odległości od siebie. Lano grubsze stropy i nadsypywano na nie więcej ziemi. Do modernizacji bezzwłocznie przystąpiły praktycznie wszystkie państwa świata! Nieosłonięte od góry baterie stałe stosowano do I wojny światowej, tj. do pojawienia się

¹ J.W. Dyskant, A. Michałek, *Port Artur–Cuszima, 1904–1905*, Warszawa 2005, s. 44.

lotnictwa. Wynikało to z prostego faktu: baterię, o ile została należycie zamaskowana, trudno było wykryć z odległego o kilka kilometrów okrętu, co powodowało, że można było oszczędzić na betonie i robotach budowlanych.

Zainicjował się tu swoisty wyścig innowacji. Brytyjska Royal Navy opracowała metodę użycia mniejszych, zwrotniejszych okrętów, które podpływały pod baterie nadbrzeżne na odległość nawet 1 kilometra, by drogą radiową korygować ogień cięższych okrętów, stojących w większej odległości. Taką właśnie taktykę zastosowali Japończycy w czasie oblężenia Port Artur.

Oblężenie wykazało niezbicie, że największym zagrożeniem dla baterii były opadające z dużej wysokości odłamki skalne i betonowe, wyrzucone eksplozjami w ich pobliżu. Nieoczywistym skutkiem bliskich trafień było też zasypywanie baterii wszelkim materiałem, przede wszystkim ziemią i piachem. W czasie intensywnych pojedynków bywało więc i tak, że artylerzyści poświęcali więcej czasu oczyszczaniu stanowisk i udrażnianiu dróg dowozu amunicji niż strzelaniu. Środkiem zapobiegawczym było budowanie zadażeń przeciwodłamkowych, ale wkrótce dalszy gwałtowny rozwój artylerii wymusił budowanie stropów ponad samymi działami.

Podsumowując, Port Artur dał światu impulsy do innowacji w postaci następujących spostrzeżeń i wytycznych:

- Działa muszą być sytuowane w wieżach obracalnych o 360 stopni, co ma pozwalać na odpieranie ataków także od strony lądu².
- Poszczególne działa baterii muszą być rozproszone, by nie dać się zniszczyć pojedynczym trafieniem.

² Tu przychodzi na myśl znana z filmu *Lawrence z Arabii* wada fortyfikacji miasta Akaba w czasie I wojny światowej. Baterie broniące portu nie mogły się obrócić w stronę lądu, czyniąc możliwym atak od strony nieprzebytej pustyni. Pozornie nieprzebytej.

- Stanowiska kierowania ogniem muszą być ułożone z dala od baterii prowadzących ogień.
- Baterie powinny być niewidoczne dla okrętów przeciwnika³.

W krótkim, kilkuletnim oknie postępu artylerii, w którego środku usytuowana jest bitwa o Port Artur, optymalne były dwudziałowe baterie nadbrzeżne średniego kalibru, pozwalające razić przeciwnika oddalonego o 3–4 kilometry. Istotne dla ich skuteczności było wybudowanie wysokiej wieży obserwacyjnej, najlepiej w oddaleniu od baterii. Wieża taka pozwalała na zastosowanie dalmierzy bardziej precyzyjnych niż na jednostkach pływających przeciwnika. Różnica jakości wynikała na odległości między ich dwoma soczewkami.

Rosjanie budując fortyfikacje Port Artur, nie przestrzegali tej wytycznej. Co więcej, budowali stanowiska ogniowe i stanowiska dalmierzy bezpośrednio koło siebie, odbierając sobie możliwość prowadzenia ognia pośredniego, a w zamian narażając na ogień bezpośredni wroga, co czyniło pojedynki bardziej wyrównanymi. A przecież w wojnie chodzi o to, żeby nie było *fair* ani uczciwie. Wróg ma mieć pod górkę i pod wiatr.

Ale nie tylko Rosjanie przegapiali takie oczywiste sprawy. Uchybienia i pomyłki koncepcyjne wynikały po prostu z gwałtownego tempa rozwoju techniki wojskowej, zwłaszcza w artylerii, a więc technologiach optycznych.

Rosjanie zdawali sobie świetnie sprawę ze swojego zacofania technicznego. Przejawiało się ono zarówno brakiem ogólnej kultury technicznej wśród niepiśmianych zwykłych żołnierzy, jak i oficerów. Brakowało także inżynierów, zarówno do generowania innowacji, jak i do nadzoru prac budowlanych przy fortyfikacjach.

³ Paradoksalnie było to realne dzięki coraz większej donośności dział.

Efektem było upraszczanie fortyfikacji kosztem ich jakości. Takie podejście dawało oszczędności w czasie i pieniądzach, bo koszt bieda-fortów był nawet dziesięciokrotnie niższy od obiektów „wypasionych”, budowanych w państwach Europy. Oszczędzano także na tym, że obsady fortów formowano ze zwykłej piechoty, a nie wojsk fortecznych, specjalnie szkolonych i wyposażonych w specjalistyczny sprzęt przeciwinwazyjny.

Podobnie było z uzbrojeniem fortów – stosowano w nich działa piechoty, a nie wyspecjalizowaną artylerię kazamatową, głównie stromotorową. Prostota konstrukcji i szybkość budowy, choć nikły w obliczu wad, miały swoje zalety. Ta prostota sprawiła, że większość fortów Rosjanie zdołali zbudować już w czasie oblężenia. Zakończenie prac fortyfikacyjnych, przypomnijmy, planowano dopiero na rok 1909. ■

Midway 1942

I

Doktryna Kantai Kessen – japońska „teoria zwycięstwa”

Japońska doktryna decydującej bitwy morskiej zakładała wygranie wojny na morzu dzięki zwycięstwu w pojedynczym starciu morskim. Jeszcze w latach 50. XIX wieku Japonia była zacofanym, wyspiarskim kraikiem zamieszkanym przez zamknięte, przeraźliwie prymitywne technicznie i technologicznie społeczeństwo. Wszystko to zmieniło się dzięki Odnowie Meiji. Radykalne uprzemysłowienie i modernizacja tradycyjnych struktur społecznych sprawiły, że Japonia przebojem wskoczyła na scenę geopolitycznych rozgrywek toczonych przez imperia. Tym „przebojem” była bitwa w Cieśninie Cuszimskiej.

Dla kraju samurajów, pozbawionego niemal wszelkich surowców strategicznych, zdobycie zasobów pozwalających na uratowanie się przed losem poniżanych przez mocarstwa kolonialne Chin było kwestią przetrwania i honoru. Jedyną drogą do ich pozyskania było, siłą rzeczy, przejście przemocą zasobów krain sąsiedzkich – przede wszystkim leżących najbliżej Korei i Mandżurii, a potem Chin¹.

Japonia jest krajem wyspiarskim, a więc jej główną siłą uderzeniową w sposób naturalny musiała być marynarka wojenna. Naturalność wynika m.in. z dostępności przeszkolonych we flocie cywilnej kadr. Podobne zjawiska

¹ Szersze omówienie tego dylematu decyzyjnego: ‡PG III.5 (esej *Japonia – imperium z konieczności*).



Ryc. 1. Położenie atolu Midway względem Japonii i Ameryki Północnej. Czerwona punktowana linia: linia dozoru japońskich okrętów podwodnych przed operacją przy Midway

przejawiały się w przypadku Anglików. Element morski determinował też mobilność elementu lądowego, gdyż tylko statkami i okrętami można było przewieźć z Japonii żołnierzy i sprzęt do działań naziemnych. Flota, którą Japonia zaczęła intensywnie rozbudowywać, miała wobec tego podwójne zastosowanie – ofensywne i defensywne.

Koniec XIX wieku przyniósł pojawienie się coraz doniesniejszych dział oraz doskonalszych torped. Nastąpił gwałtowny rozwój napędzających statki i okręty silników parowych. Przeskok na paliwa płynne nastąpił już po Cuszimie.

Czas budowania potęgi przez Japonię to ta chwila historii, w której Imperium Brytyjskie było u szczytu swojej wielkości w każdym wymiarze. Przede wszystkim miało dużą flotę pancerników, którym towarzyszyły pomniejsze jednostki. Pozwalało to egzekwować globalną dominację. Japonia zawarła z Brytyjczykami sojusz, który wszedł w życie w 1902 roku. Jednym pociągnięciem pióra Japonia zneutralizowała swojego największego konkurenta. Zostali jeszcze dwaj: Ameryka i Rosja.

Japończycy rozpoczęli budowę własnego imperium od ataku na Port Artur. Wykorzystali kutry torpedowe oraz miny. Odbyli kilkanaście zwycięskich potyczek z rosyjską Eskadrą Pacyfiku. Dopiero wtedy nastąpiła walna

bitwa z Drugą Eskadrą Pacyfiku w Cieśninie Cuszimskiej (s. 183). Marynarka Wojenna Japonii zgromadziła wszystkie możliwe jednostki. Wysiłek opłacił się – cesarska flota odniosła spektakularne zwycięstwo. Po bitwie kontrola japońska rozciągała się na wszystkie morza regionu. Japończycy zabezpieczyli linie zaopatrzenia i uzyskali strategiczną mobilność. Mogli budować imperium.

Od tej chwili wojna naprawdę zaczęła toczyć się po myśli decydentów japońskich. Doszli oni do wniosku, że dzięki tego rodzaju zwycięstwom – wielkim, pojedynczym bitwom – da się wygrywać wojny szybko i tanio. Takie rozumowanie zgodne było (ale jedynie powierzchownie!) z ideą panowania nad morzami, którą Alfred Mahan opublikował w 1890 roku w słynnym dziele *Wpływ potęgi morskiej na historię 1660–1783*.

DOKTRYNA MAHANA

Już od XIX wieku dla rządów europejskich oczywistym stawało się to, że nowoczesne państwo potrzebuje zasobów wydobywanych lub wytwarzanych w znacznej części w miejscach bardzo odległych od metropolii. Ich zdobycie było kwestią życia i śmierci. W czasach przed *Pax Americana* głównym wątkiem gry imperialnej było zapewnienie sobie wszystkiego, co na danym etapie postępu technicznego było potrzebne. Walka toczyła się o takie rzeczy jak guano i inne azotany importowane z Chile i Peru. Jej epizodem było opracowanie technologii produkcji benzyny syntetycznej i amoniaku, przez naukowców niemieckich na początku XX wieku².

Wizja Alfreda Mahana, oficera US Navy i wykładowcy na Naval War College, była następująca. Panowanie na morzu zapewnia zwycięstwo, ponieważ pozwala utrzymać i zabezpieczyć własne przepływy ekonomiczne,

² Eseje nt. przeżywalności imperiów zależnej od dostępu do energii ‡SP X.3.B oraz ‡SP XI.2 (esej „Pruski projekt cywilizacyjny”).

a przy tym zdusić przepływy wroga, dusząc tym samym jego siłę. Panowanie nad morskimi szlakami handlowymi oznaczało – w prostszych słowach – zdolność do odcinania przeciwnika od dostaw surowców, półproduktów i łupów kolonialnych. Pozwalało stopniowo zdusić wroga, odbierać mu siły życiowe, co w pewnych okolicznościach mogło nawet wyeliminować potrzebę użycia armii lądowej. Panowanie nad morzami dawało też przewagę w zakresie mobilności strategicznej. Czyż bowiem istnieje tańsza autostrada niż morze?

Aby osiągnąć stan dominacji na morzu, trzeba było wyeliminować flotę wojenną wroga. Im szybciej by to nastąpiło, tym szybciej rozpocząłby się proces odcinania przeciwnika od życiodajnych zasobów. Zgodnie z perfidną logiką przetrwania, przyspieszenie walnej bitwy z dużą flotą skupioną w jednym miejscu wymaga, aby obie strony „chciały” doprowadzić do konfiguracji zdarzeń, w której skoncentrują swoje floty w odległości umożliwiającej starcie.

Efekt obezwładnienia przeciwnika można osiągnąć na dwa sposoby. W pierwszym obie strony dążą do walnej bitwy, koncentrując floty na dogodnym obszarze. W drugim skoncentrowana flota agresora poluje na rozproszone eskadry przeciwnika, ale oznacza to, że strategiczne odcięcie przeciwnika od wymiany handlowej nastąpi później.

Cuszima była decydującą bitwą morską. Bitwę strony stoczyły na japońskich warunkach i wedle ideału Mahana: stała się starciem decydującym o wyniku całej wojny. Ale to zwycięstwo wyłamywało się z wizji Mahana, gdyż nie otwierało Japończykom drogi do nokautu w jądro aktywności gospodarczej przeciwnika.

Następnym przeciwnikiem były Stany Zjednoczone, do których od 1899 roku należały Filipiny. Ale na Filipinach mogła bazować jedynie niewielka eskadra amerykańska,

niewystarczająca do decydującej bitwy. Ta ograniczona amerykańska obecność wynikała z uwarunkowań strategicznych regionu, a przede wszystkim z odległości od amerykańskiego obszaru rdzeniowego i głównego kierunku zainteresowania w przypadku wojny – Europy.

Jednocześnie Pearl Harbor w tym momencie historycznym zdecydowanie nie było główną bazą amerykańskiej Floty Pacyfiku. Stało się nią dopiero w połowie lat trzydziestych. W okresie formowania się koncepcji Kantai Kessen Japończycy zakładali, że w czasie pokoju większość amerykańskiej Floty Pacyfiku będzie stacjonować w porcie San Diego w Kalifornii. Odległość od tego portu była zbyt duża, by uniemożliwić przeprowadzenie niespodziewanego ataku, mającego decydująco zredukować liczebność floty przeciwnika. Japończycy nie mieli okrętów o zasięgu pozwalającym przepłynąć cały Pacyfik. Dodatkowo zachodnie wybrzeże USA nie było centrum aktywności gospodarczej przeciwnika, a więc nie było celem, w który uderzenie mogłoby zdusić gospodarkę państwa – czyli zrealizować doktrynę Mahana.

Należy pamiętać, że Marynarka Wojenna Stanów Zjednoczonych była podzielona między Pacyfik i Atlantyk. Dopiero oficjalnie otwarty w 1914 roku Kanał Panamski likwidował konieczność opływania całej Ameryki Południowej, by przerzucić siły z jednego akwenu na drugi. Ale nawet po otwarciu Kanału Panamskiego amerykański problem pozostał, choć nieco złagodzony przez skrócenie czasu tranzytu floty. Niemniej, atak z zaskoczenia dałby Japonii wystarczająco duże okno swobody operacyjnej do zabezpieczenia własnych interesów w rejonie zachodniego Pacyfiku, żeby potem mogła obronić się przed interwencją amerykańskiej floty obu oceanów.

Jakakolwiek bitwa miałaby wtedy miejsce na zachodnim Pacyfiku, a zatem znacznie bliżej stoczni japońskich i znacznie dalej od stoczni amerykańskich. Paradoksalnie

więc japońska doktryna miała charakter obronny. Japońscy planiści trzymali się dość powszechnej wówczas teorii, że aby zapewnić sobie zwycięstwo, atakujące siły morskie potrzebują pięćdziesięcioprocentowej przewagi liczebnej – przy założeniu, że wszystkie inne czynniki były po własnej stronie równe lub większe. Jeśli flota cesarska miałaby dziesięć pancerników, to US Navy musiałaby zaatakować ją piętnastoma. Intencją było to, że japońska flota, która sumarycznie miała około 70% siły amerykańskiej marynarki wojennej, była zdolna pokonać amerykańską flotę przynajmniej na zachodnim Pacyfiku. Był to jednak margines „na styk” i tylko „na styk”.

Te właśnie przesłanki nakazywały japońskim planistom wykonywać inne sposoby zredukowania amerykańskiej przewagi. Jednym z nich było zaprojektowanie niszczycieli, których główną siłą były potężne torpedy, zdolne zatapiać pancerniki. Główną siłą uderzeniową krążowników także miały być torpedy. Poza tym miały one rozwijać duże prędkości, aby towarzyszyć niszczycielom i przewodzić ich atakom. Rozwój tzw. „długich lanc”, torped Typ 93, o kalibrze 610 milimetrów i półtonowej głowicy, pochłonął sporo pracy japońskich inżynierów, jednak pozwolił stworzyć broń spełniającą te założenia.

Konfrontację z Ameryką wyobrażano sobie tak, że konflikt o Filipiny zmusi Waszyngton do wysłania floty wojennej w ich obronie. To pozwoliłoby doprowadzić do decydującej bitwy w bliskości własnych baz zaopatrzeniowych i remontowych na zachodnim Pacyfiku, optymalnie bitwy nocnej – w ich toczeniu Japończycy czuli się lepsi.

Na marginesie, pod koniec lat trzydziestych techniczną dojrzałość osiągnęły okręty podwodne. Japończycy mieli kilka dobrych konstrukcji, ale na przeszkodzie ich efektywnego wykorzystania stanęła prosta okoliczność braku strategicznych szlaków żeglugowych przeciwnika w ich zasięgu operacyjnym.



Ryc.2. Japońska ekspansja na kwiecień 1942 roku oraz pierwotny jej plan. Linia przerywana: planowany zakres kontroli.

Co ciekawe, Amerykanie „współpracowali” w celu realizacji japońskiego ideału zwycięstwa. Ich rozwijany od drugiej dekady XX wieku do końca lat trzydziestych „Plan Pomarańczowy” zarysowywał strategię walki z Japonią również opartą na wizji Mahana. Założeniem było stoczenie decydującej bitwy z flotą japońską. Flota Pacyfiku miała czasowo przebazować się na Filipiny i stamtąd uderzyć. Plan Waszyngtonu także nie uwzględniał w należyтым stopniu ani rozwoju broni podwodnej, ani gwałtownego wzrostu znaczenia lotniskowców. A poza tym został całkowicie przekreślony przez japoński atak na Pearl Harbor.

Strategia Kantai Kessen była doskonała do przeprowadzenia dużej, decydującej bitwy. Miała jedną ogromną wadę. Doktryna Mahana nie jest w swojej istocie doktryną decydującej bitwy. Mahan taką bitwę rekomendował, tak jak i zalecał budowanie dużych flot okrętów wojennych. Ale... wygranie wojny nie polegało na wygraniu jednej, nawet dużej bitwy, a na uzyskaniu tym zwycięstwem zdolności do odcięcia przeciwnika od zasobów. Należy podkreślić, że Yamamoto zdawał sobie sprawę z ułomności japońskiej wizji. Wygrana miała kupić Japonii czas i nic więcej.

Przykładem tego, jak w rzeczywistym świecie działa mechanizm Mahana, jest Trafalgar (1805, s. 161). Choć była to bitwa decydująca, wojny napoleońskie trwały przez kolejne dziesięć lat. Skutkiem Trafalgaru było po prostu to, że Anglicy objęli zdecydowane panowanie nad morzami wokół Europy. To pozwoliło im uruchomić szerszą, skuteczniejszą blokadę portów francuskich.

Podobny wzorec da się dostrzec w wojnie amerykańsko-hiszpańskiej o Filipiny. Niewielka amerykańska eskadra operująca w rejonie Filipin działała ze zmiennym szczęściem, lecz ostatecznie zdołała utrzymać panowanie na morzu. A utrzymała je wyłącznie dzięki temu, że Hiszpanie nie wysłali na Daleki Wschód swojego jedynego pancernika. Gdyby to uczynili, wszystkie amerykańskie wysiłki zostałyby przekreślone, a przede wszystkim amerykańska inwazja na Filipiny byłaby niemożliwa.

Japońska doktryna zadziałała dobrze jedynie wobec Imperium Brytyjskiego. Stało się tak wyłącznie dlatego, że w zasięgu operacyjnym japońskiej floty znajdowało się dużo cennych brytyjskich posiadłości – przede wszystkim Singapur i Hongkong. Dobrze przeprowadzony pierwszy cios zmusił stronę brytyjską do wynegocjowania nowego układu sił, przede wszystkim z powodu odległości od metropolii. Dla Stanów Zjednoczonych utrata Filipin nie stanowiła ciosu dla gospodarki czy bezpieczeństwa kluczowych szlaków żeglugowych. Japońska blokada zachodniego wybrzeża Ameryki była z kolei niezwykle trudna do realizacji, a przy tym nie zagrażała funkcjonowaniu przemysłu USA. Nawet niemal całkowite zniszczenie floty amerykańskiej było jedynie grą na czas – Ameryka była zdolna do wybudowania kolejnej floty.

Podsumowując, jedynym realistycznym celem strategicznym japońskiego zwycięstwa było takie zneutralizowanie floty przeciwnika, aby nie wybudzić Amerykanów z izolacjonizmu, w którym tkwili przez pierwsze dekady stulecia, tj. nie doprowadzając do urażenia honoru zaatakowanych.

Ale skutki ataku na Pearl Harbor okazały się katastrofalnym niedoszacowaniem woli geopolitycznej ówczesnych amerykańskich decydentów i woli walki społeczeństwa. W kupionym atakiem czasie Japończycy mieli zagarnąć wszystkie niezbędne zasoby i rozbudować flotę do wielkości, która zniechęci Amerykanów do odwetu, gdy tylko będzie to dla nich możliwe. W rzeczywistości atakiem Japończycy obudzili – jak mówi stwierdzenie błędnie przypisywane admirałowi Yamamoto – śpiącego giganta.

Ewolucja doktryn wojennych stron

W latach trzydziestych Japonia budowała lotniskowce. Do zbudowanych jako pierwsze okrętów „Akagi” (oddany do służby w 1927 r.) i „Kaga” (1928) dołączały kolejne – „Sōryū” (1937), „Hiryū” (1939), na początku lat czterdziestych jeszcze „Shōkaku” i „Zuikaku” (1941). Cztery pierwsze zostały zatopione pod Midway.

Lata trzydzieste i początek czterdziestych były okresem, w którym Japończycy, tak jak i Amerykanie, wciąż nie potrafili definitywnie stwierdzić, czy lotniskowce, czy też pancerniki będą najważniejszymi instrumentami bitew morskich najbliższej przyszłości.

Gigantyczne superpancerniki miały swoją moc symboliczną. Ale nie tylko. Dobrze przemyślany superpancernik byłby w stanie stawiać czoła dwu–trzem zwykłym. Przy tym koszt budowy i utrzymania pancerników był tak wielki, że nawet najpotężniejsze mocarstwa mogły sobie pozwolić na co najwyżej kilkanaście takich jednostek.

Jednak zmieniły się trzy rzeczy. O dwóch Japończycy wiedzieli, o jednej nie – a być może wiedza ta sprawiłaby, że Kantai Kessen nigdy nie weszłoby w życie. Aspekt, o którym nie wiedzieli, to postęp w ewolucji amerykańskiej doktryny wojennej. O ile „Plan Orange” zakładał wysłanie eskadry US Navy w kierunku Filipin i stoczenie tam walnej bitwy, to „Rainbow 5” całkowicie wykluczał

taki ruch. Tym samym, celowo czy nie, Amerykanie sprawili, że realizacja Kantai Kessen, której filarem było przybycie Amerykanów w pułapkę, straciła rację bytu.

Drugim ciosem demolującym japońskie plany było przebazowanie amerykańskiej floty z San Diego do Pearl Harbor, podjęta wiosną 1940 roku. Nowa baza radykalnie skracła szlaki zaopatrzeniowe jakiegokolwiek floty wysłanej ku zachodnim wybrzeżom Pacyfiku. Admirał Yamamoto zauważył, że baza w Pearl Harbor jest prawie w zasięgu japońskiej marynarki wojennej, i zaproponował przeprowadzenie nokautującego ataku na zgromadzone tam okręty. Czy ten bieg zdarzeń był świadomie zaprowadzoną amerykańską prowokacją strategiczną, zapewne nie dowiemy się nigdy.

Tak właśnie Kantai Kessen nabrało cech bardziej ofensywnych (własny atak) niż defensywnych (skłonienie przeciwnika do przyplłynięcia). Ideę zniszczenia zgromadzonej w jednym miejscu floty przekonceptualizowano w oczywisty sposób, przyjmując plan nagłego ataku zamiast otwartego boju, czyli w nie do końca sportowy, ale jak najbardziej samurajski sposób – na kotwiczowisku. Słynny atak brytyjski na włoskie pancerniki kotwiczące w Tarencie (11 listopada 1940 r.) dowodnie demonstrował, że taki atak może zakończyć się spektakularnym sukcesem.

Można też filozoficznie dodać, że sami Japończycy wbili ostatni gwóźdź do trumny doktryny Kantai Kessen – już na początku wojny. Nawet gdyby Amerykanie chcieli doprowadzić do walnej bitwy, to teraz – po całkowitej lub czasowej utracie pancerników – po prostu nie mieli dość sił do wystawienia należycie dużej floty do wystawienia jej do „tytanicznego starcia o wszystko”.

Doktryna Kantai Kessen po prostu niemal niezauważenie przestała korespondować z sytuacją geostrategiczną i wygasła. Decydująca bitwa, której oczekiwała japońska marynarka wojenna, nigdy się nie wydarzyła. Jej dalekim

cieniem była feralna bitwa o Midway. Utrudnieniem przy planowaniu operacji pod Midway było to, że japońskie lotnictwo pokładowe było zaangażowane w bieżące operacje desantowe i inwazyjne, a więc flota japońska nie wystawiła wszystkich teoretycznie dostępnych sił.

Dodać należy, że pod wieloma względami japońscy planiści nigdy do końca nie zastanawiali się, co zamierzają zrobić po wygraniu decydującej bitwy i po powrocie US Navy na Pacyfik, który musiał w końcu nastąpić. Amerykańscy historycy przywołują tu często niezbyt optymistycznie brzmiącą metaforę-przysłowie, które opisuje psa goniącego samochód. Pies wie, co chce zrobić – dogonić auto, ale nie do końca wie, co się stanie, gdy już je dogoni.

II

Preludium: Morze Koralowe i japońskie intencje operacyjne

Do bitwy na Morzu Koralowym doszło w wyniku amerykańskiej kontrakcji przeciw japońskiemu zespołowi inwazyjnemu, który kierował się do Port Moresby na wschodniej Nowej Gwinei. Choć zmuszając japoński zespół do odwołania operacji, Amerykanie osiągnęli zwycięstwo strategiczne, to taktycznie wygrali Japończycy – zatopili amerykański lotniskowiec „Lexington”, a „Yorktowna” ciężko uszkodzili.

W przypadku amerykańskich grup powietrznych z USS „Hornet”, „Yorktown” i „Enterprise” okazało się po raz pierwszy, że wyrzucenie w powietrze grup uderzeniowych zajmuje Japończykom znacznie mniej czasu. Dla „Yorktowna” stanowiło to mniejszy problem niż dla dwu pozostałych lotniskowców. Jest tak dlatego, że rozmiar pokładu lotniczego „Yorktowna” umożliwia wysłanie w powietrze jednocześnie bombowców, torpedowców i myśliwców

osłony. Dwa pozostałe okręty musiały wysyłać grupy uderzeniowe częściami, podnosząc je kolejno z hangarów na pokłady startowe windami. Poderwanie wszystkich samolotów zajmowało prawie godzinę, co znacząco utrudniało koordynację ataku.

Błyskawiczna innowacja

Oddany do służby w 1927 roku USS „Lexington” (CV-2)³ zatonął w wyniku uszkodzeń odniesionych w bitwie na Morzu Koralowym. Utrata okrętu nastąpiła w dużej mierze z powodu błędów koncepcyjnych w procedurach kontroli uszkodzeń. Jeden z oficerów „Lexingtona” pojawił się na pokładzie USS „Yorktown”. Był on naocznym świadkiem tego, że na losie „Lady Lex” zaważyła eksplozja benzyny lotniczej. Wyglówkował innowację, która miała zapobiec powtórzeniu się tego scenariuszu na innych lotniskowcach.

Feralna eksplozja nastąpiła w piątym dniu bitwy, 8 maja o godzinie 12:47. Wybuchły opary wydobywające się ze zbiornika benzyny lotniczej na prawej burcie, uszkodzonego przy trafieniu okrętu torpedą. Pomieszczenie, w którym był zainstalowany, zostało profilaktycznie wypełnione dwutlenkiem węgla na czas ataku, jednak po odparciu przeciwnika przywrócono normalną atmosferę, nie zdając sobie sprawy z rozszczelnienia zbiornika. Wycieku nie zauważono, bo czujnik oparów paliwa był umieszczony na górze pomieszczenia, więc ciężkie opary zbierały się przez 2 godziny przy podłodze. Ogień krytycznej eksplozji przeskoczył przewodami paliwowymi m.in. do magazynów pocisków pięciocalowych, które także detonowały, demo-

³ W US Navy i Royal Navy praktykowane jest wielokrotne nadawanie tej samej nazwy kolejnym okrętom po wycofaniu ze służby wcześniejszych. Niecały rok po zatopieniu „Lexingtona” (CV-2) do służby wszedł lotniskowiec typu Essex – „Lexington” (CV-16). Wyróżnikiem jest numer burtowy podany w nawiasie. „Lady Lex” w dalszej części akapitu to nazwa „Lexingtona” (CV-2), używana przez jego załogę.

lując pomieszczenia generatorów prądu, główne przewody przeciwpożarowe w całej dziobowej części okrętu i centrum zarządzania systemami okrętu (ang. *central station*). Później nastąpiły dwie kolejne potężne eksplozje i w końcu sytuacja wymknęła się zupełnie spod kontroli. O 17:07 rozpoczęła się ewakuacja okrętu.

Po tym, jak był świadkiem pożaru na „Lexingtonie”, mechanik Oscar W. Myers opracował „genialny system przedmuchu CO₂” dla przewodów paliwowych nad zbiornikami benzyny i zaaranżował wypełnienie pustych przestrzeni wokół zbiorników dwutlenkiem węgla. Było to ogromne osiągnięcie, które zastosowano na innych lotniskowcach, ale niestety nie na tyle szybko, aby uratować USS „Wasp”⁴.

Autor innowacji był zwykłym mechanikiem, a nie oficerem odpowiedzialnym za kontrolę uszkodzeń. Tylko on nosił w sobie połączenie motywacji i doświadczenia osobistego, żeby innowację wykoncypować, opracować i przedłożyć przełożonym. Nie można nie zauważyć, że prosty marynarz *mógł* zaprezentować swoje rozwiązanie oficerom, a przede wszystkim, że został wysłuchany, a jego idee docenione przez właściwe osoby i wprowadzone w życie w trybie natychmiastowym.

Tymczasem w czasie bitwy o Midway w czasie jednego z ataków na „Yorktowna” przed pojawieniem się nieprzyjaciela osłony:

Kilka minut później radar CXAM Vane’a Bennetta namierzył nadlatujące samoloty wroga, pokazując je w odległości 33 mil. Tankowanie na pokładzie zostało natychmiast przerwane. Przewody paliwowe zostały przedmuchane dwutlenkiem węgla, aby zapobiec

⁴ J.B. Lundstrom, *Black Shoe Carrier Admiral: Frank Jack Fletcher at Coral Sea, Midway, and Guadalcanal*, Naval Press Institute, Annapolis, MD, s. 570.

dalszym pożarom. Dwa skrajne Wildcaty pozostały przez to bez dostatecznej ilości paliwa do startu⁵.

W relacjach innych uczestników bitwy znaleźć można podobne wzmianki, łącznie z wypchnięciem za burzę wypełnionego przenośnego zbiornika na paliwo lotnicze. Taki mechanizm innowacyjny był niemożliwy po stronie japońskiej (zob. porady D i E poniżej).

Intencje i siły japońskie

W ciągu sześciu miesięcy od Pearl Harbor Imperium Japońskie odniosło szereg zwycięstw na Pacyfiku i zajęło wiele terytoriów bogatych w zasoby. Pomimo wszystkich tych sukcesów ich przeciwnik nie wykazywał jeszcze żadnych oznak zniechęcenia, co było niepokojące. Japonia musiała zakończyć wojnę szybko – zanim Stany Zjednoczone, dzięki swojej potędze przemysłowej, przystąpią do odwetu na Imperium Japońskim. Wniosek był prosty: Japonii potrzebne było wygranie walnej bitwy, w której złamano by kręgosłup US Navy, zdruzgotano morale samych Amerykanów i zmuszono ich do negocjacji.

Uznano, że środkiem ciężkości Ameryki, w który należy uderzyć, jest Flota Pacyfiku, a przede wszystkim jej lotniskowce. Pytanie jednak brzmiało: jak sprowokować te okręty do opuszczenia bazy w Pearl Harbor w zwartej grupie zadaniowej? Odpowiedź: zaatakować cel, którego Amerykanie nie odstąpiliby bez walki. Po wielu debatach wybrano Midway.

Japońscy planiści włączyli do swojego planu efekt zaskoczenia, co sprawiło, że musieli odbyć liczącą 5 tysięcy mil podróż w ciszy radiowej. Musieli także rozproszyć swoje siły, aby uniknąć wykrycia i zamaskować swoje zamiary. W związku z tym na północy miała miejsce kolejna ope-

⁵ S.L. Moore, *Battle Stations: How the USS Yorktown Helped Turn the Tide at Coral Sea and Midway*, Dutton Caliber, Boston, MA, rozdz. 10.

racja – tyleż rozpraszająca uwagę Amerykanów, co dążąca do zajęcia istotnych operacyjnie obszarów – zajęcia Wysp Aleuckich, operacja „AL”.

Wczesnym rankiem 4 czerwca wszystkie siły były na pozycjach wyjściowych do ataku na mały atol na środkowym Pacyfiku. Wody na północ od tego skrawka lądu miały już za chwilę zmienić się w scenę jednego z najbardziej epickich starć w historii działań zbrojnych na morzu.

Trzonem japońskiego zespołu były cztery lotniskowce z Kidō Butai, uderzeniowej grupy zadaniowej⁶. Jej dowódcą od kwietnia 1941 roku był wiceadmirał Nagumo Chuichi. Miał 55 lat. Nie dostał tego stanowiska ze względu na doświadczenie w lotnictwie morskim, ale z uwagi na to, że jego polem eksperckim były torpedy. Przesłanką jego nominacji był staż dowódcy. Ale jako dowódcy – a są to opinie ówczesnych – brakowało mu zdecydowania i był zbyt zależny od swojego sztabu. Mimo tych wad w czerwcu 1942 roku Nagumo był najbardziej doświadczonym dowódcą lotniskowców na świecie. Okrętem flagowym admirała Nagumo był „Akagi”. Był to najstarszy lotniskowiec japoński – przerobiony z kadłuba krążownika liniowego. Dzięki temu był zdolny rozwinać dużą prędkość. Z kolei „Kaga” był konwersją pancernika, co czyniło go najmniej zwrotnym i najwolniejszym z całej czwórki. Rekompensował to większą o połowę pojemnością hangarów – przenośli 90 samolotów, „Akagi” zaś maksymalnie 66.

Mniejszą, ale zwinniejszą jednostką był „Soryu”. Lotni-

⁶ Dost. siły mobilne (jap. 機動部隊, ang. *task force*). W kontekście II wojny światowej była to główna lotniskowcowa siła uderzeniowa Cesarstwa Japonii, stąd uznaniowo zapis z dużej litery. Precyzyjniej, Kido Butai tworzyły: Pierwszy Dywizjon Lotniskowców (第一航空艦隊, Daiichi Kōkū Kantai), główny japoński zespół uderzeniowy, którego trzonem były „Kaga” i „Akagi”, na czas bitwy o Midway wzmocniony Drugim Dywizjonem składającym się z trzeciego i czwartego lotniskowca: Hiryū i „Sōryū. Siły mobilne zaatakowały Pearl Harbor siłą sześciu lotniskowców.

skowce tego typu zostały zaprojektowane od stępki jako lotniskowce. Dzięki lekkiemu kadłubowi miały satysfakcjonujący rozmiar grupy powietrznej oraz osiągały bardzo dużą prędkość. Wadą było to, że typ „Soryu” był jedynie lekko opancerzony. Jako pierwszy do służby wszedł „Soryu” – w 1937 roku. Siostrzany „Hiryu” był prawie identyczny – miał większy mostek i był nieco lepiej opancerzony. Admirał Yamaguchi był dowódcą Drugiego Dywizjonu Lotniskowców i uczynił „Hiryu” swoim okrętem flagowym. Ten agresywny i porywczy dowódca był drugim najwyższym rangą oficerem uczestniczącym bezpośrednio w operacji przeciwko Midway.

Podsumowując, na czterech lotniskowcach Nagumo dysponował łącznie 248 samolotami⁷. Ale prawdziwą wartość stanowiły załogi tych maszyn. W tym momencie wojny, mając doświadczenie w walkach w Chinach i całej Azji Południowo-Wschodniej, piloci wiezieni w kierunku Midway byli po prostu najlepsi na świecie.

Problemem japońskiego dowódcy była konieczność utrzymywania na wszelki wypadek połowy swoich sił uderzeniowych w gotowości do zwalczania okrętów US Navy, gdyby Amerykanie pojawili się wcześniej, niż przewidywał japoński plan zwabienia ich w rejon wyspy. Był to problem realny i, jak się miało okazać, mający krytyczne znaczenie dla przebiegu bitwy.

Należy tutaj wspomnieć, że pojawiły się pewne złowieszcze znaki, które teatralnym szepem suflowały Japończykom, że atak na Midway nie będzie dla Amerykanów niespodzianką. Jak wspomniano, Yamamoto liczył na zaskoczenie i uznawał je za warunek konieczny, by ta śmiała operacja zakończyła się sukcesem. W przeddzień

⁷ Do liczby tej dodać należy dwanaście samolotów zwiadowczych wysyłanych z eskortujących krążowników.

bitwy wywiad japoński ujawnił jednak podejrzaną aktywność wroga w pobliżu Midway. Amerykanie byli bardziej czujni, niż powinni.

Drugą rysą na japońskich planach było to, że Japończycy do tej pory nie potwierdzili lokalizacji lotniskowców. Podobnie było przy ataku na Pearl Harbor, który został zaplanowany i zrealizowany bez warunku potwierdzenia obecności lotniskowców w porcie. Założono po prostu, że w chwili rozpoczęcia ataku na Midway amerykańskie okręty nadal będą przebywać w Pearl Harbor. Podjęto dwie próby sprawdzenia tego. Pierwszą była misja rozpoznawcza w kierunku Pearl Harbor.

Misję tę odwołano. Nadal działał plan awaryjny: linia dozoru składająca się z piętnastu okrętów podwodnych, wysłana przed siłami Nagumo. Okręty te rozstawiły się w linię dozoru w połowie drogi między Midway a Hawajami. Przed rozpoczęciem bitwy żaden z tych okrętów nie podniósł alarmu. Ta okoliczność była w dużym stopniu łutem szczęścia, bowiem Amerykanie podплыли pod Midway przecinając linię dozoru japońskiego. Po prostu nie zostali zauważeni. O krytycznej okoliczności zdecydował więc nie dekryptaż, ale przypadek – nocne przejście przez linię okrętów podwodnych.

Ludzie Yamamoto wierzyli, że będą musieli stawić czoła dwu lotniskowcom (trzem nie, gdyż sądzili, że zatopili Yorktowna na Morzu Koralowym, a Amerykanom udało się mu przywrócić zdolność uczestnictwa w operacji ekspresowo), sami mając do dyspozycji cztery własne. Dwukrotna przewaga zdawała się gwarantować zwycięstwo.

Amerykanie wspomagani potęgą magii

Amerykanie złamali japońskie kody. Wiedzieli, że japońskie siły pojawiają się w rejonie Midway w mniej więcej konkretnym dniu i miejscu. Analizując i śledząc kolejne

wydarzenia i sam przebieg bitwy można więc zasadnie wskazać, że mimo magicznej przewagi informacyjnej flota amerykańska odniosła epickie zwycięstwo dzięki wydarzeniom zasadniczo przypadkowym.

Niejasność jest jednak tylko pozorna. Decydują o tym dwa czynniki. Ogólnie trudno jest przełożyć informacje wywiadowcze na temat zamiarów wroga na poziomie strategicznym na skuteczność na poziomie taktycznym (na polu bitwy). Jest tak m.in. dlatego, że fakt odczytywania korespondencji radiowej należy przed przeciwnikiem ukryć. To dlatego alianci walczący przeciw Niemcom na teatrach północnoafrykańskim i europejskim podejmowali akcje na podstawie wiadomości z Enigmy wyłącznie wtedy, gdy pozyskaną wiedzę potwierdzano także z jakiegoś innego źródła.

W praktyce sprowadzało się to do tego, że po uzyskaniu wiedzy przez program „Ultra” (kryptonim brytyjskiej operacji dekryptażu Enigmy) w rejon pojawienia się sił niemieckich wysyłano samolot zwiadowczy, który już „oficjalnie” wykrywał aktywność niemiecką. Niemcy mieli go zobaczyć i obarczyć go odpowiedzialnością za wykrycie. Znajomość planów była tylko połową faktycznego sukcesu, ponieważ należało mieć także środki oddziaływania bojowego we właściwym miejscu i czasie. Dopiero wtedy dane wywiadowcze przekładały się na zwycięstwo na polu bitwy.

Drugim czynnikiem jest wyrywkowość raz poszlakowy charakter informacji odnajdywanych w przechwyconych depe szach. Idealnym przykładem jest słynny podstęp amerykańskich kryptologów, w którym połączyli oni japońską nazwę kodową „AF” z Midway. Krytyczny dla dekryptażu domysł, z uwagi na stawkę rozgrywki, należało potwierdzić. Kryptolodzy zaaranżowali wysłanie z bazy na Midway niekodowanej wiadomości o awarii sytemu odsalania wody morskiej. Japończycy dali się nabrać. Wkrótce w ich szyfrowanej

komunikacji pojawiła się informacja, że „AF” ma kłopoty z urządzeniami do produkcji słodkiej wody.

Dodać należy, że amerykańska zdolność łamania japońskich kodów nie wynikała z arogancji czy niefrasobliwości po stronie japońskiej. Japończycy nieustannie zmieniali swoje kody i komplikowali metody szyfrowania. Co prawda zwykle robili to rutynowo tuż przed jakąś większą operacją, pośrednio ją sygnalizując, ale ich wpadka wynikała z tego, że sprawność amerykańskich kryptologów była wręcz fantastycznie imponująca i zasługująca na kryptonim nadany ich wysiłkowi – „MAGIC”. Stąd mały żarcik w tytule tej sekcji.

Powyższe usprawiedliwienie Japończyków powinno jednak przestać działać po Midway. Fascynujący byłby wgląd w proces decyzyjny, w którym japońskie dowództwo, w tym wybitnie inteligentny Yamamoto, nie zdecydowało się spojrzeć w twarz faktowi, że *de facto* amerykańskie lotniskowce wypłynęły im na spotkanie. Nauką dla nas jest to, że pod uwagę należy brać okoliczności wręcz niewyobrażalne – takie jak czytanie naszej najtajniejszej komunikacji. To kwestia zarówno dumy, jak i płynnie wystających z niej arogancji i „mechanizmu wyparcia”⁸.

Yamamoto przypłacił własnym życiem zbytnią, wręcz bezgraniczną ufność w bezpieczeństwo komunikacji radiowej. Rok po Midway plan jego lotu pomiędzy wizytowanymi garnizonami został przechwycony przez „MAGIC”. W rezultacie samolot wiozący japońskiego głównodowodzącego został zestrzelony (‡WZ1 IV.6).

⁸ Generalnie „od zawsze” zakładam, że wszelkie jego rozmowy telefoniczne są podsłuchiwane i nagrywane. Należy je więc prowadzić z zachowaniem pełnej ostrożności procesowej. Polega ona nie tylko na niezawieraniu krytycznych informacji łączom telekomunikacyjnym. Trzeba myśleć ofensywnie. W 36 *fortelach* zdradzam perfidną sztuczkę, którą praktykuję. W trakcie bez wyjątku każdej ważnej rozmowy, w której podaję wrażliwe dla siebie informacje, (takie, które byłyby w jakiś sposób obciążające lub niewygodne), wspominam też o czymś niewygodnym lub kompromitującym dla nagrywających lub rozmówcy. Użyteczność do szantażu mnie wymagałaby więc od drugiej strony manipulowania nagraniem.

III

Bitwa: 4 czerwca

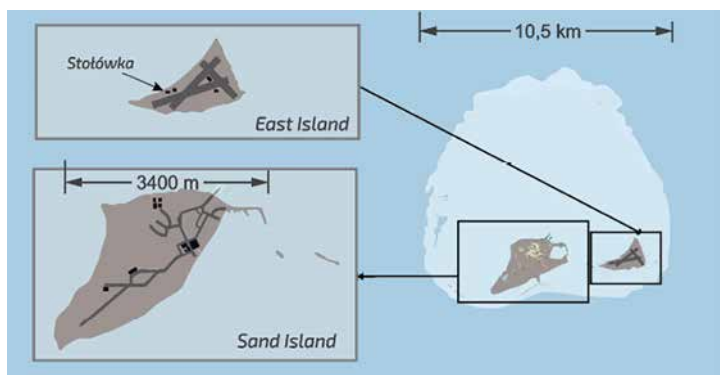
5:34

Strony wzajemnie się wykrywają

O świcie 4 czerwca 1942 roku japoński zespół Kido Butai znalazł się pod niskimi, ale lekkimi chmurami cumulusowymi. Lotniskowce szły z prędkością bojową kursem pod wiatr wiejący z południowego wschodu. Szykowały się do wyrzucenia w powietrze samolotów. O godzinie 4:30 rozpoczęto wysyłanie grupy 108 maszyn mających zaatakować Midway. Cała operacja trwała zaledwie dziesięć minut. Taki wyczyn dla Amerykanów był całkowicie nieosiągalny – decydowało doświadczenie pilotów i rozwiązania techniczne konstrukcji lotniskowców.

W czasie, gdy grupa uderzeniowa kierowała się ku Midway, z krążowników eskorty wysłano samoloty zwiadowcze. Poszukiwania obejmowały siedem linii, z których sześć rozciągało się na długość 300 mil morskich. Wysłanie zaledwie siedmiu samolotów, by przeszukiwały obszar ponad 176 tysięcy mil kwadratowych to działanie bliskie zaniedbania. Na korzyść Nagumo należy przypomnieć, że zwiad ten miał rangę zapobiegawczą. Nagumo i jego sztab hołubili przekonanie, wzmocnione ustanowieniem linii dozorowej, że żaden wrogi lotniskowiec nie pojawi się w pobliżu na tak wczesnym etapie operacji. Krytyka wciąż jest uzasadniona. Wywiad doniósł o podejrzanej aktywności w okolicy Midway, więc choćby ze względów bezpieczeństwa Nagumo powinien był zmaksymalizować wysiłki poszukiwawcze.

Wystrzelenie samolotów zwiadowczych przebiegło pomyślnie, z wyjątkiem wystrzelenia wodnosamolotu nr 4 z krążownika „Tone”. Jego misja została opóźniona aż o 30 minut.



Ryc. 3. Atol Midway w 1942 roku.

Wtedy zespół Nagumo został wykryty! Amerykański samolot zwiadowczy typu Catalina został dostrzeżony z okrętów zespołu japońskiego o 5:34. Oznaczało to, że niespodzianka przestała być niespodzianką. Amerykanie zdążyli wznieść w powietrze swoje samoloty z Midway przed pojawieniem się nad wyspą armady japońskiej!

6:34

Japońskie samoloty uderzają na atol

Wykrycie japońskich lotniskowców przez Catalinę zdarzyło się w niezwykle fortunnym dla obrońców momencie. Amerykanie zdążyli wysłać w powietrze wszystkie swoje samoloty. Bombowce skierowały się w stronę japońskiego zespołu, a myśliwce zostały, by bronić atolu.

Nadlatujące japońskie bombowce przechwycono o 6:20, zaledwie 50 kilometrów od Midway. W tamtym okresie wojny japońskie Zera miały zdecydowaną przewagę nad Wildcatami. Przewaga ta przejawiała się także w doświadczeniu pilotów.

Pierwsze bomby spadły na instalacje amerykańskie o godzinie 6:34. Kolejna fala, składająca się z bombowców

nurkujących, miała nadlecieć sześć minut później. Na kompletnie płaskiej Wyspie Wschodniej (ang. East Island) japońskie bomby zniszczyły elektrownię i instalacje do tankowania maszyn. Nie udało się jednak zniszczyć pasów startowych. Ich nieznaczne uszkodzenie nie doprowadziło do zawieszenia operacji lotniczych.

Potwornym ciosem w morale, graniczącym ze zbrodnią wojenną, było za to zniszczenie lotniskowej stołówki. Na Sand Island (dosł. Wyspa Piaskowa) bomby wzniciły pożar zbiorników z ropą i uszkodziły wodociąg. Zniszczono także hangar wodnosamolotów i inne obiekty.

Za te zniszczenia Japończycy zapłacili straty bojowymi w wysokości 23% sił. Nad wyspą stracili jedenaście samolotów, kolejnych czternaście maszyn spisano ze stanu ze względu na „szkody całkowite” już po powrocie na lotniskowce.

Krytycznym okazał się fakt, że obrona wyspy nie została zneutralizowana. Siła 72 bombowców okazała się – zgodnie z przewidywaniami planistów – niewystarczająca. Wciąż funkcjonujące lotnisko stanowiło zagrożenie. Dowodzący atakiem porucznik Tomonaga zameldował dowódcemu zespołowi, że konieczne jest drugie uderzenie. Ta okoliczność stała się jedną z przyczyn tego, że Nagumo stanął przed słynnym dylematem decyzyjnym.

7:00–8:30

Amerykańskie ataki z Midway

O godzinie 07:10 japońscy obserwatorzy zauważyli sześć samolotów Avenger i cztery B-26, które zbliżały się do ich zespołu. Był to pierwszy z czterech odrębnych ataków wychodzących z Midway, które nękały japoński zespół przez cały wczesny poranek. Naprzeciw temu pierwszemu atakowi wysłano ponad trzydzieści myśliwców – zniszczyły one dziesięć amerykańskich maszyn. Avengery skierowały się ku „Hiryu”, ale nad lotniskowcem roіło się od Zer

i jeden po drugim samoloty torpedowe zostały zestrzelone. Tylko dwa z nich zdołały rzucić torpedy w kierunku „Hiryu”, ale z powodu dużej odległości chybiły. Cztery zmodyfikowane do przenoszenia torped B-26 pomknęły w kierunku „Akagi”. Tylko dwu pilotom udało się zrzucić torpedy. Obaj chybili. Najbliżej trafienia w okręt był ostatni, uszkodzony B-26. Ale nie próbował szczęścia w ataku torpedowym, zamiast tego pilot skierował się bezpośrednio w stronę mostka flagowego „Akagi”. Nagumo i jego sztab spojrzeli śmierci w oczy. Straceńcza odwaga nie pasowała do ich wyobrażenia o Amerykanach. Bombowiec o włos ominął mostek i roztrzaskał w spektakularnym rozbryzgu tuż za burtą. Japończycy zestrzelili pięć Avengerów i dwa B-26. Sami stracili zaledwie dwa Zera.

O 7:53 pojawiła się kolejna grupa atakujących. Było to szesnaście bombowców nurkujących Dauntless należących do Piechoty Morskiej. Maszyny te skierowały się w stronę „Hiryu”. Naprzeciw nim pomknęło dziewięć Zer. Wyrażenie niedoświadczeni piloci amerykańscy zamiast stromeego nurkowania, zapewniającego celność bomb, przeprowadzili nurkowanie płytkie. Kilka zrzuconych przez nie bomb obramowało cele, ale ostatecznie atak był całkowicie nieudany. Zaledwie połowa tych samolotów powróciła do Midway. Japończycy stracili tylko jeden myśliwiec.

Ale Amerykanie nie odpuszczali. Krótco po drugim ataku nadszedł trzeci. Mściło się to, że lotnisko na Midway nie zostało zniszczone w pierwszym japońskim bombardowaniu, choć powinno być celem absolutnie priorytetowym. Piętnaście samolotów B-17 zaatakowało z pułapu 6000 metrów. Na tej wysokości bombowce były poza zasięgiem ognia artylerii przeciwlotniczej. Ale zmniejszyła się też ich celność. Lotniskowce hen w dole nie miały żadnych problemów z wykonywaniem manewrów obronnych. Atak był całkowicie nieskuteczny. Ani jedna z bomb, które pomknęły w stronę „Soryu”, „Hiryu” i „Akagi”, nie trafiła.

Należy tutaj skomentować taktykę obrony lotniskowców i procedury decyzyjne stosowane na mostku japońskiej jednostki flagowej. Podczas ataków samolotów przeciwnika priorytetem była oczywiście obrona lotniskowców. Podejmowano trzy rodzaje działań. Pierwszy i oczywisty – ogień przeciwlotniczy – był mało skuteczny, nasycenie okrętów bronią przeciwlotniczą i jej jakość były bowiem niskie. Stosowano więc uniki. Manewry odbywały się jednak kosztem możliwości przeprowadzania operacji lotniczych, do których okręt musiał ustawiać się pod wiatr (do startów) lub z wiatrem (do lądowań).

Ostatnią i najważniejszą tarczą były myśliwce. Ograniczało je paliwo i amunicja, które musiały być uzupełniane i to często. Zera miały zapas wystarczający na 7 sekund ciągłego ognia. W razie uników lądowania i starty, a także prace przy samolotach nie były możliwe, chociaż obsługa myśliwców, jako elementy obrony bezpośredniej, miała pierwszeństwo przed wszelkimi innymi operacjami lotniczymi. W czasie amerykańskich ataków konieczność wymusiła niemal bieżące uzupełnianie paliwa i amunicji dla małych grup Zer, trzech lub sześciu maszyn na raz.

Ostatni atak z Midway nastąpił o godzinie 08:27. Z południowego wschodu przybyło jedenaście bombowców nurkujących Vindicator. Były to maszyny przestarzałe i dowodzący grupą oficer zdecydował, by za cel obrać pancernik „Haruna”. Na spotkanie wystartowało jedenaście myśliwców osłony. Amerykanie nie przerwali ataku na ich widok, ale po raz kolejny żaden z nich nie trafił.

W sumie ani jeden z 52 samolotów, które zaatakowały tego ranka japoński zespół, nie zdołał trafić w okręt przeciwnika. Trafiły jednak coś innego – umysł admirała Nagumo. Zniszczyły jego spokój i przeszkodziły w przeprowadzeniu kolejnej akcji ofensywnej przeciwko Midway. Jak miało się okazać już kilka minut później, dla Nagumo to właśnie było kwestią absolutnie krytyczną.

7:15

Koszmaryny dylemat Nagumo

Krótko po godzinie 7:00 Nagumo otrzymał raport od Tomonagi – konieczne było powtórzenie uderzenia na atol. Japończycy rozpoczęli gorączkowe przezbieranie tej połowy maszyn, która czekała w gotowości, gdyby w zasięgu pojawił się zespół amerykańskich okrętów.

Teoretycznie Japończycy powinni przyjąć wracające bombowce i natychmiast wysłać je ponownie nad Midway. Teoretycznie, bo zajęłoby to wiele godzin. W tym czasie Amerykanie przegrupowaliby się, nie tylko porządkując i wzmacniając swoją obronę, ale może i wysłałby kolejne ataki.

Nagumo mógł w tamtej chwili skorzystać z samolotów rezerwowych, które stały beczynnie. Ale Yamamoto, dowodzący operacją z pancernika „Yamato”, płynącego nieco dalej na wschód od lotniskowców, nakazał trzymać je w gotowości na wypadek pojawienia się grupy zadaniowej lotniskowców amerykańskich. Było to równoznaczne ze zmuszeniem admirała Nagumo do walki z jedną ręką związaną za plecami. Niewystarczająca liczba samolotów była największą wadą planu całej operacji.

Nagumo spojrzał na mapy. Do tego czasu jego samoloty zwiadowcze zdążyły już dotrzeć końca planowanej trasy i wciąż nie odkryły śladu amerykańskiej obecności. Admirał, wbrew opinii zachowawczego, kusiło, by użyć rezerwy. Z drugiej strony, chwilę wcześniej admirał osobiście spojrzał śmierci w twarz, gdy jeden z bombowców amerykańskich dokonał nieudanego samobójczego ataku. Wniosek był jeden – dopóki baza lotnicza na Midway działała, stanowi zagrożenie dla zespołu japońskiego.

O godzinie 7:15 Nagumo nakazał przebrojenie swojego rezerwowego zespołu do ataku na cele lądowe. Proces

przezbierania rozpoczął się w hangarach pod pokładem lotniczym. Usunięto torpedy i zainstalowano bomby potrzebne do zwalczania celów lądowych. Ten chaotyczny, szybki proces przezbierania miał miejsce tylko w hangarach 1. Dywizjonu Lotniskowców („Akagi” i „Kaga”) i w sumie trwał około 1,5 godziny.

Trzydzieści minut po rozpoczęciu przezbierania, o godzinie 7:45, Nagumo otrzymał raport z samolotu zwiadowczego nr 4, tego, który został opóźniony. Natknął się na grupę okrętów amerykańskich! Zauważono około dziesięć okrętów. Raport nie precyzował ich typu, a przede wszystkim nie informował, czy są wśród nich lotniskowce. Dla Nagumo był to szok. Wstrzymał przezbieranie.

Dlaczego w odległości 240 mil na północny wschód od Midway znajdowały się siły wroga? Nie było powodu, by znajdowały się w tym miejscu, chyba że byłyby to lotniskowce. A co, jeśli Nagumo wyśle swoje samoloty, a na miejscu okaże się, że to tylko niszczyciele i jednostki wsparcia? Z takim właśnie problemem zmierzył się admirał Takagi w bitwie na Morzu Koralowym. Ten moment w przebiegu bitwy znany jest pod nazwą „dylematu Nagumo”. Miał on następującą postać:

Czy przeprowadzić natychmiastowy atak na zespół amerykański, nie wiedząc, czy są tam lotniskowce, czy poczekać na samoloty wracające z Midway i uderzyć pełnymi siłami.

Clue paskudnego dylematu było to, że jak się nie obrócił, Nagumo wystawiał się na atak. Bijąc Midway mógł otrzymać cios z lotniskowców wroga, jeśli rzeczywiście były w zespole, który wykrył samolot rozpoznawczy nr 4. Z drugiej strony wysyłając samoloty w poszukiwaniu lotniskowców, spodziewał się nalotu maszyn z Midway. Gdyby zespół amerykański został odkryty w odległości

większej niż 450 kilometrów, nie byłoby problemu, ale pojawienie się go bliżej musiało oznaczać, że w jego skład wchodził co najmniej jeden lotniskowiec. Ten moment bitwy cieszy się największym zainteresowaniem kolejnych pokoleń historyków i maniaków historii woj-skowości. Powstały nawet opracowania odtwarzające położenie zespołów amerykańskich przy założeniu, że nie nastąpiło opóźnienie startu tego japońskiego zwiadowcy, który Amerykanów wykrył.

Raport z rekonesansu informował, że wykryty zespół poruszał się pod wiatr. A że lotniskowce wypuszczają samoloty właśnie w takim ustawieniu, to musiał być tam lotniskowiec. Kso!⁹

W końcu Nagumo i jego sztab stwierdzili, że mają do czynienia z zespołem pozbawionym lotniskowca.

W czasie tej operacji zespół japoński miał do dyspozycji 64 samoloty uzbrojone do uderzenia na okręty, w tym 34 uzbrojone w torpedy, a kolejne czternaście wciąż przezbrajano. Grupa w sile 64 maszyn była, przynajmniej teoretycznie, wystarczająca do zatopienia wrogiego lotniskowca. Ale w tej konkretnej chwili gotowych do akcji bombowców torpedowych było tylko 19. Dalsze piętnaście miało podwieszone bomby przeznaczone dla Midway.

Kolejnym czynnikiem był czas. Była 7:45. Samoloty wracające z Midway miały pojawić się o 8:15. Trzeba było dać im wylądować, by ich nie stracić. Gdyby nie usiadły na pokładach, musiałyby wodować.

To właśnie był kulminacyjny moment decyzyjny. Nagumo mógł wysłać grupę lotniczą do ataku szybciej, ale o ograniczonej sile i dodatkowo kosztem utraty maszyn wracających znad Midway. Mógł też przyjąć powracających i uderzyć wszystkim, co miał, ale później.

⁹ To samo, co polski przerywnik, przecinek podkreślający kręte ścieżki życia kobiet upadłych.

Lądowania musiały zakończyć się najpóźniej do godziny 08:45. Ograniczenie wynikało z tego, że wracający mieli rezerwę paliwa pozwalającą na krążenie nad zespołem do 9:15. Lądowania miały zająć 20–30 minut. A więc teoretycznie Nagumo miał godzinę na wysłanie ataku. A więc piętnaście minut na rozpoczęcie procedury, która miała trwać około 45 minut.

Dylemat rozwiązali Amerykanie. O 7:53 zespół Kido Butai został zaatakowany przez bombowce nurkujące. Teoretycznie Nagumo mógł zarządzić start grupy uderzeniowej, ale pod ogniem nieprzyjaciela było to bardzo ryzykowne i na pewno trwałoby dłużej. 45 minut mogło rozciągnąć się w godzinę. A więc przynajmniej część samolotów wracających z nad Midway musiałaby wodować.

Sytuacja decyzyjna pogorszyła się. Pierwsza opcja, przed jaką stał Nagumo, to zaatakować nierozpoznany do końca cel w niepotwierdzonej do końca lokalizacji, zrobić to samolotami uzbrojonymi w sporej części w niewłaściwą amunicję, a do tego ryzykując utratę samolotów w wyniku niepotrzebnego wodowania. Druga to poczekać na powracające samoloty, uzbroić wszystkie do akcji przeciw okrętom i wysłać tam, unikając stwarzania niemożliwego do skalkulowania ryzyka.

W swoim rozumowaniu Nagumo przyjął, że jeśli w zespole amerykańskim znajduje się lotniskowiec, to musiałby on przed wysłaniem swojego ataku zmniejszyć dystans. Wyliczenia pokazywały, że wroga formacja nadleciałaby nad zespół japoński około 10:15. Był to więc punkt w czasie, przed którym admirał musiał wysłać kontratak.

Nagumo wybrał czekanie na samoloty wracające z akcji. Choć admirał był później krytykowany za tę decyzję, miała ona charakter doktrynalny. W tamtej sytuacji taktycznej każdy inny japoński dowódca podjąłby identyczną decyzję.

Samoloty w hangarach zaczęto ponownie przezbrać w torpedy. Zdejmowane w pośpiechu z samolotowych zaczepów bomby nie zostały należycie zabezpieczone. Tymczasem Nagumo niecierpliwie czekał na mostku. Dopiero o 8:20 w końcu udało się zidentyfikować jednostki nawodne wykrytego zespołu amerykańskiego. Był wśród nich lotniskowiec!

Wiadomość była katastrofalna, ale mając już ostateczne potwierdzenie, można było się pokusić o natychmiastowe wysłanie tego, co było gotowe, w kierunku Amerykanów. To jednak oznaczało to pewną utratę 97 maszyn powracających znad Midway oraz pozbawienie ataku eskorty myśliwców. Z tego właśnie powodu Nagumo odrzucił taką opcję. Na atak wariantem szybkim było już za późno.

Poranne ataki ustały około 08:37. Japońskie lotniskowce przystąpiły do przyjmowania samolotów. Operacja ta trwała do 9:10. Zespół zmienił kurs i skierował się na północny wschód, oddalając się od Amerykanów. Manewr uzasadniony był tym, że japońskie samoloty miały większy zasięg od amerykańskich. Skraj zasięgu przeciwnika to margines zapasu dla własnych maszyn.

Gdy wylądował ostatni samolot znad Midway, Nagumo mógł odetchnąć. Sprawy zaczęły się prostować. Teraz potrzebował tylko trzech kwadransów, by dać rozkaz do startu do nowego ataku.

9:20

Samoloty torpedowe atakują „Soryu”

Jednak wydarzenia wkrótce pomknęły w gorszym dla Japończyka kierunku. Zauważono samoloty wroga nadlatujące od północy. Piętnaście bombowców torpedowych Devastator. Bez eskorty.

Zespół japoński zaczął manewrować i kierować na zachód, co oddalało go od źródła ataku i utrudniało ustawienie się atakującym do zrzutu torped. Poza tym Devastatory z pełnym obciążeniem wyciągały mizerne sto węzłów (185 km/h).

Aż 30 Zer rzuciło się na amerykańskie samoloty. Japońscy piloci rozprawili się z atakującymi błyskawicznie. Większość z amerykańskich maszyn nie miała nawet szansy na zrzucenie torped. Tylko trzy ustawiły się na kursie do ataku. W stronę „Soryu” śmignęła tylko jedna torpeda. Chybiła. Samolot zaś został zestrzelony. Z całej eskadry torpedowej przeżył tylko jeden lotnik amerykański.

Cały atak trwał ledwie 15 minut, lecz gdy tylko się skończył, o godzinie 9:40 rozpoczął się kolejny – dla odmiany od południa. Aby dało się wysłać atak na zespół amerykański potrzeba było 45 minut. W sytuacji, kiedy Nagumo miał 5 minut, nie mógł zrobić nic. Poza tym lotniskowce wciąż zajęte były „obsługą” osłony – myśliwce co chwila lądowały i startowały ponownie.

Tymczasem złośliwy bieg zdarzeń uszykował już właściwy splot okoliczności dla potwornego losu japońskich lotniskowców. Ich samoloty były już zatankowane i uzbrojone, czekały jedynie na ustanie ataku. Z kolei lotniskowiec amerykański znajdował się o 80 kilometrów bliżej, niż zakładali Japończycy. Oznaczało to, że zespół japoński był nie na granicy zasięgu Amerykanów, a w optymalnej głębokości ich promienia operacyjnego!

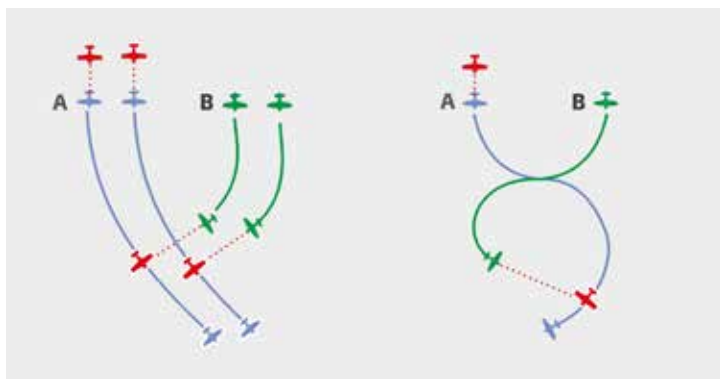
Kolejne czternaście bombowców torpedowych przybyło, bez eskorty. Dwie ich grupy wzięły na cel lotniskowiec „Kaga”. Szybko zaroily się nad nimi Zera, skupiając na formacji po prawej. Z tego kłębowiska nagle pomknęły ku okrętowi dwie torpedy. Nie trafiły!

Kolejne Zera dołączyły się do pandemonium rozgrywanego się tuż nad falami oceanu. Kolejne trzy torpedy nie odnalazły wykonującego dzikie uniki celu. Kurwa mać! Kiedy w końcu ktoś w coś trafi?!

Z czternastu atakujących bombowców tylko cztery wróciły na swój lotniskowiec. Spośród broniących zespołu Zer do morza runął zaledwie jeden.

A gdy skończył się ten trzeci atak, natychmiast zaczął się kolejny! Nagumo nie mógł wysłać swoich maszyn. Co gorsza trzy ataki w tak krótkim odstępie oznaczały, że Amerykanie mają w pobliżu więcej niż jeden lotniskowiec. Ta myśl była wręcz niewyobrażalna!

Ale jeszcze bardziej porażająca była inna konstatacja – że do tej pory nie pojawiły się bombowce nurkujące. I jeszcze inna okoliczność – dwanaście bombowców torpedowych przybyło pod eskortą sześciu Wildcatów. Myśliwce zastosowały po raz pierwszy nową formację defensywną, zwaną „Thach Weave” (pol. Splot Thacha, manewr obrony promienistej). Trik wymagał zgranej współpracy pilotów, ale był skuteczny. Został opracowany po to, by zniwelować przewagę zwinniejszych Zero nad wolniejszymi Wildcatami.



Ryc. 4. Manewr Thatcha w wariacie na parę i pojedynczy Wildcat.

Para lub dwie pary Wildcatów wzajemnie się osłaniały i gdy Zero atakował jednego z nich, jego skrzydłowy wykonywał manewr pozwalający zaatakować Japończyka z flanki. Skutkiem było trafienie bądź odpędzenie Zero.

Właśnie w tej premierowej akcji zazwyczaj przegrywające Wildcatty zestrzeliły aż cztery Zera, same tracąc tylko jedną maszynę. Ten niespodziewany i zdecydowanie nie do końca pozytywny obrót zdarzeń sprawił, że jedenaście z dwunastu Devastatorów przedarło się przez obronę.

Jeśli ktoś szukałby gwoźdźcia, z którego braku zginęło królestwo, można śmiało stawiać właśnie na użycie nowej taktyki przez amerykańskich pilotów myśliwców właśnie tam i właśnie wtedy. Zera patrolujące przestrzeń wysoko ponad lotniskowcami, mające przechwycić bombowce nurkujące, zostały zawezwane w dół, do akcji przeciw bombowcom torpedowym. Górna część osłony myśliwskiej japońskiego zespołu przestała działać.

Nie powinno to mieć miejsca. Japończycy do tej pory atakowani byli wyłącznie przez bombowce torpedowe, a jako że lotniskowce dysponują oboma typami maszyn, atak bombowców nurkujących którymś momencie był sprawą pewną.

Nurkujące z dużej wysokości Zera w mig rozprawiły się z Devastatorami. Większość Amerykanów spadła do morza. W stronę „Hiryu”, bo ten okręt znalazł się na celowniku, pomknęło pięć torped. Monumentalny kolos kładł się to w lewo, to w prawo. I uniknął wszystkich torped. Znowu!

Po tym ataku tylko dwa amerykańskie bombowce powróciły na pokład swojego macierzystego lotniskowca. Znowu!

Ale wtedy wskazówki zegarków i zegarów walczących stron przesunęły się na godzinę 10:25. Przyszłe pokolenia historyków zgodnie określają ten czas jako kulminacyjny moment bitwy. Moment, w którym zdecydowało się wszystko.

10:25

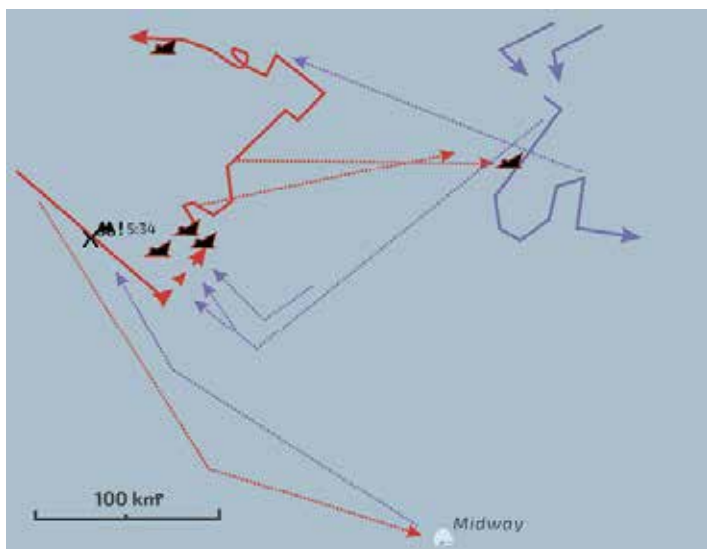
Przez ostatnie 3 godziny zespół japoński odparł wszystkie przypuszczone na niego ataki. Łącznie osłona myśliwska i artyleria pokładowa zestrzeliły 53 samoloty. Ceną była utrata zaledwie jedenastu myśliwców osłony. Okręty pozostały nietknięte.

I właśnie wtedy, gdy wszystkie myśliwce osłony odpierały atak bombowców torpedowych, w końcu, nadlatując z dwu różnych kierunków, pojawiły się bombowce nurkujące. I to nie dziesięć czy piętnaście. Pięćdziesiąt!

Od południa nadciągnęły dwie eskadry i skupiły się na „Kadze”. Piloci 30 maszyn odepchnęli na wysokości pięciu tysięcy metrów drążki sterowe od siebie. Nabierały pędu, by zwolnione w optymalnym momencie bomby przebiły opancerzenie pokładu.

Cztery bomby trafiły. „Kaga” nie miała szans. Jedna z bomb uderzyła prosto w mostek, zabijając wszystkich się tam znajdujących. Pozostałe bomby eksplodowały w hangarach pod pokładem lotniczym. Zainicjowały łańcuch eksplozji wtórnych – zatankowane i uzbrojone samoloty eksplodowały. „Kaga” w ciągu sekund zmieniała się w zionące i ryczące ogniem inferno.

Na „Soryu” zanurkowało trzynastu Amerykanów. Lotniskowiec dostał trzy trafienia, równomiernie na całej długości pokładu. Wszystkie co do jednego hangary okrętu, skrywające uzbrojone po zęby maszyny, mające już-już wylecieć w poszukiwaniu ofiar, stanęły w ogniu. Tak jak „Kaga”, także „Soryu” zmienił się w gigantyczne pandemonium płonących ludzi i maszyn.



Ryc. 5. Szkic orientacyjny przebiegu głównego starcia bitwy o Midway

Punkt kulminacyjny

Wyglądało na to, że „Akagi” tym razem przetrwa atak. Ale od formacji nurkującej na lotniskowiec „Kaga” w ostatniej chwili oderwały się trzy bombowce. Skierowały się prosto na okręt flagowy całego zespołu.

Atak ten przeprowadził porucznik Richard Best, dowódca 6. Eskadry Bombowej. Zdał on sobie sprawę, że przez nieporozumienie coś poszło nie tak, bo obie eskadry wysłane z USS „Enterprise” szykowały się do ataku na „Kagę”. „Akagi” mógł pozostać nieobsłużony przez atakujących, wyjść bez szwanku i zrealizować odwet.

Best nakazał swoim dwu skrzydłowym, by wycofali się z nurkowania na „Kagę”. Patrząc wstecz, należy stwierdzić, że Best kierował się jakimś rodzajem natchnionej wizji. Rozumiał szerszy obraz strategiczny i znaczenie tego, że jeden z lotniskowców wymknie się po tak licznych atakach. Klucz prowadzony w dół przez Besta zanurkował w nawałę ognia przeciwlotniczego.

W okręt trafiła tylko jedna z trzech bomb, zrzucona przez samego Besta.

Początkowo skutki eksplozji bomby, która przebiła się do hangaru na śródokręciu, nie wydawały się poważne. Jednak hangary na „Akagi” były wypełnione samolotami gotowymi do akcji, które zaczęły detonować. Ogień błyskawicznie rozprzestrzenił się w niekontrolowany sposób. Mimo wysiłków ekip walczących z pożarami przez całą noc, dumny okręt zatonął o świcie następnego dnia.

Japończycy mieli przewagę liczebną 24 do 21 okrętów. Licząc w lotniskowcach przewaga wynosiła 4 do 3. Ale Amerykanie mieli czwarty lotniskowiec – samą wyspę Midway. Siły w czasie całej bitwy były więc wyrównane, 4 do 4. To dalece inna wizja niż ich pierwotne założenie o stosunku sił 4 do 2, który miał nastąpić. W samolotach, nie uwzględniając ich jakości, brakowało im sporo – 248 maszyn przeciw 360, licząc te na wyspie i na okrętach.

Japoński zespół Kido Butai nigdy wcześniej nie posmakował porażki. Od czasu ataku na Pearl Harbor jego ofiarą stało się aż pięć dużych okrętów wojennych, w tym jeden lekki lotniskowiec. Poza tym zespół zatopił sześć niszczycieli. Ale jego dobra passa właśnie definitywnie się skończyła.

12:05

Bombowce nurkujące uszkadzają „Yorktown”

Niszczycielski atak ominął tylko „Hiryu”. Na barkach jego dowódcy spoczywał teraz obowiązek pomszczenia towarzyszy. Osiemnaście bombowców nurkujących w osłonie sześciu Zer, wysłane z „Hiryu”, poleciało śladem powracających Amerykanów. Minęły się w powietrzu z formacją amerykańską, lecącą w stronę lotniskowca japońskiego. W ten sposób trafiły na „Yorktowna”.

„Yorktown” przyplłynął z Pearl Harbor, naprawiony prowizorycznie i w ekstremalnym pośpiechu, przez co nie był w stanie rozwinać pełnej prędkości. Okręt został trzonym drugiej z amerykańskich grup zadaniowych. Decyzja o utworzeniu dwu *Task Force* zapadła na podstawie raportów zwiadu lotniczego z Midway. Żaden japoński rekonesans nie zlokalizował grupy, w której składzie były więcej niż dwa lotniskowce. Wniosek był prosty – oprócz wykrytej, musi gdzieś operować jeszcze jedna grupa zadaniowa. A jeśli tak, musi znajdować się bardziej na północ i zachód.

Japońskie bombowce rzucają się w nurkowanie. Trzy bomby znalazły cel. „Yorktown”, i tak okaleczony, traci prędkość i zdolność prowadzenia operacji lotniczych. Za ten sukces Japończycy zapłacili stratą trzynastu bombowców. Ale szaleńcza praca zespołów naprawczych na lotniskowcu sprawia, że po godzinie okręt zostaje przywrócony do życia. Zdjęcie bandery z ciężko uszkodzonej jednostki okazało się przedwczesne. O 13:40 lotniskowiec wyciąga już prędkość 18 węzłów.

Stan „Yorktowna” był tak dobry, że druga fala ataku, złożona z dziesięciu bombowców torpedowych, wzięła go za zupełnie inny okręt. Japońscy piloci zeszli do ataku, tuż ponad fale i władowali poobijanej jednostce dwie torpedy. To w końcu przemogło siły vitalne okrętu, który nabrał przechyłu 23 stopnie na bakburtę. O godzinie 15:00 został opuszczony przez załogę.

To niesamowite, ale „Yorktown” nawet wtedy nie chciał zatonać! Załoga naprawcza ponownie weszła na okręt. Holownik „Vireo” wziął go na hol, z zamiarem doprowadzenia na Hawaje. Nieszczęśliwie, 6 czerwca para okrętów została wykryta przez japoński okręt podwodny I-168. Japończyk przemknął się przez eskortę i strzelił salwę torped. „Yorktown” wyłapał dwie z nich... i płynął dalej. Ale trzecia torpeda trafiła w niszczyciel USS „Hammann”,

który dostarczał zasilanie ekipom naprawczym na pokładzie lotniskowca.

Tego było już za dużo. Ekipy opuściły jednostkę. Ta utrzymywała się jeszcze na wodzie do świtu następnego dnia, by dopiero o 7:01 odwrócić się stępką do góry i udać w ostatnią podróż.

17:00

„Hiryu” rozpada się pod bombami

Późnym popołudniem samolot zwiadowczy ocalały z USS „Yorktown”, a przebazowany na lotniskowiec „Enterprise” lokalizuje ostatni japoński okręt – „Hiryu”. „Enterprise” natychmiast wysłał ku niemu eskadrę 24 bombowców nurkujących.

Cztery bomby trafiły. Śmiertelnie. Od wybuchów bomb i torped zgromadzonych na pokładzie hangarowym zerwane zostało kilkadziesiąt metrów pokładu startowego na dziobie. Załoga opuściła „Hiryu”, ale znajdujący się na pokładzie dowódca 2. Eskadry Lotniskowców admirał Tamon Yamaguchi pozostaje na okręcie do końca, razem z dowódcą jednostki Temeo Kaku. Okręt został zatopiony dopiero o świcie następnego dnia torpedami z własnego niszczyciela, na wyraźny rozkaz admirała Yamagichi.

Epilog.

Którędy na zastużoną kolację?

Piloci wykonujący misje zwiadowcze mieli tylko ogólne pojęcie o tym, gdzie właściwie się znajdują. Problemem był zawodny system komunikacji i nawigacji. W czasie bitwy żadna ze stron nie miała należytego rozeznania, gdzie dokładnie znajdują się siły przeciwnika. Sam fakt, że starcie w ogóle nastąpiło, zakrawa na mały cud.

Przykładem roli przypadku jest niesławny „lot donikąd” w wykonaniu eskadry startującej z USS „Hornet”. Do dziś bronione są rozbieżne interpretacje tego, gdzie zaleciały samoloty. Czy ta grupa przegapiła zespół Nagumo, lecąc na północ od niej, czy też może na południowy zachód?

W tamtym okresie piloci samolotów pokładowych dysponowali kompasem na desce rozdzielczej i papierową mapą formatu A3, obliczenia nawigacyjne wykonując za pomocą ołówka i linijki. Samolotom trudno było przelecieć od punktu A do B. Trudność trafienia na przeciwnika, a potem na własne jednostki pogłębiało to, że cały czas przemieszczały się one z dużą prędkością. W przypadku lotniskowców typu „Yorktown” było to 60 km/h (32 w.). W zaledwie 3 godziny lotniskowiec mógł więc przebyć aż 180 kilometrów.

Oczywiście istniały systemy naprowadzające samoloty „do domu”. Jednym z nich był system YE–ZB. Okręt macierzysty wysyłał litery alfabetu morsa oznaczające kierunek, w którym miał lecieć samolot, w formie dwunastu kodowanych snopów, z których każdy miał szerokość 30 stopni. Sygnał był modulowany tak, że bez odpowiedniego urządzenia odbiorczego był słyszalny jedynie jako biały szum.

Inna metoda wskazywania drogi powrotnej zagubionym pilotom wymagała od nich precyzyjnej synchronizacji zegarków. Okręt macierzysty za pomocą obracającej się kierunkowej anteny wysyłał „piknięcie” w ściśle określonym kierunku co sekundę. Wskazówka sekundnika na zegarku pilota wskazywała źródło sygnału w chwili, w której pilot usłyszał zbawcze piknięcie.

Piloci, którzy zostali zestrzeleni, nie byli zdani jedynie na odpalanie flar, wpuszczenie do wody barwników czy wariackie machanie białymi gaciami, gdy tylko usłyszą buczenie silników samolotu poszukiwawczego. Nadmuchiwane

łodzie ratunkowe były wyposażone w zasilane dynamem nadajniki. Kręcenie korbką uruchamiało wysyłanie prostych sygnałów alfabetem Morse’a.

Wspomniany wcześniej jedyny ocalały z ataku 8. Eskadry Torpedowej na lotniskowiec „Kaga” – chorąży George „Tex” Gay Jr. jako jedyny z „Horneta” był świadkiem zagłady trzech japońskich okrętów. Unosił się na wodzie dzięki nadmuchiwanej poduszce, bo nie chciał ryzykować rozkładania pontonu, który ściągnąłby na niego Japończyków. Widział, jak bomby zrzucone przez Richarda Besta i innych rozpieprzały w drzazgi lotniskowce, które uczestniczyły w ataku na Pearl Harbor i napsuły Amerykanom tyle krwi przez ostatnie pół roku. Możemy mu tylko zazdrościć zimnej satysfakcji, jaką wtedy z pewnością czuł.

Gay, cały i zdrowy, został podjęty z wody następnego dnia – przez ratunkową Catalinę. □

Spostrzeżenia na wynos

A. Powodzenie zespołu inwazyjnego

To, czego Japończycy nie wiedzieli, szykując się do zajęcia Midway, to to, że do rozbicia należycie przygotowanych instalacji przeciwinwazyjnych, nawet na małych atolach, potrzeba wręcz gigantycznej siły ognia i kilkudniowej nawały artyleryjskiej. Stosowne doświadczenie zdobyli Amerykanie – i to dopiero w późniejszym okresie wojny. Stosowali przytłaczające ostrzały artylerii okrętowej i rzucając po wielokroć przeważające liczebnie nad obrońcami siły desantowe¹⁰.

¹⁰ Tu zaproszę do książki *Pieśni dalekich plemion*, w której zamieszczam przeprowadzony przeze mnie w 2018 roku wywiad z tajwańskim aborygenem, który stacjonował w składzie garnizonu na jednej z wysepek na Molukach Północnych.

Patrząc na skład i wielkość komponentu desantowego japońskiego zgrupowania sunącego na Midway w czerwcu 1942 roku można wręcz wysnuć hipotezę, że lądowanie amfibijne bardzo łatwo mogło zakończyć się niepowodzeniem. Trudno powiedzieć, czy „niezależnie od tego...”, ale niezależnie... zdobycie i utrzymanie Midway nie było celem samym w sobie całej japońskiej operacji. Miała ona na celu sprowokowanie US Navy do wysłania trzonu swojej floty – lotniskowców – i zniszczenia go. I proszę bardzo – Amerykanie przyплыnęli. Japończycy zaś, a konkretnie Yamamoto, bo to on popełnił tę porażającą, koncepcyjną porażkę, zamiast całkowicie skupić się na konfrontacji z flotą (patrz niżej), nadal poświęcali czas wyspie.

B. Brak doświadczenia lotniczego po stronie adm. Nagumo

Słynny dylemat admirała Nagumo, wałkowany przez wszystkich bez wyjątku autorów piszących o bitwie, zaistniał wyłącznie z uwagi na brak dostatecznego, aktualnego doświadczenia bojowego przed Midway – i to po obu stronach.

Kluczowe pytanie brzmi: „Ile samolotów potrzeba do śmiertelnego ugodzenia lotniskowca?”. Zostało odpowiedziane eksperymentalnie w trakcie starcia. Wystarczy zestawień statystyki amerykańskich i japońskich ataków. Autorzy opracowań nie uwzględniają tego, że Nagumo w swoim słynnym dylemacie po prostu błędnie uznał, że jego siły rezerwowe, potrzebne do skutecznego porażenia zespołu amerykańskiego, są za małe. W tym momencie bitwy Nagumo i jego adwersarze mieli dopiero wysłać ataki, które wyposażąłyby obie strony w stosowne doświadczenie. Inaczej, Wszechświat jest perfidny. Właśnie bitwa o Midway dałaby Nagumo praktyczne obserwacje, które mogły posłużyć do podjęcia optymalnej decyzji na jej początku.

Na początku bitwy uznał liczebność grupy powietrznej, jaką mógł wysłać w stronę odkrytego zespołu, za niewystar-

czającą. Grupa ta mogła liczyć aż 64 samoloty uzbrojone przeciwko okrętom. Atak komandora Richarda Besta na „Akagi” pokazał, że wystarczy jedna bomba i trzy samoloty. Warunkiem zakończonego sukcesem akurat tego konkretnego ataku bez przeszkód ze strony osłony lotniczej. Ale przy okazji widać też, że artyleria przeciwlotnicza lotniskowca oraz jego osłony, choć jej akcja wyglądała spektakularnie, zwłaszcza w filmie *Midway* z 2019 roku, ewidentnie nie potrafiła zestrzelić choćby i trzech samolotów!

Z drugiej strony, zanim nadleciały amerykańskie bombowce nurkujące, siedem amerykańskich ataków torpedowych zakończyło się zestrzeleniem większości maszyn. Z punktu widzenia operacyjnego ich poświęcenie zablokowało operacje lotnicze Japończyków, doprowadzając do „dylematu admirała Nagumo”. Ale dla większości załóg z eskadr torpedowych były to misje samobójcze.

Inne dane statystyczne dostajemy dosłownie kilka godzin później. Oba ataki wyprowadzone przez jedyny ocalały lotniskowiec japoński, „Hiryu”, zakończyły się porażeniem USS „Yorktown”, sumarycznie śmiertelnym. Pierwszy atak o 12:05 przeprowadziło ledwie 18 bombowców nurkujących Aichi D3A (nazwa aliancka: „Val”) w eskorcie sześciu Zer. Amerykanie wysłali przeciwko nadlatującym dosłownie wszystko, wliczając część osłony operującego w pobliżu „Enterprise”. Nastąpiło spektakularne zware z osłoną myśliwską. Mimo tego do „Yorktowna” przedarło się dość bombowców, by okręt trafiły aż trzy bomby.

Ciężko uszkodzony okręt odzyskał mobilność po kilku godzinach, tylko po to, aby zaatakowały go wysłane z „Hiryu” bombowce torpedowe – dziesięć Nakajima B5N („Kate”) w eskorcie sześciu Zer. Połowę bombowców zestrzeliła mocno już przerzedzona osłona, ale Japończycy zdołali zrzucić cztery torpedy. „Yorktown” wymanewrował się dwu pociskom, ale dwa pozostałe rozerwały burtę okrętu, pieczętując jego los.

Różnica efektywności stron jest powszechnie znana. W tamtym momencie wojny Japończycy, co powiedzieliśmy sobie na początku tekstu, dysponowali lepiej wyszkolonymi załogami, mieli też lepsze samoloty. Amerykańskie bombowce torpedowe, wybite w licznych nieudanych atakach wcześniej, zrzucały torpedy przy prędkości około 100 węzłów. Japońskie samoloty były dwukrotnie szybsze. Nic dziwnego, że ranniem japońskie Zera rozstrzeliwały nieszczęsne Devastatory, jak chciały.

Teoria jest taka: gdyby Nagumo wysłał wszystko, co miał do dyspozycji w chwili wykrycia amerykańskiego zespołu, który był dodatkowo znacznie bliżej niż wskazywał na to raport samolotu zwiadowczego, niemal z pewnością wyłączyłby z gry lotniskowiec „Yorktown”, którego samoloty parę godzin później zatopiły „Soryu”. Taka decyzja oczywiście zakłada, że admirał „odważnie założy”, że w skład zespołu wchodzi lotniskowiec.

W takim scenariuszu, po stopieniu zdolności ofensywnej samolotów z Midway i oddaleniu się od atolu, stosunek sił w lotniskowcach wzrósłby z 4 do 4 na 4 do 2 na korzyść Japonii. Pamiętając o przewadze technologicznej i wyszkolenia leżącej wówczas po stronie japońskiej, w takiej sytuacji można byłoby spokojnie stawiać każdą kasę na zwycięstwo Yamamoto.

Ergo, Amerykanie wygrali pod Midway nie dzięki przewadze wywiadu, a dzięki splotowi okoliczności (przypadek) i niedocenieniu przez japońskiego głównodowodzącego (specjalisty od ataków torpedowych) zdolności uderzeniowych swoich sił lotniczych. A w chwili bitwy o Midway takim doświadczeniem nie dysponował nikt. Bitwa na Morzu Koralowym nie liczy się tu, gdyż w swojej naturze była potyczką, może nawet bojem spotkaniowym. Ale nie bitwą walną na wyniszczenie, polegającą na wymianie ciosów. Doprecyzowując –

Nagumo brakowało danych w kwestii tego, jaka jest minimalna wielkość lotniczego zespołu uderzeniowego, potrzebna, aby skutecznie wyłączył on z gry lotniskowiec amerykański. Samo Midway pozwoliło tę liczbę wyznaczyć. Wynosi ona osiemnaście bombowców i sześć myśliwców przy pełnej gotowości bojowej obrońców, którzy – na marginesie – dysponowali dodatkowo przewagą wykrycia nadlatujących maszyn japońskich z odległości 70 kilometrów (46 mil). **To 25% tych sił, które Nagumo miał możliwość wysłać z samego rana, ale nie wysłał.**

Gdyby więc o wysłaniu ataku nie decydował Nagumo ale natchniony dowódca grupy lotniczej ze swobodą decyzyjną i jajami (tj. nie skrępowaną kwestiami odpowiedzialności grupowej i awersją do ryzyka wykształconymi w kulturze japońskiej)... Amerykanie dostaliby takiego łupnia, jakiego doświadczyła flota rosyjska w 1905 roku¹¹.

Nawiasem mówiąc, błąd Nagumo można podsumować tak, że admirał trzymał się zbyt kurczowo zadania zdobycia Midway, ponieważ planach operacyjnych starcie z lotniskowcami US Navy było zaplanowane na później.

Nastąpiło więc zaskoczenie, wymuszające zmianę koncepcji i powodujące inercję decyzyjną. Zdaniem autora moment wykrycia zespołu amerykańskiego przez samolot z krążownika „Tone” powinien doprowadzić do natychmiastowego zarzucenia planu inwazji i przejścia w tryb konfrontacji, z celem w postaci zniszczenia amerykańskiego zespołu. **Przecież cała operacja była realizowana właśnie po to, a nie dla zdobycia atolu!** Japończycy nie byli do czegoś takiego gotowi ani na poziomie planowania

¹¹ O co tu chodzi, wiadome jest fanom filmu *Gorączka* (1995). W scenie włamania do magazynu metali szlachetnych, bohater grany przez Roberta De Niro słyszy niespodziewany stuk (przypadkowe uderzenie kolbą karabinu przez policjanta kryjącego się w ciężarówce na przylegającym parkingu). Przystępca natychmiast decyduje o przerwaniu włamania.

wariantów realizowanej operacji, ani w kulturowo uwarunkowanych struktur decyzyjnych. Nauką dla nas jest prosta wytyczna:

Trzeba mieć siłę charakteru, samodyscyplinę i gotowość mentalną do pogodzenia się z niespodziewanym zaprzeczaniem długich przygotowań lub kosztownych inwestycji na rzecz improwizowanego planu.

Bardziej filozoficznie: istotą skuteczności pułapki amerykańskiej było nie zaskoczenie w płaszczyźnie militarnej, ale decyzyjno-koncepcyjnej. W płaszczyźnie kulturowo i organizacyjnie uwarunkowanego procesu podejmowania decyzji. Japoński dowódca dał się zaskoczyć tym, że nagle znalazł się w sytuacji „dwóch na jednego” (w rzeczywistości trzech, jeśli liczyć drugi zespół amerykańskich lotników, o którym w momencie podejmowania decyzji Nagumo wciąż nie wiedział i się go nie spodziewał). Coś takiego nie kończy się niczym dobrym nie tylko w ciemnej alejce, ale i w epickich bitwach o przyszłość świata.

Przekładając to na sytuację walki wręcz, przebieg bitwy da się opisać tak, że jeden z trzech opryszków (siły lotnicze bazujące na Midway) ucałował pięść Japończyka – nie pozwolił mu wysłać eskadry na wykryty zespół amerykański. Dwaj pozostali spuścili mu zaś potężny łomot z zaskoczenia.

Nagumo powinien był natychmiast albo wyjść z zasięgu samolotów z Midway, albo skrócić dystans i wykończyć osłabioną bazę na atolu, redukując do zera jej zdolność oddziaływania bojowego. Ewentualnie jakiś inny zespół japoński powinien czekać w gotowości by wkroczyć i popsuć sprzyjający Amerykanom układ „trzech na jednego” i odciążyć Kido Butai. Niczego takiego Japończycy nie mieli. To znaczy mieli. Była to eskadra dowodzenia z pancernikiem „Yamato”. Ale użycie jej w charakterze odwodu ewidentnie przekraczało ramy japońskiej elastyczności.

W walce trzeba wykorzystać przytrzymującego pięść jako osłonę od ciosów dwóch bijących. Utrudnieniem decyzyjnym było więc to, że Japoński zespół lotniskowcowy, zgodnie z logiką metafory bójki, musiałby przemieścić się na południe od Midway, a więc w obszar całkowicie nierozpoznany. Ale tego nie zrobił.

Ujmując to żartobliwie, japoński plan nie przewidywał sytuacji nieprzewidzianych. Albo jeszcze inaczej – Japończykom zabrakło mistrza takiego jak decydenci misji płk Doolittle. Tworzyli oni zespół natchnionych dowódców, który skrywał w swoim kolektywnym umyśle mistrzowskie rozumienie spraw lotniczych. Dzięki niemu wykoncypował przeprowadzenie słynnego nalotu na Tokio w kwietniu 1942 roku. Japończykom zabrakło też Besta, który osobistą decyzją poprawił przeoczenie (nic nie atakowało „Akagi”) minimalnym wysiłkiem i bez konsultowania z jakimkolwiek dowódcą.

Tego typu uchybienia w przebiegu decyzyjności są głęboko zakodowane w oprogramowaniu kulturowym jednostek i całej kulturze organizacyjnej, której efektywność kształtowana jest przez całe pokolenia!

C. Admirał Fletcher – wzór opanowania

Frank Fletcher, w czasie bitwy pod Midway w randze kontradmirała, dowodził siłami amerykańskimi i australijskimi na południowym Pacyfiku. Jego okrętem flagowym był „Yorktown”. Prowadząc operacje w początkowym okresie wojny z Japonią, Fletcher dał się poznać jako dowódca niesamowicie wręcz wyrachowany, a przy tym w procesie decyzyjnym całkowicie odizolowany od czynników emocjonalnych. Liczyło się dla niego wyłącznie opracowanie najbardziej wydajnego sposobu na to, by zniszczyć instrumenty oddziaływania pozostające w dyspozycji przeciwnika.

Jednym z epizodów pokazujących jego bezosobowy (skrajnie obiektywny) sposób rozumowania w trakcie starcia pod Midway było opuszczenie uszkodzonego USS „Yorktown” po tym, jak jednostka została trafiona w pierwszym ataku (12:05). Fletcher przeniósł się na krążownik „Astoria”, choć miał prawo przemieścić się do drugiej grupy zadaniowej, podnieść flagę na lotniskowcu „Hornet” i stamtąd dowodzić bitwą. Fletcher uznał jednak, że dowodzący drugim zespołem adm. Raymond Spruance prowadzi działania w sposób optymalny. Świadczy to o nadzwyczajnym poziomie dojrzałości emocjonalnej. Jej przejawem w kontekście powyżej opisywanych wydarzeń jest zdolność zaufania podwładnym i powierzania im krytycznych zadań.

D. Największa przewaga Amerykanów #1: kontrola uszkodzeń

Kontrola uszkodzeń polega na redukcji strat wynikających z uszkodzeń. Jest sposobem, w jaki konstruktorzy okrętu, marynarka wojenna (jako organizacja ucząca się na błędach), a w końcu załoga radzi sobie z ograniczaniem skutków trafień. Chodzi tu przede wszystkim o gaszenie i izolowanie pożarów, wznawianie pracy maszyn czy utrzymanie obiegu informacji. Amerykanie mieli zadziwiająco dużą przewagę w systemie zarządzania uszkodzeniami (ang. *damage control*) nad Japończykami. Nie ma chyba bitwy, która by dała tego lepsze przykłady, niż Midway.

Znaczenie ma oczywiście kwestia ukrytych wad konstrukcyjnych. Często wady takie wychodziły niespodziewanie, w krytycznych momentach, a do tego bywały krytyczne (patrz przypadek USS „Lexington” na Morzu Koralowym). Jeśli projektanci nie ułatwili załodze walki z uszkodzeniami, załoga ta nie mogła uratować okrętu.

Musiała (i musi) więc istnieć komunikacja między inżynierami na dalekich tyłach a ludźmi, którzy naciskają spusty, kręcą korbami i trzymają węże strażackie.

Amerykańska machina uczenia się na doświadczeniach z pola bitwy działała niemal zawsze wzorowo. Już po wojnie komisja wojskowych ekspertów udała się do Japonii, aby skonfrontować pozyskane w latach 1941–1945 dane wywiadowcze z japońskimi archiwami. Amerykanie chcieli przyjrzeć się wszystkim aspektom działania japońskiej maszyny wojennej: działom, torpedom, sonarom. Chyba najmniej ciekawym raportem śledczych był raport opisujący japoński system kontroli uszkodzeń. Był bardzo krótki: japoński system był fatalny. Flota japońska *de facto* nie dysponowała systemem takim, jaki wypracowała latami US Navy.

Rola przypadku: „Bismarck” i „Prince of Wales”

Dobrym przykładem roli przypadku w zatopieniu wielkich jednostek jest los niemieckiego pancernika „Bismarck”, zatopionego przez atak torpedowy 27 maja 1941 roku. Okręt został trafiony dwiema torpedami, ale nie doznał krytycznych uszkodzeń, gdyż uderzenia trafiały w dobrze chronione miejsca. Okręt mógł kontynuować ucieczkę do portu Saint Nazaire. Ale „Bismarck” miał bardzo wrażliwy punkt w postaci słabo opancerzonej maszynki sterowej. I trafienie właśnie w mechanizm sterowy przypieczętowało los giganta. Tak naprawdę wszystkie wcześniejsze trafienia torpedami i pociskami artyleryjskim czy bombami nie miały znaczenia.

Niemal identyczna sytuacja nastąpiła przy zatopieniu HMS „Prince of Wales” przez lotnictwo japońskie w grudniu 1942 roku. Jedna z torped trafiła w wał napędowy od strony bakburty (prawej), zmniejszając manewrowość jednostki i powodując wiele innych problemów,

włącznie z upośledzeniem części stanowisk przeciwlotniczych. Przebieg bitwy pod Midway oraz te dwa przykłady mają pokazać, że utrata okrętu nie zawsze wynika ze złego zarządzania uszkodzeniami. Czasami rolę odgrywa po prostu pech¹².

Decentralizacja systemu kontroli uszkodzeń

Japońskie okręty miały w sobie trudną do wychwycenia usterkę, która polegała na synergicznym efekcie negatywnym nałożenia się hierarchiczności struktur dowodzenia i centralizacji zarządzania naprawą uszkodzeń. Bez rozkazów płynących z góry i przy braku oddolnej inicjatywy w sekcjach okrętów odciętych przez pożary zwykli załoganci nie byli w stanie zorganizować działań doraźnych, choćby nawet opóźniających katastrofalne następstwa, do czasu przybycia fachowców. Różnica jest więc taka, że na jednostkach japońskich kontrola uszkodzeń była w dużej mierze domeną specjalistów, a Amerykanie szkolili w tym zakresie wszystkich członków załóg okrętów.

Da się to wyjaśnić hierarchiczną strukturą decyzyjną wszelkich organizacji japońskich. W japońskich organizacjach innych niż wojsko i siły paramilitarne zajmowanie czyjegoś miejsca pracy czy wyręczanie kogoś w jego obowiązkach jest z reguły nie do pomyślenia, gdyż odczytywane jest jako wytykanie niekompetencji, a więc naraża zastępowanego na utratę twarzy i pozycji w hierarchii.

Wszystko wskazuje na to, że Japończycy wbudowali tą swoją cechą kulturową w praktyki kontroli uszkodzeń na okrętach. Tradycyjnie w okresie po II wojnie światowej japońskie korporacje cierpiały na coś w rodzaju kompartmentacji, w której poszczególne działy firm

¹² Pech prześladował Japończyków w czasie całej bitwy. Przykład: lotniskowce o dobrej ochronie przeciwtorpedowej („Akagi” czy „Kaga”) zginęły od bomb, a okręty z pancernym pokładem, odporne na bomby (np. „Taiho”) – od torped – przyp. G.A.

zamiast współpracować na rzecz całości, konkurowały ze sobą, zwalczały się nawzajem, a co najmniej podchodziły do siebie z nieufnością.

Na okrętach amerykańskich praktycznie wszyscy mieli zdolność uczestniczenia w działaniach ratunkowych. Japończycy mieli za to bardzo skomplikowane, wszechstronne systemy przeciwpożarowe, ale byli znacznie bardziej podatni na zapasć całego systemu w przypadku uszkodzenia jego części.

Amerykańscy specjaliści z kolei skodyfikowali procedury bezpieczeństwa, ujednolicając wiele z nich pomiędzy klasami i typami jednostek. Z działaniem systemu izolowania uszkodzeń zostało zapoznanych znacznie więcej osób, mimo że normalnie wykonywały zupełnie inne obowiązki. Dzięki temu w przypadku awarii czy uszkodzenia zawsze znajdował się ktoś, kto wiedział, dokąd trzeba się udać i co robić dla przywrócenia sprawności bojowej okrętu, jak odizolować sekcje okrętu zalewane wodą lub ogarnięte pożarami.

Po stronie japońskiej nie istniała mobilność rotacyjna załogi i oficerów, która sprzyjałaby rozprzestrzenianiu się innowacji i doraźnych usprawnień. Innym mechanizmem było to, że ludzie przyzwyczajali się do własnego okrętu. To optymalizowało ich sprawność – ale na poziomie okrętu, a czasem tylko jednego działu. Na poziomie floty efektem była koncentracja i izolacja cennej wiedzy w głowach ludzi, którzy stawali się niezastąpieni. Gdy ginęli oni w bitwie, następowała skokowa utrata sprawności.

Amerykański system zarządzania uszkodzeniami miał charakter wielokrotnie redundantny i rozproszony. Procedury były dobrze przyswojone i znormalizowane od początku wojny. Wśród narzędzi zwalczania zniszczeń było więcej urządzeń zapasowych, a poza tym było też więcej sprzętu zdolnego do użytkowania i przenoszenia przez

pojedynczych ludzi. W rezultacie większa była dostępność takich urządzeń jak aparaty tlenowe. Pozwalały one na tak elementarne doraźne współpracy jak grupowe trzymanie węży gaśniczych w zadymionych halach.

W przypadku wyłączenia głównych generatorów, w zapasie były mniejsze, rezerwowe, pozwalające przywracać sprawność tych chwilowo wyłączonych z gry. Świetną ilustracją jest los USS „Franklin”. Po pierwszych trafieniach okręt stracił całe zasilanie, w tym główny generator, zasilający też główny system przeciwpożarowy. Załoga wzięła w ręce pompy przenośne i ręczne. To pozwoliło opanować pożar na dziobie jednostki i uratować ją. Załoga była w stanie powstrzymać płomienie do czasu, aż udało się uruchomić jeden z dużych generatorów dieslowskich, a potem częściowo uruchomić główny system. „Franklin”, mimo że utracił 30% załogi i praktycznie tonął, kładąc się na prawą burtę, został uratowany, odholowany do Stanów i odremontowany.

Podsumowując, załogi amerykańskie były ogólnie bardziej zaznajomione z bardziej zaawansowanym sprzętem, potrafiły naprawiać i używać ten sprzęt w ekstremalnych okolicznościach. Utrata oficerów zajmujących się kontrolą uszkodzeń mogła te wysiłki bardzo spowolnić, ale nie uniemożliwić. Oprócz niewiarygodnej wręcz przeżywalności „Yorktowna”, świadectwem tych zdolności był szlak bojowy innego lotniskowca uczestniczącego w bitwie o Midway – „Enterprise”, który do końca wojny oberwał jeszcze kilka razy.

E. Kluczowa przewaga Amerykanów #2: kultura techniczna i transmisja doświadczenia

Wiedza oficerów kontroli uszkodzeń marynarki wojennej była skodyfikowana w całych zestawach instrukcji i procedur. Wiedza ta była też transferowalna – możliwa do

zastosowania na wielu jednostkach. Była też przekazywana marynarzom obsługującym inne systemy, a nie tylko specjalistom walki z uszkodzeniami.

Przekazywanie wiedzy na poziomie organizacji

Mechanizmem podnoszącym poziom kompetencji nowych roczników w szkołach lotniczych w Stanach Zjednoczonych była rotacja najlepszych pilotów do zadań szkoleniowych. Skuteczność takiego podejścia widać, jeśli porówna się systemy szkolenia pilotów niemieckich i alianckich. Niemcy uznawali, że najwłaściwszym miejscem dla asów myśliwskich jest linia frontu, gdzie mogli strącać więcej samolotów wroga. Alianci stosowali podejście zupełnie odmienne – młodzież miała czerpać wiedzę i doświadczenie od tych, którzy byli na tyle dobrzy, że przeżyli i odnosili sukcesy. Wiedza ta nie zniknęła więc, kiedy pilot-mistrz został w końcu zestrzelony. Owocowało to zwielokrotnieniem liczby zestrzelonych maszyn wroga w przyszłości.

Czynniki możliwe do kontroli: ludzki oraz kultura techniczna

„Czynnik ludzki” to bodaj najważniejsza część wysiłku w zakresie kontroli uszkodzeń. Ten niejasny termin wymaga głębszej analizy i przede wszystkim uściślenia. W grę wchodzi takie parametry jak poziom wykształcenia technicznego (tj. generalnego obycia z techniką), znajomość sprzętu oraz – jak się zaraz przekonamy – kultura techniczna społeczeństwa, w którym wychowali się członkowie załogi.

Osoba projektująca system kontroli uszkodzeń, czyli przewidująca, jak będzie wyglądać funkcjonowanie okrętu w ramach walki o przetrwanie po uszkodzeniu przez ogień wroga, musi zadać sobie następujące pytanie: czy załoga

będzie w stanie i czy będzie potrafiła korzystać ze sprzętu, który ma do dyspozycji? Odpowiedź zależy od zdolności ludzi do improwizacji, czyli umiejętności wykorzystania znanego sprzętu w sposób nietypowy. Przede wszystkim chodzi tu jednak o zdolność użytkowania sprzętu przez tych, którzy nie zostali formalnie do tego przeszkoleni. Hasłem-kluczem jest tu *kultura techniczna*.

Poziom kultury technicznej mieszkańców Nipponu był znacznie niższy niż Amerykanów. Wynikało to z prostego faktu – gwałtowna (i jak najbardziej imponująca) modernizacja Japonii miała miejsce zaledwie 60–70 lat przed wybuchem II wojny światowej.

Pierwotne uprzemysłowienie trwało do I wojny światowej. Jedną z konsekwencji było to, że przez pierwsze dwie dekady XX wieku większość najbardziej zaawansowanych okrętów wojennych Japonia po prostu kupowała. Przykładem są krążowniki liniowe typu „Kongo”. Pierwszy z nich został zbudowany dla marynarki japońskiej w Wielkiej Brytanii i wszedł do służby w 1913 roku. Dopiero kolejne trzy jednostki klasy „Kongo” zbudowano już w Japonii.

Nie do końca oczywistą konsekwencją takiego stanu rzeczy jest to, że przeciętny Japończyk nie miał okazji od dziecka zaznajamiać się z wytworami nowoczesnej technologii. Te okazje to tak pozornie błahе rzeczy jak przypatrywanie się naprawom traktorów na polu, próby rozkręcenia i złożenia z powrotem budzika czy też przyświecanie latarką ojcu przy regulacji gaźnika, czyszczeniu przewodu paliwowego, wymianie oleju („sobie świecisz, czy mi?”). 60–70 lat od początków Odnowy Meiji to było za mało. Dla kontrastu – USA było krajem uprzemysłowionym przez znacznie dłuższy czas. Obycie z prostymi narzędziami, takimi jak klucze nasadowe, czy bardziej zaawansowanymi mechanizmami, jak układ hamulcowy traktora, było znacznie bardziej powszechne.

Rezultatem różnic cywilizacyjnych było to, że japońscy załoganci na wielkich okrętach wojennych choć zostali przeszkoleni i poinstruowani, jak używać urządzeń, do których obsługi zostali wyznaczeni, to nie umieli nic poza tym! Jeśli więc nagle, zwłaszcza w sytuacji stresu, japoński marynarz musiał zmierzyć się z urządzeniem, z którym wcześniej się nie zetknął, stawał się niemal całkowicie bezradny. A w chwilach bezradności pojawiają się takie zjawiska jak skłonność do ucieczki, panika i stupor, bierność czy paraliż decyzyjny. Reakcje te wzmacnia, jak już wspomniałem, obsesyjnie hierarchiczna kultura. Bezradność w chwili, w której trzeba powstrzymać pożar płonącej benzyiny do czasu pojawienia się specjalistów, może decydować o przetrwaniu całego okrętu.

Jedną z oczywistych przewag załogantów okrętów amerykańskich było więc to, że potrafiły one bez większych problemów zaadaptować się do obsługi rozmaitych urządzeń, nawet bardzo zaawansowanych, i skutecznie je użytkować.

Czynniki możliwe do kontroli:
hierarchia kontra inicjatywa

Dwa przykłady pozwolą nam naświetlić kolejny temat. Pierwszy to praktyka mechaników obsługi naziemnej dywizjonów bombowych wysyłanych z Wielkiej Brytanii na bombardowanie celów w III Rzeszy w latach 1943–1945. Otóż mechanicy obsadzali stanowiska strzelców pokładowych, by postrzelać sobie trochę do Szkopów. Dowódcy w większości przypadków przymykali na to oko. Drugim przykładem jest zestrzelenie jednego – oficjalnie, a według relacji świadków kilku samolotów atakujących Pearl Harbor przez starszego marynarza Dorisa Millera. Pełniący funkcję kucharza Miller w czasie akcji bojowej przydzielony był do pracy w magazynie amunicji do działek przeciwlotniczych. W czasie japońskiego ataku został doraźnie doszkolony przez oficera i objął jedno z działek.

Z fenomenalnym skutkiem! Miller wystrzelał sobie Krzyż Marynarki Wojennej, najwyższe możliwe odznaczenie US Navy, jako pierwszy czarnoskóry w historii tej formacji.

Odnaczenie wręczył mu osobiście admirał Chester Nimitz, dowódca Floty Pacyfiku, w maju 1942 roku. Na marginesie, moja – przyznaję, że głęboka – znajomość mentalności japońskiej, każe mi stwierdzić, że takie podnoszące morale podniesienie prestiżu i docenienie wkładu osób ulokowanych blisko dołu hierarchii służby i prestiżu, jest w japońskich realiach mało prawdopodobne. Mówiąc delikatnie.



Ryc. 6. Ilustracja propagandowa: Doris Miller strzela do atakujących Pearl Harbor japońskich samolotów. Źródło: United States Department of the Treasury (domena publiczna)

Istotnym czynnikiem zwiększającym przeżywalność okrętu są szkolenia z zakresu kontroli uszkodzeń prowadzone dla wszystkich załogantów. Inną metodą jest rozproszenie zadań kontroli uszkodzeń wśród marynarzy obsługujących na co dzień „swoje” maszyny. Już samo formalne obarczenie załogantów zadaniem walki ze skutkami uszkodzeń może umożliwić im podejmowanie decyzji w sposób bardziej racjonalny, tj. sprzyjający przeżywalności okrętu, a nie pilnowaniu wyłącznie swoich obowiązków.

Reasumując tę kwestię, japońskie struktury społeczne bazują na znacznie silniejszych mechanizmach hierarchicznych, niż ma to miejsce w kulturach zachodnich. Na japońskich jednostkach stosowano kary cielesne za nieposłuszeństwo, w tym za nieprzestrzeganie regulaminu lub drobne odstępstwa od wykutych na blachę procedur¹³. Z takich uwarunkowań rodzi się mentalność i system motywacyjny każący unikać wszelkich nietypowych decyzji i zachowań, zwłaszcza nieproszonego wyręczenia innych, jak zarazy.

Obie te okoliczności kulturowe sprawiały, że w sytuacji pożaru japoński kucharz, którego obowiązkiem było obsługiwanie działka przeciwlotniczego, nie miał motywacji, domyślnego przyzwolenia, ani przeszkolenia do tego, aby bez rozkazu rzucić się do obsługi gaśnic lub podjąć próbę uruchomienia pomp. Zostawiał to zadanie wyznaczonym załogantom. Jego amerykański odpowiednik, działający w luźniejszych ramach hierarchii służbowej i w kulturze, która premiuje inicjatywę indywidualną, miał zarówno ogólne obycie ze sprzętem, jak i zachęty kulturowe, aby dołączyć do spontanicznych inicjatyw. Ta różnica mogła okazać się krytyczna choćby w sytuacji, w której ekipy gaśnicze nie zdążyły jeszcze przybyć, a pożar dałoby się zlikwidować w jego mniej groźnym stadium.

¹³ Najbardziej fascynujące zakamarki japońskiej mentalności, ważne w kontekście niniejszego opracowania opisałem w eseju „*Patologie japońskiej kultury biznesowej*”, §SPVII.3.

Przykłady takich sytuacji znajdziemy w samych relacjach pochodzących z bitwy pod Midway. Trafienia „Kagi” uśmierciły większość oficerów odpowiedzialnych za kontrolę zniszczeń na poziomie centralnym. Poskutkowało to tym, że oficerowie niższego szczebla, którzy przeżyli, nie wiedzieli, że właśnie na nich spoczął ciężar podejmowania natychmiastowych decyzji co do akcji ograniczania zniszczeń.

Odwrotny scenariusz rozegrał się po trafieniu „Akagi” – oficer odpowiedzialny za kontrolę uszkodzeń przeżył atak i był w stanie organizować wysiłki swoich podkomendnych. W rezultacie „Akagi”, choć jego los i tak był przypieczętowany z innych względów, przedłużył swoją walkę o utrzymanie się na powierzchni. Gdyby jednak udało się uruchomić maszynownię i „Akagi” zdołał oddalić się od amerykańskich lotniskowców, być może dałoby się go uratować. Na przeszkodzie stanęła wada systemowa – centralizacja dowodzenia zespołami zwalczającymi uszkodzenia.

W Royal Navy i US Navy istnieje rotacja pozioma, tj. przenoszenie oficerów i marynarzy pomiędzy okrętami podobnej klasy. Przyczyny rotacji bywały różne: okresowe deficyty personelu, remonty a nawet prośby samych zainteresowanych. Generalnie taka mobilność była duża, co sprzyjało przeszczepianiu doświadczenia bojowego na resztę organizacji – tu w skali całej floty.

Japończycy byli w tej kwestii o wiele bardziej sztywni – traktowali załogi lotniskowców i lotników jako zgraną, integralną hierarchicznie całość. Zdarzały się sytuacje, w których jeden lotniskowiec („Zuikaku”) nie mógł osiągnąć gotowości bojowej, gdyż czekał na uzupełnienia pilotów do swojej grupy lotniczej, a inny czekał na uzupełnienia załogi marynarskiej. Oba okręty musiały bezproduktywnie czekać, bowiem **przez sztywny system hierarchiczny było nie do pomyślenia, żeby – mówiąc**

w uproszczeniu – „z dwóch niedziałających systemów zrobić jeden działający”.

Możemy tu z obserwacjami wstąpić na chwilę na poziom filozofii cywilizacji. Jedną z kluczowych koncepcji wypracowanych w czasie rewolucji przemysłowej była standaryzacja parametrów technologii, umożliwiająca standaryzację i daleko posuniętą wymiennność części zamiennych, zmorę armii przedindustrialnych. Oto kluczowa obserwacja:

US Navy zaimplementowała tę koncepcję na poziomie zasobów ludzkich. Wypracowano system szkolenia i dowodzenia, w którym specjaliści i oficerowie byli zastępowalnymi (ang. interchangeable) elementami systemu bojowego. Dzięki temu uzupełnienia brakującego personelu mogły być realizowane przy minimalnym zakłóceniu działania całości systemu bojowego, jakim jest czy to lotniskowiec, czy cała jego grupa zadaniowa.

Marynarka Wojenna Stanów Zjednoczonych uczyła się bardzo szybko, więc Amerykanie, choć mieli początkowo niewielką przewagę, bardzo szybko i skwapliwie ją wykorzystali i pogłębili. Japończykom zaś dopiero po Midway zaświtało, że być może będą musieli wprowadzić pewne zmiany. Ale wtedy było już za późno. Duuużo za późno.

W międzyczasie każda bitwa, z której okręty US Navy wróciły z doświadczeniem z kontaktu z wrogiem, była źródłem raportów, które natychmiast prowadziły do usprawnień i modernizacji. Wyciągano wnioski z tego, co się wydarzyło i wykorzystywano je do wprowadzania zmian w swoich procedurach dowodzenia, zarządzania i szkolenia dla całej floty. Ten system był prekursorski wobec biuletynów bezpieczeństwa będących lekturą obowiązkową współczesnych pilotów samolotów pasażerskich.

F. Poziom koncepcyjny i filozoficzny

Najgłębiej osadzony problem konceptualizacji w planowaniu rozgrywki przez Japończyków sprowadza się do następującego prawidła.

Sytuacja geostrategiczna sprawiła, że nastąpiło trudne do skonceptualizowania, a więc dostrzeżenia, rozprzęgnięcie działań imperiotwórczych (w tym militarnych) z prawidłowościami zaszytymi w doktrynie Mahana. Doktryna ta jest prosta: odciąć przeciwnika od zasobów, co będzie możliwe po odebraniu mu jego zdolności militarnych. Optymalnym nokautem jest anihilacja armii lub floty w walnej bitwie. W tak sformułowany obraz zaszyte jest ukryte założenie: serce systemu gospodarczego przeciwnika zostanie otwarte dla oddziaływania militarnego zwycięzcy.

Anglicy bitwą pod Trafalgarem otworzyli sobie drogę do zduszenia gospodarki Francji napoleońskiej blokadami. **Ale Japończycy nie mieli nawet możliwości wyzyskania owoców swojego zwycięstwa militarnego.** Bitwa o Midway, choć była operacją agresywną, w głębszej płaszczyźnie była więc pomieszaniem z poplątaniem zamiaru defensywnego: obrony własnej ekspansji w nadziei, że przeciwnik nie zmobilizuje swoich zasobów lub poświęci ich zbyt mało na to, by wygenerować kontrsiłę w skali geostrategicznej.



Temat IV

BITWY HISTORYCZNE

Bunker Hill 1775

Rola morale i spójności
w skali bitwy i wojny

Tło strategiczne. Oblężenie Bostonu

W początkowej fazie amerykańskiej wojny o niepodległość (1775–1781) milicja Nowej Anglii otoczyła portowe miasto Boston. Odebrało to swobodę operacyjną angielskim jednostkom skoszarowanym w mieście.

Oblężenie zostało zainicjowane w dwóch potyczkach – pod oddalonym od Bostonu o 20 mil miasteczkiem Concord¹, a potem bliżej, pod Lexington. Amerykańska milicja, a potem także wojska regularne, następowały na wycofujących się do Bostonu Anglików, aż w końcu oblężenie od strony lądu zostało domknięte.

Ponad 20 tysięcy żołnierzy milicji amerykańskiej zamknęło w oblężeniu 4000 żołnierzy gen. Thomasa Gage’a. Liczącymi początkowo 6000–8000 ludzi oblegającymi dowodził gen. Artemas Ward, głównodowodzący milicji kolonii Massachusetts. Trzy obozy amerykańskich sił założono w Cambridge, Roxbury i na wzgórzach Dorchester.

Angielskie okręty kontrolowały port i utrzymały zdolność zaopatrywania oblężonego miasta, jednak problem Anglików był brak informacji wywiadowczych na temat planów i ruchów buntowników. Z kolei rebelianci mieli świetne rozeznanie w sytuacji w mieście,

¹ W bliskości miasteczka położone jest jezioro Walden, nad którym swoje *opus magnum*, cytowane w filmie *Stowarzyszenie umarłych poetów* pisał Henry David Thoreau.



Ryc. 1. Oblężenie Bostonu i pozycje Amerykanów wokół miasta

gdyż wśród jego mieszkańców było dość sympatyków sprawy niepodległości.

Problemem każdej obleganej armii jest zaopatrzenie. Anglicy otrzymywali co prawda broń i amunicję, także bezpośrednio zza oceanu, ale znacznie gorzej było z wodą pitną i żywnością. Już w styczniu garnizon musiał narużyć zapasy solonego mięsa, które serwowano cztery razy w tygodniu.

Czas oblężenia wypełniły potyczki wynikające z angielskich prób zaopatrzenia się w siano dla koni czy same zwierzęta na okolicznych wysepkach. I tak 20 maja Anglicy wyprawili się na leżącą 8 mil na południowy wschód wysepkę Grape. Ich celem była rekwizycja bydła i siana. Amerykanie próbowali bezskutecznie przeszkodzić tej akcji. Dopiero po tej i kilku kolejnych wyprawach angielskich

skich amerykańskie ciało administracyjne Committee of Safety (Komitet Bezpieczeństwa) zdecydowało się usunąć z okolicznych wysepek wszelki inwentarz i inne dobra mogące posłużyć Anglikom.

TECHNIKA STRZELANIA Z MUSZKIETÓW I TAKTYKA WALKI Z ICH UŻYCIEM

W czasach rewolucji amerykańskiej strzelby prochowe wciąż były kapryśne. Wymagały starannej konserwacji i dbałości przy codziennym użytkowaniu. W niektórych filmach fabularnych i na rycinach widzimy, jak strzelający odwracają twarz od muszkietu w trakcie oddawania strzału. Była to praktyka dość powszechna – chroniono tak oczy przed iskrami i produktami spalania prochu, który często był lichej jakości. Gładkolufowe muszkiety były na tyle niecelne, że odwracanie twarzy tylko w niewielkim stopniu wpływało na skuteczność ostrzału. To między innymi z tych cech broni czarnoprochowej wynikał sens taktyki strzelania salwami.

W czasie rewolucji amerykańskiej do użytku zaczęły powoli wchodzić strzelby gwintowane (ang. *rifles*). Zasadniczo zwiększały one celność, ale ładowało się je dłużej. Wynikało to z tego, że średnica kuli była ściślej dopasowana do przewodu lufy i przez to kulę trzeba było niejako „wkręcać” podczas ubijania pobijakiem. Strzelców wyposażonych w gwintówki, ale też i muszkiety gładkolufowe określano jako marksmanów (dosł. ktoś biegły w strzelaniu; w j. pol.: strzelec wyborowy), wysyłano na przód, przed formacje zwarte, aby nękali celnym ogniem harcowników, zwiadowców i pierwsze linie nieprzyjaciela.

Relacje uczestników bitwy o Bunker Hill zawierają liczne odniesienia do takiej taktyki. Amerykańscy strzelcy wyborowi przeniknęli do miasteczka Charlestown

i Brytyjczycy musieli ich w pewnym momencie bitwy stamtąd wykurzyć. Generalnie zaś Amerykanie mieli co prawda więcej gwintówek, ale cierpieli na niedobór amunicji, a w czasie szturmów na Breed's Hill pokazała się jeszcze inna wada celniejszej broni – Amerykanie nie mieli do niej bagnetów. Było tak dlatego, że była to z zasady broń myśliwska, a nie wojskowa.

Znacznie ciekawszym epizodem, pokazującym dodatkowo taktykę kolonistów polegającą na strzelaniu w pierwszym rzędzie do oficerów (zob. s. 135), było wspomniane starcie przy miasteczku Concord. W jednej z potyczek strzelcy amerykańscy wdali się w wymianę ognia z oddziałami regularnymi. W potyczce strzelcy amerykańscy zabili dwóch żołnierzy i ranili dziesięciu, przy czym w tej dziesiątce rannych po stronie angielskiej było czterech z ośmiu oficerów dowodzących.



Ryc. 2. Strzał z muszkietu kapiszonowego ładowanego od lufy.
Źródło: ceremonia ludu Bunun w plemieniu Litao na Tajwanie, zdjęcie współczesne.

Przed bitwą

Generalnie obu stronom szwankowało dowodzenie. Dodatkowo Amerykanie na tamtym etapie swojego zrywu niepodległościowego nie byli jeszcze w pełni mentalnie nastawieni na działania z pełnym rozmachem. Dowodzący oddziałami kolonistów Gage, wprowadziwszy w końcu stan wojenny w rejonie oblężenia, 12 czerwca zaplanował potężny atak, który miał wyjść z czterech miejsc koncentracji sił rebeliantów. Informacja o tym zamiarze przedostała się do Komitetu Bezpieczeństwa, który na drodze negocjacji zredukował skalę operacji. Amerykanie mieli opanować jedynie półwysep Charlestown i wzgórze Dorchester.

Noc przed bitwą pułkownik Prescott przeprowadził na półwysep 1500 ludzi. Pierwszą linię obrony przed spodziewanym desantem Anglików żołnierze wykopali na Breed's Hill – Wzgórzu Breeda. To ono było miejscem słynnej bitwy.

Już wczesnym rankiem dnia bitwy angielscy obserwatorzy na HMS „Lively” dostrzegli nowe fortyfikacje polowe. Okręty otworzyły ogień do pracujących przy nich ludzi. Kanonada obudziła admirała Samuela Gravesa, który widząc sytuację, nakazał otwarcie ognia przez całą artylerię pokładową wszystkich okrętów – razem 128 dział. Ograniczenia kąta podniesienia luf sprawiły, że ostrzał ten nie był w stanie sięgnąć szczytów wzgórza.

Tu pokazało się ogólne niedostosowanie milicji do działań realizowanych przez regularną armię i to we wszystkich aspektach. Kopiającym umocnienia Amerykanom doskwierały głód i niewyspanie. Prawie nikt nie zabrał prowiantu. Gdy zaś Anglicy rozpoczęli ostrzał i padł pierwszy zabity, jego towarzysze zabrali się po prostu za pochówek... porzucając prace ziemne mimo tego, że bitwa miała się rozegrać już za chwilę.

Przygotowanie desantu piechoty zabrało Anglikom 6 godzin. Główny atak miał być dowodzony przez gen. Williama Howe’a. Główne siły desantu wypłynęły z Bostonu o 13:00 flotyllą łodzi uformowanych w dwie długie kolumny, każda po 14 łodzi. O 14:00 siły angielskie były gotowe do ataku.

Widząc przygotowania do desantu, dowodzący na miejscu amerykańską milicją zażądali posiłków. Dostano im symboliczne dwa regimenty milicji z New Hampshire. Dowodzący nimi John Stark szybko rozbudował umocnienia polowe tak, aby wchodziły one na teren odsłonięty przez odpływ.

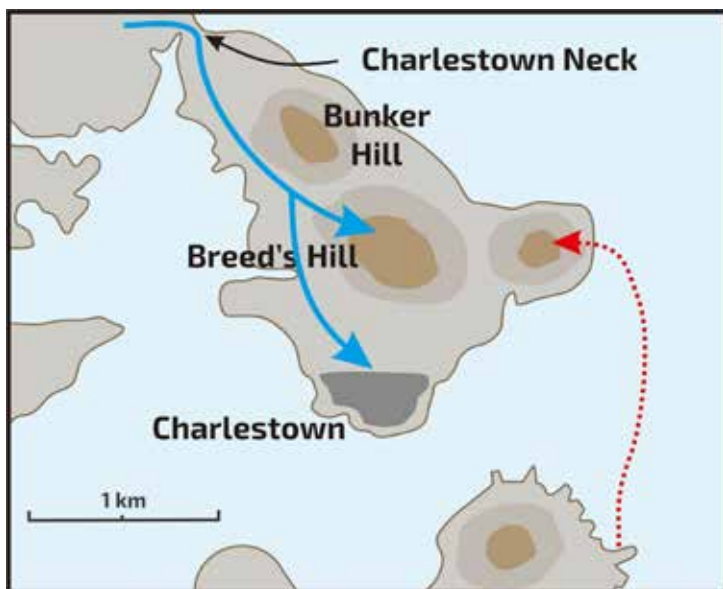
Bitwa

Milicje czasów rewolucji amerykańskiej zawsze miały problem z dyscypliną, co wynikało z ich egalitarnych struktur hierarchicznych. Często już pierwszy poważniejszy ostrzał ze strony angielskiej sprawiał, że serca żołnierzy i niektórych dowódców ciążyły w kierunku wycofania się z eksponowanej i zagrożonej walnym szturmem pozycji.

W chwili rozpoczęcia głównej fazy bitwy strona brytyjska dysponowała niemal dwukrotną przewagą: 2600 przeciw 1400. Ale Amerykanie zajmowali pozycje na wzgórzu, co wyrównywało siły stron.

Dwa pierwsze szturmy Anglików załamały się pod morderczym ostrzałem obrońców z linii umocnień, ale także pod ostrzałem od strony miasteczka Charlestown. Ogień ten ustał, gdy angielska artyleria z okrętów i półwyspu Boston skoncentrowała się na miasteczku i obróciwszy je w zgliszcza, zmusiła strzelców wyborowych do wycofania się.

Amerykańska milicja szybko utraciła dyscyplinę ognia – przestała strzelać salwami. Z reguły było tak, że po wystrzeleniu pierwszej salwy członkowie milicji zaczynali strzelać w indywidualnym tempie. Działo to dobrze przy



Ryc. 3. Bitwa o Bunker Hill. Linia przerywana: desant brytyjski.

chaotycznych potyczkach w czasie zasadzek, ale gorzej, gdy naprzeciw walczyły regularne oddziały brytyjskie. Istotą problemu były efekty psychologiczne występujące przy strzelaniu na odległość 30–50 metrów. Często doprowadzały one do zjawisk zbiorowych – załamania morale lub zatrzymania i wycofania ataku przez rejteradę lub nawet decyzją samych dowódców.

Dopiero trzeci atak, znacznie lepiej zorganizowany, doprowadził do zdobycia pozycji rebeliantów. Sukces ten w dużej mierze wynikał z wyczerpania się kolonistom amunicji – amerykańska palba po prostu wygasła. Obrońcy siłą rzeczy przeszli do walki wręcz. W ferworze walki w szturmujących rzucano nawet kamieniami. Ale taki rodzaj walki był domeną wyposażonych w bagnety Anglików. Koniec mógł być tylko jeden.

Rezultat starcia

Brytyjczycy stracili 226 zabitych i 828 rannych – niemal połowę rzuconych do walki². Straty Amerykańskie wyniosły 140 zabitych, 270 rannych i 30 wziętych do niewoli (razem 440 ludzi). Po stronie amerykańskiej zginął gen. Warren.

Po odwrocie amerykańskim Brytyjczycy zajęli cały półwysep. Amerykanie zajęli nowe pozycje obronne zaraz za przewężeniem i Brytyjczycy nie byli w stanie ich przełamać – także z powodu strat odniesionych w czasie poprzedniego boju. Dla dowódców brytyjskich stało się jasne, że ich sytuacja jest beznadziejna.

To była pierwsza walna bitwa z prawdziwego zdarzenia, a przy tym najkrwawsze starcie całej wojny. Stoczona 16 czerwca 1775 roku bitwa o Bunker Hill stała się ikonicznym epizodem amerykańskiej wojny o niepodległość. W wymiarze taktycznym wygrali ją – okupując to ciężkimi stratami – Anglicy. Ale starcie było tylko epizodem większej operacji – zmagania o Boston.

Howe miał napisać słynne słowa: „Sukces został zbyt drogo kupiony”. Generał stracił w bitwie wszystkich członków swojego sztabu, wliczając służącego niosącego na pierwszą linię butelkę wina.

Brytyjczycy porzucili zamiar zdobycia kolejnego wzniesienia w pobliżu miasta i w końcu ewakuowali garnizon bostoński. Stało się jasne, że bez beznadziejnie długiej wojny na wyczerpanie rebelii nie uda się zdusić. Jeden z oficerów brytyjskich miał napisać:

Nasi trzech generałowie [...] spodziewali się raczej karnej wyprawy przeciwko wzburzonemu tłumowi niż walki z żołnierzami, którzy mogliby im spojrzeć prosto w oczy.

² Szczególnie dotkliwe były straty wśród oficerów. Anglicy stracili ich 19 zabitych i 70 rannych. To aż 25% wszystkich oficerów poległych w czasie rewolucji amerykańskiej!

Okoliczności starcia sprawiły, że stało się ono punktem zwrotnym w procesie formowania się narodu amerykańskiego. Okazało się, że niedozbrojeni, głodni i źle wyszkoleni koloniści są w stanie stawiać czoła doborowym jednostkom zamorskiego imperium. Ta konstatacja, skwapliwie lewarowana przez instygatorów rebelii, podziałała na wyobraźnię niezdecydowanych w sposób wręcz magiczny. □

Porady i spostrzeżenia na wynos

A. Trzeba wiedzieć, czego się chce

Amerykanie byli nienależycie przygotowani do zajęcia półwyspu. Przez cały dzień nie otrzymali wsparcia ani uzupełnień amunicji. Objawił się w pełni brak dyscypliny wojсковej wśród milicji. W czasie, gdy trwała bitwa, przygotowano amunicję dla walczących, ale nie było ochotników gotowych ją przetransportować do strefy walki.

Przed finalnym szturmem Anglików doszło do tego, że walczący Amerykanie przeszukiwali zwłoki zabitych by użyć ich prochu i kul. Dowodzący główną redutą Amerykanów Prescott musiał odpieczętowywać ładunki porzuconych armat po to, aby znajdujący się w nich proch, znacznie gorszej jakości niż zwykle używany w muszkietach, rozdać swoim towarzyszom broni.

Już po bitwie okazało się, że deficyt amunicji po stronie amerykańskiej doprowadził do wzrostu liczby rannych zmarłych na gangrenę po stronie angielskiej. Broniący

wzgórza ładowali swoje muszkiety i gwintówki czym popadło, w tym gwoździami i każdym kawałkiem metalu, jaki udało im się znaleźć.

B. Decydujący moment i morale

O porażce Amerykanów zadecydowało morale i brak zaprawy w walnych bitwach. Krytyczny moment bitwy to początki paniki w szeregach amerykańskich. Coraz więcej żołnierzy opuszczało szturmowane raz za razem umocnienia. Swoim ruchem tamowali oni napływ znacznie bardziej skromnego potoku posiłków. Brytyjczycy umiejętnie pogłębiali te tendencje – HMS „Glasgow” i HMS „Symmetry” bezustannie bombardowały przewężenie, noszące nazwę Charlestown Neck.

C. Błędy angielskiego Dowódcy

Największym błędem Howe’a było niedocenienie siły amerykańskiej milicji w sytuacji, gdy jest ona dobrze okopana i razi atakujących z wyniesionej pozycji. Angielski dowódca tak mocno wierzył w siłę swoich sił regularnych, że działał w przekonaniu, iż sam ich impet doprowadzi Amerykanów do pójścia w rozsypkę. Zarządzając frontalny atak, chciał dać nauczkę kolonistom, a zwłaszcza mieszkańcom Bostonu, wśród których byli i lojaliści, i stronnicy walczących o niepodległość. Ale Howe nauczkę dostał sam – zasłużenie. Zaatakował z marszu, rezygnując z przygotowania artyleryjskiego, które z dużą dozą prawdopodobieństwa załatwiłoby sprawę bez konieczności podejmowania szturmów piechoty.

Tu wkraczamy oczywiście na terytorium psychologii i propagandy. Howe chciał dać pokaz i organizował pokaz. Tego typu rozumowanie da się u przeciwnika wykryć także na współczesnych polach bitew, które często są aran-

zowane tak, aby przynieść zwycięstwo moralne lub oddziaływać na opinię publiczną, a nie po prostu wystrzelać lub rozbić nieprzyjaciela. Jeśli taka rzecz faktycznie ma miejsce, łatwo da się wykoncypować sposób na doprowadzenie przeciwnika do poniżającego blamażu. Ale do tego potrzeba dowódcy rozumiejącego szerszy kontekst sytuacji. Słowem, to okazja do wykazania się dla oficerów sił specjalnych lub dowódców wyższych, ale wciąż mających wgląd na rozwój sytuacji taktycznej.

Na błędne planowanie Howełożyło się też to, że Anglicy ze swojej strony planowali zdobycie wszystkich wzgórz wokół Bostonu. Niezależnie od tego Howe zaniedbał przeprowadzenie ataku flankującego, który mógł być wszak zorganizowany pod osłoną artylerii obecnych na okolicznych wodach okrętów angielskich. Za tak rażące lekceważenie wroga, skutkujące odstępianiem od należytych działań, zawsze płaci się drogo.

D. Pomieszanie nazw i mity historyczne

Wydarzenia nazywane rewolucją amerykańską przysparzają podwójnego problemu w nazewnictwie. Ojcowie Założyciele Stanów Zjednoczonych sami siebie identyfikowali jako angielskich dżentelmenów – ich „amerykańska” tożsamość dopiero się formowała. Podobny problem pojawia się w nazywaniu strony brytyjskiej Anglikami lub Brytyjczykami. Generalnie istnienie od 1707 roku państwa o nazwie „Królestwo Wielkiej Brytanii”, będącego połączeniem Królestwa Szkocji i Królestwa Anglii, rozwiązuje i nie rozwiązuje tego problemu. Wcześniej, od 1603 roku, funkcjonowała unia personalna, co rozstrzygałoby problem w warstwie formalnej. Dominującym ośrodkiem decyzyjnym pozostawał Londyn, a więc bardziej pasuje forma Anglicy. Określenie Amerykanów rebeliantami, a nawet Anglikami jest jak najbardziej dopuszczalne. Przy tym osattnim jednak należy brać pod uwagę pochodzenie

migrantów z różnych zakątków Wysp Brytyjskich, a przynajmniej ich elity decyzyjnej w koloniach.

Nieporozumieniem dotyczącym samej bitwy jest jej nazwa. Szturmy brytyjskie szły na Breed's Hill, a nie Bunker Hill. Problem wynika z tego, że Amerykanie dostali rozkaz zajęcia i ufortyfikowania wyższego wzgórza – Bunker Hill, jednak dowodzący milicją gen. William Prescott ominął je i zajął Breed's Hill. Do dziś nie są znane przyczyny jego decyzji. Po stronie brytyjskiej problem pogłębił por. Page, który zamienił nazwy obu wzgórz na mapie będącej częścią opisu starcia.

Podwójne nieporozumienie przeważało w zapisach historycznych. W rezultacie najślawniejsza i najbardziej symboliczna bitwa amerykańskiej wojny o niepodległość nosi błędną nazwę. I tak już zostanie choćby dlatego, że pomnik upamiętniający bitwę, potężny granitowy monument, wznoszący się na 60 metrów w niebo, ulokowany jest na miejscu, w którym rebelianci wykopali fort ziemny broniący wzgórza Breed's.

Innym przeinaczeniem składającym się na mit historyczny bitwy o Bunker Hill jest słynna fraza „nie strzelać, zanim nie zobaczycie białek ich oczu”. Miał ją wypowiedzieć płk Israel Putnam. Frazę całe dekady później wbudował w pamięć historyczną pisarz Parson Weems. Jest potwierdzone, że jeden z oficerów nakazał strzelać, gdy da się zobaczyć biel półkamaszy na łydkach wrogów (ang. *half-gaiters*). W tamtym okresie historycznym optymalna odległość oddania pierwszej salwy w typowej sytuacji – decydowała szybkostrzelność, stan zapasu amunicji i tempo szarży przeciwnika – wynosiła około 50 metrów. Jeden z amerykańskich dowódców tuż przed pierwszą szarżą nakazał wbić na przedpolu słupek w odległości 30 metrów od linii swoich strzelców. ■

Oblężenie Alamo 1836

Wcielenie Teksasu do USA

Teksas – rys historyczny

Teksas leży na pograniczu sfer oddziaływania trzech centrów cywilizacyjnych. Rozkwitły one i wygasły na długo przed pojawieniem się tam Europejczyków. To Pueblos (rejon Rio Grande) na zachodzie, kultury Missisipi (tzw. Budowniczości Kopców) na wschodzie i kultur Ameryki Środkowej, których jednym z ośrodków było odziedziczone (skolonizowane) przez Azteków miasto Teotihuacan. W czasach przed odkryciem ropy naftowej rejon był, mówiąc najogólniej, nieprzyjazny budowie cywilizacji, w tym rozwojowi rolnictwa. Europejscy kolonizatorzy penetrujący te rejony zastali mieszaninę kultur niezdolną do wygenerowania silnego ośrodka politycznego.

W XVI i XVII wieku Teksas był pograniczem stref wpływów Francji i Hiszpanii – migrowały tam własną decyzją lub pod przymusem okoliczności rozmaite ludy i szczepy z terytoriów obu stref. Niektóre ludy integrowały się z kolonistami zza oceanu, dzieląc się z nimi wiedzą rolniczą. Inne, bardziej wojownicze, konfliktowały się. W XVIII wieku rejon był terenem hiszpańskiej aktywności misjonarskiej, odnoszącej – w końcu – coraz większe sukcesy. To właśnie w tym okresie, a dokładnie w 1724 roku, powstała misja San Antonio de Valero, przemianowana później na Alamo.

Wspaniała izolacja¹ teksańskich pustkowi skończyła się w 1803 roku, w którym Stany Zjednoczone odkupiły od Francji dorzecze Missisipi (Zakup Luizjany). Przed i po tej transakcji na teren współczesnego Teksasu migrowały ludy i plemiona wypychane obecnością europejską, w tym polityką prowadzoną na poziomie instytucjonalnym przez rząd Stanów Zjednoczonych. Potem pojawili się sami Europejczycy. Konflikty z lokalną ludnością rdzenną nasilały się. Wynikało to głównie z rozbuchanej, na poły legalnej, bo naruszającej traktaty z miejscowymi ludami, ekspansji osadników napływających z kolonii brytyjskich.

Przełom XVIII i XIX wieku to dla misji przebudowanie i przemianowanie na fort. Sama misja oraz miasteczko węgające wokół niej, Pueblo de Valero, stały się garnizonom armii hiszpańskiej. Stało się to w roku 1803, w którym nastąpił Zakup Luizjany. Hiszpanie planowali rozbudować misję i przekształcić ją w koszary. Inwazja francuska na Hiszpanię w 1808 roku i będące jedną z jej konsekwencji wybicie się Meksyku na niepodległość sprawiły, że niestabilność polityczna całego regionu wstąpiła na nowe wyżyny. Kluczową zmianę zapoczątkowało powstanie państwa Meksyk w 1821 roku.

Zalew Meksyku przez nielegalnych migrantów z USA. To nie żart

Terytorium Teksasu było szokująco słabo zaludnione. W 1825 roku, nie licząc autochtonów, żyło tam 3500 ludzi. Pieczę nad nimi objęła administracja sąsiednich prowincji nowego państwa. Skromna liczba kolonistów nie wystarczała do odpierania rajdów łupieżczych ze strony Koman-

¹ Trawestacja ukutej w 1796 roku frazy *splendid isolation*, strategii geopolitycznej Imperium Brytyjskiego, polegającej na nieangażowaniu się w trwałe sojusze i interakcje na terenie Europy.



Ryc. 1. Republika Teksasu w 1836 roku. Dodatkowe czerwone linie: obrys stanów USA po wojnie z Meksykiem.

czów. By ratować sytuację, rząd Meksyku otworzył Teksas dla imigrantów spoza kraju i Hiszpanii. Wpuszczanie obcych skończyło się w łatwy do przewidzenia sposób – w 1834 roku populacja terytorium Teksasu wedle oficjalnych statystyk wzrosła do 37 800 ludzi. Tylko 7800 z nich było pochodzenia meksykańskiego. Temu procesowi demograficznemu towarzyszyły amerykańskie instytucjonalne wysiłki w celu zakupu całego terytorium.

Już w 1830 roku władze Meksyku zakazały imigracji z USA, lecz bez skutku. Fala migracji, teraz już nielegalnej, nasilała się. Pierwsze otwarte ruchawki wymierzone w suwerenną władzę Meksyku nad terytorium Teksasu miały miejsce w 1832 roku. Było to tzw. Anahuac Disturbances. Zgrały się one, zapewne nie „same”, ale o tym amerykańscy historycy zgodnie milczą, z konfliktem wewnętrznym w Meksyku, w którym starli się federaliści i urzędujący prezydent. Całe to zamieszanie doprowadziło w końcu do otwartej rewolty przeciw władzy centralnej.

Wydarzeniem przełomowym była bitwa pod Gonzales, stoczona w 1835 roku. Potyczka ta zainicjowała rewolucję teksańską. Dowodzeni przez Sama Houstona separatysty – nazywający się już wtedy „amerykańskimi osadnikami” – zdolali przepędzić oddział armii meksykańskiej, który przybył, by zabrać przekazaną wcześniej osadnikom armatę. W ciągu pół roku Amerykanie zdolali pokonać armię Meksyku, dowodzoną osobiście przez prezydenta państwa – Santa Annę. W 1836 roku ustanowili suwerenne państwo – Republikę Teksasu.

Zanim jednak nowe państwo powstało, dążenia Teksańczyków były skutecznie znoszone siłą militarną. Część armii meksykańskiej (gen. José de Urrea) likwidowała opór rebeliantów, posuwając się wzdłuż wybrzeża Zatoki Meksykańskiej. Natomiast część armii dowodzona przez Santa Annę osiągnęła co prawda zwycięstwo, ale szybko stało się ono źródłem klęski.

Dla przyszłych pokoleń Teksańczyków stało się jednak filarem pamięci historycznej. Zwycięstwem tym było trzynastodniowe oblężenie i w końcu zdobycie misji Alamo przez armię meksykańską.



Ryc. 2. Misja Alamo, frontowa fasada budynku.
Źródło: Zdjęcie współczesne z archiwum autora.

Oblężenie Alamo 23 lutego – 6 marca 1836

Po inicjującej zryw niepodległościowy Teksasu bitwie pod Gonzales w październiku 1835 roku misja Alamo i miasteczko wokół niej zostały zdobyte przez armię nowej republiki i ufortyfikowane. W lutym następnego roku wojska meksykańskie ruszyły z ofensywą na północ. Dowodzący nimi Santa Anna planował zdusić rebelię prowincji Teksas raz na zawsze.

Kilka miesięcy przed oblężeniem Alamo formacje paramilitarne złożone z legalnych i nielegalnych osadników przepędziły wojska Meksyku z terytorium Teksasu. Tuż przed oblężeniem misji w miasteczku San Antonio de Béxar (ówczesna nazwa San Antonio) stacjonowało około 100 żołnierzy teksańskich. 23 lutego 1500 żołnierzy armii meksykańskiej wkroczyło do San Antonio. Miała to być pierwsza faza kampanii dążącej do spacyfikowania zbuntowanej prowincji.

Przez pierwsze 10 dni obecności meksykańskiej w mieście miało miejsce kilka potyczek. Żołnierzami teksańskimi dowodzili wspólnie dwaj dowódcy – James Bowie oraz William B. Travis. Travis, widząc przytłaczającą przewagę Meksykanów, słał kolejne listy z prośbami o posiłki. Ale wysłano mu mniej niż stu ludzi. Wynikało to z ograniczeń traktatowych, wedle których wysyłanie broni i ludzi przez Stany na teren Teksasu było traktowane jako akt wojny.

13 dni

23 lutego do miasteczka zbliżyły się wojska meksykańskie. obrońcy natychmiast obsadzili świetnie w tamtym momencie uzbrojoną i ufortyfikowaną misję. Na początku starcia garnizon misji liczył 150 ludzi, wspieranych ogniem osiemnastu armat osiemnastofuntowych.

Strony zaczęły paktować, ale próby dogadania się były skazane na porażkę. Santa Anna zażądał poddania misji i zdania się obrońców na łaskę zwycięzców, nie deklarując jednak, jakiego traktowania mogli się spodziewać².

James Bowie, jeden z dwóch współdowodzących obroną Alamo, słynny nożownik i awanturnik, nie był człowiekiem, który oddałby się w ręce wroga. Niezależnie jednak od tego interesy i motywacje stron były tak różne, że rozwiązaniem mogła być tylko walka. Rozmowy skończyły się tym, że drugi z dowódców, inżynier William B. Travis, wypalił w stronę Meksykanów z osiemnastofuntówki. I tak zaczęło się oblężenie.

„Zwycięstwo albo śmierć!”

Tymi słowami Travis zakończył swój list z prośbą o odsiecz, adresowany do wszystkich obywateli Republiki

² Później Santa Anna kazał wywiesić na kościele San Fernando czerwoną flagę, która oznaczała, że nie będzie brał jeńców.

Teksasu. List ten, wysłany drugiego dnia oblężenia, adresowany był do „ludu Teksasu i wszystkich Amerykanów na świecie”. Stał się jednym z najsłynniejszych pism w historii Ameryki.

Posiłki pojawiły się 1 marca. Była to grupa 32 ludzi przybyłych z miasteczka Gonzales. Kolejnego dnia Republika Teksasu ogłosiła swoją deklarację niepodległości. 3 marca pojawił się posłaniec z wieścią o nadchodzącej odsieczy. Ale odsiecz nie miała zdążyć przed dniem, w którym dopełniły się losy zamkniętych w oblężeniu.

Trzynastego dnia oblężenia, o świcie 6 marca, rozpoczęła się finalna bitwa i szturm. Zanim dzień na dobre się rozpoczął, było po wszystkim. Obrońcy budynku odparli dwa ataki. Ulegli trzeciemu. Żołnierze meksykańscy wspięli się na ściany, a obrońcy schronili w budynkach. Ci, którzy spróbowali ucieczki poza misję, zostali wybici. Nieznana liczba poddała się.

Rezultatem potyczki było to, że żaden z obrońców nie przeżył, a los zaginionych jest historii nieznany.

Jak przekuć przegraną w zwycięstwo i symbol

To reguła niemal wszystkich rebelii w historii – początkowo idą one inicjatorom ze zmiennym, czyli kiepskim szczęściem. To faza „wszyscy się z Ciebie śmieją”³. Delegaci z całego Teksasu podpisali deklarację niepodległości 2 marca 1836 roku... i rozpierzchli się, uciekając przed nadciągającą armią meksykańską. Ale wkrótce, 21 kwietnia, armia Teksasu pokonała wojska Santa Anny. Sam głównodowodzący został wzięty do niewoli i zmuszony do podpisania traktatu w Velasco, kończącego wojnę.

³ Jej autorem jest Mahatma Ghandi. W całości brzmi: „Najpierw Cię ignorują. Potem śmieją się z Ciebie. Później z Tobą walczą. Później wygrywasz.”



Post Scriptum. Akcesja Teksasu do Unii

Bitwy o San Antonio i misję Alamo były kluczowe dla konsolidacji woli walki nowo powstałej republiki. Po uzyskaniu niepodległości siły polityczne w Teksasie spolaryzowały się, optując za dwoma przeciwstawnymi rozwiązaniami – utrzymaniem niepodległości i przyłączeniem do Stanów Zjednoczonych. „Nacjonaliści” chcieli wydalenia ludności natywnej, wolnej ludności ras murzyńskich i ekspansji w kierunku Pacyfiku. Po stronie przeciwnej stał Sam Houston, szermujący hasłami pokojowej koegzystencji z ludnością natywną i przystąpienia Teksasu do Unii.

Ale już od 1836 roku kwestią blokującą akcesję (czasem na Południu USA nazywaną aneksją) – oprócz roszczeń Meksyku – było to, że Teksas był stanem (państwem), w którym legalne było niewolnictwo. To w tamtym okresie, a dokładnie w 1833 roku, Imperium Brytyjskie instytucjonalnie zniosło instytucję niewolnictwa. W Ameryce ówczesne stany należące do Unii dzieliły się na te, które tę instytucję utrzymywały i „wolne”. Wytworzyła się specyficzna, niestabilna równowaga, w której kwestia niewolnictwa była uwikłana w rozgrywki o dominację ośrodków politycznych północy nad południem USA co, jak wiemy, skończyło się wojną secesyjną.

Równolegle Meksyk kilkakrotnie próbował siłą zająć nowo powstałą republikę, ale nie był w stanie wygenerować odpowiedniej do tego siły militarnej i geopolitycznej. Teksas przystąpił do Unii 29 grudnia 1845 roku, za prezydentury ekspansjonisty Jamesa K. Polka. Natychmiast pojawił się problem sporu terytorialnego w rejonie rzeki Rio Grande. Doprowadziło to do wybuchu w 1846 roku wojny amerykańsko-meksykańskiej. Konflikt wygrały Stany, a granice Teksasu w ich obecnym kształcie ustaliły się „ostatecznie” w 1850 roku. □

Spostrzeżenia na wynos

A. Modelowanie morale przeciwnika

Kluczowym bodźcem wzbudzającym w niezdecydowanych Teksańczykach ducha walki była deklaracja Santa Anny, że w czasie bitwy nie będzie brał jeńców. Postępek ten zainspirował do wsparcia sprawy niepodległości zarówno osoby pochodzenia meksykańskiego, jak i anglosaskiego (ang. odpowiednio Tejanos i Texians).

Bodźcem ogólnym dla tendencji niepodległościowych jest coś, co trudno przypisać winie konkretnej osoby czy kultury, ale co sprowadza się do niemożności zaszczepienia na obszarze Meksyku zasad funkcjonującego państwa prawa. Z tym problemem Meksyk boryka się do dziś. W 1885 roku problem został dostrzeżony przez mieszkankę Teksasu:

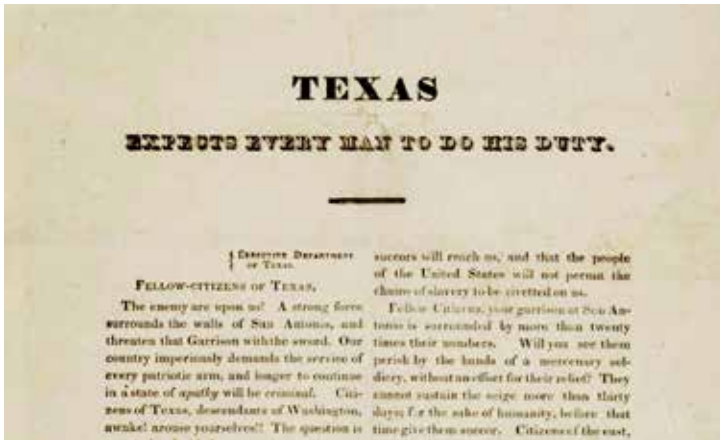
Rząd meksykański jest tak słaby, niestały i tak podatny na korupcję, że nigdy nie będziemy wolni od opresji i rozczarowania. Ten, kto da większą łapówkę, postawi [tu] na swoim⁴.

Efektem kulminacyjnym zmian postawy Teksańczyków była bitwa pod San Jacinto. Meksykanie wypuścili kilku cywilów, by dotarli z wieścią do miasta Gonzalez. Reakcje Teksańczyków były mieszane: jedni wpadli w panikę i uciekli, co zyskało nawet swoją nazwę – „The Runaway

⁴ „The Mexican govt, is so weak and versatile and so susceptible of corruption, we are never safe from oppression & disappointment. He who can give the greatest bribe carries his point”. Cytat za: Stephen Hardin, *The Alamo 1836*, Osprey 2001, s. 7. Kwestie kultury endemicznej regionów geograficznych omówione są szeroko w części V tomu *Sily psychohistorii*.

Scrape”. Byli to osadnicy, ale i wielu członków rządu republiki. Byli jednak i tacy, którzy przejawili reakcję zupełnie odwrotną, masowo zgłaszając się do armii Teksasu.

Dla samych mieszkańców Teksasu Alamo jest niezwykle ważnym symbolem ich tożsamości. Na początku XX wieku władze stanu wykupiły budynki misji i urządziły w nich oficjalną świątynię (ang. *shrine*) stanu.



Ryc. 3. Odezwa do Teksaszczyków opublikowana 28 lutego 1836 roku, w odpowiedzi na list Trávisa. Szczególną cechą pisma jest parafraza słynnego sygnału flagowego, który adm. Horatio Nelson, wysłał na początku bitwy o Trafalgar, stoczonej 31 lat przed Alamo: „Teksas oczekuje, że każdy mężczyzna wypełni swój obowiązek”.

B. Okrzyk „Pamiętajcie o Alamo!”

18 kwietnia dwaj dowódcy teksańscy przechwycili kurierą wiozącego korespondencję wręcz niebotycznej wagi. Okazało się, że w pobliżu przemieszczają się niewielkie oddziały meksykańskie, i że prowadzi je sam Santa Anna.

Wtedy to Houston wspiął się na wyżyny retoryki wojskowej i zagrzał swych podkomendnych okrzykiem „Remember the Alamo!” i „Remember Goliad!”. Zmotywowani ludzie ruszyli na Lynchburg. Tak właśnie narodziła się „Ameryka Ameryki”⁵.



⁵ Ang. „America’s America”. Żartobliwe określenie Teksasu, używane z uwagi na widoczne w Teksasie natężenie „amerykańskiego ducha”, takiego jak zamiłowanie do posiadania broni i powiązany z nim sentyment do tzw. kultury pogranicza.

Temat V

AKTY MILITARNEGO GENIUSZU I WRĘCZ PRZECIWNIE



Bitwa o Quebec

13 września 1759

Mistrzowski manewr Wolfe'a

Władza nad kontynentem

„Wojna o dominację w Ameryce Północnej” to idealnie oddająca istotę rzeczy oficjalna polska nazwa prowadzonych na kontynencie północnoamerykańskim zmagających wojnę amerykańsko-indiańską (ang. American-Indian War). Zmagania te były częścią szerszego konfliktu – „wojny siedmioletniej” (1756–1763). Ten zaś konflikt określany jest często „pierwszą wojną światową”, ponieważ stronami walczącymi były mocarstwa mające swoje interesy na całym globie.

Kluczem do zrozumienia północnoamerykańskiego teatru tej wojny jest łańcuch górski Appalachów. Blokował on „naturalny” proces ekspansji dynamicznie rozwijających się ludnościowo i pod względem cywilizacyjnym kolonii angielskich na wschodnim wybrzeżu kontynentu. Połowa XVIII wieku to jednak czas, w którym osadnicy i spekulanci ziemią z kolonii angielskich na wybrzeżu nagle pojawili się po zachodniej stronie tego łańcucha górskiego.

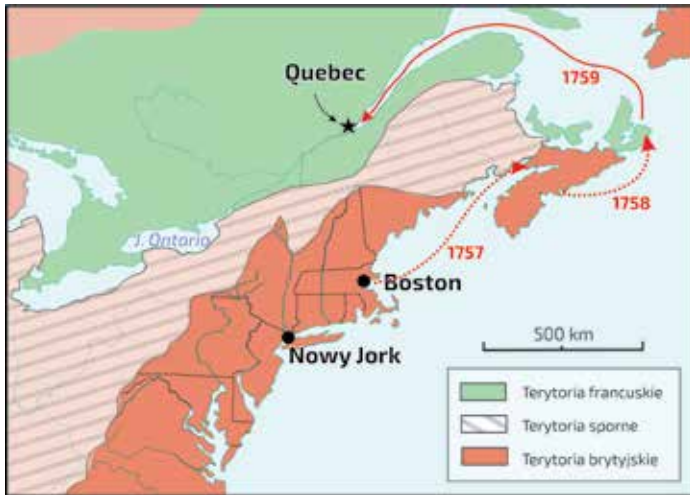
To wtedy konflikt z Francuzami stał się nieunikniony. Jednym z jego bohaterów był „angielski”¹ dżentelmen Jerzy

¹ W tamtym okresie ani elity kolonialne, ani reszta mieszkańców kolonii nie zdążyły wytworzyć tożsamości zakotwiczonej w Ameryce. Wydarzeniem katalizującym ten proces była wojna siedmioletnia, a potem rewolucja amerykańska. Ojcowie Założyciele, w tym Waszyngton, w większości uważali siebie za angielskich dżentelmenów.



Ryc. 1. Obszary Ameryki Północnej zajęte przez europejskie mocarstwa około roku 1750, szkic orientacyjny

Waszyngton, przyszły pierwszy prezydent Stanów Zjednoczonych. Jego rola w wydarzeniach – nawiasem mówiąc – ma charakter co najmniej niejasny, co skrętnie i z finezją jest przemilczane lub kitrane w niedopowiedzeniach przez historyków amerykańskich. Pewne wydarzenia wskazują, że elity kolonii angielskich, kierując się motywem zarobkowym, z premedytacją dążyły do wygenerowania konfliktu między mocarstwami. Konflikt ten – swoją drogą – i tak był nieunikniony. Wystarczy spojrzeć na mapę powyżej, mając przy tym świadomość różnicy potencjału demograficznego



Ryc. 2. Uproszczony schemat sytuacji strategicznej w czasie wojny o dominację w Ameryce Północnej

i cywilizacyjnego między ludnymi koloniami angielskimi a czymś, co po stronie francuskiej *de facto* było zaledwie rozległą siecią faktorii handlowych².

Sytuacja strategiczna przed konfrontacją

Bitwa o Quebec była starciem w zmaganiach między Anglią i Francją, w której stawką była kontrola nad terytoriami w północnej części kontynentu północnoamerykańskiego. Bitwa o Quebec była kluczowym zdarzeniem wojny – w ciągu zaledwie pół godziny kwestia dominacji w Ameryce definitywnie rozstrzygnęła się na korzyść Anglii. Wszystko dzięki natchnionemu manewrowi, który wykonywał generał Wolfe.

Strony szykowały się do bitwy przez kilka tygodni. Pierwszym etapem całej kampanii było pojawienie się ekspedycji brytyjskiej w rejonie miasta. Nastąpiło to 26 czerwca. Angielska eskadra przyплыnęła w pobliże Quebecu i utworzyła obóz warowny na wyspie Île d'Orléans.

² Zob. [+PG IX.1](#), esej *Protonaród przed „pierwszą wojną światową”*.

Eskadra brytyjska liczyła 49 jednostek z 13,5 tysiąca ludzi na pokładzie. Na wyposażeniu mieli oni 1944 działa. Kolejne 140 statków wiozło komponent desantowy w sile 8600 żołnierzy, w tym 1300 „Amerykanów”, czyli mieszkańców kolonii angielskich na południu.

Anglicy działali metodycznie. Okręty wojenne rozpoczęły bombardowanie miasta. Prowadzono rajdy nękające na pobliskie osady, farmy i wszelkie ośrodki aktywności francuskiej. Pierwszy szturm na samo miasto, przeprowadzony 31 lipca, nie powiódł się. Po tej próbie większość floty popłynęła w dół rzeki w poszukiwaniu dogodniejszego miejsca do kotwiczenia.

James Wolfe (1727–1759)

Wolfe urodził się w rodzinie zawodowego oficera, pułkownika w regimencie piechoty. James od dziecka był chorowity i cierpiał na dokuczliwe i bolesne przypadłości. Być może to właśnie wyrobiło w nim hart ducha i ogromne zdecydowanie. Cierpiał też niestety na wady charakteru, a przede wszystkim na uciążliwe dla otoczenia napady złości – czy też raczej szczerości – podczas których miał zwyczaj wytykać innym ich braki i słabości.

Po rozpoczęciu kariery w wojsku walczył z Francuzami w wojnie o sukcesję austriacką i tłumił powstanie szkockie (1745–1746). W 1748 roku awansowano go na majora – w 20. Regimencie Piechoty. Już jako pułkownik, działając w różnych rejonach Wysp Brytyjskich, w sposób niezwykle profesjonalny doprowadził swoją jednostkę do nadzwyczajnej sprawności.

Wtedy William Pitt Starszy (1708–1778), zarządzający działaniami zbrojnymi w czasie wojny siedmioletniej, wysłał bardzo obiecującego Wolfe’a do Ameryki Północnej



Ryc. 3. James Wolfe, olej J.S.C. Schaak, 1760; National Army Museum, domena publiczna.

jako „generała-majora czasu wojny”. Zalety Wolfe’a na stanowisku dowódcy sprawiły, że choć nie dowodził on wcześniej żadnymi większymi akcjami i operacjami, zostało mu powierzone zadanie najwyższej wagi – zdobycie Quebecu. Te ambitne zadanie było idealnie dobrane pod to, czym był ze swojej natury Wolfe – miał on widoczne dla przełożonych inklinacje do wielkości i sławy, a przy tym przejawiał wielką energię i zapał w realizacji swoich obowiązków. Uprzedzając zakończenie, Wolfe nie zawiódł oczekiwań. Jego błyskotliwe zwycięstwo dało mu rangę bohatera narodowego, choć uzyskaną pośmiertnie.

Desant przy klifach

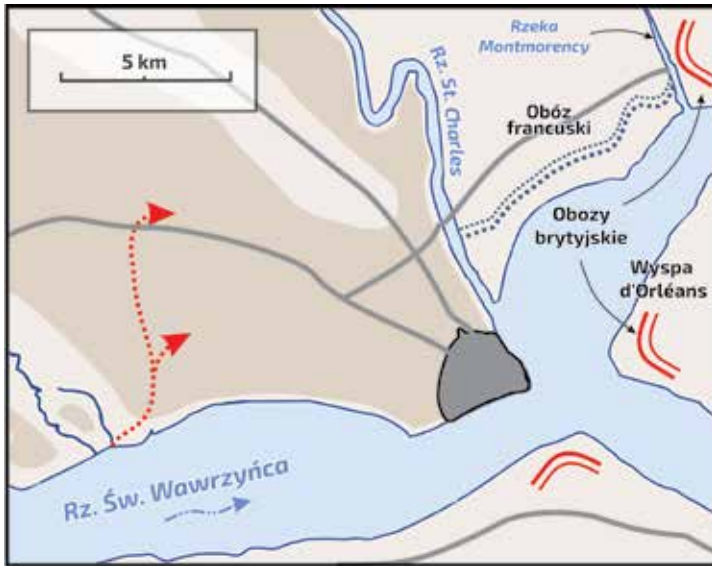
Rzeka była całkowicie pod angielskim panowaniem. Anglicy mieli więc możliwość wyboru miejsca lądowania. 10 września desantowali się u stóp wysokiego na 53 metry klifu. Co ciekawe, francuscy dowódcy dyskutowali wcześniej podatność L'Anse-au-Foulon na atak, jednak zdanie dowodzącego obroną Quebecu generała Montcalma przeważało. Uznał on, że nocny desant i wdarcie się na klif, do czego potrzebne były drabiny, nie ma szans realizacji.

Dowodzący wysuniętą obroną francuską admirał Bougainville stacjonował na przylądku Rouge. Liczne brytyjskie jednostki płynące z prądem rzeki nie były z tego miejsca widoczne. Obserwatorzy o świcie dostrzegli statki płynące rzeką, ale uznali je za własny konwój zaopatrzeniowy. Łodzie zostały zniesione przez prąd. Wielu żołnierzy dotarło do brzegu tuż przy klifach, zamiast przy początku ścieżki.

Jednostki dobijające już do brzegu zostały okrzykami. Jeden z oficerów 78. Fraser Highlanders odkrzyknął strażnikom odzew, posługując się perfekcyjną francuszczyzną. Kupił dodatkowe minuty. Pierwsi na klif wspięli się ochotnicy. Było ich dwudziestu czterech, z bagnietami zatkniętymi na swoich muszkietach. Dowodzeni przez pułkownika Williama Howe. Niepostrzeżenie podeszli oni pod obóz milicji i błyskawicznie go zdobyli.

Samej ścieżki prowadzącej od brzegu rzeki na szczyt klifów strzegł oddział teoretycznie liczący 100 członków milicji, dowodzonych przez kapitana Louisa Du Pont Duchambon de Vergora. Ale tej feralnej dla Francuzów nocy oddział liczył ponoć zaledwie czterdziestu ludzi. Reszta powróciła do domów, by uczestniczyć w zbiorach.

Zaskoczenie było całkowite. Opór garstki ludzi został przełamany i nie pomogła nawet przydzielona bateria dział. Tym samym oczyścili drogę dla reszty czekających w dole. Dowodzeni przez samego Wolfe'a, już po godzinie zaczęli,



Ryc. 4. Manewr Wolfe'a i szkicowa dyslokacja sił
stron bitwy o Quebec

zdyszani wspinaczką, wlewać się na równinę z której mieli piękny, niczym nie zasłonięty widok na miasto. Tak oto Anglicy w sile 5140 żołnierzy wydostali się na równinę i ufortyfikowali na przedpolach miasta.

Bitwa na przedpolach

Przeciw tej sile dowodzący obroną gen. Montcalm miał pod bronią 13 400 ludzi. Była to milicja, ochotnicy oraz miejscowi Indianie. Francuz popełnił kardynalny błąd – zamiast czekać na ruch przeciwnika w świetnie ufortyfikowanym mieście, wyszedł na spotkanie na otwarte pole. Co więcej, na przeciw Anglikom stanęła tylko połowa francuskich sił, bo druga połowa stanowiła odwód.

Choć Wolfe zdecydował o podjęciu frontalnego ataku, to Francuzi zaatakowali jako pierwsi. Był to błąd... uzasadniony tym, że francuski dowódca obawiał się pojawienia się na polu bitwy kolejnych sił angielskich.

Anglicy odparli francuską szarżę i ruszyli do kontrataku. Ich trzy pierwsze salwy były dewastujące – muszkiety naładowane były podwójnie. To w istotny sposób zwiększało zagęszczenie ołowiu w powietrzu. Francuzi wpadli w popłoch. Silnie kontrastowało to z dyscypliną żołnierzy angielskich, których też dotknęła strata – Wolfe został w tym czasie ranny i zmarł na polu bitwy.

Anglicy mieli otwartą drogę do ataku na francuskie odwoły, ale dowodzący nimi Pierre-François de Rigaud, gubernator generalny Nowej Francji, nakazał błyskawiczny odwrót do wnętrza miasta. Wystarczyły trzy dni ostrzału, aby Francuzi się poddali. 18 września Quebec był już w rękach Anglików.

Skutki geopolityczne

Bitwa była przełomem w zmaganiach, w których dysproporcje na poziomie strategicznym były przeogromne. Konieczność toczenia wojny sprawiała, że około 25% z 80 tysięcy mieszkańców francuskiej kolonii została powołana pod broń. Mieli oni dać odpór imperialnej sile Anglii, zasilanej przez potencjał ekonomiczny szybko rosnących w siłę kolonii na wschodnim wybrzeżu Ameryki, liczących w tamtej chwili już 1,3 miliona ludności.

Przejęcie Quebecu stało się wydarzeniem przełomowym dla konfliktu. Kierujący działaniami wojennymi Pitt już następnego roku nakazał wszelkimi metodami doprowadzić do zdobycia Montrealu, stolicy Nowej Francji. Strony podpisały traktat pokojowy trzy lata później. To w tamtej chwili Kanada stała się częścią Imperium Brytyjskiego.

□

Spostrzeżenia na wynos

A. Dostrajanie planów strategicznych do własnych możliwości

Dowodzący obroną Quebecu markiz Montcalm był niebywale trzeźwo myślącym człowiekiem. Znakomicie rozumiał uwarunkowania, tj. siły i słabości swoje oraz przeciwnika. Wiedząc o zbliżaniu się floty angielskiej, podjął dokładnie te działania, jakie były potrzebne, aby doprowadzić przeciwnika do porażki – niepowodzenia inwazji i wycofania floty. Trik był niesłychanie prosty – Quebec leży na wysokiej skarpie, która w rejonie miasta wisi nad rzeką na wysokości od 60 do 100 metrów. Zadania stron nie były symetryczne – Wolfe miał jak najszybciej zdobyć miasto, Montcalm zaś musiał przeszkadzać mu przez 3–4 miesiące, zanim nadchodząca jesień, a później zima nie zmuszą floty angielskiej i armii inwazyjnej do opuszczenia regionu.

Dla Montcalma było jasne, że w bezpośredniej konfrontacji wojska francuskie nie mają szans z angielskimi: były mniej liczne, mniej bitne i gorzej wyekwipowane. Te braki trzeba było nadrobić skrupulatnością i rozwagą w ocenie przeciwnika i śledzeniu jego ruchów.

I tak o wszystkich posunięciach angielskich obrońcy dowiadywali się od patroli indiańskich, także nawodnych. Indianie wykorzystywali niewielkie canoe, poruszali się w nich z prędkością nieosiągalną dla Anglików, by donosić o wszystkich ich ruchach.

Niezależnie od tego Francuzi metodycznie ufortyfikowali wszystkie potencjalne podejścia do miasta, w tym stworzone przez naturę przejścia przez wysokie klify. W rezultacie Anglicy stali się wielkim psiskiem, które nie miało żadnego przystępu do zwiniętego w kulę jeża. Dostęp dla armii lądowej był tylko od zachodu..., ale wyłącznie teoretyczny, gdyż Anglicy musieliby desantować się poprzez rzekę St. Charles. Ta zaś była znakomicie i aktywnie broniona przez Francuzów.

B. Błędy obrońców w czasie oblężenia miasta

Francuska artyleria na murach miasta ustawiona była do odpierania szturmów, a więc do walki na najbliższą odległość. Nie mogła one strzelać w kierunku przedpoła miasta, a więc i wspierać swoim ogniem oddziałów francuskich, które wyszły poza fortyfikacje, by przyjąć bitwę. Był to jeden z nielicznych błędów Montcalma.

Anglicy usunęli usterkę rozlokowania artylerii natychmiast po zajęciu miasta. Zmiana przydała się już następnej wiosny, gdy Francuzi wysłali liczącą 7000 żołnierzy ekspedycję mającą odbić miasto. Broniła go przetrzebiona przez choroby i głód załoga licząca 4000 ludzi. Francuzi oblegli miasto, licząc na szybkie zwycięstwo... i zawiedli się.

Modyfikacje dokonane w fortyfikacjach, połączone z brakiem artylerii po stronie francuskiej sprawiły, że rezultat angielskiego zwycięstwa z poprzedniego roku pozostał niezmieniony. ■

Raid pułkownika Doolittle 18 kwietnia 1942

Mistrz awiacji i jego natchniona wizja

Pomysł

Koncepcja ataku bombowego na japońskie ośrodki przemysłowe i stolicę w pojawił się w dyskusjach amerykańskich elit decyzyjnych już w styczniu 1942 roku. Było to zaledwie miesiąc po ataku na Pearl Harbor. Postulowany cel miał mieć wymiar fizyczny – dokonanie zniszczeń, ale przede wszystkim psychologiczny – podniesienie własnego morale i spowodowanie zaburzeń procesów decyzyjnych u przeciwnika. To ostatnie miało zmusić Japończyków do relokacji zasobów z kluczowych obszarów ekspansji do obrony Wysp Macierzystych. Skutkiem miał być także wpływ na proces decyzyjny sojuszników Ameryki oraz morale ludności cywilnej. Atak na terytorium japońskie miał przełożyć się na większe zaangażowanie obywateli Stanów Zjednoczonych w wysiłek wojenny.

Amerykańskie dowództwo chciało zaatakować Japonię bezpośrednio po ataku na Pearl Harbor. Dyrektywa Roosevelta brzmiała:

Znaleźć sposoby i środki, aby w formie nalotu bombowego przenieść do Japonii prawdziwe znaczenie wojny¹.

¹ Ang. „Find ways and means of carrying to Japan proper, in the form of a bombing raid, the real meaning of war”.

Celem zaś było

Zrobić wszystko, co w ludzkiej mocy, by podnieść morale Ameryki i jej sojuszników tak szybko, jak to tylko możliwe².

Amerykanie nie mieli jednak do dyspozycji ani lotnisk, z których mieliby w zasięgu Tokio, ani dostatecznej liczby samolotów umożliwiających taką misję. Potrzebne były lotniska zdolne obsługiwać samoloty bombowe dalekiego zasięgu. Ale bazy na Filipinach utracono, a te w Chinach nie dawały się szybko dostosować do wymogów technicznych, Sowieci zaś – walczący z niemiecką inwazją w europejskiej części swojego imperium, odmówili, powołując się na konieczność uniknięcia wojny z Japonią.

Rozwiązaniem, które wyłoniło się w sposób oczywisty, był rajd lotniskowców. Problemem tego pomysłu było to, że wystawiono by na ryzyko niezwykle cenne i nieliczne okręty będące w dyspozycji Floty Pacyfiku. Pomysł z wysłaniem z nich armijnych bombowców B-25 – mających większy zasięg – skryształizował się w czasie anglo-amerykańskiej konferencji Arcadia, która odbyła się pomiędzy 22 grudnia 1941, a 14 stycznia 1942 roku. Uczestnicy omawiali na niej między innymi sposób dostarczenia samolotów potrzebnych do wsparcia sił lądowych w czasie inwazji w Afryce Północnej. Amerykański Admirał King zaproponował, żeby lotniskowce wzięły po 80–100 samolotów bazowania lądowego, wyrzuciły je w powietrze u brzegów Afryki do zadania bojowego. Samoloty te po walce miały wylądować już na lądzie.

² Ang. „As soon as humanly possible to bolster morale of America and her Allies”.

„Specjalny projekt awiacyjny nr 1”

Planowanie

Kwestią podstawową był wybór samolotu, który mógłby wystartować z lotniskowca do misji zaatakowania Japonii z bezpiecznej dla lotniskowców odległości. Potrzebny był średni bombowiec. Stacjonujący wcześniej na Filipinach ciężki B-17 był za duży. B-18 – przestarzały. B-23 – w zasadzie eksperymentalny. Wszystkie one, podobnie jak B-17, miały też za dużą rozpiętość skrzydeł. Nowo wprowadzony do służby B-26 wymagał zbyt dużego rozbiegu. Pozostawał jedynie B-25 Mitchell... ale i to tylko przy zastosowaniu dodatkowych zbiorników i usunięciu z pokładu absolutnie wszystkiego, co było zbędne dla realizacji misji.

Już wstępne opracowania koncepcyjne wskazywały, że optymalną maszyną – o ile nie jedyną dostępną – będzie B-25. Testy przeprowadzone na lotniskowcu USS „Hornet” szybko pokazały, że choć start jest możliwy, to lądowanie tą maszyną na lotniskowcu jest w praktyce nierealne. Wynikało to z czterech aspektów:

- Zbyt wysokiej prędkości lądowania B-25, która uniemożliwiała wyhamowanie na krótkich pokładach okrętów,
- B-25 – ale też wszystkie inne z bombowców branych pod uwagę – miały trzypunktowe podwozie z goleniem na przedzie samolotu. Ten aspekt konstrukcji wyklucza możliwość doraźnej przeróbki w postaci wyposażenia samolotu w hak do lin przechwytyjących samoloty pokładowe,

- pierwotnej koncepcji zapożyczonej z narad dotyczących Afryki,
- zespół rajdowy miał głęboko spenetrować obszar operacyjny wroga, a więc wystawiony był na wykrycie i atak. Dla bezpieczeństwa lotników musiały one zawrócić natychmiast po wyrzuceniu w powietrze eskadry uderzeniowej.

Początkowo rozważano nawet wodowanie powracających samolotów w bezpośredniej bliskości okrętów zespołu. Później zamierzano skierować bombowce w rejon Władywostoku. Ten rejon musiał zostać jednak wykluczony ze względu na zobowiązania traktatowe ZSRS wobec Japonii – państwa te były w stanie neutralności. W końcu zapadła decyzja o lądowaniu w Chinach. Wytypowano lotniska w kilku prowincjach: m.in. Nanchang (南昌) i Yushan (玉山) w prowincji Jiangxi oraz Quzhou (衢州) i główne Lishui (丽水) w prowincji Zhejiang – położone 350 kilometrów na południe od Szanghaju, w prowincji Zhejiang. Amerykańskie załogi miały uzupełnić na nich paliwo i przenieść się do Chongqing, tymczasowej stolicy państwa chińskiego, by dołączyć do słynnych „Latających Tygrysów”, dywizjonu amerykańskich pilotów-ochotników.

Na jednej z konferencji w San Francisco zapadły ostateczne decyzje. Atak poprowadzić miał osobiście podpułkownik James Doolittle z USAAF, czyli Korpusu Sił Powietrznych Armii Stanów Zjednoczonych. Zespół lotników miał być dowodzony przez wiceadmirała Williama F. Halseya, który miał dowieźć bombowce do punktu oddalonego o około 1000 kilometrów na wschód od Tokio.

Doolittle

*Potrzebujemy bohatera!
politruk Daniłow
w filmie Wróg u bram (2001)*

James „Jimmy” H. Doolittle (1896–1993) był szeroko znanym mistrzem i pionierem awiacji. Swoje insygnia pilota zdobył w 1918 roku, a tytuł inżyniera cztery lata później. Był członkiem brygady lotniczej dowodzonej przez gen. Billy’ego Mitchella, która w 1921 roku dokonała skutecznej demonstracji zdolności samolotów do atakowania i zatapiania pancerników. Do jego wyczynów i osiągnięć zalicza się m.in. pierwszy przelot przez całe USA w czasie poniżej 24 godzin.

Równocześnie z realizacją doktoratu z zakresu aeronautyki na MIT, jako jeden z pierwszych Doolittle oblatywał dla armii nowo konstruowane samoloty. Owocem tego połączenia było jego bodaj najbardziej przełomowe osiągnięcie. Doolittle do 1929 roku stworzył podwaliny pod loty bez widoczności, wyłącznie za pomocą przyrządów. Te przełomowe dokonanie pozwoliło samolotom latać w nocy i przy złej pogodzie.



Później Doolittle został „podkupiony” armii przez giganta naftowego Shell. W okresie lat trzydziestych stał się promotorem paliwa stuoktanowego. Już w czasie wojny, w czasie bitwy o Wielką Brytanię, dawało ono alianckim maszynom osiągi niedostępne dla maszyn niemieckich – przemysł petrochemiczny III Rzeszy nie był w stanie produkować tak dobrego paliwa. Po powrocie do armii w 1940 roku Doolittle nadzorował przestawienie się producentów samochodów na produkcję samolotów, a następnie pracował w sztabie lotnictwa w Waszyngtonie.

Posiadanie takiego doświadczenia zawodowego sprawiło, że nie było niczym dziwnym, iż został wybrany do nadzorowania przygotowań do rajdu na Tokio. Jego obowiązkiem miało być wytrenowanie pilotów oraz odpowiednie przygotowanie maszyn do lotu. Ale Doolittle, niespokojna dusza, wymógł na przełożonych powierzenie mu dowodzenia całą akcją.

Doolittle był wręcz idealnym kandydatem na dowódcę eskadry mającej zaatakować miasta na Wyspach Macierzystych Japonii. Liczyła się nie tylko jego nadzwyczajna wiedza o lotach długodystansowych, ale i jego sława – była ona mnożnikiem poszukiwanego przez Roosevelta i wojskowych wzmocnienia morale zarówno wśród personelu wojskowego, jak i cywilów, którzy na skutek wojny zostali poddani szeregowi ograniczeń i zmuszeni do wyrzeczeń.

Wybór celów i pory dnia

Planiści rozważali trzy warianty:

- start o zmierzchu, atak w nocy, lądowanie o świcie – w tym wariantcie samolot dowodzony przez samego Doolittle’a miał pełnić rolę pathfindera i wystrzelić nad Tokio flary naprowadzające resztę samolotów. Ten wariant oferował największe zaskoczenie i bezpieczeństwo, ale wiązał się z pogorszeniem celności (brak możliwości identyfikacji celów przez bombardierów),
- atak przy pierwszym brzasku – pozwalał na uzyskanie maksymalnie dużego zaskoczenia, a także dawał największe bezpieczeństwo zespołowi marynarki, z którego start miał nastąpić około 3 godziny przed świtem,

- atak w środku dnia – pozwalał na zwiększenie celności i dołot do miejsc lądowań po zmroku, jednak narażał bombowce na akcję artylerii przeciwlotniczej.

Pałac Cesarski miał być oszczędzony, o czym zadecydowano na najwyższym szczeblu. Była to kwestia morale – atak na osobę cesarza mógł doprowadzić do wywołania u Japończyków żądzy odwetu. Sam Doolittle sprzeciwiał się atakowi na Pałac Cesarski z uwagi na jego wartość historyczną i religijną.

Ostatecznie wszystkie elementy planu – łącznie z zezwoleniem Doolittle’owi na uczestnictwo w rajdzie – zatwierdzono 17 stycznia. Prace nad przygotowaniem maszyn i ludzi ruszyły 23 stycznia.

Przygotowania

Do rajdu wyznaczono 24 samoloty 17. Grupy Bombowej, z których do akcji z pokładu „Horneta” finalnie wysłano 16. Zainstalowano na nich dodatkowe zbiorniki paliwa i usunięto wszystko, co stanowiło niepotrzebne obciążenie zwiększające spalanie. Karabiny maszynowe w ogonach maszyn zastąpiono pomalowanymi na czarno kijami, co miało mieć efekt odstraszający w przypadku napotkania myśliwców przeciwnika.

Trening rozpoczęto w marcu 1942 roku. Załogi oczywiście nie znały celu misji. Szczególnym elementem szkolenia były krótkie starty po niespełna dwustumetrowym rozbiegu, szlifowane na lotnisku Eglin Field na Florydzie.

Pierwotnie „Hornet” miał wysłać bombowce do rajdu w odległości 500 mil od celu. Później dystans przesunięto na 400 mil, z granicą maksymalną na 650 mil. Do lotnisk w Chinach było kolejne 1200 mil³. Planiści wyliczyli,

³ Odpowiednio 800 i 1900 km.

uwzględniając czynniki takie jak pogoda i margines bezpieczeństwa, startujące z „Horneta” samoloty powinny być zdolne do przelecenia 2400 mil.

Szkolenie załóg pod nadzorem Doolittle’a trwało około miesiąca, do 25 marca. Samoloty wraz z załogami przebazowano na lotnisko Alameda, pod San Francisco. Trasę pokonały 22 maszyny z 24 – dwie uległy uszkodzeniu.

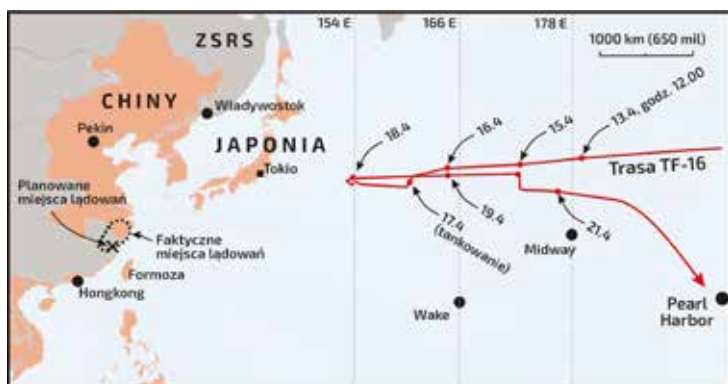
Samoloty załadowano na „Horneta” w dniach 31 marca – 1 kwietnia. Stamtąd okręt wypłynął bezzwłocznie, zmierzając na miejsce spotkania z drugim lotniskowcem należącym do zespołu – USS „Enterprise”. Poza nim w skład Task Force 16 weszły krążowniki USS „Nashville”, „Northampton”, „Salt Lake City” i „Vincennes”, niszczyciele i jednostki zaopatrzeniowe.

Udział okrętów podwodnych

Jeszcze w fazie planowania dwa okręty podwodne – USS „Trout” i USS „Thresher” – zostały wysłane wcześniej z zadaniem patrolowania zachodnich wybrzeży Wysp Japońskich. Zbierały dane o pogodzie i obecności nieprzyjaciela, robiąc to jedynie za pomocą peryskopów.

Obydwa okręty przy okazji zbierania informacji meteorologicznych atakowały żeglugę przybrzeżną. Szczęście dopisało „Thresherowi”, gdy 10 kwietnia w okolicy Jokohamy, a więc w samej Zatoce Tokijskiej, zatopił frachtowiec o wyporności 5000 ton. Zapłacił za to uszkodzeniami po ataku bombami głębinowymi, ale było warto.

Zespół amerykański zdołał wyłączyć z gry sporą część japońskiej sieci dozoru. Do tego wyprowadził cios w japońskie morale – Amerykanie w sposób zupełnie swobodny operowali w obszarze teoretycznie kontrolowanym przez Japonię i ani lotnictwo, ani flota nie były w stanie temu przeciwdziałać.



Ryc. 2. Szkic orientacyjny trasy rejsu zespołu TF-16 oraz miejsca lądowań samolotów rajdu Doolittle'a. Czerwone punkty: pozycja zespołu w południe kolejnych dni rejsu.

Japończycy nie gęsi, a własny nastuch mają...

Japończycy, podsłuchując komunikację radiową floty amerykańskiej, wydedukowali już 14 kwietnia, a więc cztery dni przed dniem rajdu, że możliwy jest wrogi wypad bombowy na Wyspy Macierzyste. Do przechwycenia Amerykanów przygotowano m.in. zgrupowanie około 80 średnich bombowców, przebazowanych w rejon Kanto. Stawką było zatopienie amerykańskich lotniskowców. Japończycy nie wiedzieli, że w akcji wezmą udział dwa, czyli połowa tego, czy Amerykanie dysponowali w tamtym okresie wojny.

Do wykrycia nadpływających jednostek nieprzyjaciela Japończycy posłużyli się wyposażonymi w aparaturę łączności radiowej trawlerami rybackimi. Amerykański zespół TF-16 napatoczył się na jedną z nich – łódź nr 23 „Nitto Maru” o świcie 18 kwietnia. Miejsce kontaktu było oddalone od Tokio o 650 mil morskich. Było to o 250 mil dalej od celu niż miejsce wyznaczone pierwotnie, ale wciąż mieściło się w zasięgu.



Ryc. 3. Jeden z B-25B startuje z „Horneta”, 18 kwietnia 1942.

Źródło: archiwa USS Army (80-G-41196), domena publiczna.

W powietrzu było też 29 średnich bombowców Mitsubishi G4M z [eskadry] 26. Kōkū Sentai, uzbrojonych w torpedy i eskortowanych przez 24 myśliwce, wszystkie z dodatkowymi zbiornikami. I one poszukiwały TF-16. Czułość Japończyków wynikała z tego, że Amerykanie w lutym i marcu zrealizowali podobne naloty na wyspy Wake i Marcus, a także na cele na Wyspach Marshalla i Gilberta.

Tym, czego Japończycy nie włączyli do swoich kalkulacji, było zastosowanie bombowców armijnych, mających większy udźwig bomb i zasięg niż samoloty pokładowe. Japońscy planiści zakładali więc, że punkt startu będzie oddalony o zaledwie 200 mil od wybrzeży Japonii. Przyjęto też, że rajd rozpocznie się 19 kwietnia.

Start z „Horneta”

Pierwszy kontakt radarowy z nieprzyjacielem nastąpił 18 kwietnia o 3:10 w nocy. Okręty zmieniły kurs na północny, co pozwoliło oddalić się od niezidentyfikowanych jednostek. O 4:15 zniknęły one z amerykańskich radarów.

A wtedy nastawał już świt i „Enterprise” o godzinie 5:08 zainicjował rutynowe patrole powietrzne obszaru na kursie zespołu.

Pierwotnie wyliczono, że samoloty bezpiecznie osiągną docelowe lotniska, jeśli wystartują w odległości 550 mil od celu. Jednak napatoczenie się na japońskie dozorowce sprawiło, że dystans do celu wzrósł do 620 mil. Do dystansu granicznego brakowało zaledwie 30 mil. Reszta marginesu bezpieczeństwa zużyła się w wyniku oddziaływania niekorzystnego wiatru, który wiał od strony Japonii z prędkością 23 węzłów, w porywach dochodząc do 29 węzłów.

Zaletą tej sytuacji było jednak to, że „Hornet” nie musiał manewrować do wyrzucenia w powietrze samolotów – samoloty startują z lotniskowców zawsze pod wiatr i przy maksymalnej prędkości okrętu. O godzinie 8:03 okręt przyspieszył do 22 węzłów. O 8:20 pierwszy samolot, pilotowany przez samego Doolittle’a, uniósł się w powietrze. O 9:21 wzniosła się ostatnia z maszyn i TF-16 natychmiast wszedł na kurs powrotny.

Celami były Tokio, Jokohama, Kobe, Nagoya i Osaka. Wybrano cele ściśle wojskowe i przemysłowe. Każdy z samolotów miał wyznaczone cele główne i zapasowe. W przypadku Tokio była to m.in. zatrudniająca 3000 pracowników Nippon Electric Company, produkująca sprzęt telekomunikacyjny dla wojska. Dodatkowo Doolittle zdecydował, że najlepiej będzie atakować każdy cel w szerokiej formacji. Intencją było sprawienie wrażenia, że atakująca armada jest znacznie liczniejsza niż w rzeczywistości. By zmaksymalizować zniszczenia, samoloty przenosiły tylko bomby burzące.

W trakcie startu zespołu Doolittle’a samoloty z lotniskowca „Enterprise” nie próżnowały. Rozprawiły się z japońskimi dozorowcami, a później uszkodziły krążownik

pomocniczy „Awata Maru”. Jednostka, która nadała ostrzeżenie o amerykańskim zespole, została najpierw uszkodzona przez samoloty startujące z „Enterprise”, a potem zatopiona ogniem lekkiego krążownika „Nashville”.

Atak

Dolot zabrał bombowcom 4 godziny. Samoloty pojawiły się w polu widzenia całego szeregu japońskich jednostek, z których jedną zidentyfikowano jako lekki krążownik. Nadał on ostrzeżenie o samolotach wroga lecących w kierunku Wysp Japońskich. Ale ani konfrontacja z „Nitto Maru”, ani te liczne kontakty wzrokowe nie postawiły na nogi japońskiego systemu obrony przeciwlotniczej. W końcu posterunek obserwacyjny w pobliżu Mito, 110 kilometrów od Tokio, dostrzegł samoloty i wszczął alarm przeciwlotniczy, ale wtedy Amerykanów od celów dzieliły minuty. Zanim potężna machina systemów obrony została wybudzona z letargu, bomby trafiały już w swoje cele! Zaskoczenie było zupełne.

Cele to Tokio, Yokosuka, Yokohama, Kobe i Nagoya. Jeden z atakujących bombowców uszkodził lotniskowiec Ryuhō w Yokosuka.

Japońskie przeciwdziałanie

Japoński system wczesnego ostrzegania opierał się na posterunkach obserwacyjnych, wyposażonych w telefony lub radia. Ich słabym punktem były nikłe zdolności rozpoznawania maszyn przeciwnika, co upośledzało cały system. Na początku 1942 roku system zaczęto rozbudowywać o stacje radarowe, ale japońskie urządzenia tego typu były prymitywne. Ich wiązka radiolokacyjna była na stałe skierowana w jeden punkt, nie mając możliwości zmiany kierunku, więc były w stanie wykryć obiekty wyłącznie

wtedy, gdy wleciały one bezpośrednio w jej zasięg. Złapanie czegoś graniczyło więc z cudem.

Ogień przeciwlotniczy był słaby, podobnie jak akcja przypadkowo płaczących się po niebie myśliwców. Żaden z Mitchellli nie został zestrzelony. Kilka odniosło lekkie uszkodzenia, które nie przeszkodziły im w wejściu nad cel czy ucieczce. Tylko jedna maszyna zrzuciła bomby przed celem, zmuszona do tego przez atak myśliwca.

Jak się okazało, wcześniejszy start samolotów umożliwił lotniskowcom US Navy bezpieczny odwrót, chociaż Japończycy wysłali za TF-16 jedenaście okrętów podwodnych z 3. i 8. Dywizjonu, oraz zespół lotniskowców wracający z Oceanu Indyjskiego do Japonii. Obliczenia dokonane już po rajdzie wykazały, że gdyby Amerykanie podpłynęli bliżej i zostali wykryci, mogliby zostać przechwyceni przez „Akagi”, „Soryu” i „Hiryu”, a w rezultacie, przy korzystnej konfiguracji zdarzeń, zniszczeni. Japończycy bezskutecznie szukali Amerykanów do 24 kwietnia.

Dolot do Chin

Obsługa chińskich lotnisk, na których miały lądować maszyny lecące znad Japonii, rozpoczęła ich nocne oświetlanie już 10 kwietnia. Zapalano uzgodnioną ilość pięciu flar po obu krawędziach pasa oraz kolejne pięć po zawietrznej (na kierunku, w którym wieje wiatr). Przedwczesne rozpoczęcie tych czynności było działaniem zapobiegawczym i utrudniało przy tym Japończykom określenie terminu rajdu. Faktycznie, samoloty przyleciały przed planowanym terminem – do wcześniejszego startu dołożyło się też złe obliczenie dat dziennych. Amerykański zespół, płynąc w stronę Japonii, przekroczył przecież linię zmiany daty! Na okrętach połapano się w pomyłce, ale z uwagi na nakaz ciszy radiowej zrezygnowano z przesyłania komunikatu do Pearl Harbor, nawet już po wysłaniu samolotów.

Po realizacji ataku bombowce skierowały się na zachód i dopiero nad morzem skrzyły w kierunku lotnisk docelowych. Problem stanowiła bardzo zła widoczność w obszarze docelowym. Mimo sprzyjającego wiatru popychającego samoloty, załogi dziesięciu z nich musiały opuścić maszyny z asystą spadochronów nad lądem, a kolejnych czterech nad morzem. Jeden z bombowców doleciał do Władywostoku i jego załoga została internowana. Dwie załogi dostały się do japońskiej niewoli. Trzech z lotników, zmuszonych do przyznania się do ataku na cele cywilne, zostało straconych. Japończycy nie ustawali w poszukiwaniach amerykańskich pilotów przez trzy miesiące, łącznie przetrząsając obszar 50 tysięcy kilometrów kwadratowych.

Japończycy zastosowali też represje wobec chińskiej ludności cywilnej, acz ich skala i skutki są niemożliwe do weryfikacji. Chiński przywódca Czang Kaj-szek poinformował amerykańskiego prezydenta, że skutkiem rajdu było zgładzenie około 250 tysięcy Chińczyków i zajęcie przez armię japońską obszarów, które mogły w przyszłości posłużyć do powtórzenia rajdu.

Efekty rajdu

Zniszczenia, jakich dokonały amerykańskie bomby, były symboliczne w wymiarze materialnym, ale przeogromne w wymiarze morale. Jedynym celem stricte wojskowym, którego porażenie potwierdzono jeszcze w trakcie nalotu, było trafienie przebudowywanego lekkiego lotniskowca „Ryūhō”. Nalot stał się dla Japończyków podstawą do wyciągnięcia wniosku, że należy zrealizować operację wywabienia amerykańskich lotniskowców do walnej bitwy poprzez zaatakowanie Midway.

Pierwsze informacje o skutkach rajdu były niejasne i nie napawały optymizmem. Wszystkie uczestniczące w rajdzie maszyny – ta wiadomość dotarła – zostały utra-

cone. Było wiadomo, że akcja zaskoczyła Japończyków, ale brak było jakichkolwiek informacji na temat skali wyrządzonych zniszczeń. Jeszcze 21 kwietnia amerykański prezydent wyrażał swój zawód i niezadowolenie. Nawet jeśli sam atak powiódł się na poziomie taktycznym i w swoim skutku na morale amerykańskiego społeczeństwa, strata wszystkich samolotów była dotkliwa (w tamtym momencie nie znany był los załóg).

Ale gdy załogi się odnalazły, we wszystkich natychmiast wstąpiła duma z osiągnięcia, a machina propagandowa ruszyła z pozytywnym przekazem. Dowaliliśmy Japończykom!

Doolittle natychmiast zyskał rangę bohatera narodowego. Dowództwo w trybie natychmiastowym awansowało go do rangi generała brygady. Krótco potem otrzymał Medal Honoru – jako jeden z nielicznych w historii tego odznaczenia, nie zapłacił za to wyróżnienie życiem. Wszyscy lotnicy uczestniczący w rajdzie otrzymali Distinguished Flying Cross (Zaszczytny Krzyż Lotniczy). Załogi zostały też odznaczone przez rząd chiński.

Jednym z dalekosiężnych skutków rajdu było to, że Japończycy zdecydowali się wzmocnić nasycenie swoimi siłami centralnej części kontrolowanych przez siebie obszarów, zwłaszcza Wysp Macierzystych. Osłabiło to impet, z jakim działali w rejonie Australii.

Tym bardziej stało się dla Japończyków pilne, aby doprowadzić do walnej bitwy lotniskowców. Tymczasem niektórzy amerykańscy dowódcy obawiali się rajdu odwetowego na zachodnie wybrzeże Stanów. □

Spostrzeżenia i porady na wynos

A. „I don't give you enough information to think”⁴

Operacje wojskowe z jednej strony wymagają zachowania ścisłej tajemnicy, a z drugiej wyznaczeni do ich realizacji powinni znać ich cel strategiczny, by móc dokonywać bieżących korekt w sposób, który nie doprowadzi do zaprzepaszczenia wysiłku. Takie myślenie jest wbudowane na poziomie strukturalnym w doktrynę działania współczesnych jednostek elitarnych i w koncepcję „mission-objective”.

Zbalansowanie tej kwestii to wieczny i nierozwiązywalny paradoks. W przypadku rajdu Doolittle’a przejawiała się ona w sposób bardziej zabawny, niż groźny. Gaźniki w silnikach wszystkich B-25 zostały specjalnie dostrojone do potrzeb lotu w ten sposób, by uzyskać maksymalną oszczędność paliwa. Modyfikacji dokonano pod nadzorem najbardziej kompetentnej osoby – samego Doolittle’a.

Podczas przebazowania bombowców z Florydy do Kalifornii zostały one poddane przeglądowi technicznemu w Sacramento. Ale technicy w Sacramento nie wiedzieli o przeznaczeniu zmian – ataku na Tokio. Przywrócili więc ustawienia standardowe gaźników, a niektóre – te fizycznie zmodyfikowane – wymienili na fabrycznie nowe. Szczęśliwie jeden z pilotów rajdu zorientował się w tej „naprawie”

⁴ Ang. „Nie daję ci dość informacji, żebyś myślał”. Trawestacja kwestii z bardzo znanego filmu hollywoodzkiego (zob. aneks na końcu książki)

i w porę udało się wszystko przywrócić do poprzedniego stanu.

Problem ma wymiar psychologiczny i wymaga wykształcenia specyficznej mentalności na prawie całym łańcuchu hierarchii, przez który przepływają polecenia służbowe. Ludzie popadają w wyuczoną bezradność, „zwykłą” bierność lub stawiają bierny opór w sytuacji, w której nie są informowani o celu, dla osiągnięcia którego realizują czynności, a w organizacjach militarnych – narażają swoje życie.

B. Podnieść rękę na cesarza?

Toczący geopolityczne rozgrywki władcy wielkich mocarstw cieszą się immunitetem podobnym do figury króla w szachach – spadają z planszy wyłącznie w sytuacji, gdy osobiście uczestniczą w działaniach zbrojnych. Przykładami najlepiej znanymi są dwukrotnie zsyłany na odległą wyspę Napoleon oraz szwedzki król Gustaw II Adolf, zabity pod Lützen kulą muszkietową.

Rozpatrując kwestię uśmiercenia wrogiego władcy w kategoriach racjonalności, należy brać pod uwagę dwa czynniki. Władca, zwłaszcza charyzmatyczny, może być (i zwykle jest) centralnym węzłem decyzyjnym całego wysiłku wojennego swojego państwa. Zabicie lub pojmanie go może w takiej sytuacji prowadzić do natychmiastowego zwycięstwa. Ale może być też odwrotnie, stąd planując raid na Tokio, Amerykanie całkiem słusznie obawiali się, że zagrożenie życia cesarza – istoty boskiej, zgodnie z panującą do 1945 roku doktryną – mogłoby napędzić Japończyków wręcz nadludzką determinacją i kulturowo uwarunkowaną potrzebą wywarcia zemsty. Na początku 1942 roku Amerykanie, mając przed sobą pokonanie nie tylko Japonii, ale i Niemiec, nie mogli sobie na to pozwolić.

Jednak zabicie, a nawet wzięcie na celownik japońskiego cesarza mogło też mieć, za przeproszeniem, korzystne skutki. Mogłoby doprowadzić do tego, że rządni zemsty Japończycy przestaliby działać racjonalnie, będąc powodowani w swoich decyzjach i akcjach potrzebą uratowania twarzy i honoru. Jest to stan ze wszech miar pożądany! Przypomnijmy tylko правило sformułowane w 36 *fortelach*:

**Przeciwnik ma dobierać taktykę i działania według
wymogów dyktowanych przez inne względy niż
logika bezpośredniego pola walki.**

Ludzie – niezależnie od kultury, w której zostali zaprogramowani – reagują bardzo silnie na kwestie utraty rangi czy prestiżu. A Japończycy z ich kulturą honoru są kazuśsem skrajnym. Zagrożenie osobistego bezpieczeństwa osoby cesarza mogłoby doprowadzić do poważnych perturbacji w ich strukturach władzy i relacjach między różnymi frakcjami i grupami interesów, które zaangażowane były w wysiłek wojenny.

Osobą, która perfekcyjnie rozumiała japońską mentalność, był gen. Douglas MacArthur. Byłoby nadzwyczaj interesujące usłyszeć jego szczerą opinię o pomysłach zbombardowania Pałacu Cesarskiego w Tokio, choćby tylko bombami ćwiczebnymi. Nam pozostaje przypuszczać, że w korzystnych okolicznościach mogłoby to doprowadzić do skłócenia rozmaitych sił politycznych i stać się odpowiednikiem wrzucenia granatu do małpiarni. ■

Kanał Sueski to nie problem!

„Mistrzowski” ruch egipsko-sowiecki
w czasie wojny Jom Kipur 1973

Sytuacja przed wojną

Po zakończeniu wojny sześciodniowej¹ Izrael zajął pustynię Synaj. Uczynił z niej swoją strefę buforową, której potrzebował, nie rozpaczliwie, a egzystencjalnie. Ale siłą rzeczy Izrael rozgościł się nad brzegiem Kanału Sueskiego, uniemożliwiając jego działanie, a Egiptowi – czerpanie z tego profitów. Był to bardzo niestabilny stan spraw i obie strony całkowicie otwarcie szykowały się do kolejnej wojny. Już w następnych dwóch latach toczyła się tzw. wojna na wyczerpanie (patrz niżej), której *de facto* kontynuacją była wojna Jom Kipur.

Izrael związany był geopolitycznie rozmaitymi utrudnieniami. Uzależnienie od dostaw amerykańskiej broni i wsparcia finansowego sprawiało, że musiał liczyć się ze zdaniem ówczesnych władz w Białym Domu. Przesłanie było proste: Izrael nie może być odpowiedzialny za wszczęcie kolejnej wojny na Bliskim Wschodzie, choćby nawet z wojskowego punktu widzenia był to w pełni uzasadniony atak wyprzedzający. Nie mogło być drugiej wojny sześciodniowej, którą Izrael wszczął prewencyjnie.

¹ 5–10 czerwca 1967, zob. [#PG II.11](#).

Egipskie dylematy i cele na poziomie strategicznym

Egipt miał ambicje odzyskać teren o głębokości 250 kilometrów, sięgający Strefy Gazy, który utracił w wyniku porażki w wojnie sześciodniowej. Ta strata była potężnym ciosem w prestiż egipskich decydentów politycznych oraz wojskowych, dotkliwym wizerunkowo zwłaszcza w świecie państw arabskich. Jeszcze bardziej dotkliwa była sprawa Kanału Sueskiego – żegluga tamtędy została zamknięta. Egipt dostał więc cios w drugie najboleśniejsze miejsce po prestiżu – po kieszeni.

Kolejnym problemem było wystawienie kraju na atak izraelski. Cały półwysep Synaj w 1967 roku przestał być egipską, a stał się izraelską strefą buforową. Egipskie centra populacyjne były narażone na niespodziewany atak, co było nie do zaakceptowania dla reżimu Nasera, tak jak wcześniej było nie do zaakceptowania dla strony izraelskiej. Należy pamiętać, że w latach 1967–1970 toczyła się tzw. wojna na wyniszczenie. W jej trakcie komandosi IDF zapuszczali się głęboko na teren wroga, a lotnictwo uderzało co i raz w infrastrukturę cywilną i wojskową, na co Egipt nie miał jak odpowiedzieć. Dopiero otrzymane pod koniec tego okresu od Sowietów systemy rakiet ziemia-powietrze strąciły na tyle dotkliwą dla IDF liczbę samolotów, że armii egipskiej udało się przyhamować agresywną aktywność przeciwnika.

Izraelski plan obrony²

Wypracowana na początku lat 70. izraelska strategia obrony Synaju opierała się na wykorzystaniu miażdżącej przewagi w lotnictwie i broni pancernej. Kluczowe elementy systemu obrony to Kanał Sueski i wzniesiony

² Ta i następna sekcja tekstu na podstawie: Dani Asher, *The Egyptian Strategy for the Yom Kippur War. An Analysis*, Jefferson 2009.



Ryc. 1. Izrael, pustynia Synaj oraz Kanał Sueski w przededniu wybuchu wojny Jom Kipur.

zaraz za nim pas umocnień i fortów, noszący nazwę linii Bar-Lewa³. Po zakończeniu wojny sześciodniowej wywiad izraelski ocenił, że Egipt podejmie próbę odzyskania Synaju w ciągu trzech lat. Generał major Yariv trafnie odgadł, że Egipt ograniczy swoje ambicje do zajęcia jedynie części półwyspu.

³ Nazwa pochodzi od nazwiska szefa Sztabu IDF generała porucznika Chaima Bar-Lewa, który objął stanowisko 1 stycznia 1968 roku.

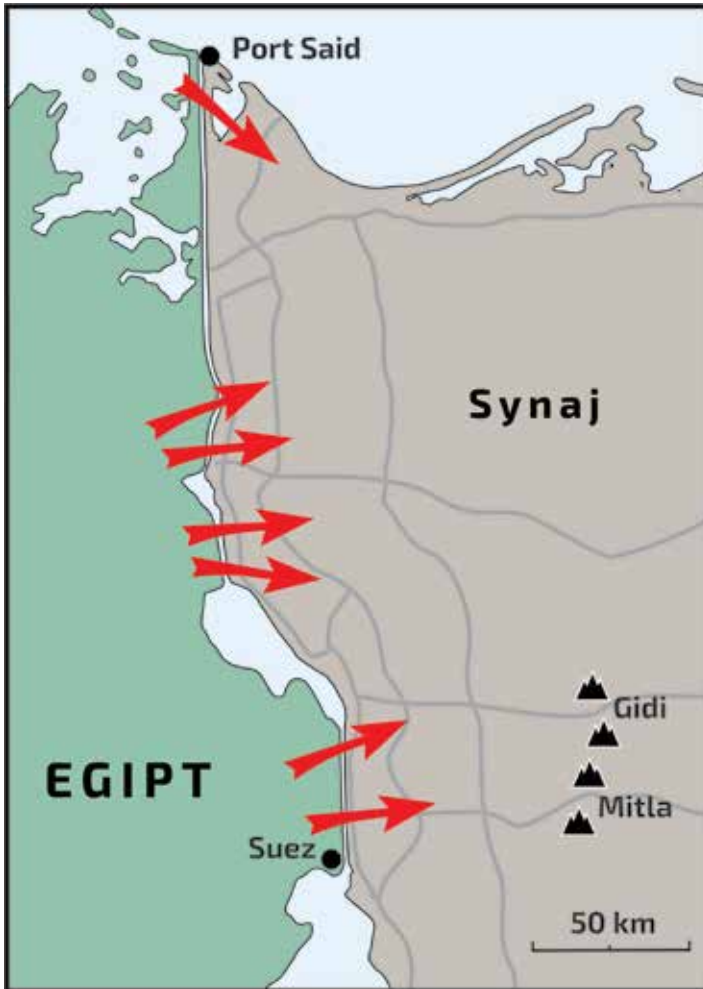
IDF zabrał się za realizację planu obronnego „Sela”. Plan przyjmował założenie, że armia egipska podejmie próbę przekroczenia kanału w jego najpłytszych miejscach, w pobliżu izraelskich dróg. W bliskości tych rejonów podjęto budowę umocnionych garnizonów, zdolnych pomieścić brygadę piechoty i pewną liczbę czołgów każdy. Szybko jednak uznano, że takie długotrwałe stacjonowanie pochodzących z poboru żołnierzy, równające się wystawianiu ich na atak, mija się z celem i naraża ich na wysokie straty w przypadku ataku z zaskoczenia, poprzedzonego silnym przygotowaniem artyleryjskim.

Ostatecznie odrzucono takie „pozycyjne” podejście i zbudowano elastyczny system odwodów zdolnych do błyskawicznego przemieszczenia i kontrataku w najbardziej zagrożonych miejscach. Izraelczycy oparli więc obronę o czas swojej reakcji. Wszystko, co rozlokowali przy kanale i na linii Bar-Lewa, miało kupić cenne minuty na mobilizację zarówno w rejonie przylegającym do Kanału, jak i w głębi Izraela. Dlatego właśnie także Egipcjanie z pełną determinacją szukali pomysłu na zaoszczędzenie każdej minuty.

IDF budował systemy rozpoznania elektronicznego i punkty obserwacyjne. Pierwotnie miało to być dwadzieścia stanowisk rozrzuconych co 10 kilometrów, zwłaszcza w rejonach typowanych jako miejsca pierwszych walk – Kantarze, Ismalii, Firdanie nad kanałem oraz przełęczach Mitla i Gidi, leżących 30 kilometrów w głąb półwyspu.

Generał Bar-Lew nakazał budowanie dodatkowych umocnień, wzorowanych na umocnionych posterunkach chroniących wioski na pustyni Negew. Takie posterunki budowano pod koniec lat czterdziestych, co było częścią przygotowań do przewidywanej agresji arabskich sąsiadów po proklamacji powstania Izraela.

Mobilność sił szybkiego reagowania miały zapewnić biegnące równolegle do kanału dwie drogi, oddalone od



Ryc. 3. Uproszczony schemat ataku egipskiego.

niego o 10 i 30 kilometrów (odpowiednio „Artillery Road” oraz „Lateral Road”). Ta bliższa pozwalała na błyskawiczną koncentrację czołgów na zagrożonych odcinkach i wspieranie obrony na kierunkach egipskiego ataku. Ta dalsza pozwalała na elastyczne manewrowanie wszystkimi

jednostkami rzuconymi do hamowania postępów armii egipskiej oraz tych, które miały wykonać kluczowy manewr obronny – kontratak.

Najgłośniejszym orędownikiem odejścia od sztywnego systemu na rzecz odwodów manewrowych był major generał Tal. Twierdził on, całkowicie słusznie, że wysunięte garnizony będą w stanie odeprzeć jedynie ograniczony atak, a potężne egipskie uderzenie musiało być zahamowane i odrzucone poprzez kontratak wyprowadzony z głębi Synaju. Generalnie linię rozumowania strony izraelskiej dałoby się opisać tak: „Moglibyśmy wpuścić 500 czołgów przeciwnika na Synaj, a potem je zniszczyć. Ale nie takie są cele wojny. Naszym celem nie jest zniszczenie 200 czołgów⁴, ale utrzymanie się po tej stronie kanału. Nie powinniśmy obstawać przy utrzymaniu walk na linii wody. Nie powinniśmy tego oczekiwać od naszych ludzi. To, co tam mamy, ma pełnić funkcję potykacza, dając nam informację, że atak się rozpoczął. O zwycięstwie zdecyduje skoncentrowanie naszych wojsk we właściwym miejscu i ich maksymalna mobilność potrzebna w kontrataku”.

Niejako równolegle realizowano wysiłki oparte na innej linii rozumowania. Jicchak Hofi, jeden ze sztabowców, wskazał na bezsensowność fortyfikowania brzegów kanału na całej długości – twierdził, że należało się skupić na najbardziej zagrożonych miejscach. Tak właśnie narodziła się linia Bar-Lewa, zgodna z wytyczną strategiczną, którą sam generał Bar-Lew określił jako proste „Naszym celem jest siedzieć na brzegu i uniemożliwić Egipcjanom zrealizowanie jakichkolwiek zysków terytorialnych”. Był on przekonany, że wycofanie się Żydów choćby o 20 kilometrów w głąb pustyni przeciwnik wykorzysta do podciągnięcia swoich czołgów i artylerii, a następnie narzucenia bitwy, w której warunki terenowe nie będą już sprzyjały obrońcom. Taki pomysł na obronę był zgodny z ogólną linią geo-

⁴ Dosłowny cytat za źródłem.

polityczną – że celem było nie zniszczenie armii egipskiej, ale zachowanie kontroli nad terytorium.

Wojna na wyniszczenie

W marcu 1969 roku bywały dni, w których Egipcjanie wystrzelili nawet 40 tysięcy pocisków artyleryjskich. Ilość potyczek granicznych rosła lawinowo. W marcu było ich 140, a w kwietniu już 570. Obie strony organizowały też rajdy na terytorium przeciwnika.

Linia kanału w sposób nieunikniony prowokowała obustronną eskalację. Ale paradoksalnie, jak stwierdził celnie generał Bar-Lew: „nie dawało się ustabilizować dogodniejszej linii granicznej innej niż Kanał Sueski”.

Izrael bez ceregieli używał kwestii otwarcia kanału dla żeglugi do rozgrywek na poziomie dyplomatycznym. Równolegle armia miała utrzymać przy nim swoją obecność m.in. po to, aby Egiptowi nie udało się go udrożnić i uczynić go ponownie źródłem finansowania swojej gospodarki i armii. Było to więc w sprzeczności z zawieszeniem broni, które weszło w życie w sierpniu 1970 roku. Uzgodniono zawieszenie broni, a Izrael deklarował zamiar wycofania się z kanału.

Obie strony siłą i prawem kaduka próbowały wymusić korzystny dla siebie stan końcowy. Egipt łamał warunki zawieszenia broni, Izrael forsował zaś rozwiązanie, w którym linia zawieszenia broni przebiegałaby przez środek kanału, a nie wzdłuż jego wschodniego brzegu. Na linii zawieszenia broni, jak to zwykle bywa, nikt nie odwieżał broni na kołek.

Egipskie plany wojenne

Doktryna militarna obowiązująca w egipskiej armii bazowała na przekonaniu, że zwycięstwo osiąga się wyłącznie poprzez atak. Obrona w takiej myśli był więc stosowana jedynie czasowo i stosowana wyłącznie z konieczności.

W marcu 1968 roku Mohamed Heikal, zajmujący się pisaniem wypowiedzi Nassera, opublikował doktrynę odzyskania kanału, podsumowawszy ją słowami: „co zostało zabrane siłą, siłą zostanie przywrócone”⁵. Wojna na wyniszczenie wybuchła we wrześniu 1968 roku. Jej początkiem był silny ostrzał artyleryjski żołnierzy izraelskich na wschodnim brzegu kanału. Odpowiedzią było zbombardowanie instalacji rafineryjnych w Suezie oraz szereg akcji sił specjalnych, wymierzonych w infrastrukturę przemysłową i energetyczną. W obliczu tak silnej odpowiedzi Egipcjanie wygasili swoje działania.

Plan egipski i wykorzystanie sowieckiej doktryny

Dani Asher w swoim opracowaniu stwierdza z przekonaniem, opierając się na porównaniu dostępnych materiałów sowieckich i egipskich, że wiedzę niezbędną do przeprowadzenia operacji przekroczenia kanału Egipcjanie zaczerpnęli z sowieckich podręczników i regulaminów. W przekonaniu Ashera sowieckie opracowania przełożono na język arabski, a następnie dostosowano do możliwości i potrzeb sił egipskich.

Problemy na poziomie taktycznym

Kanał Sueski jest skomplikowaną przeszkodą wodną – nie ma on stałej głębokości, przeprawy nie ułatwia także nachylenie brzegów nad i dna pod wodą. Wszystko to sprawia, że konieczne było (i jest wciąż) drobiazgowo planowanie. Najpoważniejsza była sztuczna przeszkoda, czyli obwałowanie podwyższone w ostatnim roku wojny na wyczerpanie. Do jego wzniesienia Izrael użył materiału wydobytego z dna kanału.

⁵ Ang. „What was taken by force will be returned by force”.



Ryc. 2. Jedna z egipskich przepraw w czasie operacji „Badr”.

Źródło: Military Battles on the Egyptian Front by Gammal Hammad, opublikowane przez Dār al-Shurūq, Egipt (domena publiczna).

Utrudnieniem natury militarnej były liczne stacjonarne miotacze ognia Or Jikarot (heb. palące światło). System wykorzystywał zgromadzoną w zbiornikach ciecz palną uzyskaną na bazie benzyny. Systemy te rozmieszczono w rejonach najbardziej prawdopodobnych miejsc egipskiego ataku. Szczęśliwie dla Egipcjan IDF zarzucił ich budowę z uwagi na wykrycie prac budowlanych.

Kolejnym problemem były umocnienia i małe forty rozsiane w znacznej liczbie na całej długości obwałowania. Nie były jednak rozmieszczone na tyle gęsto, aby nie dało się ich po prostu ominąć, co Egipcjanie uwzględnili w czasie opracowania planów. Opracowali również optymalne metody ich zdobywania lub niszczenia.

Czołgi!

Zdecydowanie najpoważniejszym zagrożeniem dla realizacji egipskich planów była miażdżąca przewaga IDF w zakresie broni pancерnej. Izrael miał więcej czołgów, były one silniej opancerzone, bardziej mobilne i dysponowały większą siłą ognia niż czołgi egipskie. Opracowanie kontrsiły niwelującej tę przewagę było zasadniczym elementem decydującym o powodzeniu całego przedsięwzięcia.

Sposobu dostarczyli Sowieci w postaci wyjątkowo skutecznych i przy tym mobilnych zestawów przeciwpancernych, obsługiwanych głównie przez zespoły komandosów. Były to 9M14 Малютка (pol. małeńka; kod NATO: AT-3 Sagger). Równolegle planowano rzucić specjalne oddziały mające zaminować obszary spodziewanego kontruuderzenia izraelskiego.

Sowieccy doradcy byli delegowani do jednostek egipskich nawet poziom batalionu. Jednym z ich zadań było upewnienie się, że sowiecka doktryna, na której opierały się plany operacyjne i taktyczne, została należycie zrozumiana, a wcześniej dopasowana do umiejętności i faktycznych zdolności personelu egipskiego.

Egipska decyzja odzyskania na drodze wojny utraconego terytorium, ponownego uruchomienia kanału i odsunięcia zagrożenia od swoich granic była częściowo wymuszona przez Rosjan. Gdy Sowieci odmówili dostarczenia broni o zasięgu pozwalającym na działania odwetowe wobec Izraela, Egipcjanie nie mieli innego wyjścia niż atak lądowy.

Oczywistym zwiększeniem sił i szans było dołączenie do wojny innych krajów sąsiadujących z Izraelem, a więc przede wszystkim Syrii. Faktycznie sformowana koalicja objęła także Irak, Jordanię czy Libię. Jednak poważny udział w walkach wzięły udział tylko Syria i Irak, a pozostałe państwa dały od siebie kontyngenty w sile co najwyżej trzech brygad.

Izraelska dominacja w powietrzu była zupełna. Próby zbudowania potencjału, który mógłby dorównać przeciwnikowi, były przy tym całkowicie nierealne. Należałoby nabyć sprzęt, przeszkolić pilotów... Mimo tego braku trzeba było w jakiś sposób zabezpieczyć armię lądową. Znalezione rozwiązanie w postaci nasycenia systemów pocisków ziemia-powietrze, wdrożonych już w czasie wojny na wyczerpanie. Były to systemy 2K12 Kub. Miały osłaniać przede wszystkim obszary, w których realizowano



Ryc. 4. 9M14 Malutka. Źródło: Boevaya mashina CC 3.0.

operacje krytyczne i w dodatku bardzo płytko w głąb zdobywanego terenu.

Egipcjanie zdawali sobie świetnie sprawę, że izraelskie samoloty realizują zadanie latającej artylerii wsparcia. Zadanie to byłoby utrudnione w sytuacji, w której armia egipska wystarczająco silnie nasyci bronią przeciwlotniczą płytkie obszary swojego wtargnięcia, a więc zrezygnuje z prób wchodzenia w głąb półwyspu. Po dokonaniu ograniczonego wtargnięcia Egipcjanie planowali przejść do statycznej obrony, licząc na to, że zespoły przeciwczołgowe zdołają przetrzebić izraelskie czołgi. Jednym z głównych powodów przejścia do defensywy natychmiast po zabezpieczeniu obszarów zajętych płytkim wtargnięciem była właśnie obawa przed izraelskimi odwodami, o których już wiadomo, że mobilizowane są błyskawicznie z żołnierzy rezerwy.

Fortyfikacje na obwałowaniu i w jego bezpośredniej bliskości, zgodnie z doktryną opisaną powyżej, pełniły rolę

wyłącznie obserwacyjną, a więc ich zadaniem nie było opóźnianie postępów egipskich. Ze swojej strony Egipcjanie albo otwierali przejścia w przestrzeni pomiędzy fortami, albo je po prostu omijali. Ich zniszczenie lub zdobycie następowało przeważnie w wyniku akcji artyleryjskiej lub ataków realizowanych przez jednostki dalszych rzutów.

Jednym z wybiegów mających zmylić IDF co do daty ataku było przyjęcie typowo defensywnego rozmieszczenia jednostek armii egipskiej na zachodnim brzegu kanału. W rezultacie atak miał nastąpić z pozycji statycznych, a nie z ruchu (ang. *attack from contact* jako opozycja wobec *attack from movement*). Przygotowania maskowano także poprzez prowadzenie licznych ćwiczeń (nazwa kodowa „Tahrir”).

Kluczowy problem: wycięcie przejść w obwałowaniu⁶

Początki prac nad planem ataku da się wyśledzić jeszcze w roku 1967. Pracował nad nimi sam prezydent Sadat i jego minister wojny Fawzi. Pierwotnie plan był ambitny – zakładał odzyskanie całego Synaju. Z czasem został ograniczony do bardziej realistycznego zajęcia terenów w bezpośredniej bliskości kanału.

Egipski generał Ali miał u siebie inżyniera z doświadczeniem zdobytym przy budowie Tamy Asuańskiej. Dołożył on swoją cegiełkę do planowania wojny pod koniec 1971 roku, kiedy opracował sposób unieszkodliwienia głównej bariery na drodze egipskich wojsk – wału na wschodnim

⁶ Sekcja na podstawie: H. Blum, *The Eve of Destruction. The Untold Story of Yom Kippur War*, Nowy Jork, NY, 2004, s. 89–91 oraz G.W. Gawrych, *The 1973 Arab-Israeli War: The Albatross of Decisive Victory*, Fort Leavenworth, 2001, s. 19–20.

brzegu kanału. W czasie budowy tamy stosowano technikę oczyszczania miejsc budowy z gleby i piasku, polegającą na użyciu strumieni wody. Jest ona zresztą wykorzystywana także w górnictwie i nosi nazwę *hydraulic mining* – opracowano ją w połowie XIX wieku w USA do wydobywania złota.

Okazało się, że woda pod wysokim ciśnieniem jest w stanie wypłukać piasek, a więc także luźną ziemię i muł, z których Izraelczycy usypali obwałowania. Rozważane wcześniej rozwiązania, takie jak ostrzał artyleryjski, podkładanie min czy użycie buldożerów nie sprawdzały się w warunkach innych niż idealne. Przede wszystkim metody te były zbyt powolne, co wyliczyli zarówno planiści izraelscy, jak i sami Egipcjanie⁷.

Egipska armia zamówiła 300 pomp brytyjskich. W czasie testów uzyskano zadowalający rezultat: zespół pięciu pomp był w stanie wypłukać 1500 m³ piasku w ciągu zaledwie 3 godzin. Jeszcze silniejsze pompy, przeznaczone dla straży pożarnej, produkowane były w Niemczech przez firmę Magirus-Deutz Fire Protection Techniques Ltd. z Ulm. Natychmiast zakupiono dwie przenośne, napędzane turbinami pompy typu T.S.T. 40/7, zdolne do przepompowania 3800 litrów na minutę. Nadawały się idealnie do zadania, którym była przeprowadzana pilnie modernizacja egipskiej straży pożarnej. Takie wyjaśnienie usłyszał negocjujący z rządem Egiptu niemiecki menadżer. Nie zastanawiając się, rzucił cenę „dla frajera” – 1,88 miliona USD. Ku jego zdziwieniu została zaakceptowana! Ale był jeden warunek: dostawa musiała być zrealizowana natychmiast.

Niemiecki producent zrobił tak świetny biznes, że nawet nieostrożność Egipcjan, w postaci odbioru zamówionych

⁷ Użycie materiałów wybuchowych to ok. 5–6 godzin pracy dla 60 ludzi podkładających ok. 300 kg trotylu do usunięcia 1500 m³ piachu. Buldożery w czasie pracy byłyby zaś świetnym celem dla obrońców.



Ryc. 5. Wrak izraelskiego czołgu zniszczonego
w początkowej fazie bitwy na pustyni Synaj.
Źródło: Archiwa IDF, domena publiczna.

pomp nie przez strażaków, ale saperów wojskowych, nie wywołała poważnych wątpliwości. A przynajmniej nie były one dość mocne, aby kogoś tknęło by przekazać informację o transakcji do „służb”, które by rozpoznały ich potencjalną wagę dla Izraela i przekazały do „jednostki syjonistycznej” w ramach ekspiacji za traktowanie Żydów przez III Rzeszę.

Pompy dotarły do Egiptu w czerwcu, po pięciu miesiącach od złożenia zamówienia. W czasie testów zespół trzech brytyjskich i dwóch niemieckich pomp był w stanie otworzyć przejście w obwałowaniu w ciągu 2 godzin.

Teraz Egipcjanie przystąpili do szkolenia obsługi. Osiemdziesiąt zespołów pracowało bez wytchnienia. W końcu przeprowadzono test ich sprawności. Każda z pomp była umocowana na pontonie i obsługiwana przez czterech ludzi. Zasysała wodę z kanału. Już pół godziny pracy pozwalało wydrążyć w obwałowaniu potężną wyrwę. Gdy była dość duża, wkraczali saperzy, by rozmieścić i detonować ładunki wybuchowe, poszerzając wyłom.

Sukces! Egipcjanie opracowali sposób sforsowania blokady w czasie, w którym armia izraelska nie zdąży zareagować na atak!

Cały ten powyższy akt egipsko-sowieckiego geniuszu doprawiony jest jednak łyżką dziegciu w postaci arabskiej niefrasobliwości. Przejawiła się ona nie tylko w odbiorze pomp niemieckich przez żołnierzy, a nie strażaków, ale także w tym, że próby pomp prowadzone były na... obwałowaniach Kanału Sueskiego. Izraelczycy zauważyli te próby, ale nie mieli chyba u siebie inżynierów budujących tamy i uznali, że Arabom nie uda się skrócić czasu wypłukiwania potężnego, liczącego 15–20 metrów obwałowania. Było to poważne uchybienie ze strony izraelskiej.

Przebieg bitwy i epilog

Na całe miesiące przed 6 października 1973 roku, czyli dniem rozpoczęcia działań, dowództwo izraelskiego południowego odcinka obrony obserwowało szeroko zakrojone operacje inżynieryjne po stronie egipskiej. Były jasnym dowodem na to, że szykowane jest przekroczenie kanału. Na tygodnie i doby przed atakiem obserwowano ćwiczenia piechoty w pokonywaniu kanału w bród i wspinaczce na obwałowanie.

Obwałowanie podwyższono jeszcze w czasie wojny na wyniszczenie, nadsypując na nie kolejne tysiące ton piachu. Intencją było uniemożliwienie Egipcjanom zajęcia jakiegokolwiek przyczółka na wschodniej stronie kanału. Nie mogli się tam znaleźć ani żołnierze, ani ekipy inżynieryjne mogące przekopać przeszkodę. Aby to osiągnąć, obwałowanie usypano tuż przy granicy wody.

W czasie ataku Egipcjanie wykorzystali 350 pomp do przekopania 30 przejść na całej długości obwałowania. Jedynie na południu, w rejonie działań 3. Armii, natrafiono „na zaskakująco mulistą glebę, która przedłużyła przekopywanie o kilka godzin. Wcześniej oczywiście zbadano właściwości gleby nie tylko na samym obwałowaniu, ale też „w odległości do 100 metrów od niego. Ewidentnie czynności te okazały się niewystarczające.

Obwałowanie uniemożliwiało sprzętowi amfibijnemu przekroczenie kanału. Było to możliwe tylko po zbudowaniu i umocnieniu nabrzeży, co miało zająć od 7 do 9 godzin od chwili rozpoczęcia ataku. Piechota do sforsowania kanału potrzebowała 11 przejść, które miały zostać wykonane w ciągu 7 godzin od początku ataku. Egipcjanie zrealizowali wyliczone przed wojną założenia. Przez wyrwy w obwałowaniu przejechać miało około 1000 czołgów i 13,5 tysiąca innych pojazdów.

Mimo działania z pełną świadomością możliwości swoich i wroga, Egipcjanie po prostu nie dali rady. Nie pomogło ani świetnie zaplanowane użycie przeciwpancernych pocisków kierowanych 9M14, ani uznane wcześniej za wystarczające nasycenie środkami przeciwlotniczymi. Momentem załamania ofensywy była katastrofalna dla Egipcjan klęska w bitwie pancernej w rejonie przełęczy Mitla.

IDF błyskawicznie dostosował swoje działania do działań egipskich, nawet pomimo początkowego zaskoczenia wrogimi zdolnościami do niszczenia zgrupowań pancernych. Zaplanowano i przeprowadzono operację „Gazelle”, polegającą na kontruderzeniu na głębokie tyły egipskie i wejściu na obszar na zachód od kanału nie za pomocą sił pancernych, jak planowano pierwotnie, a rajdów komandosów. Ich zadaniem było niszczenie wyrzutni przeciwlotniczych Kub, ograniczających swobodę działania izraelskiego lotnictwa. Operacja ta jest wręcz sztandarowym przykładem elastyczności w obliczu nowych okoliczności na polu walki. □

Spostrzeżenia na wynos

A. Dlaczego Izrael dał się zaskoczyć?

Izraelska wpadka wynikała z wadliwej pracy wywiadu. Wywiad izraelski w tamtych czasach składał się z pięciu oddzielnych organizacji. Najważniejszą oczywiście był Mosad, będący w zakresie kompetencji odpowiednikiem

CIA. Ale były jeszcze wywiad wojskowy, kontrwywiad i służby bezpieczeństwa wewnętrznego (Szabak), wydział rozpoznania MSZ i w końcu agencja zajmująca się interesami Żydów w tzw. „krajach, w których są prześladowani” (ang. *countries of persecution*). Zamanifestował się więc problem na poziomie systemowym.

Kolejny błąd także miał charakter systemowy – decyzje kluczowe dotyczące nieuchronnie zbliżającej się wojny z Egiptem podejmowała „klika” ludzi powiązanych bezpośrednio z premier Izraela Goldą Meir. Od tego ośrodka decyzyjnego zostali odcięci przedstawiciele MSZ oraz wszyscy dysponenti opracowanych przez wywiad danych wywiadowczych, mający wiedzę na temat działań przeciwnika. Decydenci polityczni mieli więc do dyspozycji wyłącznie dane otrzymywane z wywiadu wojskowego. Z uwagi na sposób działania struktur władzy na najwyższym poziomie decydenci sami ograniczyli swoją zdolność wyrabiania sobie świadomości sytuacyjnej.

Kolejny problem to braki kadrowe. W 1969 roku powołano dodatkowo specjalny zespół, którego zadaniem miało być zwalczanie aktywności palestyńskiej poza rejonem Bliskiego Wschodu. To właśnie powołanie tego zespołu doprowadziło do podkradnięcia specjalistów zajmujących się „pilnowaniem” Egiptu.

Kolejnym problemem było aroganckie przekonanie wywiadu wojskowego o miażdżącej przewadze IDF w przygotowaniu do wojny konwencjonalnej. Panowało powszechne przekonanie, że armie arabskie zostaną w każdej konfrontacji rozgromione tak jak w roku 1967. Ale w przeciągu sześciu lat Egipt i inne kraje arabskie otrzymały olbrzymie wsparcie wojskowe ze strony ZSRS. W jego skład wchodziły nie tylko ogromne ilości uzbrojenia, ale i wsparcie planistów oraz ekspertów sowieckich na każdym poziomie: taktycznym, operacyjnym i strategicznym.

Na polu walki w czasie wojny Jom Kipur to wsparcie przejawiało się olbrzymim nasyceniem w przenośną broń przeciwpancerną obszaru zajętego przez armię egipską w pierwszej fazie ataku. Analizy przebiegu działań w tamtych dniach pozwalają przypuszczać, że gdyby IDF nie dał z siebie naprawdę wszystkiego, siła oddziaływania bojowego izraelskiej broni pancernej mogła zostać całkowicie stępiona.

Wywiad izraelski zdawał sobie sprawę z sowieckiej pomocy, ale zdawał się ignorować fakt, że podnosiła ona faktyczne zdolności operacyjne armii egipskiej. W takiej pułapce koncepcyjnej nie było możliwe trafne zgadywanie intencji sąsiadujących z Izraelem państw, których terytoria Izrael zdobył w 1967 roku, a które bezwzględnie chciały rewanżu i odzyskania strat.

Dodatkowym czynnikiem odwracającym uwagę Izraela od przygotowań egipskich było koncentrowanie się na działalności terrorystycznej Palestyńczyków. W kręgach rządowych panowało przekonanie, że Arabowie pogodzili się z nieprzeczwycięzoną przewagą militarną IDF i – nie ważąc się na kolejne próby jej podważenia – skoncentrowali na walce za pomocą aktów terroryzmu. W rezultacie przegapiono egipskie przygotowania do wojny nawet na poziomie politycznym, to jest nawiązanie współpracy Egiptu z Syrią, szukającą okazji do odzyskania Wzgórz Golan⁸.

B. „My nie agresory”, geopolityczne szachy zimnej wojny i paralele z atakiem Hamasu z 7 października 2023 (opinia)

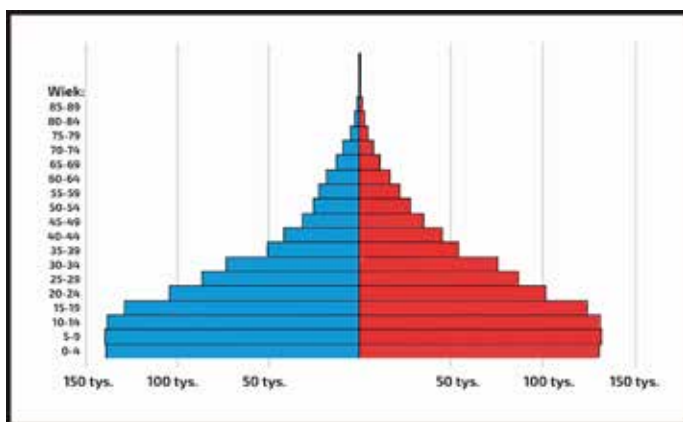
Do zwycięstwa na polu bitwy potrzebne jest zwykle wsparcie z zewnątrz – od sojuszników. W wojnie Jom Kipur

⁸ Lewis Chester, *The Yom Kippur War*, Nowy Jork 2002 s. 64–65.

pomoc przejawiała się przez wsparcie dostawami sprzętu. ZSRS wspomagał Egipcjan dostawami sprzętu drogą lotniczą od 9 października, przewożąc dziennie aż 1600 ton sprzętu z baz zaopatrzeniowych na Węgrzech. Źródła i analizy konfliktu z 1973 roku jednym chórem (co za świetny oksymoron!) przemilczają ten aspekt, ale takie ilości w sposób oczywisty musiały być wcześniej zgromadzone i przynajmniej wstępnie przygotowane do transportu.

Podobnie było oczywiście po stronie Zachodu i Izraela. Decyzja prezydenta Nixona zapadła również 9 października. Nastąpiło to w nieco nieuporządkowany sposób. Pierwotnie rząd Stanów Zjednoczonych zwrócił się do komercyjnych przewoźników, lecz ci gremialnie odmówili, uzasadniając decyzję obawą, że po wojnie zostaną objęci bojkotem państw arabskich. Od 14 października Amerykanie uruchomili więc transport sprzętu za pomocą swoich środków wojskowych, w ramach operacji „Nickel Grass”. Przez równy miesiąc przerzucono 22 tysiące ton sprzętu, od całych czołgów po części zamienne do myśliwców.

Co najciekawsze i znamienne, za wyjątkiem Portugalii, która udostępniła Amerykanom lotnisko na Azorach,



Ryc. 6. Piramida wiekowa populacji Strefy Gazy na 2023 rok.

Źródło: Agencja CIA, źródła międzynarodowe.

żadne państwo Europy Zachodniej nie wspomagało tego wysiłku. Co więcej, Amerykanie musieli starannie planować przeloty nad Morzem Śródziemnym tak, aby nie naruszyć przestrzeni powietrznej nie tylko państw arabskich, ale i europejskich.

Kluczowym aspektem tej „gimnastyki” było to, że działania w trakcie wojny Jom Kipur zostały zainicjowane przez Egipt, a więc przynajmniej teoretycznie stanął on w zwykłej niefortunnej roli agresora. Widać więc, że dla wszystkich było jasne, że państwa arabskie mają siłę oddziaływania, która ogranicza wszechwładzę superpotężnych Amerykanów. Ta siła oddziaływania została przecież użyta w rezultacie wojny. Słynny kryzys paliwowy w USA z roku 1973, znany nam z ikonicznych fotografii przedstawiających długie kolejki na amerykańskich stacjach benzynowych, był spowodowany arabskim embargiem na eksport ropy do krajów wspomagających Izrael.

Skutki geopolityczne samej wojny i embarga naftowego były wręcz kolosalne. Równie wielkie w moim przekonaniu są i wkrótce będą budujące się na naszych oczach niczym fraktale skutki ataku terrorystycznego Hamasu z października 2023 roku. Wspólną cechą obu sytuacji jest postępowanie i ograniczenia decyzyjne Izraela.

W sprowadzonym do sedna skrócie – przygotowania do ataku z 2023 roku były widoczne dla wywiadu Izraela, lecz zostały zlekceważone. Niezależnie od tego Izrael, by zabezpieczyć swoje przetrwanie, siłą rzeczy musiał i musi odwrócić trendy, które czynią Strefę Gazy przysłowiową beczką prochu czekającą na iskrę. Pierwszy z tych trendów to demografia. Rok 1968 był ostatnim, w którym w Strefie odnotowano ujemny przyrost liczby ludności. Wtedy, w roku 1967, w Strefie mieszkało 390 tysięcy ludzi. Dziś populacja liczy 2,1 miliona, z dzietnością 3,38, przy czym kluczem jest kształt piramidy wiekowej. Jej struktura to

napisana grubymi, czerwonymi literami na białej ścianie egzystencjalna groźba dla istnienia Izraela⁹.

Fakty są takie, że mamy do czynienia z eksplozją demograficzną tak silną i sprzeczną z powszechnym w krajach „rozwinętych” rozumieniem czynników ograniczających decyzję o posiadaniu dzieci – chodzi przede wszystkim o dostęp do zasobów – że ma ona cechy celowo realizowanej inżynierii społecznej. Pole do rozważań nad konsekwencjami tego stanu rzeczy, nawet przyjmując za pewnik założenie o całkowicie naturalnym źródle dzietności, poszerzają napływające z regionu informacje o coraz bardziej alarmującym nasyceniu rejonu nowoczesną automatyczną bronią strzelecką. Już na długo przed październikiem 2023 roku uważane było ono przez komentatorów i ekspertów za porażkę służb odpowiedzialnych za bezpieczeństwo i przetrwanie Izraela.

Ale „siły historii” skryte za procesami społecznymi są nieuchronne w roku 2023, tak jak były nieuchronne pół wieku wcześniej. Zabezpieczenie własnego przetrwania wymaga, by powoływać do życia preteksty i narracje.

Przyjrzyjmy się „niefrasobliwych” przygotowaniach armii egipskiej i „przeoczeniach” izraelskiego wywiadu. Armia egipska budowała liczne obozy treningowe, których oczywistym przeznaczeniem było forsowanie umocnień izraelskich wzdłuż kanału. Instalacje szkoleniowe powstały w Fayom i Dahashur w Dolinie Nilu, w Bikrash i Tel al-Kabir w delcie Nilu, w Katzatzin i regionie wyspy Balah.

Co więcej, od lutego 1971, a więc już po zakończeniu wojny na wyniszczenie, piechota egipska trenowała zdobywanie przyczółków na samym kanale, pod nosem Izraelskim. Dodatkowo, armia egipska pozyskiwała od ZSRS

⁹ Zob. dwa uzupełniające się zestawy statystyk: *The Gaza Strip in charts*, <https://www.ft.com/content/7b618433-ba5f-4e92-a3e0-d5d41d6d17f8> oraz *The World Factbook: Gaza Strip*, <https://www.cia.gov/the-world-factbook/countries/gaza-strip/> [dostęp: 2024 4.21].

i produkowała sama olbrzymie ilości sprzętu do budowania przepraw pontonowych.

A teraz zobaczmy, jak wygląda rozgrywka na najwyższym poziomie, którą czasem w języku angielskim określa się frazą *the grand scheme of things*. W przypadku okresu bezpośrednio przed wojną Jom Kipur, najistotniejszą sprawą był wymóg Waszyngtonu – głównego wspierającego wysiłek przetrwania Izraela, który zaanonsowaliśmy na początku eseju. Polityką Białego Domu było, by wsparcie dać, ale Izrael nie może działać wyprzedzająco. I Izrael nie działał wyprzedzająco. Służby i wojsko wiedziały o intensywnych Egipskich przygotowaniach, więc zamiast przeszkodzić, Izraelczycy realizowali własne przygotowania. Musieli bowiem zaplanować scenariusz rozstrzygnięcia, w którym sprawa rozegra się na ich terytorium. W rezultacie, cały ich plan wojenny opierał się na stworzeniu w zachodniej części Synaju *killboxa*¹⁰, wyskalowanego do rozmiarów całych armii dwóch krajów.

Pisząc już całkowicie otwartym tekstem, geopolityczne ROE¹¹ w sposób oczywisty wymuszało, aby Izrael pozwolił Egiptowi przedostać się przez kanał, obwałowanie i linię Bar-Lewa. Dopiero sukces egipski uruchamiał właściwe, planowane latami kontruuderzenie, które w rzeczywistym starciu skończyło się wtargnięciem IDF na terytorium

¹⁰ Pol. strefy zabijania lub strefy śmierci. To obszar, w którym koncentrują się lub nakładają rozplanowane wcześniej pola ostrzału. Pojęcie używane jest powszechnie przy planowaniu obrony fortyfikacji ziemnych przed szturmami piechoty za pomocą odpowiedniego rozlokowania gniazd karabinów maszynowych.

¹¹ Ang. *Rules of Engagement*. W działaniach na poziomie taktycznym stosuje się standardowe reguły dozwolonego w danej sytuacji sposobu użycia siły. Wytyczne mają na celu ochronę cywilów lub przestrzeganie norm prawnych czy etycznych. Reguły te mogą pozwalać żołnierzom na otwarcie ognia do przeciwnika bez konieczności czekania, aż to on jako pierwszy otworzy ogień (przejawi agresję usprawiedliwiającą użycie siły militarnej).

Egiptu. Mogłoby nawet dojść i do tego, że to służby izraelskie podsunęłyby armii egipskiej kluczowe rozwiązanie problemu – tylko po to, aby uruchomić w odpowiedniej chwili cały mechanizm wojny. „Tak się robi geopolitykę”, można by strawestować słynną kwestię wypowiedzianą przez Bogusława Lindę w scenie palenia archiwów w filmie *Psy*.

W taki oto sposób czynniki i parametry sytuacji z poza pola bitwy, w tym interesy przetrwania i rozgrywki w geopolityczne szachy, mają przemożny wpływ na kształtowanie warunków topograficznych i politycznych, w jakich realizowane jest rozstrzygnięcie w sferze militarnej.



Koniec tomu drugiego.

ANEKS

Wyjaśnienie elementów symbolicznych... oraz konkurs

Znak pisma chińskiego na grzbiecie okładki pochodzi z języka kantońskiego i w tamtejszym slangu oznacza ‘sprytne zrealizowanie jakiegoś planu lub zamiaru’, ‘moje górą!’. Znak jest nawiązaniem do filmu *God of cookery* (1995, reż. Stephen Chou), w którym bohater otworzył sieć restauracji, a jego wrogowie na drodze spisku wybrali lokalizacje których rozlokowanie na mapie układało się w znak *si* (死) oznaczający śmierć. Bohater przejrzał perfidny spisek na jego prosperity i zmienił lokalizacje tak, aby układały się właśnie w znak chińskiego pisma, który widnieje na grzbiecie książki. Podwójnie przekreślona pionowa kreska po jego prawej stronie to graficzna reprezentacja ręki (która w domyśle coś odważa), część po prawej stronie to ideogram sklepu lub kramu kupieckiego.

Znak chińskiego pisma na grzbiecie włącza wizualnie niniejszy tom do serii „Wzorce”. Zamieściłem w treści tej książki kilka niespodzianek w postaci sformułowań podobnych do tych obecnych w prozie Andrzeja Sapkowskiego.

Podobnie jest z okładką. Yamamoto na ilustracji tytułowej pokazuje łatwy do odgadnięcia gest znany nam bardziej z historii Anglii, a nie Japonii. Z jednej strony to zwykła

krotochwila, mająca przyciągnąć uwagę czytelnika. Ma ona jednak umocowanie w rzeczywistości. Odzwierciedla kluczową cechę każdego wielkiego dowódcy – determinację. Te nietypowe upozowanie ma nieco głębsze uzasadnienie. Yamamoto studiował poezję i kaligrafię, hobby osób wykształconych, intelektualistów o głębokiej wiedzy i zrozumieniu przeszłości. Jedną zaś z ulubionych technik i chińskiej, i japońskiej poezji starożytnej jest pomijanie w metaforach i parafrazach frazy ważniejszej, tu będących symbolem determinacji palców.

Quiz (edycja 2)

Nawiązania do popkultury to nieodłączny element książek serii Wzorce. Także i w tym tomie znalazło się kilka „kwiatków”, z których najlepszy – ten w eseju o bitwie przy ujściu Nilu – sprawił, że niżej podpisany rechotał pozornie bez powodu przez kilka dni po jego wykoncypowaniu. Wypada więc celebrować tradycję ogłoszeniem quizu.

W relacji z bitwy u ujścia Nilu znajduje się nawiązanie do dzieła popkultury. W każdym nowym dodruku niniejszej książki pojawia się nowy quiz. Tak jak i w podkaście Piotra Plebaniaka pt. *Telegram z krańca świata*, odgadnięcie tytułu dzieła będzie quizem powiązanim z niniejszym tomem. Pierwszy czytelnik, który skontaktuje się z autorem i poda nazwisko bohatera, który wypowiedział te słowa, otrzyma uzgodnioną w korespondencji nagrodę. Status zagadki do sprawdzenia na

<https://chiny.pl/telegram#quizey-odpowiedzi>.

Piotr Plebaniak

Spis ramek specjalistycznych

Special Air Service (SAS): „Śmiali zwyciężają"	40
Stacje węglowe	191
Rosyjski piechur daje radę!	236
Doktryna Mahana	255
Technika strzelania z muszkietów i taktyka walki z ich użyciem	313

Spis map i planów bitew

Mapa archipelagu Falklandów	24
Położenie Falklandów względem kontynentu i wyłączone strefy ekonomiczne wokół Georgii Południowej oraz Południowych Sandwichów	26
Wyspa Georgia Południowa	35
Wyspa Pebble i usytuowanie lotniska polowego na niej	43
Strefa Całkowitego Wykluczenia oraz kurs krążownika ARA „General Belgrano" w dniach 1-2 maja.	47
Ukształtowanie rejonu miasteczka Stanley i linie obronne strony argentyńskiej	59
Worek Pusański i orientacyjne położenie kluczowych lokalizacji w pierwszej fazie wojny koreańskiej (1950)	70
Port i miasto Inczon	76
Rejon Inczon i Seulu	91

Mapa Afryki południowej i państw regionu w 1899 roku	123
Obszar walk w czasie drugiej wojny burskiej	127
Trasy przebyte przez flotę inwazyjną Napoleona i ścigającego ją Nelsona. „X” – miejsce minięcia we mgle 22 czerwca	150
Przybliżony szkic sytuacyjny początkowej fazy bitwy u ujścia Nilu, olej Nicholas’a Pococka (1808)	153
Lokalizacja przylądka Trafalgar	163
Szkic szyków obu stron tuż przed początkiem bitwy przy Przylądku Trafalgar	168
Rejon Morza Japońskiego i Mandżurii w 1905 roku`	184
Trasa pokonana przez Drugą Eskadrę Pacyfiku	190
Wpłynięcie Drugiej Eskadry Pacyfiku do Cieśniny Cuszimskiej	197
Uproszczony schemat głównej fazy bitwy cuszimskiej w godzinach 14:25 do 18:20	203
Morze Żółte i Półwysep Liaodong. Strefy wpływów z 1904 roku	225
Kraniec półwyspu Liaodong wraz z Port Artur	227
Bezpośrednie okolice Port Arthur i kluczowe punkty obrony	231
Położenie atolu Midway względem Japonii i Ameryki Północnej.	254
Japońska ekspansja na kwiecień 1942 oraz pierwotny jej plan. Linia przerywana: planowany zakres kontroli.	259
Atol Midway w 1942 roku	273
Szkic orientacyjny przebiegu głównego starcia bitwy o Midway	286
Oblężenie Bostonu i pozycje oblegających Amerykanów wokół miasta	314
Bitwa o Bunker Hill	319
Republika Teksasu w 1836 roku	327
Obszary Ameryki Północnej zajęte przez europejskie mocarstwa około roku 1750, szkic orientacyjny	340
Uproszczony schemat sytuacji strategicznej w czasie wojny o dominację w Ameryce Północnej	341
Manewr Wolfe’a i szkicowa dyslokacja sił stron bitwy o Quebec	345

Szkic orientacyjny trasy rejsu zespołu TF-16 oraz miejsca lądowań samolotów rajdu Doolittle'a	357
Izrael, pustynia Synaj oraz Kanał Sueski w przededniu wybuchu wojny Jom Kipur	369
Uproszczony schemat ataku egipskiego w 1973 roku	371

Indeks chronologiczny przywołanych ilustracji historycznych (wojny, kampanie, bitwy, potyczki)

Bitwa o Diu 1509	101
Zdobycie Quebecu 1759	347
Bunker Hill 1775	327
Bitwa przy ujściu Nilu 1798	148
Bitwa przy Trafalgar 1805	161
Alamo 1836	339
Druga wojna burska 1899–1902	109
Upadek Port Artur 1904–1905	223
Cuszima 1905	183
Midway 1942	253
Rajd pułkownika Doolittle 1942	369
Inczonek 1950	69
Jom Kipur 1973	367
Falklandy 1982	23

Wybrana bibliografia oraz lektury polecane Źródła internetowe

Autor dysponuje kopiami archiwalnymi wszystkich linkowanych materiałów (teksty, wideo). W przypadku potrzeby Czytelnika dostępu do materiałów usuniętych, zapraszam do kontaktu.

Poniżej znajdują się wybrane pozycje przywołane i cytowane oraz pomocnicze (polecane). Zastosowane kryterium doboru: użyteczność koncepcyjna i praktyczna.

Listę wszystkich treści on-line, do których odwołania (linki) znajdują się w przypisach, można obejrzeć na:

<https://chiny.pl/prz/12>

Znajdą się tam też kopie archiwalne, zachowane przez autorów na wypadek ich ocenzurowania lub usunięcia z innych przyczyn.



Wstęp

Heinlein Robert A., *Luna to surowa pani*, Rebis, Poznań 1992.

Temat 1 (Kampanie i operacje)

J. Yanagisawa, *Military Implications of the Falklands War: From Japan's Point of View*, National Institute for Defense Studies, Tokio 2013.

Andrew Noble, Chris Hobson, *Falklands Air War*, Midland 2002.

M. Middlebrook, *The Fight for the 'Malvinas': The Argentine Forces in the Falklands War*, Penguin Books, Londyn 1990

John Nott, *Here Today Gone Tomorrow: Recollections of an Errant Politician*, Politico's Publishing Ltd, Westminster 2003.

- J. Yanagisaw, *Military Implications of the Falklands War: From Japan's Point of View*, National Institute for Defense Studies, Tokio 2013.
- S. Badsey, R. Havers i M. Grove, Frank Cass (red.), *The Falklands Conflict Twenty Years on: Lessons for the Future*, Londyn 2005
- Bill Sloan, *The Darkest Summer*, Simon & Schuster 2010.
- Edward Hampshire, Graham Turner, *The Falklands Naval Campaign 1982 War in the South Atlantic*
- David Yates, *Bomb Alley. Falkland Islands 1982 aboard HMS Antrim at war.*
- Kenneth L. Privratsky, *Logistics in the Falklands War*, Pen & Sword Military 2014.
- Paweł Skworoda, *Hammerstein1627*, Bellona, Warszawa 2006.
- Earle Rice, *The Inchon Invasion*, Lucent Books 1996.
- Robert Kłosowicz, *Inczhon-Seul 1950*, Bellona, Warszawa 2005.

Temat 2 (Przełomy technologiczne)

- Michael Roberts, *Gustavus Adolphus and the Rise of Sweden*, English Universities Press 1973.
- Richard Brzeziński, *Lützen 1632. Apogeum wojny trzydziestoletniej*, Bellona, Warszawa 2008.
- Evgienij Razin, *Historia sztuki wojennej*, cz. III, Warszawa 1964.
- G.S. Hutchison, *Machine Guns: Their History and Tactical Employment* (Being Also a History of the Machine Gun Corps, 1916-1922), Uckfield 2004.
- D.L. Goldsmith, *The Devil's Paintbrush: Sir Hiram Maxim's Gun*, Collector Grade Publications, Old Heathfield 1989.
- D. French, *Armia Brytyjska 1919-1945 a wojna z Niemcami*, Wydawnictwo Poznańskie Poznań 2014.
- Byron Farwell, *The Great Boer War*, W.W. Norton & Co Inc. 1990.
- Spencer Jones, *From Boer War to World War Tactical Reform of the British Army, 1902-1914*, University of Oklahoma Press 2012.

Ronald S. Love, *Maritime Exploration in the Age of Discovery, 1415-1800* (Greenwood Guides to Historic Events 1500-1900), Greenwood 2006.

John Francis Guilmartin, *Gunpowder and Galleys. Changing Technology Mediterranean Warfare at Sea in the 16th Century*, Conway Maritime Press Ltd., 2003.

Temat 3 (Mahan, okręty liniowe i pancerniki)

S.L. Moore, *Battle Stations: How the USS Yorktown Helped Turn the Tide at Coral Sea and Midway*, Dutton Caliber, Boston 2021.

W.H. Fitchett, *Nelson and His Captains*, Londyn 1902.

J. Wiesław Dyskant, A. Michatek, *Port Artur-Cuszima, 1904-1905*, Warszawa 2005.

Mark Stille, Howard Gerrard, *Midway 1942 Turning Point in the Pacific*, Osprey Publishing 2010.

Thomas C. Hone, *The Battle of Midway*. Naval Institute Press 2013.

Richard Freeman, *Turning the Tide The Battles of Coral Sea and Midway*, University of Plymouth Press 2016.

Sam Willis, *Battle of Trafalgar*, Michael Joseph 2019.

Mark Latham, *Trafalgar, Naval Warfare in the Age of Sail 1795-1815*, Games Workshop 2008.

Nicholas Tracy, *Nelsons Battles The Art of Victory in the Age of Sail*, Naval Institute Press 1996.

Alan Schom, *Trafalgar Countdown to Battle, 1803-1805*, Oxford University Press 1990.

Brian Lavery, *Nelson and the Nile*, Naval Institute Press 1998.

Temat 4 (Bitwy założycielskie Ameryki)

Richard M. Ketchum, *Decisive Day: The Battle for Bunker Hill*, Doubleday 1974.

Brendan Morrissey, *Boston 1775 The Shot Heard Around the World*, Osprey Publishing 1993.

Michael Stephenson, *Patriot Battles How the War of Independence Was Fought*, Harper Perennial 2008.

Stephen Hardin, *The Alamo 1836: Santa Anna's Texas Campaign*, Osprey Publishing 2001.

William C. Davis, *Three Roads to the Alamo The Lives and Fortunes of David Crockett, James Bowie, and William Barret Travis*, Harper Perennial 1999.

Temat 5 (Akty militarnego geniuszu i wręcz przeciwnie)

Jarosław Wojtczak, *Quebec 1759*, Bellona, Warszawa 2000.

Matthew C. Ward, *The Battle for Quebec 1759 - Britain's Conquest of Canada*, The History Press 2009.

Stuart Reid, *Quebec 1759. The Battle That Won Canada*, Osprey Publishing 2003.

Clayton K. S. Chun, *The Doolittle Raid 1942: America's first strike back at Japan*, Osprey Publishing 2006.

James M. Scott, *Target Tokyo: Jimmy Doolittle and the Raid that Avenged Pearl Harbor*, W. W. Norton & Company 2006.

Duane P. Schultz, *The Doolittle Raid*, St. Martin's Press 1989.

Dani Asher, *The Egyptian Strategy for the Yom Kippur War. An Analysis*, Jefferson 2009.

Howard Blum, *The Eve of Destruction. The Untold Story of Yom Kippur War*, Nowy Jork, 2004.

George W. Gawrych, *The 1973 Arab-Israeli War: The Albatross of Decisive Victory*, Fort Leavenworth, 2001.

Seria „Wzorce zwyciężania”

(sześć tomów)

Piotr Plebaniak prezentuje serię dla miłośników historii wojskowości, adeptów sztuki wojennej i studentów praktyk skutecznego działania.

Seria planowana jest na sześć tomów. Każdy z nich będzie zawierać analizy znanych i mniej znanych konfliktów, operacji, bitew i potyczek. Analizy te są ukierunkowane na wyciągnięcie maksimum wiedzy i doświadczenia tak, aby błędy i sukcesy postaci historycznych stały się elementem zdobycy przez czytelnika edukacji.

Seria „Wzorce”

To mające formę poradników pogłębione analizy kolejnych sfer toczenia konfliktów. To także podręczniki budujące zdolność podejmowania optymalnych decyzji i skutecznego działania. Więcej na stronie

chiny.pl/ksiazki

